

Międzynarodowy bestseller przetłumaczony na kilkadziesiąt języków!



CORNELIA FUNKE

~ KRÓL ~

ZŁODZIEI



Literacki
EGMONT

Cornelia Funke

KRÓL ZŁODZIEI

Dorośli nie pamiętają, jak to jest być dzieckiem.
Naprawdę nie pamiętają, wierz mi.
Zapomnieli o ile większy wydawał się wtedy świat.
Jak trudno było wdrapać się na krzesło.
I jak to było zawsze patrzeć do góry.
Zapomnieli.
Już tego nie wiedzą.
Ty też zapomnisz.
Czasem dorośli opowiadają, jak to było pięknie być dzieckiem.
Nawet marzą o tym, by znów nim być.
Ale o czym marzyli, będąc dziećmi?
Jak myślisz?
Sądzę, że marzyli o tym, by w końcu dorosnąć.

KLIENCI WIKTORA

Gdy Wiktor po raz pierwszy usłyszał o Prosperze i Bo, w księżycowym mieście była jesień. Słońce odbijało się w kanałach i zalewało stare mury złotem, ale od morza wiał lodowaty wiatr, jak gdyby chciał przypomnieć ludziom o zbliżającej się zimie. W powietrzu czuło się już przedsmak śniegu, a jesienne słońce ogrzewało tylko skrzydła aniołom i smokom na dachach.

Dom, w którym Wiktor mieszkał i pracował, stał nad samym kanałem; tak blisko, że woda chlupotała o mur. Czasami w nocy śniło się Wiktorowi, że dom wraz z całym miastem zalewają fale.

Że morze zmyło tamę, która trzymała Wenecję przy stałym lądzie jak skrzynię złota na cienkiej nitce, i wszystko pochłonęło: domy i mosty, kościoły i pałace, które ludzie w swej arogancji zbudowali na jego terytorium.

Ale na razie wszystko stało pewnie na swych drewnianych nogach, a Wiktor, oparty o parapet, wyglądał przez zakurzoną szybę.

Żadne inne miejsce na ziemi nie mogło tak bezwstydnie chępić się swym pięknem jak księżycowe miasto, gdzie konkurowały ze sobą rozświetlone słońcem szczyty wspaniałych budowli, łuki, kopuły i wieże. Pogwizdując, Wiktor odwrócił się od okna i stanął przed lustrem. Doskonała okazja, by wypróbować nowe wąsy, pomyślał, czując ciepło słońca na szerokim karku. Dopiero wczoraj kupił tę niezwykłą ozdobę: ogromne wąsiska, tak ciemne i krzaczaste, że nawet sum mógłby ich pozazdrościć. Ostrożnie przykleił je pod nosem, stanął na palcach, by dodać sobie nieco wzrostu, obrócił się w lewo, potem w prawo... i tak zapatrzył się w swoje odbicie, że kroki usłyszał dopiero wtedy, gdy ucichły przed jego drzwiami. Klienci. Cholera. Dlaczego właśnie teraz muszą mu przeszkadzać?

Z westchnieniem siadł za biurkiem. Za drzwiami słychać było jakieś szepty. Pewnie podziwiają moją tabliczkę, pomyślał. Istotnie była niezwykła - czarna i błyszcząca, z wrytym złotymi literami napisem: Wiktor Getz, detektyw. Śledztwa każdego rodzaju.

Do tego w trzech językach - w końcu trafiali tu także klienci z zagranicy. A kołatkę obok tabliczki, głowę lwa z mosiężnym kółkiem w pysku, zdążył właśnie tego ranka wypolerować.

Na co czekają?! Wiktor niespokojnie zabębnił palcami w poręcz krzesła.

- Avanti! - zawołał w końcu niecierpliwie.

Drzwi otworzyły się i do biura Wiktora, które równocześnie było jego mieszkaniem, weszli mężczyzna i kobieta. Podejrzliwie rozejrzeli się dookoła, zmierzli wzrokiem kaktusy,

wieszak na czapki, kapelusze oraz peruki, zbiór wąsów, wiszący na ścianie ogromny plan miasta i skrzydlatego lwa na biurku, który służył za przycisk do listów.

- Czy mówi pan po angielsku? - całkiem płynnie po włosku zapytała kobieta.

- Oczywiście! - odpowiedział Wiktor, wskazując jednocześnie krzesła przed biurkiem.

- Angielski to mój ojczysty język. W czym mogę państwu pomóc?

Dość niepewnie zajęli miejsca. Mężczyzna z ponurą miną skrzyżował ręce na piersiach, a kobieta dziwnie wpatrywała się w twarz Wiktora.

- Och, to? To mój nowy kamuflaż! - wyjaśnił, odklejając wąsy. - W moim zawodzie to konieczność. Ale czym mogę państwu służyć? Coś państwu skradziono, coś się zgubiło, uciekło?

Kobieta bez słowa sięgnęła do torebki. Wiktor zdążył już zauważyć, że klientka ma popielato-blond włosy i spiczasty nos, a jej usta wyglądają tak, jakby rzadko pojawiał się na nich uśmiech.

Mężczyzna zaś był prawdziwym olbrzymem, przynajmniej o dwie głowy wyższy od Wiktora. Z nosa złuszczała mu się spalona słońcem skóra, a oczy miał małe i bezbarwne. Pewnie też nie ma poczucia humoru, pomyślał Wiktor i zapisał sobie twarze obojga w pamięci. Nie pamiętał zwykle numerów telefonów, ale za to twarze nie zapominał nigdy.

- Coś nam zginęło - powiedziała kobieta i przesunęła w jego kierunku zdjęcie.

Z fotografii spoglądali na niego dwaj chłopcy - mały blondynek, uśmiechnięty od ucha do ucha, i starszy, ciemnowłosy, o poważnym spojrzeniu. Starszy obejmował młodszego ramieniem, jakby chciał go chronić przed całym złem tego świata.

- Dzieci? - Wiktor spojrzał na nich zdziwiony. - Już niejedno musiałem wytropić: bagaże, mężów, psy, zbiegłe jaszczurki, ale jesteście pierwszymi klientami, którzy przychodzą do mnie, ponieważ zgubili dzieci, państwo... - Obrzucił oboje pytającym spojrzeniem.

- Hartliebowie - odpowiedziała kobieta. - Estera i Max Hartliebowie.

- I to nie są nasze dzieci - oświadczył mężczyzna.

Jego spiczastonosą żona rzuciła mu rozgniewane spojrzenie.

- Prosper i Bonifacy są synami mojej zmarłej siostry - wyjaśniła. - Sama wychowywała chłopców. Prosper właśnie skończył dwanaście lat, a Bo ma pięć.

- Prosper i Bonifacy - mruknął Wiktor. - Niecodzienne imiona. Czy Prosper nie znaczy „szczęśliwy”?

Estera Hartlieb zmarszczyła czoło z irytacją.

- Doprawdy? Cóż, delikatnie mówiąc, to dziwaczne imiona.

Ale moja siostra miała skłonności do dziwactw. Gdy trzy miesiące temu nagle zmarła, oboje z mężem natychmiast wystąpiliśmy o prawo do opieki nad Bo, ponieważ sami nie mamy dzieci. Nie mogliśmy jednak wziąć do siebie jego starszego brata. Każdy by to zrozumiał, ale Prosper strasznie się zdenerwował. Zachowywał się jak szalony! Krzyczał, że chcemy mu ukraść brata! A przecież mógłby go odwiedzać raz w miesiącu! - Twarz kobiety stała się jeszcze bledsza.

- I osiem tygodni temu uciekli - podjął Max Hartlieb. - Z domu dziadka w Hamburgu, gdzie tymczasowo mieszkali. Prosper jest zdolny namówić swojego brata do każdego głupstwa i wszystko wskazuje na to, że zaciągnął Bo właśnie tutaj, do Wenecji.

Wiktor z niedowierzaniem uniósł brwi.

- Z Hamburga do Wenecji? To długa droga dla takich małych dzieci. A czy zwrócili się już państwo do tutejszej policji?

- Naturalnie! - Estera Hartlieb aż sapnęła z oburzenia. - Służyli wszystkim, tylko nie pomocą. Nic nie zrobili, a przecież co to za problem odnaleźć dwoje dzieci, które bez matki...

- Ja, niestety, muszę już iść, pilne sprawy zawodowe - przerwał jej mąż. - Dlatego chcielibyśmy zlecić panu, panie Getz, dalsze poszukiwanie chłopców. Portier w naszym hotelu polecił nam pana usługi.

- To miło z jego strony - burknął Wiktor, bawiąc się sztucznymi wąsami, które leżały na biurku, wyglądając niczym zdechła mysz. - Ale skąd mają państwo pewność, że chłopcy przybyli do Wenecji? I po co? Chyba nie po to, żeby przejechać się gondolą...

- To wina ich matki! - Estera Hartlieb zacisnęła usta i zwróciła wzrok w stronę brudnej szyby okiennej. Na poręczy balkonu siedział bez ruchu gołąb, kłębek piór targany wiatrem. - Moja siostra bez przerwy opowiadała chłopcom o tym mieście. Że są tu skrzydlate lwy i kościoły ze złota, że na dachach stoją anioły i smoki, a po schodach przy kanałach wychodzą nocami wodniki, by pospacerować po łądzie. - Estera z oburzeniem pokręciła głową. - Moja siostra umiała opowiadać w taki sposób, że czasami nawet ja byłam gotowa jej uwierzyć. Wenecja, Wenecja, Wenecja! Mały Bo ciągle malował skrzydlate lwy, a Prosper dosłownie chłonał każde słowo matki. Pewnie myślał, że jak tu przyjadą, trafią prosto do krainy baśni! Mój Boże. - Zmarszczyła nos i z pogardą spojrzała w okno, na domy, z których odpadał tynk.

Jej mąż nerwowo poprawił krawat.

- Wiele nas kosztowało, panie Getz, podążanie śladem tych chłopców - powiedział. - A oni są tutaj, zapewniam pana. Gdzieś...

- ...w tym bałaganie - dokończyła Estera Hartlieb.

- Cóż, przynajmniej nie ma tu samochodów, pod które mogliby wpaść - mruknął Wiktor, spoglądając na plan miasta, z całą gmatwaniną uliczek i kanałów. Po chwili znów się odwrócił i w zamyśleniu zaczął nożykiem do papieru kreślić coś na blacie biurka.

Zniecierpliwiony Max Hartlieb odchrząknął.

- Panie Getz, przyjmie pan to zlecenie?

Wiktor raz jeszcze popatrzył na zdjęcie, na dwie tak różne twarze - na poważną minę starszego i beztroski uśmiech młodszego chłopca - i skinął głową.

- Tak, przyjmę - odpowiedział. - Już ja ich odnajdę. Rzeczywiście wyglądają na zbyt młodych, by żyć na własną rękę. Czy państwo też kiedyś w dzieciństwie uciekli z domu?

- O mój Boże, nie! - Estera Hartlieb spojrzała na niego z osłupieniem, a jej mąż tylko pokręcił głową.

- A ja tak. - Wiktor przycisnął zdjęcie chłopców skrzydlatym lwem. - Ale sam. Niestety, nie miałem brata. Ani młodszego, ani starszego... Proszę mi zostawić swój adres i numer telefonu. A teraz przejdźmy do kwestii mojego honorarium.

Gdy Hartliebowie przeciskali się na dół wąskimi schodami, Wiktor wyszedł na balkon. Podmuchał zimny wiatr, który poczuł na twarzy, przywiał zapach morskiej soli. Oparty o porzewiałą balustradę, Wiktor patrzył, jak dwa domy dalej jego klienci wkroczyli na most rozpięty ponad kanałem.

Był to wyjątkowo ładny most, ale oni chyba tego nawet nie dostrzegli. Z pochmurnymi minami przebiegli po nim, nie zwracając też uwagi na zjeżonego psa, który oszczekiwał ich z przepływającej łodzi. Oczywiście nie splunęli też do wody, jak zwykł to zawsze czynić Wiktor.

- No tak, ale kto mówi, że trzeba lubić swoich zleceniodawców! - mruknął i pochylił się nad kartonowym pudłem z dwoma żółwiami, które wyciągały w jego kierunku pomarszczone szyje. - Tacy rodzice są zawsze lepsi niż żadni, prawda? Co o tym myślicie? A tak w ogóle, czy żółwie mają rodziców?

Wiktor ogarnął zamyślnym spojrzeniem kanał i domy, których kamienne podmurówki dzień i noc obmywała woda. Mieszkał już w Wenecji ponad piętnaście lat, ale wciąż jeszcze nie poznał wszystkich zakątków miasta. Nikt ich zresztą nie znał. Nie będzie łatwo znaleźć dwóch chłopców, którzy wcale nie chcą być znalezieni. Tyle dróg, tyle zakamarków, wąskie uliczki, których nazw nikt nie może spamiętać, a często też w ogóle bez nazwy; zabite deskami kościoły, opustoszałe domy. To wszystko wręcz prowokuje do zabawy w chowanego.

Co tam, zawsze chętnie się w to bawiłem, pomyślał Wiktor, i jak dotąd każdego znalazłem. Osiem tygodni już jakoś sobie radzą. Mój Boże. Kiedy on uciekł z domu, wytrzymał tę swoją wolność zaledwie jedno popołudnie. Po zapadnięciu ciemności skruszony, z bijącym sercem powrócił do domu.

Żółwie skubały liść sałaty, który im wrzucił.

- Chyba na noc muszę was wnieść do domu - stwierdził. - Ten wiatr jakoś pachnie zimą.

Lando i Paula spoglądały na niego oczami pozbawionymi rzęs. Czasem mylił je, ale chyba nic sobie z tego nie robiły. Znalazł je na targu, gdzie szukał perskiego kota. Wytworną kocią damę wyłowił z beczki śmierdzących sardynek i natychmiast wsadził do kartonowego pudła, unikając w ten sposób jej ostrych pazurków. I wtedy właśnie zobaczył dwa żółwie, niewzruszenie kroczące pomiędzy stopami ludzi. Dopiero gdy je podniósł, schowały się ze strachu w swoje pancerze.

Gdzie zacząć poszukiwania tych chłopców, zastanawiał się Wiktor. W sierocińcach? Szpitalach? Smutne miejsca, ale chyba mogę sobie to darować. Hartliebowie już pewnie tam sprawdzili.

Wychylił się za balustradę i splunął do ciemnego kanału.

Prosper i Bo. Naprawdę ładne imiona, pomyślał, nawet jeśli trochę dziwne.

TROJE DZIECI

Hartliebowie mieli rację. Prosperowi i Bo rzeczywiście udało się dotrzeć do Wenecji. Jechali i jechali, dnie i noce spędzając w turkoczających pociągach, chowając się przed konduktorami i ciekawskimi starszymi paniami. Zamykali się w cuchnących ubikacjach i spali w ciemnych kątach, przytuleni do siebie, głodni, zmęczeni i przemarznięci, ale jednak udało im się i ciągle byli razem.

W chwili gdy ich ciotka Estera siedziała właśnie przy biurku Wiktora, stali oparci o drzwi wejściowe do pewnego domu, tylko kilka kroków od mostu Rialto. Im też zimny wiatr dmuchał w uszy i szeptał, że to już koniec ciepłych dni. Ale w jednym Estera się myliła. Prosper i Bo wcale nie byli sami. Towarzyszyła im dziewczynka, szczupła, o brązowych włosach, zaplecionych w sięgający jej do pasa, cieniutki jak żądło warkocz. Właśnie jemu zawdzięczała swoje przezwisko - Osa. Na żadne inne imię w ogóle nie reagowała.

Ze zmarszczonym czołem wpatrywała się w pogniecioną kartkę papieru, podczas gdy przepychający się do wyjścia ludzie uderzali ją w plecy wyładowanymi po brzegi torbami.

- Chyba mamy już wszystko - powiedziała cichym, lekko zachrypniętym głosem, który Prosper od razu polubił, nawet gdy jeszcze nie rozumiał ani słowa w tym obcym języku.
- Jeszcze tylko baterie dla Moski. Gdzie możemy je dostać?

Prosper odgarnął włosy z czoła.

- W uliczce z tyłu widziałem sklep elektroniczny - powiedział, nastawiając młodszemu bratu kołnierz kurtki; zauważył, że Bo z zimna aż kuli ramiona. Po chwili przepychali się już przez tłum.

Tego dnia przy Rialto odbywał się targ i w okolicznych zaułkach panował jeszcze większy ruch niż w zwykłe dni. Starzy i młodzi, mężczyźni, kobiety i dzieci, tutejsi mieszkańcy i przyjezdni, przybyli tylko na jeden dzień, przepychali się wśród straganów, objuczeni torbami i siatkami. Pachniało rybami, jesiennymi kwiatami i suszonymi grzybami.

- Osa? - Uśmiechając się przymilnie, Bo złapał ją za rękę. - Kupisz mi ciastko?

Dziewczynka czule uszczypnęła go w policzek, ale przecząco pokręciła głową.

- Nie! - powiedziała zdecydowanie i pociągnęła go dalej.

Sklep elektroniczny, który odkrył Prosper, był malutki. Na wystawie obok ekspresów do kawy i tosterów leżało także kilka zabawek, na których widok Bo przystanął zafascynowany.

- Ale ja jestem głodny! - mruknął i oparł ręce o szybę.

- Ty zawsze jesteś głodny - stwierdził Prosper. Otworzył drzwi i obaj z Bo zatrzymali się przy wejściu, a Osa podeszła do lady.

- Scusi - odezwała się do starszej kobiety, która odwrócona do niej plecami wycierała kurz z radioodbiorników. - Potrzebne mi są baterie. Dwie, do małego radia.

Kobieta zapakowała je do torebki, a potem przesunęła po ladzie w kierunku Osy garść cukierków.

- Jaki słodki chłopczyk - powiedziała, mrugając do Bo. - Jasnowłose aniołek. Czy to twój brat?

- Nie. To moi kuzyni. Są tu tylko z wizytą.

Prosper usiłował zasłonić Bo, ale malec przemknął mu pod ramieniem i zgarnął cukierki z lady.

- Grazie! - podziękował, uśmiechnął się i w podskokach wrócił do brata.

- Un vero angelo! - zachwycała się sprzedawczyni, chowając do kasy pieniądze. - Ale jego matka powinna mu zacerować spodnie i mogłaby już zacząć go cieplej ubierać. Idzie zima. Nie słyszeliście dziś wiatru w kominach?

- Zajmiemy się tym - powiedziała Osa i włożyła baterie do wypchanej torby z zakupami. - Miłego dnia, signora.

- Angelo! - Prosper drwiąco pokręcił głową, znów przepychając się przez tłum. - Powiedz, Bo, dlaczego wszyscy tak rozplywają się nad twoimi włosami i okrągłą buzią?

Ale młodszy brat pokazał mu tylko język, wepchnął kolejnego cukierka do ust i pobiegł dalej w podskokach. Zwinny jak wiewiórka prześlizgiwał się szybko między brzuchami i nogami przechodniów.

- Zwolnij, Bo! - krzyknął za nim zdenerwowany Prosper.

- Zostaw go! - powiedziała ze śmiechem Osa. - Przecież nie zginie. Widzisz? Jest tam, z przodu.

Malec znów wykrzywił się do nich. Usiłował właśnie skakać na jednej nodze dookoła leżącej na ziemi pomarańczy, ale potknął się i przewrócił, wpadając na grupę japońskich turystów.

Przestraszony szybko się podniósł i szeroko uśmiechnął. Dwie kobiety wyciągnęły aparaty fotograficzne, zanim jednak zdążyły mu zrobić zdjęcie, Prosper chwycił brata za kołnierz i niezbyt delikatnie pociągnął za sobą.

- Jak często mam ci mówić, żebyś nie pozwalał się fotografować? - zasyczał.

- No wiem o tym, wiem. - Mały odepchnął jego rękę i przeskoczył nad pustym pudełkiem po zapalkach. - Ale to przecież byli Chińczycy. A ciotka Estera na pewno nie

ogląda zdjęć Chińczyków, prawda? Poza tym już dawno znalazła sobie jakieś inne dziecko. Sam tak powiedziałaś.

Prosper kiwnął głową.

- Tak, tak, masz rację - mruknął, ale jednocześnie rozejrzał się wokół, jakby podejrzewał, że ich ciotka czai się gdzieś w tłumie i tylko czeka, by złapać Bo.

Osa zauważyła spojrzenie Prospera.

- Znowś myślisz o ciotce, tak? - zapytała ściszym głosem mimo że Bo nie mógł ich usłyszeć. - Zapomnij o niej, na pewno już was nie szuka. A jeśli nawet, to nie tutaj.

Prosper wzruszył ramionami, jednocześnie bacznie przyglądając się mijającym ich kobietom.

- Chyba nie - mruknął.

- Na pewno nie - powtórzyła z przekonaniem Osa. - Przestań się wreszcie zamartwiać.

Wiedział, że Osa ma rację, ale nie potrafił przestać się martwić. Jego młodszy brat sypiał spokojnie jak kociak, jemu każdej nocy śniła się Estera. Ponura, zawsze dokądś pędząc z lepkiemi od lakieru włosami ciotka Estera.

- Hej, Prop! - Nagle pojawił się przed nimi Bo trzymając w ręku gruby portfel. - Popatrz, co znalazłem!

Przerażony Prosper wyrwał mu portfel z ręki i pociągnął bita do ciemnego przejścia pod arkadami. Zatrzymał się dopiero za stosem pustych skrzynek po warzywach, gdzie gołębnie wydziobywały resztki jedzenia.

- Skąd to masz?

Nachmurzony Bo wydał wargi i oparł głowę na ramieniu Os.

- Znalazłem! Przecież powiedziałem. Wypadł jednemu łysemu z kieszeni spodni. On nic nie zauważył, no i wtedy go znalazłem. Prosper westchnął. Od kiedy odpowiadał za siebie i Bo, musiał nauczyć się kraść. Najpierw coś do jedzenia, potem tak pieniądze, jednak nienawidził tego. Tak się bał, że trzęsły mu się ręce, ale Bo traktował to jak jakąś ekscytującą grę. Prosper zabronił mu kraść i za każdym razem, gdy tylko go na tym przyłapał, okropnie krzyczał na niego. Nie chciał, by Estera mogła kiedyś powiedzieć, że zrobił ze swojego brata złodzieja.

- Przestań się denerwować, Prop - powiedziała Osa i przytuliła Bo do siebie. - Mówi przecież, że nie ukradł. A właściciela już dawno nie ma. Zobacz lepiej, ile jest w środku.

Prosper z wahaniem otworzył portfel. Ludzie przybywający do księżycowego miasta ciągle coś gubili. Zwykle były to tylko wachlarze albo tanie maski karnawałowe, które sprzedawano na każdym rogu. Ale od czasu do czasu zrywał się pasek jakiegoś aparatu, z

kieszoni czyjejs kurtki wypadał plik banknotów albo właśnie taki gruby portfel. Prosper niecierpliwie sprawdzał przegródki, jednak między pomiętymi paragonami sklepowymi, rachunkami z restauracji i biletami na vaporetto było tylko kilka tysięcy lirowych banknotów.

- Trudno. - Osa nie kryła zawodu. - Nasza kasa jest prawie pusta, ale być może Król Złodziei znów ją napęlni dziś wieczorem.

- Jasne, że tak! - Bo patrzył na Osę, oburzony jej powątpiewaniem. -1 ja kiedyś mu pomogę! Też będę wielkim złodziejem!

Już Scipio mnie nauczy!

- Po moim trupie! - burknął Prosper, pociągając Bo niezbyt delikatnie z powrotem w stronę uliczki.

- Ach, pozwól mu gadać! - szepnęła Osa, podczas gdy Bo maszerował przed nimi z obrażoną miną. - Chyba że naprawdę się boisz, że Scipio mógłby go ze sobą zabrać?

Prosper pokręcił przecząco głową, ale na jego twarzy wciąż malowała się troska. Jakże trudno było uważać na Bo. Odkąd wymknęli się z domu dziadka, przynajmniej trzy razy dziennie zadawał sobie pytanie, czy dobrze zrobił, zabierając młodszego brata. Jak bardzo zmęczony był tamtej nocy malec idący obok niego! Przez całą długą drogę do dworca ani razu nie puścił dłoni starszego brata. Dostać się do Wenecji było łatwiej, niż sądzili, ale zaczęła się właśnie jesień i nie było już tak ciepło i przyjemnie, jak sobie wyobrażali. Gdy wysiedli na dworcu w Wenecji, obaj zbyt lekko ubrani, nieposiadający nic poza plecakiem i małą torbą, powitał ich przejmujący, wilgotny wiatr. Kieszonkowe Prospera szybko się wyczerpało i po drugiej nocy spędzonej na mokrych uliczkach Bo zaczął kaszleć - tak strasznie, że zdesperowany Prosper rozglądał się już za jakimś policjantem. „Scusi - chciał powiedzieć łamanym włoskim - uciekliśmy z domu, ale mój brat jest chory. Czy mógłby pan zadzwonić do mojej ciotki, żeby go zabrała?”.

Tak bardzo był zrozpaczony. Ale wtedy zjawila się Osa.

Zabrała ich do kryjówki, do Riccia i Moski, gdzie dostali suche ubrania i coś ciepłego do zjedzenia. I powiedziała Prosperowi, że już nie muszą kraść ani głodować, bo będzie się nimi opiekował Scipio, Król Złodziei. Tak jak opiekował się Osą i jej przyjaciółmi, Ricciem i Moscą.

- Na pewno już na nas czekają. - Słowa Osy wyrwały Prospera z zamyślenia, tak że przez chwilę nie wiedział, gdzie się znajduje. Na wąskiej uliczce pachniało kawą, ciastem i myszami.

W ich domu pachniało zupełnie inaczej.

- Właśnie. A jeszcze musimy posprzątać - stwierdził Bo. - Scipio nie lubi, jak jest brudno.

- Co ja słyszę! - zadrwił Prosper. - A kto wczoraj przewrócił kubek z brudną wodą?

- A myszom po cichu wyklada ser - zachichotała Osa, aż zdenerwowany Bo dał jej kuksańca w bok. - Król Złodziei niczego tak bardzo nie lubi jak mysich odchodów. Niestety, kryjówka, którą nam załatwił, jest ich pełna, a do tego trudno ją ogrzać.

Może trochę mniej wytworna byłaby bardziej praktyczna, ale Scipio nie chce nawet o tym słyszeć.

- Kryjówka pod Gwiazdami - poprawił ją Bo i pobiegł do przodu. Skręcili właśnie w mniej zatłoczoną uliczkę. - Scipio mówi, że ona się nazywa Kryjówka pod Gwiazdami.

Osa wzniosła oczy do nieba.

- Uważaj, bo niedługo Bo będzie słuchał tylko tego, co mówi Scipio - szepnęła Prosperowi do ucha.

- Co ja mogę na to poradzić? - westchnął Prosper.

Dobrze wiedział, że tylko dzięki Scipiowi nie musieli już sypiać na ulicy, i to teraz, gdy po zachodzie słońca nad kanałami snuła się wilgotna, szara mgła. Dzięki włamaniom Scipia mieli pieniądze i mogli dziś kupić makaron i warzywa. Scipio załatwił też dla Bo ciepłe buty, nieważne, że trochę za duże, i to Scipio dbał o to, by mieli co jeść, a nie musieli kraść. I to on zaofiarował im dom - dom, w którym nie było Estery. Ale Scipio był złodziejem.

Uliczki stawały się coraz węższe i bardziej ciche. Nagle znaleźli się w ukrytym sercu miasta, dokąd rzadko zapuszczali się obcy. Co rusz sprzed ich nóg uciekały koty. Na dachach gruchały gołębie, a pod mostami i mostkami chlupotała woda, liżąc łodzie i drewniane bale. W jej czarnym lustrze odbijały się fasady starych domów. Dzieci coraz głębiej i głębiej zapuszczały się w plątaninę ulic, mijały przytulone do siebie, pochylone budynki, które przypominały jakieś kamienne stwory. Dom, w którym mieli swoją kryjówkę, przywodził na myśl dziecko stojące wśród dorosłych - był niższy od innych, płaski i bez żadnych ozdób.

Okna miał zabite gwoździami, na murach wisiały wyblakłe już plakaty filmowe, a szeroka, pordzewiała roleta zamykała drzwi wejściowe. Nad nimi krzywo zwisały neonowe litery układające się w napis STELLA. Neon opuszczonego kina, które zupełnie nie pasowało do starego miasta, już dawno nie świecił. Ale to tylko cieszyło tych, którzy się teraz w nim ukrywali.

Osa rzuciła baczne spojrzenie najpierw w prawo, potem w lewo, Prosper upewnił się też, czy nikt ich nie obserwuje z okien powyżej, po czym wszyscy troje, po kolei, zniknęli w wąskim korytarzu, który znajdował się tylko kilka kroków od głównego wejścia.

Byli w domu.

Ostrożnie stąpali w dół wąskim przejściem, a wystraszony szczur wodny umknął im spod nóg. Podobnie jak wiele ulic i uliczek w mieście, tak i ta droga prowadziła do kanału, ale Osa, Prosper i Bo doszli tylko do metalowych drzwi tkwiących po prawej stronie w pozbawionym okien murze. Ktoś krzywo wypisał na nich: Yietato l'ingresso - wejście wzbronione. Przed wielu laty było to jedno z wyjść ewakuacyjnych z kina, teraz zaś znajdowała się za nimi kryjówka, o której wiedziało tylko sześcioro dzieci.

Prosper pociągnął dwa razy za sznur dyndający obok drzwi, odczekał moment i pociągnął jeszcze raz. Był to umówiony znak, ale minęła dłuższa chwila, nim usłyszeli trzask odsuwane rygla.

Zniecierpliwiony Bo przestępował z nogi na nogę, ale wreszcie drzwi lekko się uchyliły.

- Hasło? - zapytał podejrzliwy głos.

- Daj spokój, Riccio, przecież wiesz, że nigdy nie możemy go zapamiętać! - szepnął gniewnie Prosper.

A Osa zbliżyła się do szczeliny i syknęła:

- Widzisz te torby, Jeżyku? Targałam je tutaj aż z rynku na Rialto i zaraz ręce zrobią mi się długie jak u goryla, więc może byś w końcu otworzył!

- Dobra, już dobra. Ale pożałujecie, jeśli Bo znów doniesie na mnie Scipiowi jak ostatnio! - powiedział Riccio i z niepewną miną otworzył im drzwi.

Był szczuplejszy i o głowę niższy od Prospera, mimo że niewiele tylko od niego młodszy; przynajmniej tak twierdził. Brązowe włosy sterczały mu na głowie na wszystkie strony, dlatego też otrzymał przydomek Jeż.

- Tych haseł Scipia nie da się zapamiętać! - narzekała Osa, przeciskając się w wąskim korytarzyku. - Przecież dzwonek chyba wystarczy.

- Scipio uważa inaczej. - Riccio dokładnie zasunął rygiel.

- No to powinien wymyślać łatwiejsze hasła. Ciekawe, czy ty pamiętasz to ostatnie?

Riccio podrapał się po głowie.

- Czekaj, Katago dideldum est. Chyba jakoś tak.

Osa wzniosła tylko oczy do góry, a Bo zachichotał.

- Zaczęliśmy już sprzątanie - relacjonował Riccio, oświetlając ciemny korytarz latarką. - Ale za wiele nie zrobiliśmy. Mosca grzebie teraz w tym swoim radiu, a jeszcze godzinę temu staliśmy przed Palazzo Pisani. Nie mam pojęcia, czemu Scipio wybrał sobie akurat ten pałac na włamanie. Prawie co wieczór coś się tam dzieje - imprezy, przyjęcia, dosłownie drzwi się nie zamykają za tymi wszystkimi bogaczami. Jak Scipio zamierza wejść tam niezauważony?

Prosper wzruszył tylko ramionami. Król Złodziei ani razu jeszcze nie wysłał braci na zwiady, mimo że Bo bez przerwy się o to napraszał. Zwykle to Riccio i Mosca wychodzili obserwować pałace, w których Scipio pragnął złożyć nocną wizytę. Nazywał ich swoimi oczami, a Osa miała troszczyć się o to, by pieniądze ze sprzedaży łupu nie znikwały za szybko. Prosper i Bo, najnowsi podopieczni Króla Złodziei, mogli jedynie towarzyszyć tamtym przy upłynnianiu łupów albo robieniu zakupów, jak dziś. Jednakże Bo miał coraz większą chęć zakradać się do tych wspaniałych pałaców i zabierać stamtąd różne piękne przedmioty, jak te, które Król Złodziei przynosił ze swoich wypraw.

- Scipio wszędzie wejdzie - oświadczył zdecydowanie Bo, podskakując obok Riccia. Dwa podskoki na prawej, dwa na lewej nodze. Rzadko posuwał się naprzód inaczej, niż biegnąc albo skacząc. - Ukradł coś z Pałacu Dożów i nikt go nie złapał. To naprawdę Król Złodziei.

- Tak, tak, włamanie do Pałacu Dożów. Jak moglibyśmy zapomnieć! - Osa rzuciła Prosperowi ironiczne spojrzenie. - Nawet wy słyszeliście pewnie tę historię już setki razy, no nie?

Prosper tylko się uśmiechnął.

- A ja mógłbym jej słuchać tysiące razy - stwierdził Riccio, odsuwając ciemną, cuchnącą stęchlizną kurtynę.

Znajdująca się za nią sala kinowa wcale nie była taka stara, a mimo to bardziej zniszczona niż wiele domów w mieście liczących sobie po kilkaset lat. Pod sufitem, z którego kiedyś zwieszały się kryształowe żyrandole, teraz sterczały tylko kikuty kabli.

Nawet w słabym świetle kilku przenośnych lamp, które dzieci podłączyły, można było zauważyć odpadający w wielu miejscach tynk. Rzędy foteli już dawno stąd wywieziono, zostały tylko trzy pierwsze, ale w każdym i tak brakowało kilku składanych siedzeń. W miękkich czerwonych obiciach myszy urządziły sobie gniazda, a ozdobiona gwiazdami kurtyna przeżarta była przez mole. A jednak zachowała swoje piękno. Złote nici tak zachwycająco połyskiwały na niebieskim materiale, że Bo przynajmniej raz dziennie zatrzymywał się, by lekko pogłaskać wyhaftowane gwiazdki.

Na gołej podłodze przed kurtyną klęczał chłopiec majstrujący coś przy starym radiu. Był tak pogrążony w pracy, że nawet nie zauważył skradającego się Bo. Dopiero kiedy malec wskoczył mu na plecy, Mosca drgnął.

- Do diabła, Bo! - krzyknął. - Mało nie skaleczyłem się śrubokrętem!

Ale Bo odbiegł już ze śmiechem. Zwinny jak wiewiórka, wdrapywał się teraz na krzesła.

- Poczekaj, ty mały szcurze wodny! - krzyknął Mosca, próbując mu odciąć drogę. - Jak tylko cię dorwę, to załaskoczę na śmierć!

- Prop, pomocy! - krzyczał Bo, ale Prosper stał z boku, uśmiechając się. Spokojnie patrzył, jak Mosca łapie jego brata i wkłada go sobie pod ramię jak paczkę.

Mosca był z nich wszystkich najwyższy i najsilniejszy i chociaż Bo rzucał się i wyrывał, nie wypuścił go z uścisku, tylko zataszczył do pozostałych i spytał:

- Jak myślicie, powinienem go załaskotać czy pozwolić mu umrzeć z głodu pod moim ramieniem?

- Puszczaj, ty czarna gębo! - wrzeszczał Bo.

Istotnie, skóra Moski była ciemna i Riccio często nawet się śmiał, że w cieniu nikt by go nie zauważył.

- No, dobrze, tym razem daruję ci, krasnalu! - powiedział Mosca. Coraz bardziej zrozpaczony Bo szarpał się desperacko, usiłując wyrwać się z uścisku. - Kupiliście farbę do mojej łódki?

- Nie. Dostaniesz ją, jak Scipio przyniesie nowy łup - oświadczyła Osa, rzucając torby na fotel. - Teraz jest za droga.

- Przecież mamy dość pieniędzy! - Mosca postawił wreszcie Bo na podłodze i gniewnie skrzyżował ramiona. - Co chcesz robić z tą całą kasą?

- Ile razy mam wam tłumaczyć? To oszczędności na czarną godzinę. - Osa przyciągnęła do siebie Bo. - Jak myślisz, dasz radę zanieść zakupy do skrzyni?

Malec skinął głową i śmignął tak szybko, że omal się nie przewrócił. Tataszczył kolejne torby za podwójne drzwi, do holu, w którym kiedyś gromadzili się widzowie, zanim weszli na salę. Ciągle jeszcze stała tam lodówka, oczywiście dawno już nie działała, ale była świetna jako skrzynia na zapasy.

Kiedy Bo dźwigał ciężkie torby, Mosca, zawiedziony odmową Osy, powrócił do swego radia.

- Za droga! - burczał pod nosem. - Jeśli jeszcze dłużej poczekamy z malowaniem, moja łódka spróchnieje! Ale wam jest przecież wszystko jedno, bo wy jesteście szczurami lądowymi i boicie się wody! A na książki Osy zawsze znajdą się pieniądze.

Osa nic nie odpowiedziała. W milczeniu zaczęła zbierać śmieci z podłogi, a Prosper zmiatał mysie odchody. Rzeczywiście, Osa miała wiele książek. Od czasu do czasu kupowała jakąś, ale większość jej zbiorów stanowiły te najtańsze, wyrzucane przez turystów. Znajdowała je w koszach na śmieci i wśród papierzysk, pod siedzeniami vaporetti albo na dworcu. Jej księgozbiór zajmował tyle miejsca, że niemal nie było widać materaca.

Spali wszyscy razem, jedno przy drugim, ponieważ nocą, kiedy zgasili już światła, wielka, pozbawiona okien sala pogrążała się w takich ciemnościach, że czuli się zagubieni i mali jak mrówki. Pomagała tylko bliskość przyjaciół.

Materac Riccia cały był zarzucony starymi, rozlatującymi się komiksami, a śpiwór tak wypchany maskotkami, że chłopiec sam ledwie się jeszcze w nim mieścił. Łóżko Moski można było rozpoznać po wielkiej skrzynce z narzędziami i wędkach, wśród których sypiał. Poza tym pod poduszką skrywał swój największy skarb, swój talizman: miedzianego konika morskiego, który wyglądał dokładnie tak jak koniki zdobiące większość gondoli. Mosca przysięgał, że wcale go nie ukradł z żadnej z nich, tylko wyłowił z kanału obok kina.

- Talizmany, które się ukradło, przynoszą tylko nieszczęście.

Każdy to wie.

Bracia Bo i Prosper spali na jednym materacu, mocno przytuleni do siebie. U wezłowia leżał starannie ułożony zbiór plastikowych wachlarzy Bo: sześć sztuk, różnej wielkości, wszystkie jeszcze w dobrym stanie. Najładniejszy był ten, który Prosper znalazł na dworcu w dniu ich przybycia do Wenecji.

Król Złodziei nie sypiał ze swymi podopiecznymi w Kryjówce pod Gwiazdami. Nie mieli pojęcia, gdzie spędzał noce, ale nigdy o tym nie rozmawiali. Czasem wspominał coś o jakimś starym, zapomnianym kościele, kiedy jednak Riccio usiłował go wyśledzić i został przyłapany, Scipio tak strasznie się rozszłościł, że od tego czasu nie odważyli się nawet patrzeć w jego stronę, kiedy ich opuszczał. Przyzwyczajili się nawet do tego: ich przywódca przychodził i wychodził, kiedy chciał. Czasem odwiedzał ich trzy dni z rzędu, potem zaś nie widzieli go przez tydzień.

Ale dziś miał przyjść. Wyraźnie to zaznaczył. A jeśli Scipio zapowiadał, że przyjdzie, to dotrzymywał słowa. Tyle że nikt nie wiedział, o której godzinie. Gdy Bo już niemal zasypiał na kolanach Prospera, a budzik Riccia wskazywał prawie jedenastą, wśliznęli się pod przykrycia i Osa zaczęła im czytać. Zwykle czytała im do snu, aby odpędzić strach przed

koszmarami, które czyhały na nich w ciemnościach. Ale tego wieczora czytała im, aby nie zasnęli przed przyjściem Scipia. Znalazła w swoich książkach najciekawszą opowieść, pozostali tymczasem zapalali świece wetknięte w puste butelki i ustawione między materacami. Do jedyne go prawdziwego świecznika, jaki posiadali, Riccio włożył pięć całkiem nowych świeczek - długich, wąskich, z bladego wosku.

- Riccio? - zapytała Osa, gdy wszyscy już usiedli, czekając na opowieść. - Skąd masz te świeczki?

Riccio wstydliwie schował twarz między swoje maskotki.

- Z kościoła Salute - mruknął. - Tam leży ich ze sto, a może 1 tysiąc, więc chyba nie się nie stanie, jeśli czasem wezmę sobie kilka. Po co mamy wydawać na nie pieniądze? Ale za każdą świeczkę przesyłam zawsze Marii Pannie całusa. Słowo daję... - uśmiechnął się szeroko do Osy.

Osa z westchnieniem ukryła twarz w dłoniach.

- No, czytaj wreszcie! - ponaglił ją Mosca. - Żaden carabinieri nie aresztuje Riccia za to, że zwinął kilka świeczek, no nie?

- A może tak? - mruknął Bo. Ziewnął i wtulił się w Prospera, który usiłował zacerować jakoś dziury w spodniach brata. - Anioł stróż nie może przecież wtedy Riccia chronić. To znaczy przy wynoszeniu świec z kościoła. Nieee, na pewno nie.

- Co za brednie! Anioł stróż! - Riccio zrobił lekceważącą minę, ale w jego głosie dało się wyczuć niepokój.

Osa czytała im niemal przez godzinę. Za oknem noc stawała się coraz czarniejsza, a wszyscy ci, którzy w ciągu dnia wypełniali miasto gwarem, dawno już leżeli w łóżkach. W pewnym momencie jej też zamknęły się powieki, a książka wypadła z dłoni.

Gdy przyszedł Scipio, wszyscy twardo już spali.

KRÓL ZŁODZIEI

Prosper właściwie nie wiedział, co go zbudziło: mamrotanie Riccia przez sen czy może ciche kroki Scipia. Gdy jednak uniósł głowę znad materaca, z ciemności wyłoniła się drobna postać, zupełnie jakby przyszła z jakiegoś złego snu. Broda i usta jasno odcinały się od czarnej maski, która skrywała resztę twarzy Scipia, a długi i zakrzywiony nos nadawał mu wygląd upiornego ptaka. Podobne maski ponad trzysta lat temu nosili weneccy lekarze, gdy w mieście panowała zaraza. Ptaki Śmierci. Król Złodziei, śmiejąc się cicho, zdjął wreszcie to paskudztwo z twarzy.

- Cześć, Prop - powiedział i oświetlił latarką twarze pozostałych. - Wybacz, że tak późno.

Prosper ostrożnie odsunął rękę Bo i usiadł.

- Jeszcze kiedyś przestraszysz kogoś na śmierć tą swoją maską - powiedział, ścisząc głos. - Jak się tu dostałeś? Tym razem naprawdę zaryglowaliśmy wszystkie wejścia.

Scipio tylko wzruszył ramionami i pogładził się szczupłą dłonią po czarnych jak smoła włosach. Były tak długie, że czasem związywał je w kitkę.

- Wiesz przecież, że jeśli chcę gdzieś wejść, to wchodzę. Jestem Scipio, Król Złodziei.

Mimo że udawał dorosłego, tak naprawdę był niewiele starszy od Prospera i o wiele niższy od Moski, nawet w butach na podwyższonych obcasach, które nosił. Były dla niego wprawdzie o wiele za duże, ale zawsze wypolerowane na wysoki połysk.

I czarne, tak samo jak dziwaczny płaszcz, bez którego nigdy się nie pokazywał, sięgający mu aż do kolan.

- Obudź resztę! - zarządził Scipio rozkazującym tonem, którego Osa tak nie cierpiała. Prosper jednak nie zwracał na to uwagi.

- Mnie już obudziliście! - mruknął Mosca, po czym ziewając, zaczął wygrzebywać się spośród swoich wędek. - Czy ty nigdy nie sypiasz, Królu Złodziei?

Scipio zbył to milczeniem. Podczas gdy Mosca i Prosper budzili pozostałych, przechadzał się po sali kinowej niczym kogut.

- Widzę, że posprzątaście! - krzyknął. - Dobrze. Ostatnio było tu jak w chlewie.

- Cześć, Scip! - Gorączkowo wygrzebując się ze śpiwora, Bo niemal przewrócił się o własne ręce. Potem na bosaka podbiegł do Scipia. Tylko on jeden mógł zwracać się do Króla Złodziei po imieniu, nie narażając się przy tym na jego lodowate spojrzenie. - Co ukradłeś tym razem? - pytał podekscytowany, skacząc obok Scipia jak mały piesek.

Król Złodziei ze śmiechem zdjął czarną torbę przewieszoną przez ramię.

- Czy tym razem dobrze spisaliśmy się na zwiadach? - zapytał Riccio, wygrzebując się spomiędzy swoich pluszaków. - No, proszę, powiedz.

- Niedługo zaczniesz go chyba całować po nogach! - mruknęła Osa tak cicho, że tylko Prosper ją usłyszał. - Ale jeśli o mnie chodzi, wołałabym raczej, żeby Król Złodziei nie wpadał tu tak często w środku nocy. -1 wciągając buty na szczupłe nogi, rzuciła Scipiovi niezbyt przyjazne spojrzenie.

- Musiałem niespodzianie zmienić plany! - oświadczył Scipio, kiedy już wszyscy zebrali się wokół niego, i rzucił Ricciowi zwiniętą gazetę. - Czytaj. Czwarta strona. Na górze.

Podekscytowany Riccio ukląkł na podłodze, przerzucając strony gazety. Mosca i Prosper zaglądali mu przez ramię, a Osa stała nieco na uboczu i bawiła się końcem warkoczyka.

- Spektakularne włamanie do Palazzo Contarini - czytał niepewnie Riccio. - Zrabowano cenną biżuterię oraz wiele dzieł sztuki. Po sprawcach ani śladu! - Podniósł wzrok ze zdziwieniem. - Contarini? Przecież obserwowaliśmy Palazzo Pisani.

Scipio wzruszył ramionami.

- Po prostu zmieniłem zdanie. Palazzo Pisani zostawiłem sobie na później. Przecież nie uciekniesz, no nie? W Palazzo Contarini też było co ukraść - wyjaśnił, machając przed nosem Riccia pełną torbą.

Przez chwilę Scipio rozkoszował się nabożnym podziwem, z jakim na niego patrzyli, po czym usiadł ze skrzyżowanymi nogami na podłodze przed gwiazdzistą kurtyną i jednym ruchem wysypał zawartość torby.

- Biżuteria jest już sprzedana - poinformował, podczas gdy tamci przyglądali mu się z niedowierzaniem. - Musiałem uregulować długi, no i potrzebowałem też pewnych narzędzi, ale to tutaj jest dla was.

Na świeżo zamiecionej podłodze rozbłysły srebrne łyżeczki, medalion, lupa z rączką obrazującą pokrytego srebrnymi łuskami węża i złote szczypce wysadzone maleńkimi kamyczkami, z uchwytem w kształcie róży.

Z szeroko otwartymi oczami Bo pochylił się nad lupem Scipia. Ostrożnie, jakby te kosztowności mogły się rozkruszyć w jego palcach, brał każdą błyskotkę po kolei, dotykał jej i z powrotem odkładał.

- To wszystko jest prawdziwe? - spytał, patrząc z zachwytem na Scipia.

Ten potaknął ze śmiechem, potem, wyraźnie zadowolony z samego siebie i ze świata, położył się na boku.

-1 co powiecie? Jestem Królem Złodziei?

Riccio, nie mogąc wykrztusić słowa, kiwnął tylko głową i nawet Osa nie potrafiła ukryć, że zrobiło to na niej wrażenie.

- Człowieku, zobaczysz, że cię kiedyś złapią - mruknął Mosca, podziwiając łupę z wężem.

- Gadanie! - Scipio przewrócił się na plecy, wbijając wzrok w sufit. - Choć muszę przyznać, że tym razem niewiele brakowało.

Alarm wcale nie był tak stary, jak myślałem, a kiedy brałem medalion z nocnego stolika, obudziła się gospodyni. Ale zanim wygramoliła się z łóżka, ja byłem już na dachu sąsiedniego domu. - Mrugnął porozumiewawczo do Bo. Chłopczyk, oparty o jego kolano, z niekłamanym podziwem przysłuchiwał się opowieści Scipia.

- Do czego to jest? - zapytała Osa, podnosząc szczypce. - Czy tym się wrywa włosy z nosa?

- Na Boga, nie! - Scipio wyprostował się i gniewnie wyrwał jej szczypce z rąk. - To szczypce do cukru.

- A skąd ty niby to wszystko wiesz? - Riccio patrzył na niego z mieszaniną podziwu i zazdrości. - Przecież chowałeś się w sierocińcu tak jak ja, a nam zakonnice nie opowiadały o szczypcach do cukru i podobnych rzeczach.

- Cóż, minęło już trochę czasu, odkąd stamtąd uciekłem. - Scipio otrzepał kurz z czarnego płaszcza. - Poza tym w przeciwieństwie do ciebie nie siedzę całymi dniami z nosem w komiksach...

Riccio, wyraźnie zawstydzony, wlepił wzrok w podłogę.

- Ja czytam nie tylko komiksy! - odezwała się Osa, kładąc Ricciowi dłoń na ramieniu. - A mimo to nigdy nie słyszałam o szczypcach do cukru. Ale nawet gdybym słyszała, nie puszyłabym się z tego powodu jak paw!

Scipio odchrząknął, unikając jej wzroku. Po chwili mruknął:

- Nie miałem nic złego na myśli, Riccio. Naprawdę. Można przeżyć całe życie, nie wiedząc, co to są szczypce do cukru. Ale mówię wam, ten drobiazg jest wiele wart. Dlatego tym razem postarajcie się wytargować u Barbarossy lepszą cenę za wszystko, dobra?

- Niby jak? - Mosca rzucił pozostałym bezradne spojrzenie. - Ostatnio naprawdę się staraliśmy, ale tłuścioch jest po prostu sprytniejszy.

Z poczuciem winy wpatrywali się w Scipia. Odkąd stał się ich przywódcą i opiekunem, wziął na siebie kradzieże, a do nich należało tylko spieniężenie łupu. Scipio powiedział im co prawda, do kogo mają pójść, ale targowanie się było już ich sprawą. Jediną osobą w mieście, gotową robić interesy z bandą dzieciaków, był Ernesto Barbarossa, gruby

Rudobrody, który w swoim antykwariacie sprzedawał tani kicz turystom, a oprócz tego na zapleczu zajmował się obrotem towarami kosztowniejszymi i najczęściej kradzionymi.

- My tego nie umiemy! - ciągnął Mosca. - Sprzedawać, targować się i w ogóle. I jeśli chcecie znać moje zdanie, on to bezwstydnie wykorzystuje.

Scipio zmarszczył czoło i w zamyśleniu bawił się paskiem od pustej już torby.

- Prop umie się targować - wtrącił się nagle Bo. - I to jak!

Kiedyś, jak sprzedawaliśmy coś na pchlim targu, miał taką kamienną twarz, że...

- Siedź cicho, Bo! - przerwał bratu Prosper. Jego uszy przypominały kolorem ugotowanego raka. - Sprzedawać stare zabawki to przecież co innego niż takie rzeczy... - Nerwowo wyjął z dłoni Bo mały medalion.

- Dlaczego niby co innego? - Scipio przyglądał się Prosperowi tak, jakby chciał wyczytać z jego twarzy, czy Bo ma rację, czy nie.

- Jeśli o mnie chodzi, nie mam nic przeciwko temu, żebyś to przejął, Prop - powiedział Mosca.

- Ja też jestem za tym. - Osa aż się wzdrygnęła. - Niedobrze mi, kiedy Rudobrody gapi się na mnie tymi swoimi świńskimi oczkami. Ciągłe mi się wydaje, że zaraz nas wyśmiejże albo wezwie policję, albo zrobi coś jeszcze gorszego. Za każdym razem nie mogę się wprost doczekać, kiedy wreszcie wyjdziemy z jego sklepu.

Prosper z zakłopotaniem podrapał się za uchem.

- No, dobrze, jeśli chcecie - mruknął. - Rzeczywiście, umiem się targować. Ale ten Barbarossa to przebiegła sztuka. Byłem tam ostatnio, kiedy Mosca chciał mu coś sprzedać...

- Więc spróbuj. - Scipio poderwał się i przerzucił pustą torbę przez ramię. - Muszę lecieć. Mam jeszcze dziś w nocy spotkanie.

A jutro znów przyjdę. Gdzieś tak... - naciągnął maskę na oczy -

...późnym popołudniem. Chcę wiedzieć, ile wam Rudobrody zapłaci. Jeśli mniej niż...
- zastanawiał się chwilę, spoglądając na łup - więc, jeśli mniej niż dwieście tysięcy lirów, to zabierajcie wszystko z powrotem.

- Dwieście tysięcy? - Riccio aż otworzył usta z przejęcia.

- Te przedmioty są z pewnością o wiele więcej warte - mruknął Prosper.

Scipio spojrzał na niego.

- Z pewnością - rzucił przez ramię. Z tym długim ptasim dziobem wyglądał jakoś obco i strasznie, a do tego światło lamp ulicznych rzucało na ścianę jego wyolbrzymiony cień. - No, to na razie - powiedział. Ale nim zniknął za cuchnącą stęchlizną kurtyną, zapytał: - Potrzebujemy nowego hasła?

- Nie! - Odzew był szybki i jednogłośny.

- Dobrze. Aha, słuchaj, Bo... - Scipio odwrócił się jeszcze. - Tam, za kurtyną, stoi karton. Są w nim dla ciebie dwa małe kotki. Ktoś chciał je utopić w kanale. Zaopiekuj się nimi, zgoda?

No, dobranoc.

Sklep, w którym spora już część łupów Króla Złodziei zamieniła się w żywą gotówkę, znajdował się w uliczce niedaleko Bazyliki Świętego Marka, zaraz obok cukierni, gdzie za szybą piętrzyły się najróżniejsze pyszności.

- No, chodź już! - powiedział niecierpliwie Prosper do Riccia, który rozpląszczył nos na szybie sklepowej, czując, że aż kręci mu się w głowie od zapachu migdałów.

W sklepie Barbarossy nie pachniało nawet w połowie tak ładnie. Z zewnątrz nie różnił się on wcale od innych sklepów handlujących starzyzną, których pełno było w Wenecji. Na szybie wystawowej widniał ozdobiony w różne esy-floresy napis: Ernesto Barbarossa, Ricordi di Yenezia. Za szybą, na wytartym aksamicie, królowały wazy i imponujące świeczniki otoczone gondolami i owadami ze szkła. Cieniutka porcelana walczyła o miejsce ze stosami starych książek, obrazy w zaśnieżonych srebrnych ramach stały obok masek z papieru. U Barbarossy każdy mógł znaleźć wszystko, czego dusza zapagnie, a to, czego nie było na półkach, Rudobrody po prostu załatwiał. W razie potrzeby - również w podejrzany sposób.

Gdy Prosper otworzył drzwi, nad głową zabrzmiały mu dziesiątki szklanych dzwonek. Między zapełnionymi regałami tłoczyli się turyści, rozmawiając tak cicho, jakby znajdowali się co najmniej w kościele. Być może sprawiały to żyrandole, zwisające z ciemnego sufitu i pobrzękujące kolorowymi kwiatkami ze szkła, albo świece palące się w ciężkich świecznikach, pomimo że na zewnątrz świeciło słońce. Prosper i Riccio ze spuszczonej głowami przepchnęli się przez tłum klientów. Jeden z nich trzymał właśnie małą rzeźbę, którą Riccio sprzedał Rudobrodemu dwa tygodnie temu. Kiedy Prosper zobaczył cenę przyklejoną na cokoliku, z wrażenia o mało nie przewrócił wielkiej gipsowej figury stojącej na środku sklepu.

- Pamiętasz, ile Barbarossa zapłacił ci za tamtą figurkę? - szepnął do Riccia.

- Nie. Wiesz, że nie mam pamięci do liczb.

- To nic, ale i tak można dopisać do tej liczby jeszcze dwa zera. Barbarossa zrobił niezły interes, nie uważasz?

Podszedł do lady i nacisnął dzwonek stojący obok kasy. Riccio tymczasem robił głupie miny do kobiety w weneckiej masce, uśmiechającej się do nich z jednego z obrazów.

Za każdym razem pozwalał sobie na tę przyjemność, ponieważ wiedział, że w czarnej masce kobiety znajduje się wizjer, przez który Barbarossa podgląda, czy klienci przypadkiem go nie okradają.

Minęło zaledwie kilka sekund, po czym rozległ się lekki brzęk koralikowej zasłony i za ladą pojawił się Ernesto Barbarossa we własnej osobie. Rudobrody był tak gruby, że Prosper zawsze się zastanawiał, jak udaje mu się poruszać po sklepie z taką zręcznością.

- Mam nadzieję, że tym razem przynieśliście mi coś lepszego niż ostatnio! - burknął do nich szeptem.

Nie mogli nie zauważyć, jak łakomym spojrzeniem lustruje torbę, którą Prosper przyciskał do piersi.

- Myślę, że będzie pan zadowolony! - odparł Prosper.

Riccio nie odzywał się ani słowem, tylko patrzył na rudą brodę Barbarossy takim wzrokiem, jakby spodziewał się, że zaraz coś z niej wylezie.

- Co się tak gapisz, ty fretko? - warknął Rudobrody.

- Ach, ja, ja... - Riccio zaczął się jękać - zastanawiałem się tylko, czy pana broda jest prawdziwa. To znaczy, czy naprawdę jest ruda.

- Oczywiście! Może uważasz, że ją farbuję? - rozżłościł się Barbarossa. - Ale wy, dzieciaki, macie pomysły. - Poglądził brodę grubymi, upierścienionymi paluchami i dyskretnie wskazał wzrokiem na turystów, którzy wciąż cicho rozmawiali między sobą, oglądając eksponaty na regałach. - Załatwię ich tak szybko, jak się da - szepnął. - Idźcie do mojego biura, tylko niczego nie ruszajcie, rozumiano?

Prosper i Riccio kiwnęli głowami i zniknęli za zasłoną.

Biuro Barbarossy w niczym nie przypominało jego sklepu. Nie było tu żadnych żyrandoli, palących się świec ani szklanych chrabąszczy. Pozbawione okien pomieszczenie rozświetlała zaledwie jedna jarzeniówka, a poza wielkim biurkiem i ogromnym skórzanym fotelem stały tylko dwa krzesła i wysokie aż do sufitu regały z pieczołowicie opisanymi pudłami. Na nagiej białej ścianie wisiał plakat Gallerie dell' Accademia, muzeum sztuki.

Pod umieszczonym wysoko na ścianie wizjerem stała wyściełana ławeczka. Riccio natychmiast wspiął się na nią i zajrzał do sklepu.

- Musisz to zobaczyć, Prop! - szepnął. - Rudobrody skacze wokół tych turystów jak tłusty kocur! Nie wydaje mi się, żeby ktoś mógł wyjść z tego sklepu, nie kupując czegoś.

- Tak, i to z pewnością nieźle przeplacając.

Prosper położył torbę z łupem Scipia na krzesło i rozejrzał się.

- Na pewno ją farbuje - mruknął Riccio, nie odrywając oka od wizjera. - Założyłem się z Osą o trzy komiksy. - Głowa Barbarossy była łysa i biała jak kula śniegowa, za to jego broda gęsta i kręcona. Do tego ruda jak lisie futro. - Myślę, że za tamtymi drzwiami jest łazienka. Zobacz, może stoi tam jakaś farba do włosów?

- Jeśli tak ci zależy. - Prosper podszedł do wąskich drzwi, znad których uśmiechała się do nich Matka Boska, i zajrzał do środka. - Człowieku, tu jest tyle marmuru co w Pałacu Dożów.

Najbardziej odjazdowa łazienka, jaką widziałem.

Riccio znów popatrzył przez wizjer.

- Prosper, wyłaź! - zawołał półgłosem. - Rudobrody już zamyka za nimi drzwi!

Ale Prosper nie wychodził.

- Farbuje ją, Riccio! - krzyknął po chwili. - Butelka stoi tuż obok jego cuchnącej wody po goleniu! Fuj, ale śmierdzi! Mam ufarbować na dowód kawałek papieru?

- Nie! Masz wyłazić! - Riccio zeskoczył z ławki. - Szybko, on wraca, do diabła!

Kiedy zabręczczała koralikowa zasłona, Prosper i Riccio siedzieli już z niewinnymi minami na krzesłach przed biurkiem Ernesta Barbarossy.

- Odliczę wam dziś za szklanego chrabąszcza - oświadczył Rudobrody, opadając na swój obszerny fotel. - Twój młodszy brat - spojrzał karcąco na Prospera - ostatnio stłukł mi jednego.

- Nie stłukł - zaprotestował Prosper.

- No, chyba wiem lepiej - odparł Barbarossa, nie patrząc na niego i wyjmując z szuflady okulary. - A więc, co możecie mi zaproponować? Mam nadzieję, że nie tylko tandetne złoto i liche srebrne łyżki?

Zachowując kamienną twarz, Prosper wyłożył zawartość torby na biurko. Barbarossa pochylił się, lepkimi palcami uniósł najpierw szczypcę do cukru, potem medalion, wreszcie lupę. Obracał je na wszystkie strony, a chłopcy nie spuszczaali z niego wzroku. Nie drgnął mu ani jeden mięsień twarzy, kiedy tak podnosił, odkładał i znów podnosił kolejne przedmioty, przypatrywał im się po kilka razy, aż Prosper i Riccio niecierpliwie zaczęli szurać nogami. Wreszcie Barbarossa z ciężkim westchnieniem rozparł się w fotelu, zdjął z nosa okulary i pogładził się po brodzie tak, jakby głaskał futro jakiegoś zwierzęcia.

- Propozycja czy żądanie? - zapytał.

Prosper i Riccio wymienili szybkie spojrzenia.

- Propozycja... - powiedział Prosper, robiąc taką minę, jakby doskonale zdawał sobie sprawę, ile tym razem jest wart łup Scipia.

- Propozycja - powtórzył Barbarossa, składając ręce i zamykając na moment oczy. - No dobrze, przynajmniej, że tym razem widzę tu jedną czy dwie dość ładne rzeczy i dlatego proponuję wam... - otworzył oczy - sto tysięcy lirów. Tylko dlatego, że was lubię.

Riccio z wrażenia wstrzymał oddech. Już widział przed sobą te wszystkie ciastka, jakie można kupić za sto tysięcy lirów. Góry ciastek. Ale Prosper pokręcił głową.

- Nie - powiedział, patrząc Rudobrodemu prosto w oczy. - Pięćset tysięcy albo nie ma o czym gadać.

Na moment Barbarossę dosłownie zatkało, ale szybko przyszedł do siebie i udało mu się wyczarować na okrągłej jak księżyc twarzy wyraz prawdziwego wzburzenia.

- Czyś ty oszalał, chłopcze? - ryknął. - Ja wam tu robię taką hojną propozycję, nawet zbyt hojną, a ty stawiasz jakieś całkiem niedorzeczne żądania?! Przekażcie Królowi Złodziei, że jeśli nadal chce robić interesy z Ernestem Barbarossa, niech mi nie przysyła takich bezczelnych smarkaczy!

Riccio schował głowę w ramiona i rzucił Prosperowi zaniepokojone spojrzenie, ale ten bez słowa wstał, otworzył torbę i zaczął z powrotem wkładać do niej po kolei wszystkie drobiazgi.

Barbarossa nawet nie drgnął, ale kiedy Prosper sięgnął po szczypcę do cukru, złapał go gwałtownie za rękę.

- Koniec z tymi gierkami! - warknął. - Sprytna z ciebie sztuka. Trochę za sprytna, jak na mój gust. Ale ja i Król Złodziei tyle razy robiliśmy już ze sobą dobre interesy, że zapłacę wam czterysta tysięcy lirów, chociaż większość tego, co tu macie, to zwykły szmelc. Ale szczypcę mi się podobają. Powiedzcie Królowi Złodziei, żeby częściej przysyłał mi coś w tym rodzaju, wtedy pozostaniemy w kontakcie, nawet jeśli ma tak bezczelnych pośredników jak wy dwaj. - Mówiąc to, obrzucił Prospera spojrzeniem, w którym mieszały się złość i respekt. - Aha, jeszcze jedno. - Odchrząknął. - Spytajcie Króla Złodziei, czy nie przyjąłby pewnego zlecenia...

- Zlecenia? - Chłopcy spojrzeli po sobie.

- Mój ważny klient... - Barbarossa zaczął składać leżące na biurku papiery - poszukuje kogoś utalentowanego, kto mógłby mu, powiedzmy... załatwić coś, na czym mu bardzo zależy. Z tego, co zrozumiałem, to coś znajduje się tu, w Wenecji. Dla kogoś, kto sam siebie nazywa... - Barbarossa zaśmiał się ironicznie - Królem Złodziei, to pewnie dziecinada. Nieprawdaż?

Prosper nie odpowiedział. Rudobrody nigdy nie widział Scipia i z pewnością był pewien, że jest to ktoś dorosły. Nie miał zielonego pojęcia, że Król Złodziei był w tym samym wieku co jego posłańcy. Ale Riccio nie wydawał się ani trochę zaniepokojony.

- Jasne, że go spytamy - odparł.

- Wspaniale. - Zadowolony z siebie Barbarossa na powrót rozparł się w fotelu. W dłoni trzymał szczypcę do cukru i niemal z czułością gładził grubymi paluchami delikatnie wygięte krawędzie. - Jeśli zgodzi się przyjąć zlecenie, niech mi da znać przez kogoś z was, a ja zajmę się wtedy ustaleniem spotkania z moim klientem. Co się tyczy zapłaty... - Barbarossa poufale ściszył głos - klient zapewnił mnie, że ma być hojna.

- Jak powiedział już Riccio, powtórzmy - przerwał mu Prosper. - Ale teraz chcielibyśmy dostać nasze pieniądze.

Barbarossa wybuchnął tak głośnym śmiechem, że Riccio aż się wzdrygnął.

- Tak, tak, dostaniesz swoje pieniądze! - wysapał i wygramolił się z fotela. - Nie martw się. Ale teraz wynocha. Nie zamierzam otwierać sejfu, kiedy wy, małe złodziejzki, będziecie mi patrzeć na ręce.

- Jak myślisz, Scipio przyjmie to zlecenie? - szepnął Riccio oparty o ladę, kiedy czekali na Barbarossę w sklepie.

- Najlepiej będzie, jeśli nic mu nie powiemy - stwierdził Prosper, przyglądając się obrazowi kobiety w masce.

- A niby czemu?

Prosper wzruszył ramionami.

- Sam nie wiem. Mam jakieś dziwne przeczucie. Nie ufam Rudobrodemu.

W tym momencie znów zabrzączała koralikowa zasłona.

- Macie - rzekł Barbarossa, wręczając im gruby plik banknotów. - Tylko nie dajcie się okraść gdzieś po drodze. Sami przecież wiecie, że złodzieje jak muchy ciągną do frajerów z aparatami fotograficznymi i wypchanymi portfelami.

Chłopcy nie przejmowali się jego ironicznym uśmiechem.

Prosper wziął pieniądze, spoglądając na nie trochę niepewnie.

- Chcesz przeliczyć? - zapytał Barbarossa, jakby odgadując jego myśli. - Wszystko się zgadza. Odjąłem tylko za tego szklanego chrabąszcza, którego zbił twój brat. Musisz tu pokwitować.

Potrafisz chyba pisać, co?

Prosper rzucił mu gniewne spojrzenie i na bloczku, który podsunął mu Rudobrody, nabazgrał swoje imię. Chwilę zawahał się przy nazwisku, po czym wpisał fałszywe.

- Prosper - mruknął Rudobrody. - Nie jesteś z Wenecji, co?

- Nie. - Prosper przerzucił pustą torbę przez ramię i ruszył w kierunku drzwi. - Chodź, Riccio.

- Dajcie mi jak najszybciej znać w sprawie zlecenia! - krzyknął za nimi Barbarossa.

- Dobra - odpowiedział Prosper, choć już postanowił, że o całej tej sprawie nie piśnie Scipiovi ani słowa.

FATALNY PRZYPADEK

Gdy tylko wyszli ze sklepu Barbarossy, Riccio natychmiast ruszył w stronę cukierni. Zanim Prosper zdążył choćby słowem zaprotestować, już stali przed pasticceria, której wypieki Riccio wcześniej oglądał z takim rozmarzeniem. I co najważniejsze, udało mu się przekonać Prospera do wyjęcia jednego czy dwóch banknotów z paczki od Barbarossy i kupienia pudełka ciasteczek dla wszystkich, aby uczcić ten dzień.

Za każdym razem Prosper dziwił się, jak starannie cukiernicy w Wenecji pakują ciastka. Nie sprzedawali ich w zwyczajnych torebkach, ale w prześlicznych pudełkach obwiązanych kolorową wstążką. Na Ricciu nie zrobiło to jednak najmniejszego wrażenia. Ledwie wyszli na ulicę, a już drżąc ze zniecierpliwienia, wyjął scyzoryk i przeciął wstążkę.

- Co robisz? - zaprotestował Prosper, odbierając mu pudełko. - Myślałem, że to dla wszystkich.

- Co tam, dla nich też wystarczy. - Riccio pożądliwie zajrzał pod przykrywkę. - Poza tym zasłużyliśmy na nagrodę. O Boże, jeszcze nigdy żadnemu z nas nie udało się wydębić od Rudobrodego choćby o lira więcej, niż chciał nam zapłacić. A ty wyrwałeś cztery razy tyle! Nawet ja umiem to policzyć. Scipio już nigdy nie wysłał nikogo innego z łupem.

- Ach, te rzeczy były na pewno jeszcze więcej warte.

Prosper wziął ciastko, które było tak grubo pokryte cukrem pudrem, że już przy pierwszym kęsie zasypał sobie na białą całą kurtkę. A Riccio miał po chwili cały nos umorusany polewą czekoladową.

- W każdym razie będziemy wiedzieli, co zrobić z tymi pieniędzmi - ciągnął Prosper. - Mamy znów mnóstwo kasy i możemy kupić rzeczy, których tak potrzebujemy, bo przecież idzie zima. Osa i Bo nie mają ciepłych kurtek, a twoje buty wyglądają, jakbyś je wyłowił z kanału.

Riccio zlizął czekoladę z czubka nosa i spojrzał na swoje znoszone trampki.

- Nie, są jeszcze w porządku - stwierdził. - Ale może kupilibyśmy jakiś zupełnie małusieńki telewizorek. Mosca na pewno by go podłączył.

- Chyba żartujesz.

Prosper zatrzymał się przed sklepem z gazetami, pocztówkami i zabawkami. Pomyślał o braciszku. Kiedy ucieka się z domu, nie zabiera się zabawek, dlatego Bo nie miał nawet jednej maskotki. No, poza sfatygowanym, wyliniałym lwem, którego podarował mu Riccio.

- Może byś mu kupić tamtych Indian? - Riccio oparł lepką od czekolady buzię na ramieniu Prospera. - Pasowaliby do kowbojów z korka, które zrobiła mu Osa.

Prosper zmarszczył czoło, dotykając banknotów w kieszeni kurtki.

- Nie - powiedział zdecydowanie. Wcisnął Ricciowi pudełko z ciastkami i poszedł dalej. - Potrzebujemy tych pieniędzy na inne rzeczy.

Riccio z westchnieniem ruszył za nim.

- Wiesz co? - odezwał się. - Jeśli Scipio nie weźmie tego zlecenia, o którym mówił Rudobrody, ja się tym zajmę. Słyszałeś przecież, co grubas powiedział o zapłacie. A ja też jestem całkiem niezłym złodziejem, chociaż ostatnio trochę wyszedłem z wprawy. I oczywiście forszą bym się z wami podzielił. Dla Bo kupiłbym tych Indian, Osa dostałaby nowe książki, Mosca tę przeklętą farbę do swojej łodzi, a ty... - Z zaciekawieniem spojrzał na Prospera. - Czego ty właściwie byś chciał?

- Ja niczego nie potrzebuję. - Prosper wtulił głowę w ramiona i niepewnie się rozejrzał, jakby zimny wiatr uderzył go nagle w kark. - Przestań gadać o kradzieżach. Zapomniałeś już, jak to było, kiedy cię złapali ostatnim razem?

- Pamiętam, pamiętam - mruknął Riccio, oglądając się za jakąś kobietą, w której uszach pyszniły się ogromne kolczyki z perłami. Ale tak naprawdę wolałby o tym zapomnieć.

- Dlatego też nawet słowem nie wspomnisz Scipiovi o zleceniu! - powiedział kategorycznie Prosper. - Rozumiesz?

Riccio gwałtownie się zatrzymał.

- Bzdura. Nie wiem, o co ci chodzi! Jasne, że mu powiem! Dlaczego to ma być bardziej niebezpieczne od włamania do Pałacu Dożów? - Ściszył nieco głos, bo dostrzegł zaciekawione spojrzenie mijającej ich właśnie pary. - Albo do Palazzo Contarini!

Prosper pokręcił tylko głową i ruszył dalej. Sam nie wiedział, dlaczego nie podobała mu się propozycja Barbarossy. Być może obawiał się, że Scipio staje się coraz bardziej lekkomyślny? Zamyślony, ominął dwie wydzierające się na siebie na środku ulicy kobiety i wpadł na niskiego, krępego mężczyznę, który wychodził właśnie z baru, trzymając w dłoni kawałek pizzy. Na ogromnych, czarnych wąsach, całkiem jak u suma, przykleiła mu się nitka sera. Oburzony mężczyzna odwrócił się i wytrzeszczył oczy, jakby ujrzał ducha.

- Scusi - mruknął Prosper i zanurkował głębiej w gęsty tłum, w którym tak łatwo można stać się niewidocznym.

- Hej, co tak pędzisz? - Riccio schwycił go za kurtkę. Pod pachą trzymał prawie puste już pudełko z ciastkami.

Prosper rozejrzał się.

- Taki jeden dziwnie się na mnie gapił. - Z niepokojem spoglądał na kłębiących się wokół ludzi, ale mężczyzny z sumiastymi wąsami nie było nigdzie widać.

- Gapił się? - Riccio wzruszył ramionami. - No i co? Wydawał ci się znajomy?

Prosper przecząco pokręcił głową, ale na wszelki wypadek jeszcze raz się rozejrzył.

Kilkoro dzieciaków w wieku szkolnym, starszy mężczyzna, trzy kobiety z koszami pełnymi zakupów, grupka zakonnice...

Złapał Riccia za ramię i pociągnął za sobą.

- Co jest? - Riccio ze strachu omal nie upuścił pudełka.

- Ten facet nas śledzi. - Prosper szedł szybciej, coraz szybciej, ściskając w kieszeni pieniądze od Barbarossy, żeby tylko mu nie wypadły.

- O czym ty mówisz? - Riccio z trudem za nim nadażał.

- On nas ściga! Usiłował się ukryć, ale go zauważyłem.

Riccio odwrócił się w poszukiwaniu domniemanego prześladowcy, ale zobaczył jedynie obojętne twarze przechodniów zapatrzonych w wystawy i dzieciaki przepychające się ze śmiechem.

- Prop, to kompletna bzdura! - Dopędził Prospera i zastąpił mu drogę. - Uspokój się, dobrze? Widzisz jakieś duchy.

Prosper popatrzył na niego bez słowa, po czym syknął:

- Chodź! - I pociągnął Riccia w uliczkę, która była tak wąska, że Barbarossa pewnie by w niej utknął. Wiatr wiał im prosto w twarz, jakby tu, w ciemnym zaułku, miał swój dom. Riccio wiedział, dokąd prowadziło to mało przyjazne przejście: na ukryte podwórze, a stamtąd w labirynt uliczek, w którym nawet rodowity weneccjanin mógłby stracić orientację. Doskonale miejsce, aby kogoś zgubić. Nagle jednak Prosper się zatrzymał i przywarł do muru, patrząc uważnie na przechodzących ludzi.

- Co tym razem? - Riccio oparł się obok niego i naciągnął rękawy swetra na zmarznięte palce.

- Pokażę ci go, kiedy będzie przechodził.

- I co potem?

- Jak nas zobaczy, wiejemy.

- Superplan! - mruknął Riccio i nerwowo wsunął język w szczyrbę między przednimi zębami. Przypomniawszy sobie, że ząb, którego tam brakowało, stracił właśnie podczas pewnej ucieczki.

- Znikajmy stąd - wyszeptał do Prospera. - Wszyscy już na nas czekają.

Ale Prosper nawet nie drgnął.

Najpierw kryjówkę minęły dzieciaki, potem przeszły zakonnice w czarnych habitach, a wreszcie zjawiał się mężczyzna: niski i krępy, o dużych stopach i wąsach przypominających wąsiska suma. Rozejrzał się, jakby czegoś lub kogoś szukał, stanął na palcach, wyciągnął szyję i zaklął.

Chłopcy wstrzymali oddech. Po chwili nieznajomy poszedł dalej.

- Znam tego gościa! - wysapał Riccio. - Lepiej spadajmy, zanim znów się pojawi!

Prosper z bijącym sercem ruszył za przyjacielem, nasłuchując własnych kroków, które odbijały się zdradzieckim echem. Biegli w dół wąską uliczką, potem przez otoczony domami plac, przez jakiś most, a potem znów uliczką w dół. Prosper nie wiedział już, gdzie się znajdują, ale Riccio uparcie biegł przodem, jakby znał na pamięć płataninę uliczek i mostów. I wreszcie znaleźli się przy oblanym słońcem Canal Grandę. Na brzegu stali ludzie, a na lśniącej wodzie unosiły się łódki.

Riccio pociągnął Prospera na przystanek vaporetto, gdzie skryli się wśród tłumu osób czekających na następną łódź. Vaporetto to pływające tramwaje Wenecji, które wożą mieszkańców do pracy, a turystów z jednego muzeum do drugiego, kiedy od chodzenia rozbolą ich nogi.

Prosper bacznie rozglądał się dokoła, ale po prześladowcy nie było ani śladu. Kiedy w końcu vaporetto przyplłynęło, weszli wraz z całym tłumem na pokład. Jednak gdy inni podróżni przepychali się w poszukiwaniu kilku wolnych miejsc na zadaszanej części łodzi, Prosper i Riccio stali oparci o reling, nie spuszczać z oka brzegu.

- Nie mamy biletów - szepnął zaniepokojony Prosper, kiedy pełna pasażerów łódź odbiła.

- To nic - odszepnął Riccio. - I tak wysiadamy na pierwszym przystanku. Ale patrz, kto tam stoi. - Wskazał na nabrzeże, które właśnie zostawili za sobą. - Widzisz go?

O tak, Prosper widział go doskonale. Facet z sumiastymi wąsami. Stał, obserwując oddalającą się łódź. Riccio dla żartu pomachał do niego.

- Co robisz? - Prosper przestraszony złapał go za rękę.

- A co? Boisz się, że rzuci się za nami do wody? Albo wyprzedzi łódź na tych swoich krótkich nóżkach? Co ty, stary. To jest właśnie plus tego miasta. Kiedy ktoś cię goni, wystarczy przedostać się na drugą stronę kanału i masz faceta z głowy. Oczywiście musisz uważać, żeby w pobliżu nie było jakiegoś mostu, ale na Canal Grandę są tylko dwa, to pewnie wiesz już nawet ty.

Prosper nie odpowiedział. Prześladowca dawno znikł im z oczu, lecz on nadal z niepokojem wpatrywał się w przeciwległy brzeg, jakby nieznajomy w każdej chwili mógł

pojawić się pomiędzy kolumnami pałaców, na balkonie hotelu albo na którejś z mijających ich łodzi.

- Hej, wyluzuj się, przecież mu zwialiśmy! - Riccio tak długo szarpał Prospera za ramię, aż ten się do niego odwrócił. - Już raz mu uciekłem, wiesz? A niech to! - Rozejrzał się niepocieszony. - A teraz chyba zgubiłem ciastka.

- Ty go znasz? - zdumiał się Prosper.

Riccio oparł się o reling.

- Tak, to detektyw. Odnajduje turystom torebki i portfele, które gdzieś im zniknęły. Raz o mało mnie nie nakrył przy takiej drobnej robótce. - Riccio złapał się za ucho, chichocząc. - Tyle że nie jest zbyt szybki. Ale czego teraz szukał... - Spojrzał podejrzliwie na Prospera. - Wiesz, że mamy taką zasadę: nikt nikogo nie pyta, co było kiedyś, ale... rzeczywiście, wygląda na to, że ten facet szuka właśnie ciebie. Znasz kogoś, kto zapłaciłby detektywowi za to, żeby cię odnalazł?

Prosper nie odrywał wzroku od przeciwległego brzegu. Vaporetto dopływało powoli do przystanku.

- Może - odparł, nie patrząc na Riccia. Kiedy łódź dryfowała do przystani, z ciemnej wody uniosła się z krzykiem chmara mew.

- Wsiadajmy - powiedział Riccio.

Zeskoczyli na ląd, mijając pchających się na pokład kolejnych pasażerów.

- Boże, nasi pewnie pomyślą, że zwialiśmy z łupem Scipia - stwierdził Riccio, kiedy zostawili już Canal Grandę za sobą. - Ta wycieczka łodzią nie skróciła nam drogi do kryjówki. - Raz jeszcze rzucił Prosperowi zaciekawione spojrzenie. - Powiesz mi, kto nasłał na ciebie tego detektywa? Co takiego zrobiłeś? Ukradłeś komuś coś, co koniecznie chce odzyskać?

- Bzdura. Wiesz przecież, że ja nie kradnę... Jeśli da się tego uniknąć. - Prosper włożył rękę do kieszeni kurtki i uspokojony stwierdził, że pieniądze od Barbarossy są na swoim miejscu.

- To prawda. - Riccio zmarszczył czoło i zniżył głos. - A może szuka was jakiś... handlarz dziećmi? No, powiedz!

Prosper spojrział na niego z przerażeniem.

- Nie! Do diabła, nie. Aż tak źle nie jest. - Popatrzył w górę na kamienną, wykrzywioną grymasem twarz, która spoglądała na niego z łuku jakiejś bramy. - Wydaje mi się, że szuka nas moja ciotka Estera, siostra naszej mamy. Tylko ona miałaby na to dosyć pieniędzy. Nie ma dzieci i jak umarła nasza mama, chciała wziąć do siebie Bo, a mnie wysłać

do jakiegoś internatu. Co w tej sytuacji mogłem zrobić? To przecież mój brat. - Prosper zatrzymał się. - Myślisz, że Estera chociaż zapytała Bo, czy on chce, żeby była jego nową mamą? A on jej nie znosi! Mówi, że pachnie jak trująca farba. I że... - aż się uśmiechnął - wygląda jak jedna z tych porcelanowych lalek, które sama zbiera.

Prosper schylił się i podniósł plastikowy wachlarz leżący przy progu mijanego domu. Rączka była nadłamana, ale Bo z pewnością i tak się ucieszy.

- On myślę, że mogę go przed wszystkim uchronić - dodał, wsuwając znalezisko do kieszeni. - Ale gdyby Osa nas w porę nie znalazła...

- Chodź, nie martw się już więcej tym szpiclem! - Riccio pociągnął go za rękę. - Ten facet na pewno was nie znajdzie. Nic prostszego, anielskie włosy Bo ufarbujemy na czarno, a twoją twarz wysmarujemy tak, że będziesz wyglądał jak bliźniak Moski.

Prosper wreszcie się rozchmurzył. Riccio zawsze umiał go rozśmieszyć, nawet jeśli tak naprawdę wcale nie było mu do śmiechu.

- Czy ty też czasem chciałbyś już być dorosły? - zapytał, gdy przechodzili przez most, patrząc na swoje odbicia w wodzie.

Riccio, zdumiony, pokręcił głową.

- Nie, po co? To przecież wygodnie być małym. Nie rzucasz się w oczy i szybciej się najadasz. Wiesz, co zawsze mówi Scipio?

Dzieci to gąsienice, a dorośli to motyle. I żaden motyl nie pamięta, jak to jest być gąsienicą.

- Pewnie nie - mruknął Prosper. - Ale wiesz co, nie mów nic Bo o tym detektywie, dobra?

Riccio skinął tylko głową.

PECH WIKTORA

Kiedy do Wiktora dotarło, że Prosper wymknął mu się z rąk, ze złości kopnął w najbliższy wystający z wody drewniany pał, po czym, utykając, ruszył do domu.

Przez pół drogi nie przestawał głośno kląć, aż ludzie się za nim oglądali. Był jednak tak wściekły, że nawet tego nie zauważał.

- Jak amator - wyrzucał sobie. - Zgubiłem ich jak amator.

I kim był ten drugi? Za duży na młodszego brata. Cholera. Cholera. Cholera. Chłopak sam wpada mi w ręce, a ja pozwalam mu uciec. Jestem zwyczajnym osłem! - Obolałą nogą kopnął pusty kartonik po papierosach i twarz wykrzywiła mu się z bólu. - Sam sobie jestem winien - mruknął. - Jasne, że tak. Żaden porządny detektyw nie zajmuje się łapaniem dzieciaków. I bez tego przekłętego zlecenia starczyłoby mi na kupno żarcia dla zółwi.

Kiedy otwierał drzwi do domu, stopa wciąż go jeszcze bolała.

- Przynajmniej wiem teraz, że są w mieście - burczał, kuśtykając po schodach. - Skoro jest ten starszy, znajdzie się i mały.

To pewne.

W mieszkaniu najpierw zrzucił buty, a potem, kulejąc, wyszedł na balkon, żeby nakarmić zółwie. W biurze ciągle jeszcze pachniało lakierem do włosów Estery. A fuj, do diabła, chyba nigdy nie pozbędzie się tego zapachu. No i nie mógł przestać myśleć o chłopcach. Nie powinien wieszać ich zdjęcia na ścianie.

Miał teraz wrażenie, że ciągle się na niego gapią. Ciekawe, gdzie spędzają nocę? Przecież wieczorami, kiedy tylko zaszło słońce, robiło się już okropnie chłodno. A ostatnia zima była tak deszczowa, że miasto chyba z tuzin razy stało pod wodą. Dzięki Bogu było pełne różnych zakamarków, jak lisia nora; dzieciaki na pewno znalazły jakieś suche miejsce w opuszczonym domu albo w jednym z niezliczonych kościołów. Nie w każdym przecież roiło się od turystów.

- Już ja ich znajdę - mruknął Wiktor. - Mają to jak w banku.

Kiedy zółwie się najadły, Wiktor zabrał się do napełniania własnego pustego żołądka gorą spaghetti i smażonej kiełbasy.

Następnie posmarował obolałą stopę maścią, usadowił się przy biurku i zaczął przeglądać papiery, które piętrzyły się już od jakiegoś czasu. W końcu poszukiwanie chłopców nie było jego jedynym zadaniem.

Chyba powinienem częściej przesiadywać na placu Świętego Marka, pomyślał. Zamówić sobie kawę, pokarmić trochę gołębice i poczekać, aż ci malcy się pojawią. Przecież

mówi się, że każdy, kto przyjeżdża do Wenecji, musi choć raz dziennie przyjść na plac Świętego Marka. Dlaczego z tymi małymi uciekinierami miałyby być inaczej?

ODPOWIEDŹ SCIPIA

Prosper i Riccio dotarli wreszcie do Kryjówki pod Gwiazdami, ale na spotkanie wybiegł im Bo, dlatego nikomu nie wspomnieli nic o detektywie, przez którego się spóźnili. Zresztą nie musieli się już wcale tłumaczyć, gdy tylko Prosper wyciągnął pieniądze, które wytargował u Rudobrodego. Wszyscy usiedli wokół nich, nie mogąc wykrztusić słowa z podziwu, a Riccio drobiazgowo relacjonował im, jak to Prosper, zachowując zimną krew, stawiał czoło Barbarossie.

- A poza tym - oświadczył Riccio na koniec, zwracając się do Osy - tłścioch jednak farbuje brodę, więc ja poproszę o trzy nowiuśkie komiksy. Czy może zapomniałaś już o naszym zakładzie?

Niecałe dwie godziny po powrocie Prospera i Riccia przy wyjściu awaryjnym zadzwonił dzwonek. Przed drzwiami stał Król Złodziei. Tym razem wyjątkowo nie towarzyszył jego wizycie blask wiszącego nad dachami księżyca. Oczywiście Mosca otworzył, nie pytając w ogóle o hasło, za co Scipio nieźle zmył mu głowę; ale kiedy Bo przywitał go, trzymając w ręku plik banknotów, nawet Scipiowi zabrakło słów. Z niedowierzaniem wziął pieniądze i przeliczył je - banknot po banknocie.

- No, Scip, co ty na to? Patrzysz, jakbyś zobaczył ducha - śmiał się Mosca. - Czy możesz powiedzieć Osie, żeby mi w końcu kupiła farbę do łodzi?

- Do twojej łodzi? Tak, tak, dobrze - skinął potakująco Scipio, całkiem pogrążony w myślach. Odwrócił się do Prospera i Riccia. - Czy Barbarossie coś szczególnie się podobało?

- Tak, szczypecie do cukru. Powiedział, że takie ładne rzeczy możesz mu częściej przynosić.

Scipio zmarszczył czoło.

- Szczypecie do cukru - mruknął. - Tak, były dość cenne. - Potrząsnął głową, jak gdyby chciał odpędzić jakieś natrętne myśli. - Riccio - powiedział wreszcie - leć, kup oliwki i ostrą kiełbasę.

Musimy to uczcić. Nie mam dużo czasu, ale na to wystarczy.

Riccio wsunął pospiesznie do kieszeni spodni dwa banknoty i już go nie było. Kiedy wrócił z torbą pełną oliwek, chleba i czerwonego od papryki salami, a także z torebką mandorlatti, czekoladek owiniętych w kolorowe papierki, które Scipio tak lubił, pozostali zdążyli już poukładać na podłodze przy kurtynie koce i poduszki. Osa i Bo poznosili też wszystkie świece, jakie tylko były, a ich migające płomienie wypełniły kino roztańczonymi cieniami.

- Za kilka spokojnych miesięcy! - powiedziała Osa, nalewając sok winogronowy do kielichów z czerwonego szkła, które Scipio przyniósł z ostatniego włamania. A potem, unosząc swój, skinęła w stronę Prospera. - I za ciebie, bo zmusiłeś Rudobrodego, żeby wydał tyle pieniędzy, chociaż lepią mu się do tłustych paluchów jak guma do żucia.

Riccio i Mosca przyłączyli się do toastu. Prosper, zmieszany, nie wiedział, gdzie podziąć wzrok. Mały Bo z dumą przytulił się do starszego brata i wsadził mu na kolana jedno z kociąt, które dostał od Scipia.

- Tak, za ciebie, Prop! - powiedział Scipio jako ostatni. - Niniejszym mianuję cię sprzedawcą moich łupów. A w ogóle... - pogładził palcami plik banknotów - to zastanawiam się, czy po takim udanym włamaniu nie byłoby rozsądnie zrobić na jakiś czas przerwę. - Zamilkł na chwilę, po czym ciągnął dalej: - Złodziej nie może być zbyt chciwy, bo wtedy ryzykuje, że go złapią.

- Nie, nie teraz! - Riccio udawał, że nie widzi ostrzegawczego spojrzenia Prospera. - Barbarossa powiedział nam dziś coś bardzo interesującego.

- Co takiego? - Scipio wrzucił sobie oliwkę do ust, a potem wypluł pestkę na dłoń.

- Jeden z jego klientów szuka dobrego złodzieja. Zapłata ma być super, a my mamy cię zapytać, czy przyjmiesz to zlecenie.

Scipio spojrzał zdumiony.

- Brzmi nieźle, co? - Riccio wepchnął do ust kawał kiełbasy.

Była tak ostra, że łzy stanęły mu w oczach, natychmiast więc podsunął Osie pusty kieliszek, by go napelniła.

Scipio wciąż jeszcze nie odezwał się ani słowem. Zatopiony w myślach, gładził się po związanych włosach, jakby szukając gumki, która je przytrzymywała. Po chwili odchrząknął.

- Interesujące - stwierdził. - Zlecenie dla złodzieja. Dlaczego by nie? A o co konkretnie chodzi?

- Nie mam zielonego pojęcia. - Riccio wytarł zatłuszczone palce o spodnie. - Rudobrody też chyba o całej sprawie wie nie za dużo. Ale pewnie uważa, że Król Złodziei doskonale się do tego nadaje. - Uśmiechnął się szeroko. - Tłuszcioch wyobraża sobie pewnie jakiegoś olbrzyma z pończochą na głowie, który jak kot przemyka między kolumnami Pałacu Dożów. W każdym razie chce szybko dostać odpowiedź.

Wszyscy patrzyli na Scipia, a on siedział i bawił się swoją maską. W zamyśleniu gładził długi, zakrzywiony dziób. Było tak cicho, że dało się słyszeć trzaskanie świec.

- Tak, to rzeczywiście interesujące. Czemu nie?

Prosper spoglądał na niego niepewnie. Wciąż miał to dziwne przeczucie, że czeka ich coś strasznego, jakieś kłopoty, niebezpieczeństwo...

Scipio zdawał się czytać w jego myślach.

- A ty co o tym sądzisz, Prop?

- Sam nie wiem - odparł Prosper. - Nie ufam Barbarossie.

Nie mógł przecież powiedzieć wprost: nie uznaję złodziejstwa. W końcu żył z tego, że Scipio był mistrzem w tym, co robił.

Scipio przytaknął.

I wtedy właśnie Bo wbił bratu nóż w plecy.

- Co tam - powiedział, klękając obok Scipia, pobladły z podniecenia. - To przecież dla ciebie nic takiego. No nie, Scip?

Scipio musiał się roześmiać. Wziął od Bo kotka, położył go sobie na kolanach i zaczął drapać za uszkiem.

- A ja ci pomogę! - Malec jeszcze bliżej przysunął się do Scipia. - Dobra, Scip? Pójdę z tobą.

- Przestań gadać takie głupoty, Bo! - krzyknął Prosper. - Nigdzie nie pójdziesz, zrozumiano? A już na pewno nie tam, gdzie może być niebezpiecznie.

- A właśnie, że pójdę! - Pokazał bratu język i bojowo skrzyżował ręce na piersiach.

Tylko Scipio wciąż jeszcze nie podjął decyzji.

Mosca wyglądał palcem błyszczące kolorowe papierki, w które owinięte były mandorlatti, a Riccio, wsuwając język w szparę po zębie, nie spuszczał wzroku ze Scipia.

- Ja zgadzam się z Prosperem - przerwała ciszę Osa. - To bez sensu, by znów ryzykować. Teraz mamy już dosyć pieniędzy.

Scipio nadal wpatrywał się w maskę i wkładał palce w puste oczodoły.

- Przyjmę to zlecenie - oświadczył nagle. - Riccio, jutro rano pójdziesz do Barbarossy i przekażesz mu moją odpowiedź.

Riccio skinął głową. Jego chuda twarz wprost jaśniała.

- I wreszcie weźmiesz nas ze sobą, prawda? - dopytywał się. - Proszę, ja też chcę zobaczyć z bliska jakiś wytworny dom.

- Właśnie. I ja też. - Mosca z rozmarzeniem wpatrywał się w kurtynę, która w świetle świec błyszczała tak pięknie, jakby pokryta była złotą pajęczyną. - Często się zastanawiałem, jak takie domy wyglądają w środku. Słyszałem, że w niektórych podłoga jest ze złota, a w klamkach są prawdziwe brylanty.

- To idź do Suola di San Rocco, jak chcesz coś takiego zobaczyć! - rzuciła gniewnie Osa. - Scipio sam przed chwilą powiedział, że powinien zrobić przerwę. Na pewno ciągle szukają tego, kto włamał się do Palazzo Contarini. W każdym razie nowe włamanie byłoby po prostu głupotą! - A potem zwróciła się do Scipia. - Gdyby Barbarossa wiedział, że Król Złodziei nie ma ani jednego włoska zarostu i nawet w butach na obcasach ledwie sięga mu do ramienia, z pewnością by tego nie zaproponował...

- Ach tak?! - Scipio wstał, jakby samym swoim wyglądem chciał zaprzeczyć słowom Osy. - Wiesz, że Aleksander Wielki był niższy ode mnie? Trzeba mu było podstawić stołek, żeby mógł wejść na tron! Już postanowiłem. Przekażcie Barbarossie, że Król Złodziei przyjmuje zlecenie. Teraz muszę iść, ale jutro znów przyjdę.

Odwrócił się, ale Osa zastąpiła mu drogę.

- Scipio! - powiedziała cicho. - Posłuchaj. Może naprawdę jesteś lepszy od wszystkich złodziei w mieście, ale kiedy Barbarossa zobaczy cię w tych butach, jak udajesz dorosłego, na pewno cię wyśmieje.

Wszyscy wręcz zamarli. Jeszcze nikt nie odważył się tak z nim rozmawiać. Scipio stał bez ruchu i patrzył na Osę. Po chwili jednak uśmiechnął się szelmowsko.

- Tyle że Rudobrody mnie nie zobaczy! - powiedział i naciągnął maskę na twarz. - A jak spróbuje się ze mnie śmiać, to napluję mu w tę jego tłustą gębę i będę się z niego jeszcze głośniejsze śmiać, bo on jest tylko chciwym, grubym staruchem, a ja jestem Królem Złodziei. - Gwałtownie odwrócił się i wymaszerował z sali kinowej. - Jutro przyjdę dość późno! - krzyknął jeszcze przez ramię.

A potem pochłonęły go cienie, których nie zdołał rozjaśnić nawet blask świateł.

NOCĄ KAŻDY JEST MAŁY

Kiedy Prosper się obudził, był środek nocy. Wszyscy od dawna już spali. Ostrożnie okrył nogi Bo koldrą, którą mały skopał przez sen, wyjął spod poduszki latarkę, narzucił ubranie i przemknął się do wyjścia. Riccio rzucał się we śnie, Mosca obejmował swojego konika morskiego, a na poduszce Osy, wtulone w jej brązowe włosy, spało jedno z kociąt Bo.

Prosper otworzył wyjście awaryjne i zadrzał z zimna. Niebo pokryte było gwiazdami, a w kanale za kinem odbijał się księżyc.

Domy na przeciwległym brzegu były ciemne, tylko w jednym oknie paliło się światło. Widać nie tylko ja nie mogę spać, pomyślał. Kilka szerokich i zniszczonych stopni prowadziło prosto nad wodę. Miało się wrażenie, że biegną na samo dno kanału. Głębiej i głębiej, aż do całkiem innego świata. Kiedyś, gdy siedzieli z Bo i Moscą na nabrzeżu, Bo stwierdził, że schody na pewno zbudowały wodniki i syreny. Mosca zapytał go wtedy, jak i po co niby miałyby chodzić po śliskich stopniach, skoro mają rybnie ogony. Prosper aż się roześmiał na wspomnienie tamtej rozmowy.

Usiadł na najwyższym schodku i spoglądał na oblaną księżycowym światłem wodę, na odbijające się w niej stare domy. Pomyśleć, że odbijały się tak od lat. Na świecie nie było jeszcze Prospera, jego rodziców ani nawet jego dziadków, a one już wtedy przeglądały się w tafli wodnej. Często, idąc przez miasto, dotykał palcami murów domów. Kamienie w Wenecji wydawały się inne.

Wszystko zresztą było inne. Inne niż co? Inne niż przedtem.

Prosper usiłował nie myśleć o tym. A przecież nie tęsknił za domem. Już nie. I to od dawna. Nawet nocami. Teraz tu był jego dom. Księżycowe miasto przyjęło jego i Bo, ukryło ich w swoich krętych uliczkach, oczarowało nieznajomymi zapachami i odgłosami. Dało im nawet przyjaciół. Prosper nie chciał już stąd nigdzie odchodzić. Nigdy. Tak bardzo się przyzwyczył do chłopotania wody o drewno i kamienie. A jeśli jednak będą musieli odejść? Z powodu tego mężczyzny z sumiastymi wąsami.

Do tej pory ani on, ani Riccio nie powiedzieli nikomu o prześladowcy, a przecież wszystkim im groziło niebezpieczeństwo. Jeśli detektyw wpadł na trop Prospera i Bo, to może również znaleźć Kryjówkę pod Gwiazdami i resztę przyjaciół: Moscę, który nie chce wracać do swojej rodziny, bo nikt tam za nim nie tęskni, Riccia, na którego czeka tylko sierociniec, Osę, która nie opowiada o swoim domu, bo jest to dla niej zbyt smutne, i Scipia.

Prosper zadrzał z zimna i objął ramionami podciągnięte kolana.

Co się stanie, jeśli detektyw wpadnie także na trop Scipia? Marne byłoby to podziękowanie za to, że Król Złodziei przyjął ich pod swoją opiekę.

Na mokrych schodach leżał podarty bilet na yaporetto. Prosper wrzucił kartonik do kanału i patrzył, jak unosi go woda.

Trudno, muszę im powiedzieć o detektywie, pomyślał. Ale jak to zrobić, nie mówiąc nic Bo? Przecież Bo czuł się tutaj tak bezpiecznie i uwierzył już, że ciotka Estera nigdy ich nie znajdzie.

Po drugiej stronie kanału w oświetlonym oknie poruszył się jakiś cień, po chwili jednak światło zgasło. Prosper wstał. Kamienne schody były zimne i wilgotne, czuł, że przemarzył do kości. Podjął decyzję. Teraz, właśnie teraz, kiedy Bo śpi, powiem im o tym facecie z wąsami. Może wtedy Scipio wybiję sobie z głowy zlecenie od Barbarossy, ale może też... Prosper nie chciał nawet o tym myśleć. Może Scipio wyrzuci jego i Bo? I co wtedy? Z ciężkim sercem wrócił do opuszczonego kina.

- Osa, obudź się! - Prosper delikatnie potrząsnął ją za ramię, ale przerażona Osa zerwała się tak gwałtownie, że małe kociątko stoczyło się z jej poduszki jak piłka.

- Co jest? - mruknęła, przecierając zaspane oczy.

- Nic. Muszę wam coś powiedzieć.

- W środku nocy?

- Tak. - Prosper chciał już obudzić Moscę, ale Osa go powstrzymała. - Zaczekaj, powiedz najpierw mnie, co się stało, zanim obudzisz resztę.

Prosper spojrział na Moscę, który tak głęboko zakopał się pod okryciem, że widać było tylko jego krótkie kręcone włosy.

- Dobra, zresztą Riccio i tak wie.

Owinęli się kołdrami i usiedli obok siebie na składanych fotelach. Ogrzewanie nie działało, zresztą tak samo jak światło, a piecyki, które załatwił Scipio, tylko w niewielkim stopniu chroniły przed zimnem w dużej sali. Osa zapaliła dwie świece.

- No więc? - zapytała, patrząc wyczekująco na Prospera.

- Kiedy Riccio i ja wracaliśmy od Barbarossy... - Prosper schował brodę w kołdrę - wpadłem niechcący na jakiegoś faceta.

Najpierw zauważyłem, że dziwnie mi się przygląda, a potem zorientowałem się, że nas śledzi. Zwialiśmy mu, dobiegliśmy do Canal Grandę i przepłynęliśmy vaporetto na drugi brzeg, żeby go zgubić. Ale Riccio go rozpoznał. Mówi, że to detektyw. I coś mi się wydaje, że szuka mnie i Bo.

- Prawdziwy detektyw? - Osa z niedowierzaniem pokręciła głową. - Myślałam, że oni istnieją tylko w książkach i filmach.

Czy Riccio jest tego zupełnie pewny?

Prosper przytaknął.

- No, ale może ten detektyw śledził Riccia. Wiesz przecież, że on nie może się powstrzymać, żeby nie kraść.

- Nie. - Prosper westchnął i spojrzał na sufit, gdzie ciemność wisiała jak czarna chmura. - Nie, śledził mnie. Jak on na mnie patrzył... wiem, że nas znajdzie, a moja ciotka na pewno jest już w jakimś drogim hotelu i tylko czeka, żeby zabrać Bo. A mnie wsadzą do jakiegoś internatu i będę widywał Bo raz na miesiąc, w wakacje i na święta. - Nagle poczuł się tak niedobrze, że aż przycisnął ręce do brzucha. Zamknął oczy, jakby mógł w ten sposób powstrzymać strach, ale to oczywiście nic nie dało.

- Daj spokój, niby jak on ma was znaleźć? - Osa położyła Prosperowi rękę na plecach i spojrzała na niego z troską. - Chodź, przestań się teraz zadręczać.

Prosper ukrył twarz w dłoniach. Usłyszeli, jak Riccio zamruczał coś przez sen; często spał niespokojnie, jakby jakaś zmora siedziała mu na piersi.

Prosper wstał.

- Tylko nic nie mów Bo, dobra? Niech ciągle wierzy, że jesteśmy tu zupełnie bezpieczni. Ale Mosca i Scipio muszą się dowiedzieć. W końcu wszyscy możecie mieć kłopoty, jeśli ten szpicel nas znajdzie...

- Nie ma szans! Na pewno nikogo nie znajdzie. - Osa wytarła nos. - To dobra kryjówka. Najlepsza. A niech to. Chyba znowu się zaziębiłam. Czy Scipio nie mógłby czasem zamiast srebrnych łyżeczek i szczypiec do cukru ukraść jakiegoś lepszego piecyka?

Prosper podał jej swoją zmiętą chusteczkę, którą Osa wzięła z wdzięcznością i wytarła nos.

- Riccio chce ufarbować Bo włosy, a mnie umazać twarz na czarno, żeby ten facet nas nie rozpoznał - powiedział Prosper.

Osa zaśmiała się cicho.

- Moim zdaniem wystarczy, jak obetnę cię na zapalkę, ale z włosami Bo to całkiem dobry pomysł. A jemu wytłumaczymy, że kiedy będzie miał czarne włosy, starsze panie rzadziej będą go głaskać po głowie. On strasznie tego nie cierpi.

- Myślisz, że to kupi?

- Jeśli nie, to Scipio będzie musiał mu powiedzieć, że z blond włosami nie można zostać superzłodziejem. Nie martw się, uwierzy. On zacząłby się nawet uczyć fruwać, gdyby tylko Scipio tego zażądał.

- Fakt. - Prosper uśmiechnął się, chociaż poczuł lekkie ukłucie zazdrości.

- A Scipiovi spodoba się ta sprawa z detektywem. - Osa potarła zziębnięte ramiona. - Będzie tylko pewnie rozczarowany, że facet śledzi ciebie, a nie jego. To byłoby przecież pasjonujące zadanie dla detektywa: odkryć, gdzie sypia Król Złodziei. Czy może rankiem spuszcza się z blanków Pałacu Dożów, po spędzeniu nocy w przytulnym lochu? A może śpi na górze, w piombi, gdzie torturowano wrogów Wenecji, albo na dole, w ponti, gdzie zgniły ich ciała? Widzisz, teraz ja cię rozśmieszyłam! - Osa podniosła się z zadowoloną miną i zmierzwiła Prosperowi włosy. - Rano zajmimy się twoją nową fryzurą - powiedziała - a teraz nie myśl już więcej o tym detektywie.

Prosper skinął głową.

- A więc... ty nie uważasz... - zaczął, jękając się - że narażamy was na niebezpieczeństwo? Że byłoby lepiej, gdybyśmy obaj stąd odeszli?

- Co za brednie! - fuknęła niecierpliwie Osa. - Niby dlaczego? Riccia ciągle szukała policja i dlatego mieliśmy go wyrzucić?

Nie. A Scipio? Czy nie naraża nas na niebezpieczeństwo przez te szalone włamania? - Pociągnęła Prospera za rękę. - Chodź, idziemy spać. Boże, ale ten Mosca chrapie.

Prosper rozebrał się i z powrotem wśliznął pod kołdrę obok Bo. Ale minęło dużo czasu, zanim wreszcie udało mu się zasnąć.

WIADOMOŚĆ

Nazajutrz Riccio udał się do Barbarossy, aby przekazać mu odpowiedź Króla Złodziei. Tak jak polecił Scipio.

- Zgadza się? To dobrze, mój klient bardzo się ucieszy - powiedział Rudobrody z uśmiechem zadowolenia. - Ale musicie być cierpliwi. Nie jest łatwo przekazać mu wiadomość. Ten facet nie ma nawet telefonu.

Przez dwa następne dni Riccio na próżno odwiedzał sklep Barbarossy, dopiero trzeciego ranka Rudobrody miał w końcu wiadomość, na którą czekali.

- Mój klient spotka się z wami w Bazylice Świętego Marka - oznajmił Barbarossa, stojąc przed lustrem w swoim biurze i małutkimi nożyczkami przycinając brodę. - Conte lubi bawić się w tajemnice, ale jeśli chodzi o interesy, nie ma z nim problemów.

Sprzedął mi już kilka ładnych rzeczy i zawsze za dobrą cenę. Tylko nie bądźcie zbyt ciekawscy, nie lubi tego, rozumiano?

- Conte? - zapytał Riccio z szacunkiem. - To znaczy, że on jest prawdziwym hrabią albo kimś takim?

- Naturalnie. Mam nadzieję, że Król Złodziei umie się zachować. - Barbarossa ze skupioną miną wyrwał sobie włos z nosa. - Kiedy poznacie Contego, sami się przekonacie, że nie ma wątpliwości co do jego dobrego pochodzenia. Do dziś nie zdradził mi, jak się nazywa, ale przypuszczam, że jest jednym z Vallaressów.

Niektórzy członkowie tej szacownej rodziny nie należą, niestety, do wybrańców losu. Mówi się nawet o ciężącej na nich klątwie. No cóż. - Barbarossa zbliżył się do lustra, usiłując wyrwać szczególnie oporny włos. - Niech będzie, jak jest. I tak pochodzi przecież ze starego rodu, no wiesz, jak ci wszyscy Correrowie, Vendraminowie, Contarini, Venierowie, Loredanowie, Barbarigowie i Bóg wie, kto jeszcze. Od wieków kierują losami tego miasta, chociaż ludzie tacy jak ty czy ja nie mają o tym pojęcia. Nieprawdaż?

Riccio przytaknął z szacunkiem. Oczywiście słyszał już te wszystkie nazwiska, które z takim namaszczeniem wymieniał Rudobrody, znał pałace i muzea, z którymi się wiązały, ale o ludziach, którzy je nosili, nie wiedział nic.

Barbarossa cofnął się o krok, podziwiając swoje odbicie.

- Więc, jak już powiedziałem, zwracajcie się do niego po prostu Conte, wtedy będzie zadowolony. Na pewno dobrze się zrozumieją z Królem Złodziei, w końcu wasz przywódca to równie tajemniczy człowiek. Co zresztą jest całkiem słuszne i rozsądne, zważywszy na jego profesję, nieprawdaż?

Riccio po raz kolejny przytaknął. Nie mógł się już doczekać, kiedy grubas w końcu przejdzie do sedna sprawy, a on wreszcie przekaze pozostałym wiadomość, na którą czekają. Z niecierpliwością przestępował z nogi na nogę.

- Kiedy? Kiedy mamy z nim się spotkać w bazylice? - zapytał, gdy Barbarossa po raz kolejny zbliżył się do lustra, by tym razem zabrać się do przystrzygania brwi.

- Jutro po południu. Punkt trzecia. Conte będzie czekał na was w pierwszym konfesjonale po lewej stronie. Tylko żebyście się nie spóźnili! Ten człowiek jest wyjątkowo punktualny.

- W porządku - mruknął Riccio. - Trzecia po południu, konfesjonał, punktualnie. - Skierował się do wyjścia.

- Chwila, chwila, nie tak prędko, Jeżu! - Barbarossa przywołał Riccia z powrotem. - Przekaż Królowi Złodziej, że Conte pragnie się z nim spotkać osobiście. Może ze sobą przyprowadzić, kogo tylko chce - małpy, słonie albo dzieciaki - ale sam też ma się zjawić. Conte musi go najpierw poznać, aby zdecydować, czy da mu to zlecenie. W końcu... - Rudobrody wyraźnie czuł się urażony - nawet mnie nie zdradził żadnych szczegółów.

To akurat nie zdziwiło Riccia, ale życzenie Contego, by zobaczyć Scipia, przyprawilo go o szybsze bicie serca.

- To, to... - wyjąkał - nie spodoba się ani trochę Sci... Królowi Złodziej.

- Cóż - Barbarossa wzruszył tłustymi ramionami. - Więc nie dostanie zlecenia. Miłego dnia, mały.

- Nawzajem - mruknął Riccio, pokazał język plecocom Barbarossy i pełen niepokoju ruszył w drogę powrotną.

WIKTOR CZEKA

Wiktor siedział na placu Świętego Marka, pośród setki stolików i tysiąca kolumn, pijąc trzecią już filiżankę kawy espresso.

Czarnej, z dwiema kostkami cukru. W tak mikroskopijnej filiżance, że ledwie mógł zamieszać łyżeczką. A tak tu było drogo, że wołał o tym nawet nie myśleć. Od ponad godziny tkwił na twardym, zimnym krześle, obserwując twarze ludzi przepychających się obok jego stolika. Nie miał teraz, rzecz jasna, tamtych wąsów, z którymi zobaczył go Prosper, kiedy na siebie wpadli. Tym razem całkiem z nich zrezygnował, ograniczając się tylko do okularów z grubymi szklami, dzięki czemu wyglądał nieco naiwnie i całkiem nieszkodliwie. Zadowolony przyjrzał się swemu odbiciu w lustrze - wspaniale, idealny kamuflaż. Wiktor turysta. Czapka z daszkiem, duży aparat na szyi. To było jedno z jego ulubionych przebrań. Jako turysta mógł spokojnie robić setki zdjęć, nie wzbudzając niczyich podejrzeń, albo wmieszać się w grupę podróżnych, którzy zeszli ze statku, biegali po mieście pięć godzin, a przy tym fotografowali wszystko, co wyglądało na stare i połyskiwało złotem.

Podoba mi się taka robota, myślał Wiktor, mrużąc oczy. Promienie zachodzącego słońca odbijały się w oknach bazyliki. Wyglądało to tak, jakby szkło dosłownie rozpuszczało się w jego cieniu. Widoczne na szczycie anioły ze złocistymi skrzydłami wznosiły się do nieba, a nad głównym wejściem, pomiędzy setkami jaśniejących gwiazd, rozpiął się skrzydlaty lew.

Ludzie, którzy po raz pierwszy wychodzili z wąskich uliczek na plac Świętego Marka, zwykle rozglądali się zadziwieni, jakby nawet w snach nie spodziewali się zobaczyć tak bajecznego miejsca.

Niektórzy stawali jak zaczarowani i w ogóle nie chcieli iść dalej; na twarzach innych na widok połyskujących okien i lwa pomiędzy gwiazdami pojawiał się wyraz dziecięcego zachwytu. Niewielu tylko udawało, że nie robi na nich wrażenia ten nadmiar piękna, i szli dalej z kamiennymi twarzami, jakby chcieli powiedzieć, że nie ma już na świecie nic, co mogłoby wprowadzić ich w zdumienie.

Wiktor nigdy nie był pewien, czy powinien takim ludziom współczuć, czy się ich bać.

Kiedy tak siedział i mieszał kawę łyżeczką, zbyt małą dla jego grubych palców, przez plac Świętego Marka przewijały się tłumy.

Wiktor wszystkich lustrował uważnie, ale nadaremnie wypatrywał tych dwóch konkretnych twarzy. No tak, pomyślał, pewnie za bardzo ufałem swojemu szczęściu. Wytarł nos, który zrobił się już niebezpiecznie zimny, i zamówił u przebiegającego kelnera kolejną

kawę. Ostatecznie siedzenie tutaj było lepsze niż bieganie ostatnich dni. Sprawdził w komisariatach, w sierocińcach, szpitalach, na dworcach. Rozmawiał z gondolierami i kontrolerami vaporetti.

Podtykał im pod nos zdjęcie Prospera i Bo i z zaciśniętymi zębami przyjmował kolejne przeczące kręcenia głową. Gdyby tamtego dnia Prosper na niego nie wpadł, pewnie zacząłby wątpić, że chłopcy w ogóle kiedykolwiek wylądowali w Wenecji.

Koniec. Wiktor znów poczuł, jak ogarnia go złość. Tak, tak, wystarczyło tylko chwycić i prosić, już miałby chłopaka! Mniejsza z tym. Zirytowany rozmazał na nosie kroplę kawy. Mężczyźni przy sąsiednim stoliku najwyraźniej nie podobała się taka zabawa, bo z dezaprobatą obserwował go znad swej gazety. Wiktor wykrzywił się do niego, ocierając jednocześnie nos. Koniec z błazeństwami.

Najwyższy czas skupić się na zarabianiu pieniędzy. Miał zaziębionego zółwia, który ciągle kichał, a weterynarze byli drodzy.

Jakiś gołąb, jeden z tysięcy wydziobujących resztki jedzenia na placu, przydreptał pod stół Wiktora i pociągnął go za sznurowadło. Detektyw wywrócił kieszeń i wysypał okruszki. Ptak migiem uwinął się z jedzeniem, a kiedy skończył, w podziękowaniu chyba narobił mu na but. Co za dzień.

Wiktor westchnął ciężko i zerknął na zegarek. Dochodziła trzecia. Najwyższy czas, bym zaserwował sobie coś oprócz kawy, pomyślał i po raz kolejny potarł zmarznięty nos. I wtedy właśnie, po drugiej stronie placu, zauważył sześcioro dzieci. Wpadły mu w oko, gdyż najwyraźniej bardzo się gdzieś spieszyły, a jedno z nich, chyba przywódca, miało na twarzy ciemną maskę drapieżnego ptaka. Szli w kierunku bazyliki. Dostrzegł wśród nich dziewczynkę i małego chłopca, ale nie blondynka. Uniósł gazetę i spoza niej dyskretnie obserwował dzieci. Chudzielec ze zjeżonymi włosami, niemal depczący przywódcy po piętach, wydawał się jakby znajomy, ale zanim Wiktor zdążył się im lepiej przyjrzeć, zasłoniła mu ich ogromna grupa turystów. Było ich tylu, że zapelniliby pewnie całe vaporetto.

Spadajcie, łazęgi - warknął gniewnie Wiktor i wyciągnął krótką szyję.

Są. Znów ich widział: dziewczynka i czterech chłopców, nie licząc tego w masce. No i ten chudzielec, który kogoś mu przypominał. Do diabła, te zjeżone włosy... oczywiście! Wiktor poderwał się. Dobrze, że już wcześniej zapłacił za cztery kawy.

Prawdziwy detektyw zawsze płaci z góry. W końcu podejrzany nie może się wymknąć tylko dlatego, że kelner jest akurat zajęty obsługiwaniem innego klienta. Wiktor ruszył w kierunku bazyliki i tam, nieopodal, zajął stół, ani na chwilę nie spuszczał oczu z dzieciaków.

Tak, to on, ucieszył się i poprawił okulary. To chłopak, którego widział razem z Prosperem. I jest też...

- No, odwróć się - mruknął, obserwując przez obiektyw aparatu ciemnowłosego chłopca, który pozostawał nieco z tyłu. Jak troskliwie obejmował ramieniem tego małego! Tak, to musi być on, Prosper. - Spójrz w moją stronę! - syknął Wiktor. - No, Prosper, spójrz tu wreszcie, proszę!

Kobieta siedząca przy stoliku obok odwróciła się, spoglądając nieufnie na Wiktora. Odpowiedział jej zakłopotanym uśmiechem.

Dlaczego nie potrafi się opanować i nie gadać sam do siebie?

Nareszcie. Ciemnowłosa odwrócił się.

- Do diabła, to on! - Wiktor triumfalnie zabębnił palcami w blat stolika. - Prosper Szczęśliwy. Tak, mój chłopcze, właśnie szczęście cię opuszcza i przychodzi do mnie. Ostrzygłeś włosy?

Przykro mi, ale w ten sposób nie oszukasz Wiktora. A co z małym, którego obejmujesz tak po bratersku? Ma takie czarne włosy, jakby spadł mu na głowę kubeł farby.

Farba. Oczywiście.

Wiktor pomrukiwał radośnie pod nosem, robiąc kolejne zdjęcia - bazyliki, skrzydlatego lwa i... obydwu braci.

Raz dziennie każdy w Wenecji przychodzi na plac Świętego Marka. Trzeba tylko mieć cierpliwość. Cierpliwość. I szczęście.

Cały wór szczęścia. I dobry wzrok...

Niewiele brakowało, a Wiktor zacząłby mruzczyć jak gruby, zadowolony kocur.

SPOTKANIE W BAZYLICE

- Rusz się, Bo! - ponaglał brata Prosper. - Już prawie trzecia.

No, chodź wreszcie.

Ale Bo stał przed wielkim portalem bazyliki i spoglądał w górę na konie. Zawsze, kiedy przychodził na plac Świętego Marka, stawał z zadartą głową i patrzył na nie - na cztery rumaki, tętniące kopytami i rżące. Za każdym razem dziwił się, że nie zeskakują na dół, tak bardzo wydawały się żywe.

- Chodź już, Bo! - Prosper pociągnął go przez tłum ludzi niecierpliwie przepychających się przy wejściu do wspaniałego kościoła, którzy nie mogli się już doczekać widoku złoconych sklepień i ścian.

- Złuszczą się - powiedział Bo, ciągle jeszcze patrząc do góry.

- Kto?

- Złote konie.

- Złuszczą się? - Prosper zmarszczył czoło i chwycił go za rękę. - Dlaczego?

- Dlatego, że ktoś je ukradł i tu przywłókł - szepnęła Bo. - Osa mi powiedziała.

Kiedy okrążali bazylikę, Prosper mocno ścisnął rękę brata, żeby nie zgubił się gdzieś w tłumie. W uliczkach nigdy się o to nie martwił, ale ogromny plac to co innego. Mały mówił o nim Lwi Plac. Wiedział, że naprawdę nazywa się inaczej, ale tak właśnie ochrzcił. Przez cały dzień każdy skrawek placu należał do gołębi i turystów, ale nocą, tego Bo był całkiem pewien, kiedy gołębie dawno już spały na okapach pod dachami, a ludzie leżeli w łózkach, należał do złotych rumaków i do skrzydlatego lwa stojącego między gwiazdami.

- Przywlekli je tutaj już tysiąc albo sto lat temu - poinformował Bo brata.

- Kogo? - dopytywał się Prosper, przepychając malca obok młodej pary fotografującej się przed bazyliką.

- Konie! - Bo znowu się odwrócił, ale tym razem nie mógł już ich zobaczyć. - Wenecjczycy ukradli je z jakiegoś bardzo, bardzo dalekiego miasta, które zdobyli i splądrowali. Osa mówi, że Wenecjczycy byli kiedyś bardzo potężni i lubili prowadzić wojny. To całe złoto z balizyki kupili za łupy. Albo ukradli. Zanim przykleili je do ścian i sufitu balizyki.

- Bazyliki - poprawił go Prosper. - I mówi się Wenecjanie, nie Wenecjczycy.

Spojrzał na ogromną, bladozłotą tarczę zegara na wieży po północnej stronie placu. Za pięć trzecia. Scipio i reszta stali już przy fontannie z lwami, tuż obok bocznego wejścia do bazyliki, i czekali na nich. Scipio zdjął maskę i nerwowo się nią bawił.

- No, wreszcie! - powiedział, kiedy zobaczył Prospera i Bo. - Znowu gapiełeś się na konie?

Bo opuścił wzrok. Spojrzał na nowe buty, które kupiła mu Osa. Były nieco za duże, ale naprawdę ładne. I ciepłe.

- Słuchajcie! - Scipio dał znak, żeby podeszli bliżej, i zniżył głos, jakby się bał, że ktoś ze stojących wokół ludzi może go usłyszeć. - Nie chcę iść na to spotkanie z całym orszakiem, więc zrobimy tak: Prosper i Mosca idą ze mną, a reszta zaczeka tu, przy fontannie.

Riccio i Bo spojrzeli na siebie, nie kryjąc rozczarowania.

- Ale ja nie chcę tu czekać!

Dolna warga Bo zaczęła niebezpiecznie drżeć. Osa pogładziła go pocieszająco po głowie, ale Bo się uchylił.

- Właśnie, Bo ma rację! - krzyknął Riccio. - Dlaczego nie możemy iść wszyscy? Dlaczego tylko Mosca i Prosper?

- Dlatego, że my troje nie jesteśmy dostatecznie dobrzy na orszak Króla Złodziei - wyjaśniła Osa, zanim Scipio zdążył coś odpowiedzieć. - Bo jest za mały, ty też wyglądasz nie więcej niż na osiem lat, a ja jestem dziewczyną, więc tak czy siak się nie liczę.

Nie, my byśmy go tylko ośmieszyli, prawda, Królu?

Scipio ze złości zacisnął usta, a potem minął ich bez słowa, schodząc po stopniach fontanny.

- Chodźcie - powiedział do Moski i Prospera, ale oni jakby się wahali.

- No, idźcie już - ponagliła ich Osa i dopiero wtedy ruszyli za Scipiem.

Riccio stał i patrzył, przełykając łzy rozczarowania, a Bo rozszlochał się na dobre. Beczał tak głośno, że Prosper, pomimo niezadowolonej miny Scipia, zawrócił.

- Przecież i tak nie lubisz bazyliki! - szepnął bratu na ucho. - Boisz się tam być, więc przestań się tak zachowywać. Czekał tu przy fontannie, uważaj na Osę i nie ruszaj się stąd ani na krok.

- Ale będzie mi się nudziło - mruknął Bo, głaszcząc łapę kamiennego lwa.

- Prosper, rusz się wreszcie! - krzyknął gniewnie Scipio z bocznego portalu bazyliki.

- Na razie - powiedział Prosper i zniknął za Moscą i Królem Złodziei w ogromnym kościele.

Kiedy Prosper po raz pierwszy odwiedził z Bo Bazylikę Świętego Marka, malec nazwał ją „Złotą Jamą”. Ale złote mozaiki, przedstawiające anioły, królów i świętych, które zdobiły ściany i sklepienie, błyszczwały tylko wtedy, kiedy światło słoneczne wpadało przez okna do środka. Teraz wszystko spowijał mrok.

A w nim zniknęły obrazy złożone z tysięcy błyszczących szklanych kamyczków. Światło i ciepło pozostały na zewnątrz, na placu dla ludzi wewnątrz bazyliki zupełnie jakby przestały istnieć.

Trzech chłopców szło niepewnie środkiem kościoła, nasłuchując głośnego echa swoich kroków. Nad ich głowami wznosiły się złote kopuły, których wspaniałość skrywał teraz mrok. Między wysokimi marmurowymi kolumnami, podtrzymującymi sklepienie, chłopcy czuli się mali jak mrówki. Półmrok wokół nich przepojony był skupieniem, szeptami i szuraniem butów po zimnej kamiennej posadzce.

- Gdzie są te konfesjonały? - wyszeptał Mosca, rozglądając się niepewnie. - Rzadko tu przychodzę. Nie lubię kościołów. Jakoś w nich tak strasznie.

- Ja wiem, gdzie są - powiedział Scipio, nasuwając maskę na twarz. Pewny siebie, niby jeden z przewodników pokazujących turystom cuda bazyliki, kroczył przodem.

Konfesjonały stały nieco z boku, w bocznej nawie. Pierwszy po lewej zupełnie nie różnił się od pozostałych - po prostu szafa z ciemnego drewna osłonięta ciemnoczerwonymi zasłonami, pośrodku drzwi, przez które kapłan wchodził do niewielkiego wnętrza. Siadał potem na wąskiej ławeczce i przykładał ucho do małego okienka, przez które każdy, kto chciał, mógł wyszeptać mu swoje grzechy, aby w ten sposób uwolnić od nich duszę. Zasłona oddzielała również grzeszników od natrętnych, ciekawskich spojrzeń.

Scipio raz jeszcze poprawił maskę, nerwowo odchrząknął i odsunął na bok czerwoną tkaninę. Starał się zachowywać tak, jakby w ogóle się nie denerwował, kiedy jednak znaleźli się już za zasłoną, Prosper i Mosca czuli, że serce mu wali tak samo jak im.

Spojrzenie Scipia padło na niski klęcznik. Zawahał się chwilę, po czym uklęknął. Dzięki temu małe okienko znalazło się na wysokości jego oczu i mógł widzieć osobę siedzącą w konfesjonale.

Prosper i Mosca stanęli za nim jak ochroniarze. Scipio spokojnie klęczał, z twarzą zakrytą maską, czekając, aż coś zacznie się dziać za zasłoniętym okienkiem.

- Może go jeszcze nie ma. Mamy sprawdzić? - szepnął niepewnie Mosca.

W tym samym momencie ktoś w środku odsłonił okienko.

W ciemności rozbłysła para oczu, okrągłych i jasnych, jakby pozbawionych źrenic. Prosper zadrżał. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że to szkła okularów, w których odbijało się słabe światło.

- W kościele nie należy nosić maski, podobnie jak nie należy nosić kapelusza - powiedział chrapliwy głos, który mógł należeć do bardzo starego mężczyzny.

- A w konfesjonale nie należy planować kradzieży - odparł Scipio. - A to przecież mamy zrobić, prawda?

Prosperowi wydawało się, że usłyszał cichy śmiech.

- A więc naprawdę jesteś Królem Złodziei - powiedział cicho nieznajomy. - No dobrze, zachowaj maskę, jeśli nie chcesz pokazywać twarzy. I tak widzę, że jesteś bardzo młody.

Scipio klęczał wyprostowany jak świeca.

- Zgadza się. A ja poznaję po głosie, że ty jesteś bardzo stary.

Czy wiek ma dla naszej umowy jakieś znaczenie?

Prosper i Mosca wymienili szybkie spojrzenia. Mimo że Scipio był jeszcze dzieckiem, potrafił wypowiadać się jak dorosły, i to z taką łatwością, że ciągle budziło to podziw jego przyjaciół.

- Ani trochę - odparł cicho starszy mężczyzna. - Wybacz moje zdziwienie. Kiedy Barbarossa opowiadał mi o Królu Złodziei, nie wyobrażałem sobie, mówiąc szczerze, dwunasto - czy trzynastoletniego chłopca. Ale nie zrozum mnie źle. Zgadzam się z tobą, że wiek nie odgrywa tu żadnej roli. Ja sam, mając zaledwie osiem lat, musiałem już pracować jak dorosły, mimo że moje ciało było młode i słabe. Ale nikogo to nie obchodziło.

- W moim zawodzie drobne ciało jest nawet przydatne, Conte - powiedział Scipio. - Tak mam cię nazywać, prawda?

- Tak, możesz się do mnie tak zwracać. - Mężczyzna w konfesjonale odchrząknął. - Jak już wiesz od Barbarossy, poszukuję kogoś, kto potrafi wykraść pewną rzecz, której od lat poszukuję.

Hiestety, przedmiot ten znajduje się obecnie w posiadaniu kogoś innego. - Staruszek znów odchrząknął. Okulary zbliżyły się do małego okienka i Prosperowi wydawało się, że dostrzega zarys twarzy Contego. - Jeśli zwiesz siebie Królem Złodziei, to z pewnością już kilka razy byłeś w wytwornych domach tego miasta.

I nigdy cię nie złapano, czy tak?

- Oczywiście. - Scipio dyskretnie potarł obolałe kolana. - Nigdy nie zostałem złapany. A jeśli chodzi o bogate domy, to znam od środka co drugi z nich. Nie żeby mnie ktoś zapraszał...

- Tak, tak... - Palce pokryte starczymi plamami poprawiły okulary. - Dobrze, umowa stoi. Dom, który masz dla mnie odwiedzić, leży na Campo Santa Margherita 423 i należy do niejakiej signory Idy Spavento. Nie jest to żaden nadzwyczaj piękny dom, ale otacza go mały ogród, co, jak pewnie wiesz, jest prawdziwym skarbem w Wenecji. Zostawię ci w

konfesjonale kopertę, w której znajdziesz wszystkie informacje niezbędne do wykonania mojego zlecenia: plan Casa Spavento, kilka wyjaśnień dotyczących przedmiotu, który masz wykraść, i jego zdjęcie.

- Bardzo dobrze. - Scipio kiwnął głową. - Wszystko się przyda i pomoże mnie i moim pomocnikom w pracy. A teraz przejdźmy do zapłaty.

Prosper znów usłyszał cichy śmiech starego.

- Widzę, że prawdziwy z ciebie biznesmen. Wasza zapłata wynosi pięć milionów lirów, płatne przy przekazaniu łupu.

Mosca tak mocno ścisnął Prospera za ramię, że aż go zabolalo. Scipio przez chwilę nic nie mówił, a kiedy się odezwał, jego głos był nieco zachrypnięty.

- Pięć milionów lirów - powtórzył powoli. - To... uczciwa cena.

- Więcej nie mogę ci zaoferować, nawet gdybym chciał - powiedział Conte. - Przekonasz się, że to, co masz wykraść, ma wartość wyłącznie dla mnie, bo nie jest ani ze złota, ani ze srebra, tylko z drewna. Zgadzasz się?

Scipio nabrał głęboko powietrza.

- Tak - odparł. - Zgadzam się. Kiedy mamy przekazać łup?

- Och, tak szybko, jak tylko pozwolą na to twoje złodziejskie zdolności. Jestem stary i chciałbym doczekać końca poszukiwań.

Nie mam w życiu żadnego innego pragnienia poza jednym - ująć w dłonie to, co masz dla mnie zdobyć.

Jak wiele tęsknoty zabrzmiało w jego głosie! Co to może być, zastanawiał się Prosper. Do czego człowiek może aż tak straszliwie tęsknić? To przecież tylko jakiś przedmiot, jakaś rzecz. Nic żywego. Czy można tak bardzo tęsknić za czymś martwym?

Scipio spojrzał w ciemne okienko.

- W jaki sposób mam pana poinformować, że mi się udało? - zapytał. - Barbarossa powiedział, że bardzo trudno się z panem skontaktować.

- To prawda. - Z ciemności dobiegło chrząknięcie. - Ale wszystko, co potrzebne, znajdziesz w tym konfesjonale, kiedy tylko wyjdę. Zaraz zasłonię okienko, a wy policzcie, proszę, do pięćdziesięciu, zanim weźmiecie to, co dla was zostawię. Ja także chciałbym zachować swoją tajemnicę, tylko że ja nie mam maski. Dajcie mi znać o wykonaniu zadania, a następnego dnia znajdziecie moją odpowiedź u Barbarossy. Poinformuję was, kiedy wymienimy łup na pieniądze. Ale miejsce podam ci już teraz. Barbarossa zbyt chętnie otwiera cudze listy, a ten interes chciałbym załatwić bez niego. Zapamiętaj więc dobrze: spotkamy się na Sacca delia Misericordia, w niewielkiej zatoce w północnej części miasta. Potem się

dowiesz dokładniej, w którym miejscu. Jeśli nie wiesz, gdzie się znajduje Sacca delia Misericordia, znajdziesz ją na każdej mapie Wenecji. Życzę ci szczęścia, Królu Złodziei. Moje serce niezmiernie tęskni do tego, co masz dla mnie wykraść. Jest już nawet zmęczone tym wyczekiwaniem.

Conte szybkim szarpnięciem zasłonił okienko. Scipio wyprostował się, nasłuchując. Jacyś turyści przeszli obok konfesjonału, szurając butami, a przewodnik objaśniał im coś cichym głosem.

- Czterdzieści osiem, czterdzieści dziewięć, pięćdziesiąt! - doliczył Mosca, a w tym czasie turyści wreszcie się oddalili i słowa przewodnika dobiegały już z daleka.

Scipio rzucił mu rozbawione spojrzenie.

- Szybko ci poszło to liczenie - powiedział i odsunął zasłonę.

Ostrożnie, jeden za drugim, wyszli na zewnątrz.

- Ty zajrzyj, Prosper - szepnął Scipio, ustawiając się z Moscą na czatach.

Prosper ostrożnie otworzył drzwiczki przeznaczone dla księdza i wśliznął się za ciemną zasłonę. Na wąskiej ławeczce znalazł zapieczętowaną kopertę i kosz z wiklinową pokrywą. Ledwie go podniósł, coś w środku zaszeleściło. Przerażony o mało nie upuścił go na posadzkę. Kiedy wyszedł z konfesjonału, Scipio i Mosca spojrzeli zaskoczeni.

- Kosz? Co jest w środku? - szepnął Mosca nieufnie.

- Coś w nim w każdym razie szeleści. - Prosper ostrożnie unióśł pokrywę, ale Mosca z przerażeniem natychmiast ją przymknął. - Poczekaj! - syknął. - Szeleści? Może tam jest wąż?

- Wąż? - z niedowierzaniem powtórzył Scipio. - Po co Conte miałby nam dawać węża? Coś takiego zdarza się tylko w opowieściach, które wiecznie czytuje wam Osa. - Przyłożył ucho do pokrywy. - Fakt, coś szeleści. Ale też coś puka - mruknął. - Czy ktoś kiedyś słyszał o pukającym wężu?

Zmarszczył czoło i unióśł pokrywę na tyle, by zajrzeć do środka.

- A niech to! - powiedział i czym prędzej zatrzasnął wieko. - Tu jest gołąb!

Czego oni szukają w bazylice, zastanawiał się Wiktor, obserwując, jak Prosper i Mosca znikają w bocznym portalu. Raczej nie poszli oglądać mozaik. Żeby tylko nie próbowali okradać turystów, wtedy musiałbym ratować Prospera z rąk karabinierów.

Cóż, właściwie dla Estery Hartlieb nie miałyby to prawdopodobnie znaczenia. A co ważniejsze, tylko utwierdziłaby się w nie najlepszej opinii o starszym synu swojej siostry. Ale gdyby i małego przyłapano na kradzieży, z pewnością ciężko by to przeżyła.

Mały... Wiktor dyskretnie zerknął w stronę fontanny z lwami.

Prosper zostawił go pod opieką Jeża i dziewczynki. Musiał mieć do nich ogromne zaufanie, inaczej nie powierzyłby im swego ukochanego brata. Dziewczynka rozmawiała właśnie z chłopcem, usiłując go pewnie rozśmieszyć, ale mały ciągle miał bardzo ponurą minę. Podobnie jak Jeż, który spoglądał na wodę w fontannie z tak posępnym wyrazem twarzy, jakby za chwilę zamierzał się tutaj utopić.

Co powinienem teraz zrobić, rozważał Wiktor. Zmarszczył czoło i złożył gazetę. Mógłbym złapać małego, ale zanim zdążyłbym wyciągnąć legitymację detektywa, z pewnością zlinczowano by mnie jako porywacza dzieci. Nie, za dużo ludzi. Tak naprawdę jednak Wiktor nie chciał przyznać się nawet sam przed sobą, że był jeszcze jeden powód, dla którego nie chciał porywać Bo być może to śmieszne, ale uważał, że nie może tego zrobić Prosperowi. Jak by się poczuł, gdyby po wyjściu z bazyliki nie odnalazł młodszego brata?

Wiktor z westchnieniem pokręcił głową.

Nie powinienem przyjmować tego zlecenia, powróciła natrętna myśl. Do czego to może doprowadzić? Przecież podczas zabawy w chowanego nie ma miejsca na litość. I wszystkie chwytaki są dozwolone.

Złapiesz ich, szeptał mu jakiś cichy głos w głowie. Ale nie tutaj, nie przy tak wielu świadkach, tylko gdzieś na uboczu. Całkiem dyskretnie. Coś takiego trzeba dobrze przygotować.

- Właśnie! - mruknął Wiktor. - Najpierw zajmę się zbieraniem informacji. Na przykład o tej małej bandzie, z którą ci dwaj się pałętają.

Naciągnął czapkę głębiej na oczy, upewnił się, czy film w aparacie jeszcze się nie skończył, i ruszył w stronę środka placu. Nie za daleko, tylko tyle, żeby stojący przy fontannie Bo mógł go zobaczyć.

Od jednego z handlarzy, których było tu pełno, kupił paczkę ziarna. Nasypał go sobie do kieszeni kurtki, potem nabrał pełne garście i stanął z rozpostartymi ramionami.

- Cip, cip, cip, ciiiip! - zaczął nawoływać, starając się przy tym dobrodusznie uśmiechać. A pod nosem dodał: - Chodźcie tutaj, wy małe zasańce. Ale biada wam, jak zapaskudzicie mi rękawy.

No i przyfrunęły. Nad placem uniosła się chmara gołębi, cały obłok szarych piór i żółtych dziobów. Łopocząc skrzydłami, sfruwały do Wiktora i siadały na nim, na ramionach, rękach, nawet na głowie, usiłując dziobać go w czapkę. Nie było to zbyt przyjemne. Musiał przyznać, że tak naprawdę boi się wszystkiego, co trzepocze i kłuje ostrym dziobem. Ale jak inaczej zwrócić na siebie uwagę pięcioletniego chłopca?

Wiktor uśmiechał się więc, gruchał i nawoływał gołębie, jednocześnie obserwując dzieci przy fontannie.

Jeż przykucnął nieco z boku, wciąż z nadąsaną miną, i patrzył w tłum, dziewczynka schowała nos w książkę, a Bo wyraźnie się nudził.

- Spójrz tutaj, mały! - szeptał Wiktor, podczas gdy gołębie łąziły mu po głowie. - No, dalej, spójrz w stronę tego idioty, który bawi się dla ciebie w stracha na wróble!

Bo podrapał się po ufarbowanej głowie, potarł nos, ziewnął... i nagle zauważył Wiktora. Wiktora - grzędę dla gołębi. Rzucił szybkie spojrzenie dziewczynce, zobaczył, że jest całkowicie pogrążona w lekturze, i ześliznął się z krawędzi fontanny.

No wreszcie! Wiktor odetchnął z ulgą i znów nabrał w dłonie ziarna. Chłopiec zbliżał się do niego z wahaniem. Co chwila oglądał się na tamtych dwoje, minął jakieś trzy dziewczynki, które z piskiem usiłowały odgonić gołębie, i stanął przed Wiktorem, przypatrując mu się ciekawie.

Kiedy ptak siedzący na głowie Wiktora wyciągnął szyję i zastukał dziobem w szkło okularów, malec zachichotał.

- Boungiorno - powiedział Wiktor i zgonił beczelne ptaszysko z czapki. Natychmiast usiadł na niej następny ptak. Malec zmrużył oczy i przechylił głowę.

- Czy to boli?

- Co?

- Pazury. I jak puka w twoje okulary. - Mały mówił po włosku niemal tak dobrze jak Wiktor. Może nawet lepiej.

Wiktor wzruszył ramionami, gołębie wzbily się w górę, ale zaraz znów go obsiadły.

- Och - mruknął - nie jest tak źle. Lubię, kiedy tak wokół mnie fruują. - Co za wielkie, ohydne, zuchwałe kłamstwo. Ale kłamstwa zawsze przychodziły Wiktorowi łatwo. I to od najmłodszych lat. - Wiesz - mówił Wiktor, a Bo nie spuszczał z niego wzroku - kiedy słyszę trzepot tyłu skrzydeł, wtedy wydaje mi się, że ja też zaraz odfrunę. Wysoko, aż do tych złotych rumaków tam na górze.

Chłopiec odwrócił się i spojrział w kierunku uchwyconych w pędzie koni nad portalem bazyliki.

- Są ekstra, no nie? Strasznie chciałbym na jednym usiąść.

Osa mówi, że musieli im odciąć głowy, żeby je tu przywlec. Kiedy je ukradli. A potem znów je przykleili, ale odwrotnie.

- Ach tak? - Wiktor kichnął, bo jakieś piórko wpadło mu do nosa. - A mnie się wydaje, że są w porządku. Ale to i tak tylko kopie. Prawdziwe już od dawna stoją w muzeum, żeby słone powietrze ich nie zniszczyło. Lubisz gołębie?

- Nie bardzo - odparł Bo. - Przez to trzepotanie. A poza tym mój brat mówi, że jak się ich dotyka, to można złapać robaki. - Nagle Bo zachichotał. - Zobacz, jeden narobił ci na ramię.

- Przeklęte ptaszyska! - Wiktor machnął rękami z taką złością, że gołębie wzbily się wysoko w górę. Klnąc, wycierał starą serwetką zabrudzony rękaw. - Twój brat tak mówi? On chyba bardzo cię pilnuje.

- Tak. Czasami aż za bardzo.

Chłopiec spojrzał do góry na krążące gołębie, potem zerknął w stronę fontanny z lwami, gdzie siedziała Osa, wciąż zatopiona w książce, a obok Jeż chlapał ręką w wodzie. Uspokojony, znowu zwrócił się do Wiktora:

- Dasz mi trochę ziarna?

- Jasne. - Wiktor sięgnął do kieszeni i wysypał chłopcu na dłoń trochę karmy.

Malec ostrożnie wyciągnął rękę i zaraz przerażony wtulił głowę w ramiona, kiedy jeden z ptaków na niej usiadł. Ale gdy goiáb zaczął wydziobywać ziarenka z jego dłoni, Bo roześmiał się.

Słyszając ten śmiech, Wiktor na chwilę zapomniał, dlaczego stoi na środku placu z rękami pełnymi ziarna dla gołębi. Dopiero zapach lakieru do włosów, który poczuł, gdy przeszła obok jakaś kobieta z ponurą miną, przypomniał mu o zleceniu.

- Jak masz na imię? - zapytał, strzepując z kurtki szare piórko. Może zaszła jakaś pomyłka. W końcu te okrągłe dziecięce buzie podobne są do siebie jak jajka w koszyku. Może czarne jak atrament włosy są prawdziwe, może mały jest tu z przyjaciółmi i wraca dziś wieczorem do swojej mamy. Jego włoski był naprawdę bardzo dobry.

- Ja? Nazywam się Bo. A ty? - Malec znów się roześmiał na widok gołębia drepczącego po jego ramieniu.

- Wiktor.

W tej samej chwili najchętniej wymierzyłby sobie policzek.

Dlaczego, do stu diabłów, zdradził małemu swoje prawdziwe imię? Czyżby te gołębie wydziobały mu przez przypadek trochę rozumu?

- Nie jesteś trochę za mały, Bo, żeby chodzić tak całkiem sam w tym tłumie? - zapytał jak gdyby nigdy nic i dorzucił chłopcu jeszcze trochę ziaren. - Twój rodzice się nie boją, że zgubisz im się wśród tych wszystkich ludzi?

- Przecież mój brat jest ze mną - odparł Bo, patrząc z zachwytem, jak drugi gołąb siada mu na ramieniu. - I moi przyjaciele.

A ty skąd jesteś? Z Ameryki? Śmiesznie mówisz. Nie jesteś Wenecyjczykiem, prawda?

Wiktor potarł nos. Chyba któraś z tych gadzin go dziobnęła.

- Nie - odpowiedział, poprawiając czapkę. - Pochodzę trochę stąd, trochę stamtąd. Jakby po trochu z każdego miejsca. A ty skąd jesteś? - Wiktor spojrzał w stronę fontanny. Dziewczynka uniosła głowę i zaniepokojona zaczęła się rozglądać.

- Z bardzo daleka - powiedział Bo. - Ale teraz mieszkam tutaj. - Słowo „bardzo” przeciągnął, jakby chciał uświadomić Wiktorowi, jak daleko znajdowało się miejsce, z którego pochodził. - Ale tu jest o wiele ładniej - dodał, uśmiechając się do gołębi na swoim ramieniu. - Wszędzie są lwy ze skrzydłami i smoki, i anioły. Prosper mówi, że one strzegą Wenecji i nas, ale chyba nie muszą aż tak bardzo wszystkiego pilnować, bo tu nie jeżdżą samochody. Dlatego wszystko lepiej słyszać. Wodę i gołębie. I nie trzeba się bać, że zostanie się przejechanym.

- Tak, to prawda. - Wiktor uśmiechnął się. - Trzeba tylko uważać, żeby nie wpaść do kanału. - Odwrócił się. - Tam, przy fontannie, to twoi przyjaciele?

Chłopiec skinął głową.

- Wydaje mi się, że ta dziewczynka cię szuka - powiedział Wiktor. - Pomachaj jej, żeby się nie martwiła.

- To jest Osa. - Bo pomachał jej ręką, na której nie siedziały gołębie.

Uspokojona Osa usiadła z powrotem na brzegu fontanny, ale zamknęła książkę i nie spuszczała Bo z oczu. Żeby nie budzić jej podejrzeń, Wiktor postanowił znów zrobić z siebie grzędę dla gołębi.

- Mieszkam w tym hotelu nad Canal Grandę - powiedział.

Gołębie znów zaczęły go obsiadać. - A ty?

- W kinie. - Bo drgnął, gdy jeden z ptaków podrapał go pazurkami po głowie.

- W kinie? - Wiktor spojrzał na niego ze zdumieniem. - Zazdroszczę ci. Możesz całymi dniami oglądać filmy.

- Nie, nie da się. Mosca mówi, że nie ma projektora. I większości krzeseł. A ekran zżarły mole, tak że nie da się go używać.

- Mosca? To też twój przyjaciel? Więc mieszkasz z przyjaciółmi?

- Tak, wszyscy mieszkamy razem - przytaknął Bo z dumą.

Wiktor przyglądał mu się uważnie. Czy to mogła być prawda?

A może chłopiec tylko udaje takie niewiniątko. Ja nabieram się na jego anielską buzię, myślał, a on wciska mi wierutne kłamstwa.

Banda dzieciaków mieszkających razem? Tak niby to miało być?

Ale nie sprawiają wrażenia, jakby cierpieli głód albo sypiali pod mostem. No dobrze, chłopak miał pocerowane spodnie, i to dość nieporadnie, a także nie najczystszy sweter, ale to było normalne u wszystkich dzieci. W każdym razie mały wyglądał tak, jakby ktoś regularnie go czesał i mył mu uszy. Czyżby jego brat?

Może opowie mi coś jeszcze, pomyślał Wiktor, opuszczając ręce. Gołębie odfrunęły rozczarowane, a on rozmasowywał sobie obolałe ramiona.

- A może pójdziemy na lody do kawiarni? - zapytał jakby mimochodem. - Co ty na to, Bo?

Malec nagle drgnął i zmierzył go nieufnym spojrzeniem.

- Nie chodzę nigdzie z nieznanymi - oznajmił wyniośle i cofnął się o krok. - Nie pójdę bez mojego brata.

- Jasne, że nie! - powiedział szybko Wiktor. - To bardzo mądre z twojej strony.

W tej chwili zauważył, że dziewczynka siedząca na krawędzi fontanny podniosła się, wskazując w jego kierunku. Ach tak.

Wrócili tamci trzej. Chłopiec z maską na twarzy trzymał jakiś kosz, a Prosper z niepokojem spoglądał na Wiktora.

Nie może przecież mnie rozpoznać, myślał Wiktor. To wykluczone. Miałem wtedy te wąsiska. A jednak poczuł się nieswojo.

- Muszę już lecieć, Bo! - powiedział prędko, kiedy Prosper z nieufną miną ruszył w ich kierunku. - Miło się z tobą gawędziło. Zrobię ci jeszcze szybko zdjęcie. Na pamiątkę, dobrze?

Malec uśmiechnął się. Ustawił się do fotografii, ciągle trzymając na ręku gołębia. Kiedy Wiktor uniósł aparat, Prosper przyspieszył kroku. Niemal biegł. Wiktor nacisnął wyzwalacz, naciągnął, pstryknął jeszcze raz.

- Dzięki, mały. Miło było cię poznać - powiedział, gładząc Bo po atramentowoczarnych włosach. Tak, bez dwóch zdań, były farbowane.

Prospera dzieliło od nich już tylko kilka kroków. Błyskawicznie torował sobie drogę przez tłum, ani na sekundę nie spuszczał oczu z Wiktora.

- Trzymaj się i pamiętaj, nie dawaj się zapraszać obcym na lody! - krzyknął Wiktor. Potem szybko się cofnął i wmieszał w najbliższą dużą grupę turystów spacerujących po placu. Wystarczyło tylko, by pochylił głowę, i już zniknął braciom z oczu. Był niewidzialny. Tak, na

tym placu każdy bez większego trudu mógł stać się niewidzialny. Wiktor szybko wepchnął czapkę do lewej kieszeni spodni, zdjął okulary, a z prawej kieszeni wyciągnął małą bródkę i okulary przeciwsłoneczne. Teraz wystarczyło je założyć ostrożnie, bez pośpiechu wrócić na miejsce, gdzie chłopcy ciągle jeszcze stali pośród chmary gołębi. Wiktor niepostrzeżenie przemknął obok, kryjąc się między pięcioma grubymi damami.

Tym razem już ich nie zgubię, pomyślał. O nie. Tym razem jestem przygotowany. A jeśli Prosper go jednak rozpoznał? Bzdura. Niby jakim sposobem? Nie był przecież żadnym cudownym dzieckiem. A tak w ogóle ciekawe, jakim jest dzieckiem.

Jego ciotka z pewnością nie miała o tym bladego pojęcia. Esterę Hartlieb interesował tylko ten malec z anielską twarzą.

Rozdzielenie obu braci nie wydawało się ani jej, ani jej mężowi czymś gorszym od oddzielenia żółtka od białka. Wiktor obserwował przez ciemne okulary, jak Prosper obejmuje młodszego brata ramieniem i coś mu energicznie tłumaczy, jak z ulgą głaszcze go po głowie i prowadzi ze sobą, nie przestając się rozglądać.

Rzeczywiście, skubaniec był nieufny.

Kochany, musisz być bardzo ostrożny, śledząc te dzieciaki, upominał sam siebie Wiktor, dyskretnie posuwając się za nimi.

Nie wolno ci po raz drugi spaprać sprawy. I nieważne, co ciotka o nim mówi. To naprawdę mądry chłopak.

Schowany za grupą skośnookich turystów, podziwiających wieżę zegarową, Wiktor zdjął kurtkę i wywrócił ją na lewą stronę. Teraz była szara, a nie czerwona. Kiedy wynurzył się zza Japończyków, Prosper i Bo stali już przy fontannie razem z przyjaciółmi. Przez chwilę rozmawiali, po czym zniknęli w jednej z uliczek odchodzących od placu.

- No to do roboty, panie detektywie - mruknął Wiktor. - Przekonamy się, gdzie nasze myszki mają swoją dziurkę.

Nie tracił czasu na rozważania, co zrobi, kiedy już wytropi, gdzie się ukrywają. Potem się będą martwić, pomyślał tylko. Potem.

I ruszył za dziećmi, zagłębiając się w płataninę uliczek.

ZŁE PRZECZUCIE

- Do diabła, Bo, czy nie mógłbyś choć raz zrobić tego, co się do ciebie mówi? - zaklął Scipio, gdy Prosper wrócił z młodszym bratem.

- Tak długo was nie było - mruknął Bo. - Nudziło mi się.

Rozejrzał się dookoła, ale Wiktora, dziadka od gołębi, nie było już w pobliżu.

- Miałam go cały czas na oku, Scip - powiedziała Osa. - Więc się nie denerwuj.

- Co macie w koszu? - Bo wsunął palce pod pokrywę, ale Prosper szybko złapał go za rękę.

- Tam jest gołąb pocztowy, więc lepiej nie wtykaj paluchów, dobra?

- Dalej, wracamy do kryjówki - ponaglił ich niecierpliwie Scipio. - Nie mam dzisiaj aż tyle czasu.

- A co ze zleceniem? - krzyknął Bo, podekscytowany skacząc za Scipiem. - Co to jest? Co mamy ukraść?

- Ciszej, do diabła! - Przestraszony Mosca zatkał mu usta. - Jeszcze nie wiemy, jasne?

- Conte dał nam kopertę - wyjaśnił Prosper po cichu - ale Scipio chce ją otworzyć dopiero w kryjówce.

- A Scipio tu rozkazuje - mruknął Riccio z ponurą miną i rękami głęboko w kieszeniach szedł obok pozostałych, zupełnie jakby cała sprawa interesowała go mniej niż bruk pod stopami.

- Kto to właściwie jest ten Conte? - Osa pociągnęła Scipia za kitkę chociaż dobrze wiedziała, że tego nie cierpi. - Powiedz chociaż troszkę, skoro nie mogliśmy tam być. Jak wyglądał? Niesamowicie?

Mosca zaśmiał się.

- Niesamowicie? Nie mamy pojęcia. Nie widzieliśmy go. A może ty widziałeś jego twarz, Scipio?

Scipio pokręcił głową.

Prosper szedł zaraz za nim, mocno ściskając rękę Bo. Co chwila spoglądał za siebie.

- Scipio... - Głos drżał mu ze zdenerwowania. - Ty... pewnie pomyślisz, że zwariowałem, ale... - znów się obejrzał - ten facet tam na placu, ten, z którym Bo rozmawiał...

- Tak? - Scipio też się odwrócił. - To pewnie jakiś turysta.

- Możliwe, ale przecież Osa powiedziała ci o tym detektywie, który śledził mnie i Riccia...

Scipio zmarszczył czoło.

- Tak, tak, to jakaś zwariowana historia, jeśli chcesz znać moje zdanie...

- Ale to prawda. I wiesz, ten facet... - Prosper gorączkowo szukał słów, podczas gdy Scipio przyglądał mu się sceptycznie. - Ja myślę, że to był znowu on. To prawda, że wydawał się zwykłym turystą, ale jak uciekał, to...

- Jaki detektyw? - przerwał bratu Bo.

Prosper rzucił mu niecierpliwe spojrzenie. Weszli właśnie na most i Scipio chłodno lustrował ludzi tłoczących się za nimi na schodach.

- Posłuchaj Prospera - powiedział Riccio. - Ten szpicel Wiktor lubi się przebierać. Może to naprawdę był on, a wtedy...

- Dziadek od gołębi też miał na imię Wiktor - wtrącił Bo i wychylił się za poręcz mostu.

- Co? - Prosper szarpnął go, obracając twarzą do siebie. - Co powiedziałeś?

W dole na wodzie kołysały się puste gondole. Zafascynowany Bo obserwował, jak gondolierzy zagadują przechodniów.

- On też miał na imię Wiktor - powtórzył Bo, nawet na chwilę nie odwracając wzroku.

- Ten dziadek od gołębi. - Nagle wyrwał się Prosperowi i zbiegi ze schodów, żeby zobaczyć, jak jedna z gondoli odbija od brzegu.

Prosper stał bez ruchu, jakby go zamurowało.

- Wiktor, ten szpicel - wyszeptał Riccio, wspiął się na palce i zatroskanym spojrzeniem omiół mrowie ludzi tłoczących się na moście.

Prosper jak gdyby raptem się ocknął, pobiegł za bratem, odciągnął go od gondoli tak gwałtownie, że Bo omal nie upadł, i trzymając go za rękę, pędem ruszył w najbliższą uliczkę.

- Hej, Prosper, poczekaj! - wrzasnął za nimi Scipio. Już po kilku chwilach dogonił braci. - Co tak zwiewacie, aż się za wami kurzy? - Bo uwolnił się z uchwytu Prospera i przysunął się do Scipia. - Chodźcie ze mną - rzekł Scipio.

Weszli do najbliższego sklepu z pamiątkami. Mosca, Riccio i Osa wcisnęli się tuż za nimi.

- Zachowujcie się, jakbyście coś oglądali - szepnął Scipio, gdy sprzedawczyni obrzuciła ich groźnym wzrokiem. - Jeśli ten facet z placu Świętego Marka naprawdę był detektywem, to ucieczka na nic się nie zda - tłumaczył po cichu Prosperowi. - Wśród tych wszystkich ludzi nawet nie zauważysz, czy nas śledzi! - Przykucnął naprzeciw Bo i położył mu rękę na ramieniu.

- A czy ten Wiktor o coś cię pytał? Tam na placu, jak karmił gołębie?

Bo skrzyżował ręce za plecami.

- Zapytał, jak mam na imię...

- Powiedziałeś mu?

Bo skinął głową.

Prosper jęknął i ukrył twarz w dłoniach.

- Co jeszcze mu powiedziałeś, Bo? - wyszeptała Osa.

Sprzedawczyni coraz częściej zerknęła w ich stronę, ale na szczęście do sklepu weszła większa grupa turystów, więc musiała się nimi zająć.

- Nie wiem - wymamrotał Bo i spojrzał na Prospera. - Czy to ciotka Estera przysłała tego detektywa? - Dolna warga zaczęła mu drżeć.

Scipio z westchnieniem spojrzał na Prospera.

- Jak wygląda ten detektyw? Ten Wiktor?

- No właśnie! - Prosper ściszył głos, kiedy zauważył, że turyści zaczynają się im przyglądać. - Tym razem wyglądał zupełnie inaczej! Był bez wąsów, ale miał za to okulary i prawie nie było mu widać oczu, bo nosił taką czapkę z daszkiem. Poznałem go, kiedy zaczął uciekać. Jak biegnie, to tak dziwnie porusza ramionami. Jak buldog.

- Hmm. - Scipio dotknął koperty od Contego, która cały czas zamknięta spoczywała w jego kieszeni, i zamyślony wyjrzał na zewnątrz przez okno wystawowe. - Jeśli to jest naprawdę detektyw, ten, który nas śledzi - mruknął - musimy go zgubić. Inaczej doprowadzimy go prosto do naszej kryjówki.

Wszyscy patrzyli na siebie z niepokojem. Mosca podniósł kosz od Contego i ostrożnie zajrzał do środka. Gołąb wyraźnie zaczynał się niecierpliwić.

- Niedługo stąd wyjdiesz - szepnął Mosca. - Jest już chyba głodny. Czy ktoś wie, co wcinają gołębie?

- Zapytaj Bo, w końcu to on karmił tę zarazę na rynku.

Scipio raz jeszcze dotknął koperty w kieszeni. Przez chwilę Prosper myślał, że zaraz ją otworzy, ale ku jego zdumieniu Scipio zdjął kurtkę, ściągnął gumkę z włosów i zabrał Mosce jego czapkę z daszkiem.

- Jeśli on to potrafi, to ja też - rzekł, zakładając czapkę. - Nie jest znów tak trudno zmienić wygląd. - Rzucił Prosperowi swoją kurtkę. - Zostaniesz tutaj z Bo. Jeśli ten szpicel was śledzi, to na pewno jest gdzieś w pobliżu i czeka, aż wyjdziecie. Stańcie spokojnie tuż przy wystawie, tak żeby można was było zobaczyć przez szybę. Mosca, ty zaniesiesz gołębia i kopertę do kryjówki.

Mosca skinął głową i ostrożnie włożył kopertę od Contego do kieszeni spodni.

- Riccio, Osa. - Scipio wskazał ręką w kierunku drzwi. - My rozejrzemy się na ulicy, może go znajdziemy. Jak był ubrany?

Prosper zastanowił się przez chwilę.

- Czerwona kurtka, jasne spodnie i taki dziwny sweter w kratkę. Na szyi aparat fotograficzny. Poza tym miał grube okulary i czapkę z daszkiem, z jakimś napisem, I love Venice czy coś takiego...

- ...i zegarek. - Bo nerwowo ssał kciuk. - Taki z księżycem.

Scipio zmarszczył czoło.

- Dobra. Zapamiętaliście wszystko?

Osa, Mosca i Riccio przytaknęli.

- No to jazda.

Po kolei wyszli z sklepu, a Prosper i Bo pełni niepokoju spoglądali na nich przez szybę.

- Ale on był miły - wymamrotał Bo.

- Nie da się poznać tak od razu, czy ktoś jest miły - powiedział Prosper. - I nie da się też ocenić tego po wyglądzie. Ile razy mam ci to powtarzać?

WIKTOR DOSTAJE LANIE

Wiktor stał kilka metrów od sklepu, do którego weszły dzieci.

Żeby nie rzucać się w oczy, odwrócił się plecami, ale dzięki odbiciu w szybie wystawowej po przeciwnej stronie ulicy mógł przez cały czas obserwować drzwi.

Co oni tam knują, zastanawiał się, przestępując niecierpliwie z nogi na nogę. Czyżby zamierzała kupować jakieś pamiątki? Albo może ten zamaskowany chce sobie sprawić nową maskę?

Wtem ze sklepu wyszła dziewczynka. Osa - tak nazwał ją Bo.

Znudzona rozejrzała się, spojrzała na gondole na przystani obok mostu i wolno ruszyła w tamtym kierunku. Po niespełna minucie sklep opuścił chłopiec z czarnymi włosami, trzymający w ręku kosz. Pomaszerował w przeciwnym kierunku. O, do diabła. Co to ma znaczyć? Dlaczego teraz się rozdzielają? No, nie szkodzi, ci dwaj najważniejsi nadal są w sklepie, pomyślał Wiktor i poprawił okulary przeciwsłoneczne. Następny wyszedł chłopiec z fryzurą na jeża i podskakując na jednej nodze, dotarł do pobliskiej cukierni, z której po całej ulicy rozchodziły się wspaniałe zapachy.

Stanął i przycisnął nos do szyby. Pewnie w ich zachowaniu nie ma nic dziwnego. Po prostu muszą wracać do swoich domów, żeby zjeść i odrobić lekcje. Opowieść Bo o przyjaciółkach, którzy mieszkają razem w opuszczonym kinie, należałoby włożyć między bajki. Nawet lepiej. Jak już ta cała reszta zniknie, to ci dwaj których Wiktor szukał, zostaną. Oni przecież nie mają domu.

Mieszka w kinie. Ze swoimi przyjaciółmi. Też coś! Niezłe, bajki umie ten mały opowiadać, trzeba mu to przyznać. Zadowolony z obrotu sprawy Wiktor oglądał swoje odbicie w szybie. Zaraz zaraz, a któż to wyszedł teraz ze sklepu? Kolejny szczeniak. Którego jeszcze brakuje? Oczywiście, tego w masce. Ale on wyglądał przecież zupełnie inaczej. Wiktor zmarszczył czoło. Chłopiec powstał chwilę przed sklepem, rozejrzał się dookoła i schylił się, aby zawiązać sznurowadło. Potem się wyprostował, spojrzał na słońce i pogwizdując, przemaszerował obok gondolierów, którzy nadal polowali na klientów. Tak, Wiktor też wolałby teraz siedzieć w gondoli, zamiast wystawać na ulicy. Poduszki w łodziach są takie miękkie, a kołysanie powoli sunącej łódki wprawia człowieka w tak cudownie senny nastrój. Słysząc wtedy tylko pluskanie wody uderzającej o mury i pale, prawdziwy szept starego miasta.

Z głębokim westchnieniem Wiktor przymknął na moment oczy, po czym gwałtownie je otworzył.

- Scusi! - usłyszał nagle za sobą czyjś głos.

Odwrócił się.

Chłopiec, który jeszcze przed chwilą przyglądał się gondolom, stał teraz tuż przed nim. I uśmiechał się. Miał wąską twarz i bardzo ciemne oczy, tak ciemne, że aż prawie czarne. Wiktor zdjął okulary przeciwsłoneczne, żeby go lepiej widzieć. Czy to był ten chłopak w masce, który na placu Świętego Marka paradował przed innymi jak jakiś kogut?

- Czy może mi pan powiedzieć, która godzina? - zapytał chłopiec, uważnie lustrując przy tym jego sweter w kratkę.

Wiktor spojrzał na zegarek.

- Szesnasta trzydzieści - burknął.

Chłopiec skinął głową.

- Dziękuję. Ale ma pan fajny zegarek. Czy pokazuje też, która jest teraz godzina na Księżycu? patrzył na Wiktora z wyraźną kpiną. Czego on chce ode mnie?

Ma pewno coś knuje, pomyślał Wiktor. Szybko rzucił okiem na klep z pamiątkami i uspokoił się, widząc, że Prosper i Bo wciąż toia za szybą i z ogromnym zainteresowaniem przyglądają się przedmiotom leżącym na wystawie, jakby to były co najmniej skarby z Pałacu Dożów.

- Czy jest pan Anglikiem?

- Nie, Eskimosem, nie widać? - warknął Wiktor, po czym przesunął dłonią po niewielkiej, fałszywej bródce. Z przerażeniem poczuł, że się częściowo odkleiła.

- Eskimos? To ciekawe. Oni rzadko tu do nas przybywają - powiedział chłopiec i jakby nigdy nic poszedł sobie.

Oniemiały Wiktor stał, szarpiąc sztuczną bródkę.

- Szlag by to trafił! - mruknął z wściekłością. Odwrócił się i desperackim ruchem odkleił to cholerstwo od skóry.

Wtedy zobaczył w szybie, że dziewczynka wślizguje się z powrotem do sklepu.

Rozejrzał się. Chłopiec z fryzurą na jeża też już nie przyklejał nosa do szyby cukierni, a ten z czarnymi oczami w ogóle gdzieś zniknął. Przecież nie mogli mnie rozpoznać! Niemożliwe. W tej chwili zdziwiony zobaczył w szybie, jak cała grupka spokojnie wychodzi ze sklepu z pamiątkami. Z Prosperem i Bo w środku.

Żadne z nich nawet nie spojrzało w jego stronę, ale śmiali się i szeptali coś między sobą, a Wiktor miał dość nieprzyjemne uczucie, że śmieją się właśnie z niego. Bez pośpiechu dzieci podążyły w kierunku Rialto.

Wiktor raz jeszcze rzucił swojemu odbiciu w szybie bezradne spojrzenie, po czym ruszył za nimi. Przezornie, w bezpiecznej odległości, ale tak, by nie stracić ich z oczu. Nie miał żadnego doświadczenia w śledzeniu dzieci. To paskudnie nieprzyjemne zadanie, stwierdził. Dzieciaki są przecież małe i dużo łatwiej je zgubić, a do tego tak prędko poruszają się na tych swoich krótkich nóżkach. Uliczka, którą szły, była długa, a one wcale nie sprawiały wrażenia, że chcą gdzieś skręcić. Od czasu do czasu jedno z nich odwracało się, ale Wiktor był już ostrożny. Wszystko zdawało się w najlepszym porządku aż do chwili, gdy z jednej z kafeterii wytoczyły się grube stare matrony, które śmiejąc się i kłócąc, zablokowały tłustymi tyłkami prawie całą ulicę, tak że aż trudno było przejść. Wiktor, cedząc niezbyt przyjazne słowa, precisnął się obok, wyciągnął szyję, szukając dzieciaków, i wpadł prosto na dziewczynkę. Tę samą, którą widział już zaczytaną przy fontannie. Na dziewczynkę, która wyszła ze znużoną miną ze sklepu z pamiątkami, nie zaszczycając Wiktora nawet jednym spojrzeniem. Tak, to ona. Bo nazywał ją Osą.

Teraz patrzyła na niego wrogo swymi szarymi oczami i zanim Wiktor pojął, co się dzieje, przyskoczyła do niego i uderzając piąstkami w jego kraciasty sweter, zaczęła głośno krzyczeć cienkim głosem:

- Proszę mnie puścić! Ty świntuchu! Nie, nie pójdę z panem!

Wiktor był tak wytrącony z równowagi, że przez chwilę stał, jakby go całkiem zamurowało, i tylko spoglądał na nią z góry. Potem spróbował ją odsunąć od siebie, ale nie puszczała jego kurtki, dalej okładając go pięściami. Ludzie zaczęli się zatrzymywać, podejrzliwie obserwując całą scenę.

- Nic nie zrobiłem! - ryknął wreszcie osłupiały Wiktor. - Nic, zupełnie nic!

I zobaczył z przerażeniem, jak jakiś pies rzuca się na niego z dzikim szczekaniem, a dzieci zriikają w następnej przecznicy.

- Stać! - wrzasnął Wiktor. - Stać, wy małe załgane diabły!

Jeszcze raz spróbował odepchnąć od siebie dziewczynkę, ale wtedy coś łupnęło go w tył głowy z taką siłą, że aż się zatoczył.

Zanim odzyskał równowagę, wokół niego stały już tłuste matrony i waliły go wielkimi torebkami po głowie. Wiktor, rozzłoszczony, zaczął krzyczeć, zasłaniając się rękami. Ale dziewczynka nie przestawała wyć na całe gardło, matrony nie przestawały młócić go torebkami, a pies wściekle szarpał zębami jego kurtkę. Tłum dookoła stawał się coraz gęstszy. Rozdepczą mnie, pomyślał rażony Wiktor. W tej samej chwili poczuł, że ktoś odrywa mu prawy rękaw od kurtki. Rozdepczą jak robaka. Upadł na kolana, ale na szczęście dopchali się

do niego karabinierzy i pomogli mu wstać, podczas gdy setka głosów usiłowała im wytłumaczyć całe zajście.

Wiktor zorientował się, że dziewczynka zniknęła. Przepadli też bez śladu jej przyjaciele.

KOPERTA OD CONTEGO

- Ale daliśmy mu popalić - powiedziała Osa, kiedy już wszyscy znaleźli się bezpiecznie w kryjówce. Miała głębokie zadrapanie na policzku, u grubej kurtki brakowało jej dwóch guzików, a mimo to śmiała się z całego zajścia. - I zobaczcie, co sobie w tym całym zamieszaniu wzięłam. - Z dumą wyjęła spod kurtki portfel Wiktora i rzuciła go Prosperowi. - Tylko się nie denerwuj, może dowiesz się czegoś więcej o tym facecie.

- Dzięki - wymamrotał Prosper i nie zastanawiając się długo, zaczął przeszukiwać przegródki: kilka rachunków z jakiejś rościccerii w San Polo, paragon z supermarketu, bilet wstępu do Pałacu Dożów. Rzucił wszystko na podłogę. W rękach trzymał tylko licencję detektywa i wpatrywał się w nią ze stężałą twarzą. Osa zajrzała mu przez ramię.

- A więc mieliście rację - powiedziała. - To prawdziwy detektyw.

Prosper tylko kiwnął głową. Sprawiał wrażenie tak załamane, że Osa nie wiedziała, jak go pocieszyć.

- Ojej, spróbuj po prostu o nim zapomnieć! - powiedziała.

Lekko drżąc, wyciągnęła rękę i pogłaskała Prospera po twarzy. Ale on zdawał się tego nie zauważać. Oprzytomniał dopiero wtedy, gdy podszedł do niego Scipio.

- Dlaczego jesteś taki smutny? - zapytał Król Złodziei i położył mu dłoń na ramieniu. - Przecież udało się, zwialiśmy mu.

Sprawdźmy wreszcie, co jest w kopercie od Contego, dobra?

Prosper skinął głową i wsunął portfel Wiktora do kieszeni.

Scipio uroczyście przeciął kopertę scyzorykiem, podczas gdy pozostali tłoczyli się przed nim na składanych krzesłach, z napięciem go obserwując.

- Mosca, a gdzie jest gołąb? - spytał Scipio, wyciągając z koperty zdjęcie i złożoną kartkę papieru.

- Siedzi cały czas w koszu, ale wrzuciłem mu trochę okruszków - odpowiedział Mosca. - A ty skończ, do diabła, to przeciągać! Przeczytaj, co jest na kartce!

Scipio zaśmiał się, rzucił pustą kopertę na podłogę i rozprostował kartkę.

- Dom, w którym mam złożyć wizytę, stoi przy Campo Santa Margherita - powiedział.

- A tutaj jest jego plan. Czy kogoś to interesuje?

- Dawaj go tu! - powiedziała Osa, a Scipio podał jej kartkę.

Osa przyjrzała się rysunkowi i po chwili przekazała go dalej, Mosce. Scipio oglądał w tym czasie zdjęcie, które razem z kartką znalazł w kopercie. Patrzył na nie trochę bezradnie, jakby nic z tego nie rozumiał.

- Co tam jest? - dopatrywał się niecierpliwie Riccio.

- No, mów, Scipio!

- Wygląda to jak jakieś skrzydło! - mruknął Scipio. - Co o tym sądzicie?

Fotografia wędrowała z rąk do rąk i wszyscy wpatrywali się w nią tak samo zdumieni jak Król Złodziei.

- Tak, to chyba skrzydło - stwierdził Prosper, gdy już obejrzał zdjęcie do góry nogami i z boku. - I chyba z drewna, tak jak powiedział Conte.

Scipio wziął zdjęcie i znów na nie spojrzał.

- Pięć milionów lirów za jakieś złamane drewniane skrzydło?

Mosca z niedowierzaniem pokręcił głową.

- Ile? - spytali prawie równocześnie Osa i Riccio.

- To cała góra pieniędzy, prawda? - westchnął Bo.

Prosper przytaknął.

- Scip, sprawdź dobrze kopertę - powiedział. - Może jest tam jeszcze coś, co wszystko wyjaśni.

Scipio skinął głową i podniósł kopertę. Zajrzał do środka i wyjął małą karteczkę, gęsto zapisaną z obu stron.

- Skrzydło na załączonej fotografii - przeczytał - to skrzydło, którego szukam. A przynajmniej podobne jest do niego jak dwie krople wody. Ma około siedemdziesięciu centymetrów długości i trzydziestu szerokości. Biała farba, którą kiedyś zostało pomalowane, zszarzała już, a złoto, którym pokryte były niegdyś pióra, też pewnie już prawie odpadło. U nasady skrzydła powinny znajdować się dwa długie metalowe bolce, każdy o średnicy dwóch centymetrów.

Scipio podniósł głowę. Jego twarz zdradzała rozczarowanie.

Widać Królowi Złodziei nawet przez myśl nie przeszło, że to, co miał ukraść dla tajemniczego Contego, co sprawiło, że jego głos dosłownie drżał z pożądania, było tylko kawałkiem drewna.

- Może Conte ma takiego precudownego aniołka z drewna - zaczęła snuć przypuszczenia Osa. - Wiecie, takiego, jakie stoją w kościołach. Takie anioły są bardzo cenne, ale tylko jak mają oba skrzydła, a ten jego najwidoczniej stracił jedno.

- Hmm, nie wiem. - Mosca pokręcił z powątpiewaniem głową i podszedł, by jeszcze raz spojrzeć na zdjęcie. - Co tam jest w tle? - zapytał. - Wygląda jak drewniany koń, ale jest zupełnie rozmazany...

Scipio odwrócił kartkę i zmarszczył czoło.

- Poczekaście, tam jest coś jeszcze. Słuchajcie: Pokoje mieszkalne Casa Spavento leżą, jak mi doniesiono, w większości na pierwszym piętrze. Tam też prawdopodobnie ukryte jest skrzydło.

Przypuszczalnie nie ma żadnego systemu alarmowego, lecz w domu mogą być psy. Pospiesz się, mój przyjacielu! Czekam na wiadomość od ciebie z wielką niecierpliwością. Karm gołębicę ziarnem i pozwól jej trochę polatać w twym domu. Sofia to bardzo przyjazne i godne zaufania stworzenie.

Scipio w zamyśleniu upuścił kartkę.

- Sofia, jakie śliczne imię - powiedział Bo i zajrzał do kosza.

- Tak, ale lepiej trzymaj swoje kotki z daleka od niej - roześmiał się Mosca. - Inaczej mogą ją zjeść, nie zważając na to prześliczne imię.

Malec spojrział przerażony i czym prędzej schylił się i sprawdził, czy przypadkiem któryś z kociaków nie zakradł się do kosza.

Potem przycisnął rączkami wiklinową pokrywę.

- Drewniany anioł! - Riccio zmarszczył nos i wetknął palce do buzi. Często dokuczały mu zęby, ale dzisiaj ból był wyjątkowo silny. - Co ja gadam, nie żaden anioł, tylko jedno skrzydło. Coś takiego ma być warte pięć milionów lirów?

Osa wzruszyła ramionami.

- Jakoś mi się to wszystko nie podoba - powiedziała. - Ta cała tajemniczość i do tego jeszcze Rudobrody macza w tym palce.

- Nie, nie, Rudobrody to tylko pośrednik. - Scipio wciąż jeszcze oglądał zdjęcie. - Gdybyś słyszała Contego! - wymamrotał. - On jest całkiem zwariowany na punkcie tego skrzydła. Jemu wcale nie chodziło o to, że dostanie za nie dużo forsy... nie. W tym musi tkwić coś innego. Prosper, masz jeszcze moją kurtkę?

Prosper rzucił mu ją. Król Złodziei z westchnieniem wciągnął ją na ramiona.

- Trzymaj, Osa, i dobrze to schowaj, najlepiej w naszej skrytce na pieniądze - powiedział, podając jej kartkę, zdjęcie i plan. - Muszę lecieć. Nie będzie mnie w mieście trzy dni. Poobserwujcie przez ten czas dom, w którym jest skrzydło. Musimy wszystko wiedzieć: kto wchodzi i wychodzi, jakie zwyczaje mają mieszkańcy, ilu tam bywa gości, kiedy dom stoi pusty, którędy można niepostrzeżenie wejść i co z tymi psami. No wiecie, tak jak zawsze.

Sprawdźcie też, czy drzwi oznaczone są na planie we właściwych miejscach. Podobno tam jest ogród, to powinno ułatwić zadanie.

A ty, Prosper... - Scipio jeszcze raz się odwrócił - i Bo, starajcie się w najbliższych dniach nie opuszczać kryjówki. Co prawda, sędzę, że na dobre już zgubiliśmy tego detektywa, ale nigdy nic nie wiadomo... - Scipio założył maskę na twarz.

- Poczekaj - powiedział Riccio i zastąpił mu drogę. - Czy możemy ci jakoś pomóc przy zleceniu? To znaczy nie tylko przy obserwacji, ale też przy samym włamaniu... nie chciałbyś tak wyjątkowo wziąć nas ze sobą? My, my... - Riccio aż się zachłysnął z emocji - moglibyśmy stać na straży albo pomóc ci przenieść to skrzydło. Na pewno jest ciężkie. To nie żadne szczypce do cukru czy kolia, czy coś w tym rodzaju! Tego nie możesz po prostu wepchnąć do worka! Co... o tym myślisz?

Scipio przysłuchiwał mu się, stojąc bez ruchu, z twarzą zakrytą maską. A kiedy Riccio skończył, patrząc na niego wzrokiem pełnym niespokojnego wyczekiwania, Król Złodziei przez dłuższą chwilę milczał. W końcu wzruszył ramionami i rzucił krótko:

- W porządku!

Riccio był tak zaskoczony, że patrzył tylko na niego z otwartymi ustami.

- Dlaczego nie? - ciągnął Scipio. - Włamiemy się razem!

Oczywiście ci, którzy zechcą.

Spojrzał na Prospera, ale ten milczał.

- Ja na pewno pójdę z tobą! - krzyknął Bo i podniecony zaczął skakać wokół Scipia. - Ja się mogę wczolgiwać przez dziury, w których wy byście utknęli, i skradam się ciszej niż wy, i...

- Uspokój się, Bo! - Głos Prospera zabrzmiał tak ostro, że przestraszony malec natychmiast zamilkł. - Ja z wami nie idę, Scip. Ja tak nie mogę. Poza tym muszę pilnować Bo, rozumiesz, prawda?

- Pewnie - przytaknął Scipio, ale wyraźnie było widać, że jest rozczarowany.

- A co do tego detektywa - powiedział Prosper przytłumionym głosem - to w jego portfelu znalazłem wizytówkę mojej ciotki. Teraz chyba już jasne, że nas śledził. Riccio się nie pomylił, facet nazywa się Wiktor Getz i mieszka w San Polo.

- Nieprawda. On mieszka w hotelu nad Canal Grandę - zaprotestował Bo i rzucił bratu złowrogie spojrzenie. - I ja też pójdę ukraść to skrzydło. Nie możesz mi ciągle rozkazywać, nie jesteś moją mamą.

- Co ty mówisz! - Osa położyła mu ręce na ramionach. - Prosper ma rację. Taka kradzież to niebezpieczna sprawa. Ja też jeszcze nie wiem, czy się przyłączę. Ale dlaczego myślisz, że ten detektyw mieszka w hotelu nad Canal Grandę?

- Zostaw mnie! A wiem, bo sam mi to powiedział. - Bo odepchnął jej rękę i rozpaczliwie wciągnął powietrze, żeby tylko się nie rozplakać. - Jesteście podli, wszyscy, wszyscy jesteście podli!

Mosca zaczął go łaskotać, licząc, że uda mu się doprowadzić małego do śmiechu, ale Bo uszczypnął go w rękę.

- Posłuchaj mnie, Bo! - Prosper przykucnął przed bratem i z zatroskaną twarzą obrócił go do siebie. - Coś mi się zdaje, że całkiem miło sobie pogawędziłeś z tym Wiktorem. Czy powiedziałeś mu coś jeszcze? Na przykład o naszej kryjówce?

Bo zagryzł wargę.

- Nie - burknął, ale nie patrzył na Prospera. - Przecież nie jestem taki głupi.

Prosper spojrzał z ulgą na pozostałych.

- Chodź, Bo - powiedziała Osa i przyciągnęła chłopca do siebie. - Pomożesz mi gotować makaron. Jestem głodna.

Z grobową miną Bo poczłapał za nią, ale jeszcze przedtem zdążył wszystkim pokazać język.

Przez trzy dni Wiktora bolała głowa. Ale zdecydowanie mocniej niż guzy doskwierała urażona duma. Wykiwany przez bandę dzieciaków! Ilekroć o tym pomyślał, zgrzytał zębami. Karabinierzy potraktowali go jak pospolitego bandziora i zawlekli na posterunek. Wrzeszczeli, jakby miał zamiar tej smarkuli zrobić jakąś krzywdę. A do tego, gdy chciał im zatkać gęby swoją licencją detektywa, okazało się, że gówniarze zwinęli mu portfel.

Koniec. Koniec z wszelkim współczuciem, jakie miał dla nich.

Dość tego!

Przykładając do głowy worek z lodem i ogrzewając kwarcówką przeziębione żółwie, Wiktor cały czas rozmyślał, jak odnaleźć tę bandę. Przywoływał w pamięci każde słowo, które wypowiedział Bo, aż jedno z nich rozbrzmiało jak dzwon kościelny.

Kino.

Mieszkamy w kinie.

A jeśli to była prawda? A jeśli to nie była tylko fantazja malca?

Wiktor nic nie wspomniał karabinierom o zagadkowej informacji Bo, pomimo że teraz i oni szukali dzieciaków. Zwłaszcza gdy okazało się, że ukradły mu portfel, a on naprawdę jest detektywem, za którego się podawał. Ale Wiktor nie chciał, żeby to policja znalazła małych złodziejasków. O nie, to ja ich dorwę, myślał, siedząc na dywanie i drapiąc żółwie

po chropowatych plecach. - Jeszcze się zdziwią, kiedy okaże się, że nie jestem takim starym idiotą, za jakiego mnie brali.

Cholera! Jeden z żółwi zaczął nieładnie pokastywać. Jeśli się nie mylił, to chyba była Paula. Weterynarz uważał, że nie zarazi Landa, siedziały więc sobie razem w jednym pudle, choć już oczywiście nie na balkonie - noce stawały się coraz zimniejsze - ale pod biurkiem. To nawet lepiej, że nie muszę ich rozdzielać, pomyślał Wiktor. Jeszcze by poumieraly z samotności.

Kino...

Co jeszcze Bo opowiadał? Że brakuje krzeseł i że nie ma już projektora... W takim razie musi to być kino, które już nie działa. Oczywiście. Kino, które stoi zamknięte i puste, bo właściciel jeszcze nie wie, co z nim począć. Na szczęście w Wenecji nie było zbyt wielu kin. Wiktor przejrzał książkę telefoniczną, sięgnął nawet do zeszlórocznej, i zadzwonił do wszystkich kin, które znalazł. Nawet do tych leżących już poza Wenecją, w Lido i Burano.

Najczęściej pytano, czy chce może zarezerwować bilety, ale w jednym, w Fantazji, nikt nie odebrał telefonu, a przy numerze Stelli nie było żadnego adresu. Poza tym kino figurowało tylko w książce z poprzedniego roku.

Stella i Fantazja, no proszę, i już mamy dwie kandydatki, pomyślał Wiktor i zadowolony zdecydował podgrzać sobie risotto.

Potem zaniósł przeziębionego żółwia do weterynarza, a wracając, poszedł nieco okrężną drogą, aby zajrzeć do Fantazji, w której nikt nie odbierał telefonu.

Kiedy znalazł się przed kinem, akurat rozpoczynał się wieczorny seans. Nie było żadnych tłumów. Zauważył tylko dwoje dzieci kupujących bilety i jakąś parkę, która po chwili zniknęła w ciemnościach sali projekcyjnej. Podszedł do kasy i nachylił się do okienka.

- Z przodu czy z tyłu? - zapytała bileterka, wkładając do ust gumę do żucia. - Gdzie chce pan siedzieć?

- Nigdzie - odpowiedział Wiktor. - Ale chętnie bym się dowiedział, co pani wie na temat kina Stella?

Bileterka zrobiła z gumy do żucia wielkiego balona, po czym pozwoliła mu pęknąć.

- Stella? Zamknęli je. I to już kilka miesięcy temu.

Wiktorowi serce aż podskoczyło z emocji.

- Tak, tak też myślałem - powiedział, posyłając wyraźnie zmieszanej bileterce przyjazny uśmiech. - A może zna pani adres...? - zapytał, stawiając pudełko z chorą żółwicą przy kasie.

Bileterka zrobiła kolejny balon, z zaciekawieniem spoglądając na pakunek.

- Co pan tam ma?

- Przeziębioną żółwicę - powiedział Wiktor. - Ale już czuje się lepiej. Więc zna pani ten adres?

- Mogę zobaczyć? - zapytała bileterka.

Wiktor z głębokim westchnieniem odsunął ręcznik, którym przykryte było kartonowe pudełko. Paula uniosła ze zdziwieniem łepki, spojrzała i przerażona schowała się w skorupie.

- Słodziutka - westchnęła kobieta i wyrzuciła gumę do kosza na śmieci. - Nie, niestety nie znam adresu. Ale może pan zapytać dottor Massima. To właściciel i tego kina, i Stelli. W końcu on na pewno będzie znał dokładny adres.

- Raczej tak. - Wiktor wyjął notes. - A gdzie mogę znaleźć dottor Massima?

- Fondamenta Bollani - odpowiedziała bileterka znużonym głosem. - Nie wiem, który numer, ale największy dom na tej ulicy należy do niego. To bardzo bogaty człowiek. Kina ma tylko dla przyjemności, ale mimo wszystko zamknął Stellę.

- No proszę - mruknął Wiktor i ostrożnie nakrył pudełko ręcznikiem. - Dobrze, a zatem teraz odwiedzę dottor Massima.

Czy ma pani może numer jego telefonu?

Bileterka nabazgrała coś na karteczce, po czym wręczyła ją Wiktorowi.

- Jak będzie pan z nim rozmawiał - dodała - to proszę mu posiedzieć, że prawie wszystkie bilety były wyprzedane, dobrze? go inaczej zamknie jeszcze Fantazję.

Wiktor rozejrzał się po pustym kinie.

- Nie rozumiem, o co pani chodzi, przecież kolejka stoi aż na ulicy - powiedział, po czym udał się na poszukiwanie budki telefonicznej. Jego komórka znowu była wyładowana.

- Pronto - zagrzmiął w słuchawce męski głos.

- Czy mam przyjemność z dottor Massimem, właścicielem starego kina Stella? - zapytał Wiktor.

Paula dreptała w pudełku, jakby chciała znaleźć drogę ucieczki z tego tekturowego więzienia.

- Tak, w rzeczy samej. Czy jest pan może nim zainteresowany? To proszę wpaść do mnie. Fondamenta Bollani 233. Jestem wolny jeszcze przez pół godziny.

Trzask! Zdziwiony Wiktor spojrzał na słuchawkę. Ha, ten to jest szybki, pomyślał, wychodząc z budki. Zaledwie pół godziny, a do najbliższej stacji vaporetto był kawał drogi. Mógł więc liczyć tylko na swoje mocno już obolałe nogi.

Dom dottor Massima był nie tylko największy ma Fondamenta Bollani, ale także najładniejszy. Kolumny przypominały kwiaty zastygłe w kamieniu, balustrady balkonów

zostały wykonane z najdroższego chyba marmuru, a kraty w oknach na parterze i brama były wykute w ozdobne kwiatowe ornamenty.

Drzwi otworzyła Wiktorowi służąca, która poprowadziła go między kolumnami na wewnętrzny dziedziniec. Stamtąd okazałe schody wiodły na pierwsze piętro. Dziewczyna szła tak szybko, że Wiktor nawet nie zdążył się dobrze rozejrzeć. Kiedy przechylił się nad poręczą, aby raz jeszcze rzucić okiem na dziedziniec, odwróciła się ze zniecierpliwieniem i powiedziała ostro:

- Dottor Massimo będzie mógł panu poświęcić jeszcze tylko dziesięć minut.

- A co też dottore ma takiego pilnego do roboty? - Wiktor nie mógł się powstrzymać, by nie zadać tego pytania.

Dziewczyna spojrzała na niego z nieukrywanym zdumieniem jakby spytał co najmniej o kolor jej bielizny. Potem po prostu odwróciła się i detektyw ruszył za nią, starając się nie stracić jej z oczu w labiryncie korytarzy i drzwi, przez które go prowadziła.

Cały ten cyrk z powodu jednego adresu, pomyślał. Powinienem po prostu jeszcze raz zatelefonować.

W końcu, gdy już prawie zabrakło mu tchu, a Paula z całą pewnością przeżywała atak choroby morskiej, służąca zatrzymała się przed drzwiami tak wysokimi, że mogłyby służyć olbrzymowi, i zapukała.

- Proszę - rozległ się grzmiący głos, który Wiktor już raz słyszał przez telefon. Dottor Massimo siedział za ogromnym biurkiem w swoim gabinecie, który z pewnością był większy niż całe mieszkanie Wiktora. Obrzucił swego gościa zimnym, badawczym spojrzeniem.

Wiktor odkaslnął. Poczul, że wygląda nieco śmiesznie, stojąc na progu tego wspaniałego gabinetu, z pudełkiem, w którym 'chrobotał żółw, i w butach, które nosiły wyraźne ślady zużycia.!

Poza tym w tak wysokich pomieszczeniach zawsze miał wrażenie, że jeszcze się kurczy.

- Dzień dobry, dottore - powiedział. - Nazywam się Wiktor Getz. Rozmawialiśmy przez telefon. Niestety, tak szybko odłożył pan słuchawkę, że nie zdążyłem wytłumaczyć, o co chodzi. Nie przyszedłem tutaj, żeby kupić od pana to kino, tylko...

Zanim zdążył dokończyć, za jego plecami otworzyły się drzwi.

- Tato - rozległ się chłopiący głos. - Boję się, że kotka jest chora...

- Scipio! - Twarz dottor Massima spurpurowiała ze złości. - Widzisz przecież, że mam gościa. Ile razy jeszcze mam ci powtarzać, że należy pukać? A gdyby to byli goście z Rzymu? Jak by to wyglądało? Mój syn przerywa nam rozmowę z powodu jakiejś chorej kotki?

Wiktor odwrócił się i spojrzał prosto w czarne, przestraszone oczy.

- Z nią chyba naprawdę jest niedobrze - mruknął chłopiec, gwałtownie pochylając głowę.

Wiktor i tak go rozpoznał. Chłopak nadal miał włosy związane w kitkę, ale czarne oczy nie błyszczały już taką pewnością siebie jak podczas ich ostatniego spotkania. Bez dwóch zdań: to jednak był on - chłopiec, który pomógł uciec Bo i Prosperowi.

Xen sam, który tak niewinnie spytał Wiktora o godzinę, a potem z całą resztą bandy podstępnie go załatwił.

No cóż, świat jest pełen niespodzianek.

- Zachorowała prawdopodobnie dlatego, że miała małe - stwierdził dottor Massimo znudzonym głosem. - Szkoda nawet tracić pieniądze na weterynarza. Jak ta zdechnie, dostaniesz nową. - I dottore, nie zwracając już uwagi na syna, odezwał się ponownie do Wiktora. - Proszę kontynuować, signor...

- Getz - powtórzył Wiktor. Czuł, że Scipio stoi sztywno za jego plecami. - Jak już powiedziałem, nie zamierzam kupować Stelli. - Kątem oka zauważył, że Scipio gwałtownie drgnął, słysząc nazwę kina. - Piszę artykuł o kinach w mieście, chętnie włączyłbym do tego również Stellę i dlatego potrzebuję pańskiego pozwolenia, aby obejrzeć sobie to kino.

- Interesujące - powiedział dottore i spojrzał w okno, za którym widać było wodną taksówkę sunącą po kanale. - Proszę mi wybaczyć, ale właśnie przybywają już moi goście z Rzymu. Oczywiście ma pan moje pozwolenie. Stella znajduje się przy Calle del Paradiso. Proszę tylko napisać, że to wstyd dla tego miasta, że tak dobre kino musiało zostać zamknięte. Tutaj najwidoczniej rację bytu mają tylko te rzeczy, które interesują turystów.

- A właściwie dlaczego zostało zamknięte? - zapytał Wiktor.

Scipio wciąż jeszcze stał przy drzwiach, z przerażoną miną przysłuchując się rozmowie ojca z detektywem.

- Jakiś rzeczoznawca od siedmiu boleści stwierdził, że budynek może się zawalić! - Dottor Massimo podniósł się zza swego wielkiego biurka, podszedł do szafki z mnóstwem szuflad i wysunął jedną z nich. - Grozi zawaleniem! Całe miasto grozi zawaleniem - powiedział kpiącym głosem. - Zażądano ode mnie, żebym przeprowadził renowację, ale to byłoby zbyt kosztowne.

Pochłonęłoby krocie! No, gdzie jest ten klucz? Przecież zarządca przyniósł go tutaj kilka miesięcy temu.

Niecierpliwie przeszukiwał kolejne szuflady.

- Scipio, jak już tu jesteś, to chodź i pomóż mi szukać.

Wiktor nie miał wątpliwości, że Scipio właśnie usiłował się wymknąć, lecz gdy dottore skinął na niego ręką, poblady i niepewny podszedł do ojca.

- Dottore! - Służąca wsunęła głowę do gabinetu. - Pańscy goście z Rzymu już czekają. Czy przyjmie ich pan w bibliotecę, czy mam ich wprowadzić tutaj?

- Już idę do biblioteki - odpowiedział cierpko dottor Massimo. - Scipio, weź, proszę, od signora Getza pokwitowanie pobrania klucza. Poradzisz sobie z tym? Na kółku przy kluczu wisi plakietka z nazwą kina.

- Wiem - mruknął Scipio, nie patrząc na ojca.

- Proszę przesłać mi kopię pana artykułu, kiedy tylko się ukaże - powiedział jeszcze dottore, mijając w pośpiechu Wiktora.

Gdy zostali sami, w pokoju zapanowała grobowa cisza. Scipio stał przy otwartej szufladzie i niespokojnie obserwował Wiktora niczym mysz kota. Nagle ruszył w kierunku drzwi.

- Chwileczkę! - krzyknął detektyw i skoczył za nim. - Dokąd to? Czyżbyś chciał ostrzec przyjaciół? Nie ma potrzeby. Nie zamierzam ich przecież zjeść. Nawet ich nie oddam policji, mimo że zwinęli mi portfel. Nie obchodzi mnie, że w kinie swojego ojca utrzymujesz jakąś bandę. To nie moja sprawa! Mnie interesują tylko dwaj bracia, których przygarnąłeś: Prosper i Bo.

Scipio przez chwilę patrzył na niego bez słowa, po czym wyszczał pogardliwie:

- Żałosny szpicel!. potem pochylił się i z taką siłą szarpnął za dywan, na którym stał Wiktor, że ten stracił równowagę i z impetem klapnął na tyłek. Z trudem udało mu się utrzymać w rękach pudło z zółwicą.

Scipio tymczasem pobiegł jak strzała w kierunku drzwi. Wiktor rzucił się w bok, usiłując złapać go za nogę, ale chłopak bez trudu dał susa nad leżącym detektywem. Zanim Wiktor wstał, już go nie było.

Miotając pod nosem przekleństwa, Wiktor rzucił się w pogoń tak szybko, jak tylko pozwalały mu na to jego krótkie nogi. Ale gdy ciężko dysząc, zatrzymał się przy balustradzie, Scipio właśnie zeskakiwał z ostatnich stopni.

- Stój, ty mały szczurze! - ryknął Wiktor, a jego wrzask odbił się echem. Dwie przerażone pokojówki wybiegły na dziedziniec.

- Stój! - Wiktor wychylił się za balustradę, aż zrobiło mu się niedobrze. - Jeszcze was dorwę! Słyszysz?!

Ale Scipio pokazał mu tylko język i wybiegł z domu.

- No to podsumujmy - mruknął Mosca i pochylił się nad szkicem, który dostali od Contego. - Dotychczas widzieliśmy troje ludzi wychodzących i wchodzących do domu: grubą gosposię, jej męża i blondynkę...

- Signore Idę Spavento - wyjaśnił Riccio. - Początkowo myśleliśmy, że signora Spavento to właśnie ta gruba, a blondynka to jej córka, ale facet, do którego należy kiosk na Campo Santa Margherita, jest strasznie gadatliwy. Opowiedział mi, że młodsza to Ida Spavento, a gruba to gosposia. Ta cała signora Spavento mieszka tam sama, ale często wyjeżdża. Facet z kiosku uważa, że jest fotograficzką. Nawet podetknął mi pod nos gazetę ze zdjęciami Wenecji, które niby miała zrobić. W każdym razie wychodzi i wraca o bardzo różnych porach. Gosposia przychodzi do domu między szóstą a siódmą, a jej mąż zazwyczaj przed południem i na szczęście nie zostaje długo. Ten facet jest okropny, wygląda, jakby zjadał na śniadanie małe dzieci.

- No - potwierdził Mosca, uśmiechając się.

- A więc przez cały dzień ktoś jest w domu - ciągnął Riccio. - I wieczorami też - westchnął. - No tak, wieczorami, niestety, wcale nie wygląda to lepiej. Wydaje się, że signora Spavento lubi wychodzić tylko w dzień, a wieczorem w ogóle nic nie robi. Ale rzyńajmniej wczesnie kładzie się spać. Najpóźniej o dziesiątej gaśnie światło w jej sypialni.

- Jeśli to jej sypialnia - powiedziała Osa. Wcale nie wyglądają na zachwyconą raportem Riccia. - Jeśli, jeśli, jeśli... Jeśli to skrzydło jest gdzieś na pierwszym piętrze, jeśli Ida sypia na drugim, jeśli tam naprawdę nie ma alarmu... Jak na mój gust, za dużo jest tego „jeśli”. A co z psami?

- Małe szczekacze. - Riccio lekceważącego wypchnął językiem gumę do zucia przez szparę między zębami. - I najwyraźniej należą do gosposi. Zazwyczaj zabiera je ze sobą do domu.

- Zazwyczaj! - Osa wzniosła oczy do góry.

- Oj, co tam! - Mosca machnął lekceważąco ręką. Jeśli ich nie weźmie, to rzucimy im kielbasę.

- No tak, ty doskonale się na tym znasz! - mruknęła Osa, nerwowo bawiąc się kosmykiem włosów.

Ona też już miała na swoim koncie kilka kradzieży w sklepach, na przystankach vaporetti, w ulicznym ścisku, ale wśliznąć się do czyjegoś domu to już zupełnie inna sprawa. I nawet jeśli Riccio i Mosca traktowali to jak wielką przygodę, Osa wiedziała, że boją się tak samo jak ona.

- Czy ktoś już nakarmił gołębicę? - zapytała i strzepnęła piórko z nogawki spodni. Od kiedy po ich kryjówce latał ten ptak, wszędzie wokół leżały pióra. Mosca zawiesił na ścianie stary kosz i gołębicę często w nim siadywała, obserwując kocięta Bo.

- Ja ją nakarmiłem - krzyknął Bo, który w kącie grał z Prosperem w karty. - Jest całkiem oswojona. Wystarczy wyciągnąć rękę, a już przylatuje.

- Może powinniśmy tej gadzinie dawać trochę mniej żarcia - mruknął Riccio. - Zafajdała tu już wszystko, nawet moje komiksy.

Mosca jeszcze niżej pochylił się nad szkicem. Wodził palcem po rysunku korytarzy, by mieć pewność, że się nie zgubi, gdy z latarką będzie przemykać się po obcym domu.

- Skąd właściwie Conte miał ten szkic? - wymamrotał.

Osa wzruszyła ramionami.

- Czy mógłby mi ktoś podać filiżankę z guzikami?

Riccio był najbliżej.

- Jeżeli szybko nie wypierzesz spodni - powiedziała Osa, nawlekając igłę - to następnym razem sam będziesz musiał przyszywać guziki.

Riccio pokornie spojrzał na swoje gołe nogi.

- Ale ja mam tylko te jedne. W drugich jest dziura.

- Od kiedy przejmujesz się dziurami? - zakpił Mosca. Nagle zamilkł i wyprostował się. - Cisza! - szepnął. - Czy to był dzwonek?

Nadstawili uszu. Mosca miał rację. Ktoś pociągał za sznur dzwonka przy wyjściu awaryjnym.

- Scipio miał przyjść dopiero jutro! - szepnęła Osa. - Poza tym on zawsze wślizguje się swoimi tajnymi drogami.

- Zapytam o hasło - powiedział Prosper i poderwał się z podłogi. - Zostań tutaj, Bo.

Pognał nieoświetlonym korytarzem do wyjścia awaryjnego. Po przygodzie z detektywem Mosca wywiercił w drzwiach dziurę, żeby mogli sprawdzać, kto za nimi stoi. Teraz jednak na dworze było już tak ciemno, że Prosper nie mógł nic dojrzeć.

- Nie słyszycie? Wpuście mnie do środka! - wołał jakiś głos.

- Wpuście mnie w końcu, do diabła!

Prosper był przekonany, że przez szum deszczu i łomotanie usłyszał też czyjś płacz.

- Scipio? - zapytał z niedowierzaniem.

- Tak, do diabła!

Prosper nerwowo odsunął rygiel i do środka wpadł przemoczony do suchej nitki Scipio.

- Zarygluj drzwi, szybko! - wyrzucił z siebie. - No dalej, pospiesz się!

Zdezorientowany Prosper szybko zasunął rygiel.

- Myśleliśmy, że przyjdiesz dopiero jutro - powiedział. - Dlaczego nie wśliznąłeś się jak zwykle?

Scipio oparł się o ścianę, ciężko dysząc.

- Musicie stąd zniknąć. I to natychmiast! - krzyknął. - Czy wszyscy są na miejscu?

Prosper przytaknął.

- Co to znaczy? Co znaczy, że musimy stąd zniknąć?

Ale Scipio gnał już ciemnym korytarzem. Prosper ruszył za nim z bijącym sercem. Gdy Scipio wpadł do sali kinowej, wszyscy spojrzeli na niego jak na kogoś obcego.

- Co ci się stało? - zapytał osłupiały Mosca. - Wpadłeś do kanału? I skąd masz takie szpanerskie ciuchy?

- Nie ma teraz czasu na żadne wyjaśnienia! - wrzasnął Scipio.

Głos załamywał mu się ze zdenerwowania. - Ten szpicel wie, że tutaj jesteście. Łapcie najpotrzebniejsze rzeczy i wiejemy.

Patrzyli na niego wstrząśnięci.

- Nie gapcie się tak na mnie! - krzyknął Scipio. Jeszcze nigdy nie widzieli go tak wzburzonego. - Ten gość zaraz wejdzie tutaj głównym wejściem, rozumiecie? Może wkrótce będziemy mogli tu wrócić, ale teraz, proszę was, uciekajmy!

Nawet nie drgnęli. Riccio spoglądał na Scipia z rozdziawionymi ustami. Mosca marszczył czoło z niedowierzaniem, a Osa tuliła przestraszonego Bo. Pierwszy oprzytomniał Prosper.

- Łap koty, Bo! - powiedział. - I weź kurtkę przeciwdeszczową. Na dworze leje.

Podbiegł do materaca, na którym sypiał z Bo, i kilkoma ruchami zgarnął ich skromny dobytek do reklamówki. Dopiero teraz inni także się ruszyli.

- Ale dokąd pójdziemy? - zapytał Riccio zrezygnowanym głosem. - Przecież słyszeliście, że pada. I jest zimno. Nic nie rozumiem. Jak ten szpicel nas znalazł?

- Riccio, uspokój się! - uciszyła go Osa. - Pozwól mi się zastanowić. - Puściła Bo i obróciła się do Moski. - Usiądź przy okienku biletera i daj znać, gdybyś usłyszał coś podejrzanego przed wejściem. Te rupiecie, którymi zabarykadowaliśmy główne drzwi, powinny go trochę zatrzymać. Ale obawiam się że nie na długo.

- Już lecę. - Mosca wetknął szkiełko od Contego do kieszeni spodni i wybiegł przez wielkie drzwi.

- Przyniosę pieniądze, które nam jeszcze zostały - mruknął Scipio i nie patrząc na nikogo, pobiegł za Moscą.

Mały Bo bez słowa włożył zaspane kociaki do pudełka. Kiedy zobaczył, że Riccio leży zrezygnowany na swoim posłaniu i szlocha, podszedł do niego i delikatnie pogładził go po skołtunionych włosach.

- Co my teraz zrobimy? - szlochał Riccio. - Co zrobimy, do diabła?

Osa pakowała do reklamówek swoje ulubione książki, co chwila ocierając spływające po twarzy łzy.

- Stójcie! - krzyknęła nagle. - Właśnie wpadłam na pewien zwariowany pomysł. Chcecie posłuchać czy wolicie, żebym się zamknęła?

Wiktor sam nie mógł uwierzyć, że potrafi aż tak szybko biegać. Dzięki Bogu wiedział, gdzie jest Calle del Paradiso, i nie musiał szukać na planie miasta. Mimo to Scipio miał nad nim dużą przewagę. I mógł się założyć, że z każdym krokiem stawała się coraz większa. Ciężko sapiąc, pędził dalej wąskimi uliczkami.

Boże, ileż by dał za szybkie dziecięce nogi! Kiedy wreszcie skręcił w uliczkę, przy której znajdowało się kino dottor Massima, czuł się, jakby przebiegł ze sto mostów. Z daleka zobaczył wielkie neonowe litery. Przy jednym L brakowało co prawda kawałka, ale napis wciąż dało się odczytać: STELLA. W gablocie przy drzwiach wejściowych wisiał wyblakły plakat. Na brudnej szybie ktoś narysował serce.

Ciężko dysząc, Wiktor pokonał dwa stopnie prowadzące do drzwi. Spróbował zajrzeć przez szybę, ale była od wewnątrz oklejona papierem. Pewnie te ptaszki już dawno stąd wyleciały, pomyślał, a jego serce wciąż biło stanowczo zbyt szybko. Nie miał wątpliwości, że przywódca zdążył ich ostrzec. Czy syn bogatego dottor Massima pasował do tej bandy? Wiktor byłby gotów założyć się o swoją kolekcję sztucznych bród i wąsów, że nie tylko Prosper i Bo, ale też wszyscy inni byli uciekinierami: chudzielec z językiem i zepsutymi zębami, brunet w przykrótkich spodniach i dziewczynka ze smutną buzią. Co oni wszyscy mieli wspólnego z pociechą dottor Massima?

- Nieważne! - mruknął Wiktor, postawił pudełko z żółwią obok drzwi i wyciągnął z kieszeni pęk wytrychów. Zamek żaluzji na drzwiach otworzył bez wysiłku, jednak same drzwi sprawiły mu już nieco więcej problemów. Kiedy w końcu pokonał i ten zamek, stwierdził, że wejście zostało zabarykadowane całą górą rupieci. Zaklął tak głośno, że w domu po drugiej stronie ulicy jakiś starszy człowiek otworzył okno i zaciekawiony wychylił głowę.

- Buonasera! - krzyknął Wiktor - Va tutto bene, signore. Soltanto... ehm, soltanto una revisione!

Mężczyzna mruknął coś niezrozumiale i zatrzasnął okno.

Miną godziny, zanim się przez to przebiję, pomyślał detektyw i napał na drzwi całym ciężarem ciała. Po pięciu uderzeniach ramię rozbolało go niemiłosiernie, ale szpara w drzwiach była już wystarczająco szeroka, żeby mógł wcisnąć się do środka. W skąym świetle latarki torował sobie drogę wśród śmieci, kluczył między połamanymi krzesłami, skrzynkami po owocach i kawałkami desek. Wokół panowała zupełna ciemność i Wiktor omal nie dostał zawału, gdy tuż przy kasie wpadł na plastikowy manekin, przedstawiający chłopca z karabinem maszynowym.

Zaklął pod nosem, przesunął manekin na bok i ruszył w kierunku wahadłowych drzwi, za którymi powinna znajdować się sala kinowa. Ostrożnie je otworzył i zaczął nasłuchiwać. Cisza. Słyszał tylko swój oddech, ciągle jeszcze urywany. Oczywiście! Tak jak myślał. Uciekli.

Niepewnie zrobił kilka kroków i nagle wydało mu się, że dobiegł go jakiś dźwięk. Zupełnie cichutki. To pewnie myszy, pomyślał i zadrżał. Owszem lubił myszy, ale nie wtedy, gdy niewidoczne harcowały w ciemnościach. Powoli przesunął snop światła padający z latarki. Rzędy krzesel. Zastona. Faktycznie, normalne kino. Z zaciekawieniem zaczął rozglądać się wokół. Nagle coś biało-szarego zatrzepotało i ruszyło w jego kierunku, muskając mu twarz. Z krzykiem upuścił latarkę. Szybko się opanował i nerwowo zaczął macać w ciemnościach, starając się ją odnaleźć.

Znalazł, zapalił i oświetlił to coś... gołąb! Cholerne ptaszysko!

Wiktor przesunął ręką po twarzy, jakby mógł w ten sposób odegnać niepokój. Miał wrażenie, że gołąb też się nieco uspokoił, bo wzbił się wyżej i usiadł w koszu zamocowanym na ścianie.

Uff, ładna niespodzianka, pomyślał Wiktor. Moje serce mogło tego nie wytrzymać. Odetchnął głęboko i ruszył dalej. Wielka, ciemna sala była naprawdę schronieniem dla kilkorga bezdomnych dzieciaków. Młody Massimo ukrył ich w pustym kinie należącym do ojca. W świetle latarki zamigotała zastona wisząca przed ekranem. A jeśli nawet teraz oni się tu gdzieś ukrywają?

Zrobił jeszcze jeden krok do przodu i czubkiem buta dotknął materaca. Za ostatnim rzędem krzesel znajdował się właściwie cały skład - materace, koce, poduszki, książki i komiksy, a nawet przenośna kuchenka.

Psiakrew! Ten mały nie kłamał! Jest dokładnie tak, jak powiedział: mieszka w kinie ze starszym bratem i przyjaciółmi. No proszę, seans dla dzieci. Dorosłym wstęp wzbroniony.

W świetle latarki pojawiały się po kolei pluszowy miś, zajaczek, wędki, skrzynka z narzędziami, stos książek i plastikowy miecz wystający ze śpiwora. Na ścianie i na oparciach krzeseł przyklejano zdjęcia i obrazki powycinane z gazet i komiksów. Plakaty.

Gwiazdki. Naklejki. Nad jednym z legowisk ktoś namalował na ścianie duże kolorowe kwiaty, ryby, łódzie, flagę piracką.

Wiktor znalazł się jakby w pokoju dzieciennym. W gigantycznym pokoju dzieciennym. Ja bym pewnie dostał po łapach, gdybym narysował na tapecie piracką flagę, pomyślał. Przez chwilę zapragnął położyć się na jednym z materacy, zapalić rozstawione dookoła świece i zapomnieć o wszystkim, co wydarzyło się od dnia jego dziewiątych urodzin aż do dzisiaj. I wtedy znów usłyszał ten dźwięk.

Włosy zjeżyły mu się na karku.

Ktoś tutaj był. Z całą pewnością. I to bez wątpienia człowiek Obecność człowieka odczuwa się inaczej niż obecność zwierzęcia. Inaczej niż gołębia czy myszy.

Wiktor zapomniał o materacach i przysunął się do składanych krzeseł. Czy te dzieciaki naprawdę były aż tak głupie, żeby bawić się z nim w chowanego? A może myślały, że nie wie, jak się w to bawić, bo jest już dorosły?

- Muszę was rozczarować! - powiedział głośno. - Zawsze byłem dobry w zabawie w chowanego. I przy zaklepywaniu zawsze byłem pierwszy. Chociaż mam krótkie nogi. Więc możecie się od razu poddać.

Jego głos, niosący się echem w sali kinowej, brzmiał obco.

- Co wy sobie myślicie?! - ryknął, oświetlając latarką najbliższe rzędy krzeseł. - Że ja tu będę w nieskończoność biegał?

I skąd macie pieniądze na życie? Z kradzieży? Myślicie, że długo jeszcze będzie się wam tak udawało? Dobra, to nie moja sprawa, mnie interesują tylko ci dwaj bracia. Dla starszego jest już przygotowane miejsce w internacie, dla młodszego znalazł się nawet dom. Prawdziwy dom. Jedzenia do syta, łóżko, normalne życie. W takich warunkach można nawet znieść tę odrobinę lakieru do włosów.

Do diabła, co ja wygaduję, pomyślał Wiktor i aż się zatrzymał.

To wcale nie zabrzmiało zbyt zachęcająco. Poza tym jest już chyba nieco za stary, żeby w ciemnym kinie bawić się z bandą dzieciaków w chowanego.

- Te, Wiktor, złap mnie! - krzyknął nagle jakiś głos. Cienki głos. Znajomy. Na błyszczącej zasłonie pojawiło się wybrzuszenie. - Czy ty właściwie masz pistolet?

Spomiędzy fałd wynurzyła się kruczo czarna czupryna Bo.

- Oczywiście. - Wiktor wymownym gestem wsunął rękę pod marynarkę. - Chcesz zobaczyć?

Malec powoli wyszedł ze swojej kryjówki. Stał z przekrzywioną głową, bacznie przyglądając się Wiktorowi. Gdzie też chowa się Prosper, jego starszy brat? Wiktor spojrzął na lewo, na prawo, rzucił okiem do tyłu, lecz zewsząd patrzyła na niego tylko ciemność.

- Wcale się ciebie nie boję - powiedział Bo. - To na pewno tylko plastikowa zabawka.

- No proszę, tak myślisz? - Wiktor wykrzywił twarz w uśmiechu. - Sprytny jesteś.

Nie spuszczał małego z oczu, ale przez to nie mógł obserwować rzędu krzeseł tuż obok. I gdy zorientował się, że z lewej i prawej strony coś się porusza, było już za późno. Nagle rzuciło się na niego pięcioro dzieci. Zwaliły go z nóg, przewróciły na ziemię i usiadły mu na brzuchu. Mimo że próbował się wyrwać i kopał na wszystkie strony, nie zdołał się uwolnić. Latarka wypadła mu z ręki i tocząc się po podłodze, oświetlała kolejne fragmenty sali. Miał wrażenie, że rozpoznaje dziewczynkę, tę, która poszczuła na niego matrony z torebkami. Trzymała go teraz mocno za prawe ramię, na lewym wisiał chłopiec z czarnymi włosami, a dwóch innych, pewnie Prosper i ten z językiem, uczepliło się jego nóg. Na klatce piersiowej, ze złośliwym i kpiarskim uśmiechem, mrużąc oczy, usiadł mu Scipio i mocno ścisnął go kolanami, jak narowistego konia.

- Ty cholerny smarkaczu! - wrzasnął Wiktor. - Ty...

Dalej już po prostu nie mógł nic wykrztusić, bo Scipio wepchnął mu między zęby szmatę. Jakaś śmierdząca, wilgotna ścierega, która cuchnęła kotami.

- Co robisz? Czy nie powinniśmy go najpierw przesłuchać? - zapytał chłopak z czarną czupryną. - Przecież nie wiemy, czy on faktycznie szuka tylko Bo i Prospera.

- Właśnie! - Drugi, ten z językiem, nerwowo wypychał język przez szparę między zębami. - Spytajmy go, jak nas tu znalazł.

- Po co? I tak będzie tylko kłamał - powiedział Scipio. - Lepiej go związać.

Powyciągali więc wszelkie sznurki, liny i paski, po czym obwiązali Wiktora tak, że wyglądał jak kokon. Jedyne, co mógł robić, to wywracać wściekle oczami.

- Tylko nie zrób mu krzywdy, dobrze? - To był Bo. Pochylił się nad nim z zatroskaną twarzą i niespodzianie się roześmiał. -?a bawnie wyglądasz, Wiktor. Naprawdę jesteś detektywem?

- Tak, naprawdę, Bo. - Prosper odciągnął młodszego brata na bok, pochylił się i przeszukał kieszenie jeńca. - Telefon - powiedział - i... faktycznie! - Ostrożnie wyciągnął pistolet Wiktora. - Popatrzcie, a ja myślałem, że robi nas w konia.

- Daj, schowam go. - Osa wzięła broń tak ostrożnie, jakby się bała, że w każdej chwili może eksplodować.

- Sprawdźcie, co jeszcze ma przy sobie! - rozkazał Scipio.

Przez chwilę stał zamyślony nad więźniem. - Tak, tak, panie detektywie. Nigdy nie zadzieraj z Królem Złodziei. - Potem skinął na pozostałych. - Dalej, zamknijcie go w męskiej toalecie.

NOCNA WIZYTA

Położyli mu kocyk na zimnej posadzce. Dobrze i to. Mimo wszystko było to zdecydowanie nieprzyjemne. Jeszcze nigdy nic takiego go nie spotkało. Pojmany i związany! Więziony w jakimś starym kinie przez bandę dzieciaków! A synalek dottor Massima tak szybko wetknął mu knebel między zęby, że nawet nie zdążył powiedzieć tym małym bandziorom, że zostawił przed drzwiami pudełko z biedną, przeziębioną żółwicą.

Mijały godziny, a Wiktor wciąż myślał o tym samym: powinienem to przewidzieć! Powinienem to przewidzieć już wtedy, gdy w biurze pojawiła się ta długonosa Estera w kanarkowożółtym płaszczu. Żółty zawsze przynosił mu pecha.

Już chyba po raz dwudziesty usiłował dosięgnąć prawego obcasa, w którym miał ukryte narzędzia przydatne w sytuacjach awaryjnych, gdy nagle za jego plecami otworzyły się drzwi. Tak cichutko, jak gdyby skradający się chciał, żeby pozostało to niezauważone. Co to miało znaczyć? Pewnie nic dobrego.

Zaniepokojony spróbował się odwrócić. Ktoś zaśwycił mu latarką prosto w oczy, a potem ukląkł obok na kraciastym kocu.

Prosper.

Wiktor odetchnął z ulgą. Właściwie sam nie wiedział, dlaczego mu ulżyło, bowiem w wyrazie twarzy Prospera trudno było dostrzec choćby cień przyjaźni. Dobrze chociaż, że wyciągnął mu z ust cuchnący knebel. Wiktor splunął, żeby pozbyć się obrzydliwego posmaku.

- Czy wasz czarnowłosy herszt pozwolił ci na to? - zapytał. - Założę się, że chciał mnie otruć tą szmatą.

- Scipio nie jest naszym szefem - odpowiedział Prosper i pomógł Wiktorowi usiąść.

- Nie? Ale tak się zachowuje. - Z jękiem oparł się o wilgotną ścianę. Był tak odrętwiały, że czuł każdą kość. - Nie rozwiążesz mi rąk, prawda?

- A czy wyglądam na frajera?

- Nie. Ale też nie jesteś chyba tak bezwzględny, na jakiego wyglądasz - mruknął Wiktor. - Dlatego, proszę, przynieś mi pudełko, które zostawiłem przed kinem.

Prosper spojrział na niego nieufnie, ale poszedł spełnić jego prośbę.

- Nawet nie wiedziałem, że żółwie należą do wyposażenia detektywa - powiedział, stawiając pakunek na podłodze obok Wiktora.

- No proszę, do tego dowcipniś, co? Wyciągnij ją! Mam nadzieję, że wszystko z nią w porządku. Inaczej będziecie mieli duże kłopoty.

- Już mamy. - Prosper ostrożnie podniósł żółwicę z piasku, którym było wysypane dno pudełka. - Wygląda na nieco wysuszoną.

- Zawsze tak wygląda - mruknął Wiktor. - Ale potrzebuje świeżej sałaty, wody i krótkiego spaceru. No, daj jej trochę pochodzić po posadzce.

Prosper wykrzywił twarz w uśmiechu i zrobił to, o co go Wiktor prosił.

- Ma na imię Paula. A jej małżonek siedzi teraz samiutki jak palec pod moim biurkiem i pewnie się martwi.

Wiktor poruszył palcami u stóp, aż nieprzyjemnie trzasnęło.

- O niego też musicie się zatroszczyć, jeśli macie zamiar trzymać mnie tu związanego jak rolmopsa.

Tym razem Prosper nie mógł powstrzymać chichotu. Mimo że starał się odwrócić twarz, Wiktor i tak to dostrzegł.

- Jeszcze coś? - zapytał chłopiec.

- Nie. - Wiktor usiłował znaleźć jakąś wygodniejszą pozycję, ale na nic się to nie zdało. - No, więc zacznijmy pogawędkę, przecież po to tu przyszedłeś, prawda?

Prosper nerwowo przesunął dłoń po włosach i zaczął nasłuchiwać. Zza drzwi dobiegło ich ciche chrapanie.

- To Mosca - powiedział. - Właściwie to on powinien trzymać wartę, ale śpi jak niemowlę.

- Po co warta? - Wiktor nie mógł powstrzymać ziewnięcia. - Dokąd niby mógłbym uciec, owinięty jak mumia?

Prosper nie zareagował. Położył latarkę na ziemi i wpatrywał się z uwagą w swoje paznokcie.

- Szukasz mnie i mojego brata, prawda? - zapytał, nawet nie spoglądając na Wiktora. - Moja ciotka cię wynajęła.

Wiktor wzruszył ramionami.

- Przecież wiesz, bo twoja mała przyjaciółka zwinęła mi portfel. Z całą pewnością znalazłeś w nim moją wizytówkę.

Prosper przytaknął.

- Jak ciotka Estera wpadła na to, że jesteśmy w Wenecji? - Prosper oparł czoło na kolanie.

- Kosztowało to trochę czasu i dużo pieniędzy, jak się wyraził twój wuj. - Wiktor złapał się na tym, że patrzy na chłopaka ze współczuciem.

- Jeślibym na pana nie wpadł, nigdy by nas pan nie znalazł.

- Pewnie tak. Wasza kryjówka jest naprawdę nadzwyczajna.

Prosper rozejrzał się.

- Scipio ją wyszukał. I dba też o to, żebyśmy mieli dość pieniędzy na życie. Bez niego byłoby ciężko. Wcześniej Riccio kradł. Mosca, Osa i on znają się już długo, ale nie szło im dobrze, dopóki nie spotkali Scipia. Tylko niechętnie o tym mówią. Kiedy tu przyjechaliśmy, Osa nas znalazła i zaciągnęła tutaj, a Scipio przygarnął. - Prosper uniósł głowę. - Po co ja to panu mówię? Przecież jest detektywem i na pewno już pan o tym wszystkim wie, prawda?

Ale Wiktor potrząsnął głową.

- Twoi przyjaciele mnie nie obchodzą - powiedział. - Miałem dopilnować tylko tego, żebyście wy obaj, ty i twój brat, znaleźli się z powrotem w domu. Nie przyszło ci do głowy, że Bo jest za mały, żeby dać sobie radę bez rodziców? Co będzie, jak ten cały Król Złodziei, jak sam siebie lubi nazywać, przestanie się o was troszczyć? Albo jak złapie was policja? Chciałbyś, żeby twój brat wylądował w jakimś sierocińcu? A co do ciebie, czy nie lepiej byłoby w internacie robić kawały jakiemuś nauczycielowi, niż? w wieku dwunastu lat bawić się w ciuciubabkę z dorosłymi?

Na twarzy Prospera pojawił się wyraz gniewu.

- Dobrze się troszczę o Bo. Czy wygląda na nieszczęśliwego?

Jak mi tylko pozwolą, to będę na nas obu zarabiał.

- No to musisz szybko zacząć - odparł Wiktor.

Prosper schował głowę w ramionach.

- Chciałbym już być dorosły - mruknął.

Wiktor z cichym westchnieniem oparł głowę o zimną ścianę.

- Dorosły. Mój Boże! Chcesz, to zdradzę ci pewną tajemnicę.

Ile razy widzę w lustrze moją starą twarz, zawsze się dziwię. Wiktor, mówię wtedy do siebie, ależ ty wyrosłeś. Jako dzieciak też zawsze chciałem być dorosły. Raz sobie nawet uwarzyłem czarodziejski eliksir z kremu do golenia, piwa i innych mocno pachnących rzeczy, których używał mój ojciec. Nie zadziałało. Boże, ależ było mi po tym niedobrze. Myślę jednak, że twój brat całkiem dobrze się bawi, będąc dzieckiem.

- Już ciotka Estera zadba o to, żeby przestał się tak dobrze bawić - burknął Prosper. - Ona zupełnie nie wie, co to radość.

Ani ona, ani jej mąż.

- Pewnie masz rację - westchnął Wiktor. - Wydaje mi się, że wasza matka i jej siostra nie były do siebie zbyt podobne, co?

Prosper potrząsnął głową.

- O rety, a gdzie jest żółwica? - Przestraszony poderwał się i otworzył drzwi do jedynej kabiny. Po chwili Wiktor usłyszał, jak cicho nawołuje Paulę. - Chodź tutaj! Dokąd się wybierasz? Tam nie ma już nic do odkrycia.

- Myślę, że powinniśmy zakończyć jej spacer - powiedział Wiktor, gdy Prosper wrócił, trzymając w ręku żółwicę. - Na tych zimnych płytkach tylko zmarzną jej łapki. A to z całą pewnością nie pomoże jej na przeziębienie.

- Racja - mruknął Prosper. Włożył Paulę ostrożnie do pudełka i przysiadł z powrotem na kocu obok Wiktora.

- Pan też ma brata? - zapytał.

Wiktor potrząsnął głową.

- Nie. Nie mam rodzeństwa. Zawsze mi się wydawało, że rodzeństwo nieźle może dać się we znaki.

- Czasami tak. - Prosper wzruszył ramionami. - Chociaż ja i Bo zawsze się dobrze znosiliśmy. Okej, prawie zawsze. Do diabła! - Przetarł oczy rękawem. - Jeszcze chwila, a zacznę ryczeć.

Wiktor chrząknął.

- Ciotka powiedziała, że przyjechaliście tutaj, bo wasza matka dużo wam opowiadała o Wenecji.

Prosper wytarł nos.

- Racja - powiedział przyciszonym głosem. - Dużo nam opowiadała. I wszystko jest dokładnie tak, jak mówiła. Kiedy tu przyjechaliśmy, kiedy już wysiedliśmy z pociągu, nagle poczułem strach, że może ona sobie to wszystko wymyśliła. Te domy na palach, wodne ulice, lwy ze skrzydłami. Ale to wszystko prawda.

Zawsze mówiła, że świat jest pełen cudów.

Wiktor zamknął na chwilę oczy.

- Słuchaj, Prosper - powiedział zmęczonym głosem. - Może mógłbym porozmawiać z waszą ciotką... żeby wzięła was obu...

Nagle Prosper błyskawicznie zasłonił mu usta dłonią. Ktoś stał przy drzwiach, ale nie Mosca, gdyż jego miarowe chrapanie Przez cały czas było wyraźnie słychać.

- Zmykaj stąd, Bo! - syknął Prosper, dojrawszy przez szparę kruczoczarną czuprynę. - Czego tu szukasz? Natychmiast wracaj do łóżka!

Ale Bo już był w środku.

- A co ty tutaj robisz, Prosper? - wymamrotał sennie. - Chcesz wrzucić Wiktora do kanału?

- Co ci przyszło do głowy? - Prosper ze zdumieniem spojrzął na brata. - Dalej, do łóżka.

Jednak Bo wszedł i zamknął za sobą drzwi.

- Też mogę trzymać wartość jak Mosca - powiedział i niemal wdepnął w pudełko żółwicy. Przestraszony szybko cofnął nogę.

- Pan pozwoli - powiedział dwornie Wiktor. - To jest Paula.

- Cześć, Paula - mruknął Bo i wcisnął się na koc pomiędzy Prospera i Wiktora. Zamyślony zaczął dłubać w nosie. - Dobry z ciebie kłamczuch, co? - zwrócił się wreszcie do Wiktora. - Naprawdę chcesz nas złapać dla Estery? My przecież nie należymy do niej.

Wiktor patrzył zamyślony na czubki swoich butów.

- Cóż, dzieci muszą do kogoś należeć - mruknął.

- A ty należysz do kogoś?

- To co innego.

- Dlatego, że jesteś dorosły, co? - Malec zająrzył do pudełka, ale ukryta w swoim pancerzu Paula nie zainteresowała go. - Prosper dba o mnie - powiedział. - I Osa. I Scipio.

- Tak, tak, Scipio - warknął Wiktor. - Czy on jeszcze tutaj jest, ten wasz Scipio?

- Nie, on tu nie nocuje. - Bo wzruszył lekceważąco ramionami, jakby Wiktor powinien o tym wiedzieć. - Scipio ma dużo roboty. On jest straaaaaasznie sprytny. Dlatego... - mały pochylił się i ściszył głos do szeptu - dostał zlecenie od Contego. Prosper nie chce się przyłączyć, ale ja...

- Zamknij się, Bo! - przerwał mu Prosper, ściskając jego rękę. - To nie pana sprawa - zwrócił się do Wiktora. - Powiedział a11) że inni pana nie interesują. Więc co ma znaczyć to wypytywanie o Scipia?

- Ten wasz Król Złodziei... - zaczął Wiktor.

Ale Prosper odwrócił się do niego plecami.

- Już czas, Bo, żebyś poszedł spać - powiedział i pociągnął brata w stronę drzwi. Ale malcowi udało się w końcu wyrwać.

- Poczekaj. Mam pomysł! - krzyknął. - Rozwiążmy Wiktora, a on pójdzie do ciotki Estery i powie jej, że spadliśmy z mostu i już nie ma nas co szukać, bo jesteśmy martwi. I tak mu zapłaci, bo przecież to nie jego wina, że byliśmy tacy głupi i zlecieliśmy z mostu. No i jak ci się to podoba, Prop?

- Mój Boże, Bo! - Prosper aż jęknął. Niecierpliwie popchnął małego do wyjścia. - Nikt go nie wrzuci do kanału, ale też nikt go stąd nie wypuści. Nawet jeśli by przyrzekł na wszystkie świętości, że nas nie zdradzi. Takiemu typowi nie można wierzyć.

- Jakiemu niby typowi? - krzyknął za nimi Wiktor, ale Prosper zdążył już zamknąć drzwi.

Wiktor znów pozostał sam w ciemności, czując zimne kafelki pod plecami. Przynajmniej wiem, że nie wrzucą mnie do kanału, pomyślał. Miło z ich strony. I nie mam już knebla. W umywalce nad jego głową kapał kran, a za drzwiami wciąż chrapał trzymający wartę Mosca. Czy Estera Hartlieb uwierzyłaby, że ci dwaj spadli z mostu? Na pewno nie.

W końcu Wiktor usnął.

- No to co robimy ze szpiclem? - zapytał Riccio.

Prosper kupił na śniadanie świeży chleb, ale nikt jakoś nie miał apetytu. W nocy spokojnie spali tylko Bo i Mosca, który jakby nigdy nic chrapał na warcie, dopóki Riccio nie przyszedł go zmienić. Osa piła już trzecią filiżankę kawy, bo całą noc męczył ją ten sam koszmar: sfera malutkich, tłustych psów gonila ją po obcym domu, a za każdymi drzwiami czekał przeraźliwie wielki, uśmiechający się szyderczo karabinier, który wyglądał zupełnie jak Wiktor.

- Zgaś papierosa, Riccio! - warknęła zmęczona Osa. - To niezdrowe dla Bo, ile razy mam ci to powtarzać?

Riccio z ponurą miną zgasił papierosa na podłodze.

- No to co robimy? - powtórzył. - Przez całą noc nie zmrużyłem oka przez tego gościa, który leży w toalecie.

- A co mamy robić? - Mosca wzruszył ramionami. - Puścimy go dopiero wtedy, kiedy Scipio znajdzie dla nas nową kryjówkę.

Scipio mówi, że jak zechcemy, to za całą tę kasę będziemy mogli sobie kupić wyspę na lagunie.

- Ale ja nie chcę żadnej wyspy! - Riccio skrzywił się z obrzydzeniem. - Chcę zostać tutaj, w mieście, a nie każdego dnia pływać kołyszącą się łódką! Ohyda!

- Wytłumacz to Scipiovi - przerwała mu Osa i spojrzała na zegarek - - Za dwie godziny jesteśmy z nim umówieni, zapomniałeś?

- A ja jestem za wyspą! - Mosca podniósł się z westchnieniem.

- Moglibyśmy łowić ryby. I hodować warzywa...

- Łowić ryby, ohyda! - Riccio pogardliwie zmarszczył nos. - Sarn je sobie jedz. Ja nie jem ryb z laguny. Śmierdzą od tych wszystkich ścieków, które fabryki pompują do morza.

- Co ty gadasz! - Mosca pokazał mu język i wstał. - Zaniosę kawę naszemu więźniowi. Czy może raczej mam mu zanieść wodę i spleśniały chleb?

- To i tak byłoby dla niego za dobre! - krzyknął Riccio. - Dlaczego jesteście dla niego tacy mili? To przez niego musimy szukać nowej kryjówki! A przecież to jest nasz... - zawahał się - nasz dom. Najlepszy dom, jaki kiedykolwiek mieliśmy. A on nam go odbiera! I za to ma jeszcze dostać kawę?

Pozostali milczeli przygnębieni. To była przerażająca myśl - opuścić kino na zawsze. Riccio miał rację. Tu czuli się bezpiecznie, mimo że nocą sala wypełniała się czarnymi cieniami i zaczynało się już robić tak zimno, że ich oddechy zamieniały się w mgiełkę. Ale to była ich Kryjówka pod Gwiazdami, ich schronienie przed deszczem i zimnem, i przed nocą. Bezpieczna jak forteca. Tak im się przynajmniej wydawało.

- Znajdziemy sobie coś innego - mruknął Mosca, nalewając do kubka resztkę kawy. - Coś tak samo dobrego. A może nawet lepszego.

- Ach tak? - Riccio z ponurą miną wpatrywał się w gwiazdzistą kurtynę. - Ale ja nie chcę szukać niczego lepszego. Dlaczego Po prostu nie wrzucimy go do kanału? To byłoby najlepsze! Po co za nami węszyć?

- Riccio! - Osa spojrzała na niego w osłupieniu.

- Przecież mam rację! - Głos Riccia zrobił się piskliwy ze złości, a do oczu napłynęły mu łzy. - Przez tego drania tracimy naszą kryjówkę! Nie znajdziemy drugiej takiej! Nieważne, co Scipio mówi o pieniądzach i o wyspie. To wszystko brednie! Ten szpiCei tak po prostu sobie przyszedł, a my musimy pakować nasze ma natki i wynocha na ulicę! Przecież to szaleństwo!

Wszyscy milczeli. Nikt nie znajdował odpowiednich słów.

- Jeszcze trochę - mruknął wreszcie Mosca - a zrobi się tu naprawdę paskudnie zimno.

- No to co? Na pewno nie tak zimno jak na dworze! - Riccio ukrył twarz w dłoniach, szlochając.

Patrzyli po sobie oszołomieni.

- Hej, Riccio, już dobrze! - powiedziała cicho Osa, siadając obok niego i kładąc mu rękę na ramieniu. - Najważniejsze, żebyśmy byli razem, no nie?

Ale Riccio ją odepchnął.

- Wiktor nas nie zdradzi! - oświadczył nagle Bo, nalewając swoim kotkom mleka do miseczki. - Na pewno nie.

- Ach, gadanie! - mruknął Mosca.

Do tej pory Prosper nie odzywał się ani słowem, ale teraz odchrząknął i powiedział powoli:

- Nie musicie wrzucać go do kanału, żeby tu zostać. Kiedy ja i Bo odejdziemy, nie będzie miał tu czego szukać. To przez nas macie kłopoty, więc znikniemy. I tak musimy uciec, i to bardzo daleko, bo ciotka dowiedziała się już, że jesteśmy w Wenecji.

Młodszy brat patrzył na Prospera z otwartą buzią. Osa również odwróciła się do niego wyraźnie zaskoczona.

- Bzdura! - krzyknęła. - Kompletna bzdura! Dokąd chcesz pójść? Przecież trzymamy się wszyscy razem. Wasze kłopoty to nasze kłopoty.

- Właśnie - przytaknął Mosca. - Wasze kłopoty to nasze kłopoty. Prawda, Riccio? - Dał Ricciowi kuksańca w bok, ale tamten milczał.

- Wy zostajecie tutaj, a Wiktor w toalecie - ciągnęła Osa.

Zrobimy tak, jak powiedział Scipio. Zakradniemy się do domu Idy Spavento, zwędzimy to drewniane skrzydło, przyniesiemy je temu i z pięcioma milionami lirów urządzimy się na jednej wysp na lagunie. Tak, że nikt nas nie znajdzie. Ten detektyw też. A do pływania łódką na pewno można się w końcu przyzwyczaić. Przynajmniej mam taką nadzieję - dodała. Osa czuła się na wodzie tak samo niedobrze jak Riccio.

- Ale teraz musimy nakarmić pana żółwia - powiedział Bo. - Żeby nie umarł z głodu, zanim wypuścimy Wiktora.

- Pana żółwia? - Mosca o mało nie zachłysnął się kawą.

- Mieszka pod biurkiem Wiktora - mruknął Prosper, bawiąc się w zamyśleniu plastikowymi wachlarzami Bo. - Jego żona, pani żółwiowa, siedzi w pudle w toalecie razem z Wiktorem. Musicie uważać, żeby na nią nie nadepnąć, jak będziecie tam wchodzili.

Mosca spoglądał na niego z niedowierzaniem.

- No, może nie mam racji? - Riccio był wyraźnie wściekły. - Czy ktokolwiek martwi się o zwierzęta swoich więźniów? Widzieliście kiedyś jakiś film, na którym gangsterzy karmią czyjegoś żółwia albo kota?

- Ale my nie jesteśmy gangsterami! - przerwała mu gniewnie Osa. - I dlatego nie damy żadnemu niewinnemu żółwiowi umrzeć z głodu. Dalej, Mosca, zanieś mu w końcu tę kawę.

CASA SPAYENTO

Riccio i Osa mieli spotkać się ze Scipiem na Campo Santa Margherita. Prosper zdecydował się pójść z nimi. Ponad dwa dni nie wychodził z kryjówki ze strachu przed Wiktorem i tęsknił już za świeżym powietrzem. Mosca, który ciągle jeszcze miał wyrzuty sumienia z powodu przespanej nocnej warty, z własnej woli został z więźniem, a Bo koniecznie chciał zaopiekować się samotną żółwicą. Tak naprawdę nie miał ochoty na dość długi spacer do Campo Santa Margherita.

- Dobrze, ale dopilnuj też, żeby koty nie goniły znowu gołębic - powiedziała Osa, zanim mocno pocałowała go na pożegnanie. - Jeszcze jej potrzebujemy.

- Przecież wiem - burknął Bo, a gołębica Sofia, która siedziała nastroszona na oparciu składanego fotela, jakby na podkreślenie słów Osy zrobiła biały kleks na siedzeniu.

Mosca z westchnieniem podniósł się, sięgnął po ścierkę i zabrał się do sprzątanania.

Do Campo Santa Margherita rzeczywiście było daleko. Plac znajdował się po drugiej stronie Canal Grandę, w Dorsoduro, najbardziej na południe wysuniętej części Wenecji. Otaczające go domy nie były może tak piękne i wspaniałe, jak w innych częściach miasta, ale większość z nich miała już ponad pięćset lat, tu małe sklepiki, kawiarnie, restauracje, każdego ranka odbywał się targ rybny, a na samym środku placu stał kiosk z gazetami.

- To od jego właściciela Riccio tyle się dowiedział o Idzie Spavento. Dzwonnicy na Santa Margherita pilnował kamienny smok i Riccio twierdził, że kiedyś spędzano tu byki i niedźwiedzie, tak jak na Campo San Polo na północy miasta.

Kiedy dotarli wreszcie na miejsce, zwykle tętniący życiem plac wydawał się niemal wymarły. W tak zimny, ponury dzień krzesła przed kawiarniami stały puste; widać było tylko kilka kobiet z dziecięcymi wózkami. Na ławkach pod nagimi drzewami siedzieli starzy mężczyźni i markotnie spoglądali w niebo, które przypominało rozciągnięte nad miastem szare prześcieradło. Nawet tynk na domach wyglądał tego dnia na swoje lata. Wydawał się brudny i jakby bez życia.

Dom, w którym mieli niedługo złożyć nocną wizytę i którego plan śnił się nocami nie tylko Mosce, dziś także zdawał się nie pamiętać już lepszych dni. Nikt chybaby się nie domyślił, że za jego murami koloru ochry kryje się skarb wart dla kogoś pięć milionów lirów. Ogród z tyłu domu mógł znaleźć jedynie ten, kto wiedział o jego istnieniu. Można było dojść do niego przez ciasno zabudowaną uliczkę, a wejście do środka było tylko czarną dziurą między Casa Spavento a sąsiednim domem.

Riccio i Mosca już wcześniej zbadali tę uliczkę. Wdrapali się nawet na mur, za którym znajdował się ogród, i obejrzeni nagie grządki i posypane żwirem dróżki. Riccio zamierzał zakraść się tam raz jeszcze, ale ze Scipiem. Tyle że Scipio nie przychodził.

Czas mijał, a Riccio, Prosper i Osa wciąż czekali przy kiosku. Po placu włóczyły się psy, koty czały się na tłuste gołębie, kobiety targały ciężkie torby z zakupami, a Scipia jak nie było, tak nie było.

- Dziwne! - powiedziała Osa, tupiąc z zimna. - Jeszcze nigdy tak bardzo się nie spóźnił, jak byliśmy gdzieś umówieni.

- Dlaczego chciał się z wami spotkać akurat tutaj? - dziwił się Prosper. - Zamierza w biały dzień obejrzeć zamki w drzwiach?

- No co ty! Ostatnia wizja lokalna czy coś takiego - mruknął Riccio. - Zresztą, skąd mamy wiedzieć? Poza tym przy murze jest ciemno nawet w dzień. Jak byliśmy z Moscą, nie widzieliśmy nikogo. Czy Scipio już wam opowiadał, jak w Palazzo Falier ściągnął takiej jednej pierścionki z palców podczas snu?

- Tak, tak, znamy każdą opowieść Scipia, tak samo jak ty. - Osa westchnęła i rozejrzała się ze zmarszczonym czołem. - Ani śladu po nim. Co się mogło stać?

- Hej, patrz! - Riccio złapał ją za rękę. - Idzie gospodyni Idy Spavento z zakupami!

Przez plac kołyszącym się krokiem dreptała gruba kobieta - w jednej ręce trzymała smycz, na której uwiązane były trzy psy, a w drugiej wypchane po brzegi torby z zakupami. Psy obszczekiwały i obskakiwały każdego, kto tylko się do nich zbliżył, a kobieta za każdym razem musiała z powrotem przyciągać je do siebie.

- Co za przypadek! - szepnął Riccio, spoglądając za nią z ciekawością.

- Nie podobają mi się te psy - odszepnęła Osa. - A jeśli będą w domu, kiedy przyjdziemy? Nie są aż tak małe.

- Eee, poradzimy sobie. - Riccio odłożył na stojak gazetę, którą wcześniej przeglądał, wygładził najeżone włosy i mrugnął porozumiewawczo. - Czekać tu.

- Co chcesz zrobić? - zaniepokoiła się Osa.

Riccio jednak maszerował już przez plac, gwizdząc głośno.

Rozglądał się dookoła, omijając wzrokiem tylko gospodynię signory Spavento; wyraźnie miała trudności z dotrzymaniem kroku swoim psom.

- Z drogi! - huknęła grubaska.

Ale Riccio jakby nie słyszał, a gdy usiłowała go wyminąć, tak nagle zastąpił jej drogę, że zderzenie było nieuniknione. Wypchane torby gruchnęły o ziemię, a psy ze szczekaniem

rzuciły się za jabłkami i główkami kapusty, które toczyły się po mokrych od deszczu kamieniach.

- Kurczę, co ten Jeż kombinuje? - szepnęła Osa do Prospera.

Riccio tymczasem rzucił się za rozsypanymi warzywami, a kobieta, klnąc głośno, zbierała jabłka.

- Czyś ty oszalał?! Musiałeś mi włożyć pod nogi? - słyszeli jej narzekania.

- Scusi! - Riccio obdarzył ją szerokim uśmiechem, ukazując swoje wszystkie zepsute zęby. - Szukam gabinetu doktor Spavento, dentystki. Czy mieszka w tamtym domu?

- Bzdura! - odparła szorstko grubaska. - Tam nie mieszka żaden dentysta. To jest dom signory Idy Spavento, a teraz zejdz mi z drogi, zanim przyłożę ci kapustą.

- Naprawdę mi przykro, signora. - Riccio zrobił tak skruszoną minę, że nawet stojący kilka kroków dalej Osa i Prosper prawie się na to nabrali. - Mogę pani pomóc zanieść te torby do domu?

- Patrzcie państwo, co za dżentelmen! - Kobieta odgarnęła z twarzy siwe pasmo włosów i już nieco życzliwiej spojrzała na Riccia. Po chwili jednak zmarszczyła czoło. - Chwileczkę. Pewnie chcesz coś jeszcze zarobić na tym małym wypadku, ty podstępny diable!

Riccio urażony pokręcił głową.

- Ależ w żadnym wypadku, signora!

- Va bene, w takim razie pomóż! - Gospodyni signory Spavento podała Ricciowi torby z zakupami i mocniej okręciła sobie smycz wokół tłustego nadgarstka. - W końcu nie co dzień mam szczęście trafić na prawdziwego dżentelmena.

Zachowując bezpieczną odległość, Osa i Prosper podążyli za nimi. A Riccio, znikając w domu Idy Spavento, rzucił im triumfujący uśmiech.

Dość długo trwało, zanim znowu ukazał się w drzwiach. Zatrzymał się na moment, niczym mały hrabia, wyraźnie zadowolony z siebie i ze świata, zajęty ogromnym lodem, którego najwidoczniej dostał jako zapłatę za swoją ciężką pracę. Potem leniwie zamknął za sobą drzwi i ruszył w stronę Osy i Prospera.

- Nie ma zasuwy od wewnątrz! - powiedział konspiracyjny szeptem. - I jest tylko jeden zamek! Ta signora Spavento rac? nie boi się złodziei.

- Była w domu? - spytał Prosper, spoglądając na balkon nad frontowym wejściem.

- Nie widziałem jej. - Riccio dał Osie polizać loda. - Aje kuchnia jest dokładnie tam, gdzie zaznaczono na planie. Wiem bo zaniósłem tam zakupy grubej. No i zgadza się też, że sypialnia jest na górze. Mówię wam, jeśli signora Ida Spavento rzeczywiście kładzie się spać tak wcześnie, jak na to wygląda, wszystko będzie łatwiejsze niż kradzież świeczek!

- No, no, nie ciesz się za wcześnie! - mruknęła Osa i spojrzała niepewnie na okna, w których odbijało się szare niebo.

- Czekajcie, teraz powiem wam najlepsze! - szepnął Riccio. - W kuchni są drzwi wychodzące prosto na ogród. Ich nie było na planie. I - trzymajcie się czegoś - tam też nie ma zasuw! Ta signora Spavento jest rzeczywiście strasznie naiwna, no nie?

- Ciągle zapominasz o psach - odparła Osa. - A co, jeśli jednak nie należą do gospodyni i nie lubią kielbasy?

- Eee tam, wszystkie psy lubią kielbasę, no nie, Prop?

Prosper przytaknął tylko i zerknął na zegarek.

- A niech to. Dochodzi pierwsza - mruknął zaniepokojony - a Scipia ciągle nie ma. Miejmy nadzieję, że nic mu się nie stało!

Czekali jeszcze pół godziny, ale w końcu nawet Riccio doszedł do wniosku, że Król Złodziei już nie przyjdzie. Ze smętnymi minami ruszyli w drogę do mieszkania Wiktora, żeby nakarmić opuszczonego pana zółwia.

- Nie rozumiem, co się mogło stać - powiedział Riccio, kiedy dotarli już na miejsce.

- Pewnie nic - powiedziała Osa, wspinając się po stromych schodach do biura detektywa. - Do kryjówki też często się przecież spóźniał. - Ale w jej oczach czaił się taki sam niepokój jak u chłopców.

Zółw Wiktora chyba rzeczywiście cierpiał z powodu samotności, a kiedy Prosper i Osa pochylili się nad jego pudłem, nie odważył się nawet wystawić głowy z pancerza; dopiero gdy Prosper położył mu sałaty, wysunął pomarszczoną szyję.

Riccio nie przejmował się zółwiem. Nadal uważał, że zajmowanie się zwierzęciem ich więźnia jest głupie. Zamiast tego postanowił wypróbować sztuczne wąsy Wiktora.

- Hej, Prop, zobacz tylko! - krzyknął, przyklejając sobie pod nosem sumiaste wąsiska. - Czy on ich nie miał wtedy, kiedy na niego wpadłeś?

- Może - odparł Prosper, spoglądając na biurko.

Pod lwem, który służył za przycisk do listów, leżało zdjęcie zółwi, a obok maszyny do pisania plik gęsto zapisanych kartek i nadgryzione jabłko.

- A teraz jak wyglądam? - zapytał Riccio, głaszcząc bujny rudoblond zarost.

- Jak krasnal - stwierdziła Osa.

Z regału, gdzie Wiktor trzymał zbiór kryminałów, wyjęła jakąś książkę i usadowiła się na jednym z krzeseł dla gości. Prosper tymczasem zasiadł w fotelu Wiktora i zajął się przeszukiwaniem szuflad. Nic, tylko kartki, spinacze, poduszka do stempli, nożyczki, klucze, pocztówki i trzy paczki cukierków.

- Nie ma tam przypadkiem papierosów? - Riccio przymierzał właśnie sztuczny nos.

- On nie pali, tylko zje cukierki - powiedział Prosper i zatrasnął szufladę. - Nie widzicie tu żadnych teczek z dokumentami? Przecież musi mieć akta spraw, którymi się zajmuje.

- Co ty, zostałeś detektywem, bo lubi się przebierać. Pewnie wcale nie ma żadnych akt. - Riccio przykleił sobie krzaczaste brwi, na zjeżone włosy nasadził kapelusz i usiłował nadać swojej twarzy wyraz pełen godności. - Jak myślicie? Będę kiedyś tak wyglądał? Jak trochę urosnę, oczywiście.

- Coś musi sobie przecież zapisywać.

Prosper zajął do jedynej w pokoju szafy i odnalazł tara se gregatory. W tej samej chwili zadzwonił telefon. Osa nawet nie podniosła głowy.

- Niech dzwoni - mruknęła. - To na pewno nie do nas.

No więc telefon dzwonił, Riccio przymierzał po kolei wszystkie kapelusze, wąsy i peruki i fotografował swoje odbicie w lustrze, dopóki w aparacie Wiktora nie skończył się film, a Prosper siedział przy biurku i przeglądał akta spraw. Po dziesięciu minutach telefon znowu zadzwonił. Dokładnie w chwili, kiedy Prosper znalazł w przezroczystej koszulce zdjęcie swoje i Bo. Wpatrywał się w nie jak urzeczony. Osa uniosła głowę znad książki.

- Co to jest?

- Zdjęcie. Moje i Bo. Nasza mama zrobiła je w moje jedenaste urodziny.

Telefon zadzwonił raz jeszcze i ucichł.

Prosper wpatrywał się w fotografię, nieświadomie zaciskając pięści. Osa delikatnie pogłaskała go po rękę.

- Co ten szpicel o was napisał? - zapytała.

Prosper schował zdjęcie i pokazał jej notatki Wiktora.

- Prawie nic nie można odczytać.

- Zobaczymy. - Osa odłożyła książkę i pochyliła się nad biurkiem. - Cóż, wydaje się, że nie za bardzo lubi twoją ciotkę. Chyba nazywa ją „spiczastonosą”, a twojego wujka „szafą”. Ten starszy ich w ogóle nie interesuje - czytała. - W końcu nie wygląda już jak pluszowy mis’. - Osa uśmiechnęła się do Prospera. - No, rzeczywiście nie wyglądasz. Ten szpicel wcale nie jest taki głupi. - Telefon rozdzwonił się po raz kolejny. - Boże, nie sądziłam, że on ma tylu klientów! - Zdenerwowana Osa chwyciła słuchawkę.

- Pronto! - zawołała zmienionym głosem. - Biuro Wiktora Getza. Czym mogę służyć?

Riccio zakrył sobie usta dłonią, żeby nie parsknąć śmiechem, ale Prosper słuchał zaniepokojony.

- Jak nazwisko? - Osa dała znak Prosperowi. - Hartlieb? prosper drgnął, jakby ktoś nagle wymierzył mu policzek. Osa cisnęła jakiś przycisk na telefonie i w biurze rozbrzmiał głos Pstery. - Nie mówiła szybko, ale jej włoski był bardzo dobry.

- Od kilku dni usiłuję się skontaktować z panem Getzem powiedział, że jest na tropie chłopców. Obiecał też, że przyśle mi ujęcie, które zrobił im na placu Świętego Marka...

Osa rzuciła Prosperowi zaniepokojone spojrzenie.

- Nic mi o tym nie wiadomo - wyjąkała. - To, hm, mogła być pomyłka. Wczoraj znalazł zupełnie inny ślad. Całkiem nowy. Pan Getz sądzi, że chłopców już tutaj nie ma, to znaczy w Wenecji. Halo?

Z drugiej strony zapadła cisza.

Dzieci w biurze Wiktora nie odważyły się nawet poruszyć.

- To interesujące! - powiedziała Estera ostrym głosem. - Ale chętnie usłyszałabym tę wiadomość osobiście od pana Getza.

Proszę go natychmiast poprosić do telefonu.

- On, on... - Osa zaczęła się jąkać. Z wrażenia zapomniała zmienić głos. - Wy... wyszedł. Ja jestem tylko jego sekretarką.

Pan Getz wykonuje inne zlecenie.

- Kim pani jest? - W głosie Estery zabrzmiało teraz rozdrażnienie. - O ile wiem, pan Getz nie ma żadnej sekretarki.

- Oczywiście, że ma sekretarkę! - Osa była naprawdę wzburzona. - Co pani sobie myśli, do cholery! Pan Getz powie pani to samo, ale w tej chwili go nie ma. Niech pani spróbuje zadzwonić za tydzień.

- Proszę mnie teraz posłuchać, kimkolwiek pani jest... - powiedziała Estera ostrym tonem. - Zostawiłam już panu Getzowi wiadomość na automatycznej sekretarce, ale nie zaszkodzi, jeśli mu pani powtórzy. Za dwa dni mój mąż znów przyjedzie w interesach do Wenecji i będzie oczekiwał pana Getza we wtorek w hotelu Sandwirth. Punkt trzecia. Miłego dnia.

Przygnębiona Osa odłożyła słuchawkę.

- Chyba nie poszło mi zbyt dobrze - mruknęła.

- Chodźmy stąd. - Prosper odłożył segregatory na miejsce.

Osa rzuciła mu zaniepokojone spojrzenie, potem podbiegła do regału i szybko wsunęła kilka książek pod sweter.

- Kurczę, ale by było super, gdyby ktoś miał takiego fioła na moim punkcie... - Riccio wpychał w zamysleniu język w szparę między zębami. - Jakiś miły, śmierdzący forszą wujaszek albo dziadek, jak w tych opowieściach, które zawsze czyta nam Osa.

- Estera jest bogata - powiedział Prosper.

- Naprawdę? - Riccio pakował sztuczny nos i wąsy Wiktora do plecaka. - No to może ją spytasz, czy nie wzięłaby mnie zamiast Bo? Jestem tylko trochę większy i nie musi być dla mnie strasznie miła. Żeby tylko nie przesadzała z biciem...

- Ona wcale nie bije dzieci - mruknął Prosper i raz jeszcze przeszukał szuflady. - O jakie zdjęcie jej chodziło? A niech to, miałem rację. Ten facet robił Bo zdjęcia, wtedy, przy karmieniu gołębi. Riccio, zabierz aparat, może film jest jeszcze w środku.

Riccio zawiesił sobie aparat na szyi i stanął przed lustrem.

- Dzień dobry, signora Estera! - powiedział i uśmiechnął się, zaciskając usta, żeby nie było widać szpary między zębami. - Czy chce pani zostać moją nową mamą? Słyszałem, że pani nie bije dzieci i że ma pani dużo forsy.

- Zapomnij o tym, Jeżyku! - mruknęła Osa. - Ciotka Prospera chce ślicznego misiaczka, a nie jeża z zepsutymi zębami. Dalej, spadamy. Najlepiej zabierzmy zółwia, żebyśmy nie musieli biegać tu codziennie, dopóki ten szpicel będzie naszym więźniem.

- A może w kryjówce czeka już na nas Scipio! - W głosie Riccia zabrzmiała nadzieja.

Zamknęli za sobą drzwi biura Wiktora.

- Może - powiedział Prosper.

Ale tak naprawdę żadne z nich w to nie wierzyło.

GNIEW I KLÓTNIE

Drzwi otworzył im Bo.

- Gdzie Mosca? - zdenerwował się Prosper. - Tyle razy ci mówiłem, żebyś sam nie otwierał!

- Ale musiałem, bo Mosca nie ma czasu - odparł Bo. - Wiktor mu pokazuje, jak naprawiać radio. - I w podskokach pobiegł do sali kinowej.

Prosper, Osa i Riccio usłyszeli śmiech Moski dobiegający z otwartej na oścież męskiej toalety.

- No nie! - krzyknął Riccio, stając w otwartych drzwiach. - Co ty, do diabła, robisz, Mosca? To ma być stanie na warcie?

I kto ci pozwolił go rozwiązać?

Mosca odwrócił się zaskoczony. Klęczał właśnie obok Wiktora na kocu i podawał mu śrubokręt ze skrzynki z narzędziami.

- Wyluzuj, Riccio. Dał mi słowo honoru, że nie zwieje - powiedział. - Wiesz, Wiktor zna się na radiach, chyba uda się je złożyć.

- Mam gdzieś twoje radio! - krzyczał Riccio. - I mam gdzieś jego słowo honoru. Natychmiast go zwiąż.

- Słuchaj, Jeżyku - Wiktor podniósł się z kolan - mojego słowa nie można mieć po prostu „gdzieś”, zrozumiano? Nie wiem, jak jest z tobą, ale na słowie honoru Wiktora Getza można polegać w stu procentach.

- Właśnie. - Bo stanął przed Wiktorem, jakby brał go w obronę. - On jest teraz naszym przyjacielem.

- Przyjacielem? - Riccio gwałtownie nabrał powietrza. - Czy ty zwariowałeś, ty... dzieciaku? On jest naszym więźniem, naszym wrogiem!

- Uspokój się, Riccio! - wtrąciła się Osa. - Więzienie go nie ma sensu, równie dobrze możemy go po prostu zamknąć. Jest za gruby i za wielki, żeby wyjść z łazienki przez okno, no nie?

Riccio nie odpowiedział, tylko z ponurą miną skrzyżował ręce na chudziutkiej piersi.

- Zobaczycie, co Scipio na to powie! - zagroził. - Może jego posłuchacie.

- Jeśli jeszcze się pokaże - powiedział Prosper.

- Jak to, myślałem, że się z nim spotkaliście? - Mosca spojrzał na nich ze zdziwieniem.

- Czekaliśmy przed kioskiem ponad dwie godziny - wyjaśniła Osa. - Ale nie przyszedł.

- No, no - mruknął Wiktor i z powrotem ukląkł przy radiu. - No, no, no. Ale mam nadzieję, że nie zapomnieliście o moim żółwiu.

- Nie. Nawet go przynieśliśmy. - Prosper popatrzył badawczo na detektywa. - Co ma znaczyć to „no, no, no”?

Wiktor wzruszył ramionami i przykręcił jakąś śrubkę.

- No, dalej, odpowiadaj! - wrzasnął Riccio. - Bo twój żółw zdechnie z głodu!

Wiktor powoli odwrócił się do niego.

- Rzeczywiście, czarujący z ciebie chłopak - warknął. - Co tak naprawdę wiecie o swoim przywódcy?

Osa już otworzyła usta, ale Wiktor uniósł dłoń.

- Tak, tak, wcale nie jest waszym przywódcą. Zrozumiałem.

Ale nie o to pytam. No więc, co właściwie o nim wiecie?

Dzieci popatrzyły po sobie.

- Jak to? Co niby mamy o nim wiedzieć? - Mosca oparł się o ścianę wyłożoną kafelkami. - Rzadko rozmawiamy o tym, co było. Scipio kiedyś nam mówił, że wychował się w sierocińcu, tak jak Riccio. Kiedy miał osiem lat, uciekł stamtąd i sam sobie radzi. Jakiś czas opiekował się nim złodziej klejnotów, i to on go nauczył wszystkiego, co w życiu potrzebne. A kiedy stary umarł, Scipio ukradł najpiękniejszą gondolę przycumowaną na Canal Grande, ułożył go w niej i skierował łódź w stronę laguny. Od tamtej pory chodzi własnymi drogami.

- I każe się nazywać Królem Złodziei - dodał Wiktor. - I żyje z kradzieży, tak samo jak wy.

- Aha, akurat ci powiemy! - zaśmiał się Riccio. - A nawet gdyby tak było? I tak nigdy nie złapiesz Scipia, choćbyś próbował setki razy. On jest Królem Złodziei. Jest najlepszy ze wszystkich! Barbarossa zapłacił nam ostatnio za jego łup czterysta tysięcy lirów!

Co, nie wierzysz?

Mosca dał mu silnego kuksańca w bok, ale było już za późno na ostrzeżenia.

- No, no, Barbarossa, ten szczywany lis. - Wiktor pokiwał głową. - Znam go. I wiecie co? Gotów jestem założyć się o moje żółwie, że wiem, skąd Scipio wykradł swój łup.

Riccio podejrzliwie uniósł brwi.

- No i co z tego? O tym przecież pisali nawet w gazecie.

Mosca znów dał mu potężnego kuksańca, ale Riccio był zbyt zdenerwowany, żeby to zauważyć.

- W gazecie? - Wiktor uniósł brwi. - Ach, chodzi ci pewnie o włamanie do Palazzo Contarini. - Zaśmiał się. - Bzdura. Więc Scipio powiedział wam, że to jego sprawka?

- Co to ma znaczyć, do diabła? - Riccio zacisnął pięści, jakby miał zamiar rzucić się na Wiktora, ale Osa go powstrzymała.

- To znaczy - odparł spokojnie Wiktor - że wasz Scipio to wprawdzie niezwykle sprytny chłopak i bardzo pomysłowy kłamczuch, ale na pewno nie jest tym, za kogo się podaje.

Riccio, wrzeszcząc, wyrwał się z uścisku Osy. Nim Prosper zdążył go złapać, przyłożył Wiktorowi swoją małą pięścią w nos.

- Uspokój się, Riccio! - krzyknął Prosper, przytrzymując rozwścieczonego chłopca. - Daj mu wyjaśnić. A pan - nakazał Wiktorowi - niech lepiej przestanie mówić zagadkami! Bo inaczej puszcę Riccia.

- Akurat się boję! - burknął Wiktor. - Daj mi, proszę, Bo, swoją chustkę.

Malec pospiesznie wyjął z kieszeni przybrudzoną chusteczkę i podał ją Wiktorowi.

- Dobrze więc, porozmawiajmy otwarcie - powiedział Wiktor, wycierając nos. Przynajmniej nie krwawił. - W jaki sposób poznaliście Scipia?

Nie przejmując się bezradnymi spojrzeniami dzieci, zebrał kilka śrubek i wrzucił je do skrzynki na narzędzia. Riccio poczerwieniał na twarzy.

- No, dalej, opowiadaj - powiedział Mosca.

- Coś mu ukradłem - warknął Riccio. - To znaczy próbowałem, ale mnie złapał. Postraszyłem go, że jak mnie nie puści, będzie miał do czynienia z moją bandą. Powiedział, że da mi spokój, jeśli zapoznam go z resztą.

- Mieszkaliśmy wtedy w piwnicy walącego się domu - ciągnął Mosca. - Riccio, Osa i ja. W Castello. Tam zawsze znajdzie się jakaś kryjówka, bo nikt nie chce tam mieszkać. Było strasznie mokro, ciągle chorowaliśmy i nie mieliśmy co jeść...

- W ogóle było ohydnie - przerwał mu niecierpliwie Riccio. - Kiedy Scipio to zobaczył, powiedział: „Nie możecie mieszkać w takiej mysiej dziurze!”. I zaprowadził nas tutaj, do Kryjówki pod Gwiazdami. Wyłamał zamek i kazał nam zabarykadować frontowe drzwi. I od tego czasu... szło nam bardzo dobrze. Dopóki ty się nie zjawileś.

- Tak, tak. Wszystko rozumiem. Popsułem wam świetną zabawę. - Wiktor spojrzał na Prospera. - A kiedy Osa przyprowadziła tutaj ciebie i Bo, Król Złodziei również was wziął pod swoją opiekę.

- Przyniósł nam nawet kurtki i koce - wtrącił Bo. - I zobacz, co jeszcze Scip mi dał.

Malec usiadł obok Wiktora i pokazał mu jedno z kociąt. Pograżony w myślach Wiktor zaczął drapać je za uchem, a kociak mruczał i lizał go po palcach szorstkim językiem.

- Dlaczego powiedziałeś nam, że Scipio jest kłamcą? - zapytała Osa.

- Ach, zapomnijcie o tym. - Wiktor pogłaskał Bo po czarnej czuprynie. - Wy tłumaczcie mi tylko jedną rzecz. Jak mi powiedział Bo, niedługo będziecie mieć dużo pieniędzy... chodzi o jakieś zlecenie... Nie zamierzacie chyba zrobić jakiegoś straszego głupstwa?

- Do diabła, Bo, nie mógłbyś kiedyś zamknąć tej jadaczki? - Riccio wyrwał się Prosperowi, ale ten z powrotem go złapał.

- Hej, Riccio, nie odzywaj się tak do mojego młodszego brata, rozumiano? - powiedział.

- To bardziej na niego uważaj! - krzyknął ze złością Riccio, odpychając ręce Prospera. - Jeszcze mu wszystko wypapla!

- Nic więcej nie powiesz, Bo, dobra? - powiedział Prosper, nie spuszczać oczu z Riccia.

Ale Bo spojrzał przekornie na brata, po czym szepnął Wiktorowi do ucha:

- Włamiemy się ze Scipiem do jednego domu. Ale mamy ukraść tylko takie śmieszne drewniane skrzydło.

- Bo! - krzyknęła Osa.

- Zamierzacie się gdzieś włamać? - Wiktor zerwał się na równe nogi. - Straciliście rozum? Chcecie wszyscy wylądować w sierocińcu? - Popatrzył z wyrzutem na Prospera. - W ten sposób dbasz o swojego młodszego brata? Uczysz go włamywać się do obcych domów?

- Oczywiście, że nie! - Prosper aż zbladł. - On nie bierze udziału we włamaniu.

- A właśnie, że biorę!

- A właśnie, że nie! - krzyknął na niego Prosper.

- Cisza! - wrzasnął Riccio i trzęsąc się ze złości, wskazał palcem na Wiktora. - To on jest winien! Tylko on! Do tej pory wszystko było w porządku, w najlepszym porządku! I tylko dlatego, że zaczął tu węszyć, ciągle się teraz kłócimy i potrzebujemy nowej kryjówki!

- Nie potrzebujecie żadnej nowej kryjówki! - równie głośno wykrzyknął Wiktor. Był tak zdenerwowany, że krew pulsowała mu w skroniach. - Do jasnej cholery, nie mam zamiaru was zdradzać! Ale wszystko wygląda zupełnie inaczej, jeśli planujecie włamanie, rozumiecie? Co się stanie z małym, kiedy złapią was karabinierzy? Włamanie! To coś zupełnie innego niż kradzież torebki czy aparatu fotograficznego!

- Scipio wie, jak się to robi! Król Złodziei nie kradnie torebek! - Głos Riccia stał się aż piskliwy. - Więc nie próbuj go obmawiać, ty nadęta ropucho!

Wiktor nabrał powietrza.

- Nadęta ropucho? Król Złodziei? No to coś ci powiem! - Z groźną miną zrobił krok w stronę Riccia. Mosca i Osa zasłonili sobą przyjaciela, ale Wiktor gwałtownie odsunął ich na bok. - Macie do czynienia z największą, najbardziej nadętą ropuchą, jaka kiedykolwiek istniała! Proponuję wam, żebyście zajrzeli na Fundamenta Bollani 233. Tam dowiecie się o Królu Złodziei wszystkiego, co chcecie wiedzieć. Albo może raczej: czego wcale nie chcielibyście wiedzieć.

- Fundamenta Bollani? - Riccio zaniepokojony przygryzł dolną wargę. - Co to ma być? Pułapka?

- Bzdura. - Wiktor odwrócił się do niego plecami i ukląkł z powrotem przy rozłożonym na części radiu. - Tylko nie zapomnijcie przed wyjściem zamknąć swojego więźnia - rzucił im przez ramię. - A teraz dajcie mi wreszcie naprawić to radio.

MŁODY PANICZ MASSIMO

Nikt nie chciał zostać w kryjówce. Nawet Riccio, chociaż całą drogę mamrotał, że to świństwo tak szpiegować Scipia. Mosca zamknął Wiktora na klucz, a potem wyszli. No i stali teraz przed domem, którego adres im podał: Fondamenta Bollani 233.

Nie sądzili, że ujrzą tak przepiękny dom. Nieśmiało spoglądali na wysokie okna zwieńczone łukami i czuli się mali, niepozorni, biedni i zagubieni. Powoli, tuląc się do siebie, podeszli do furtki.

- Nie możemy tak po prostu zadzwonić! - szepnęła Osa.

- Ktoś musi! - stwierdził Mosca. - Stojąc tu, nie dowiemy się, o co chodziło temu szpiclowi.

Nikt jednak nie ruszył się z miejsca.

- Mówię wam, Scipio będzie wkurzony, że go szpiegujemy! - szepnął Riccio. Łypnął na tabliczkę obok furtki. Fantazyjnymi zawijasami wypisane było na niej nazwisko: Massimo.

- Niech Bo zadzwoni - zaproponowała Osa. - To będzie najmniej podejrzane, no nie?

- Ja zadzwonię!

Prosper ukrył Bo za sobą i nie zastanawiając się długo, nacisnął złoty guzik. Dwa razy. Reszta ukryła się po obu stronach zakratowanej bramy. Gdy ukazała się pokojówka w śnieżnobiałym fartuszkach, przy bramie stał tylko Prosper, zza którego pleców wyglądał z nieśmiałym uśmiechem Bo.

- Buonasera, signora - powiedział Prosper. - Czy... - Spojrzał na kamienny herb. - Czy zna pani może chłopca o imieniu Scipio?

Dziewczyna zmarszczyła czoło.

- Co to ma znaczyć? Czy to jakiś głupi kawał? Czego od niego chcecie?

Obejrzała Prospera od głowy aż po czubki zakurzonych butów. Jego spodnie były brudne, a na swetrze widniały ślady po gołębiach.

- A więc... to prawda? - Prosperowi całkiem zaschło w gardle. - On tu mieszka? Scipio?

Twarz dziewczyny stała się jeszcze bardziej nieprzyjazna.

- Chyba pójde po dottor Massima - powiedziała, ale w tej chwili zza pleców Prospera wysunął się Bo.

- Ale Scipio chciał się z nami zobaczyć - powiedział. - Dzisiaj.

- Zobaczyć? - Dziewczyna popatrzyła na nich zdumiona, jednak na widok Bo na jej twarzy pojawił się lekki uśmiech. Bez słowa otworzyła ciężką kratę. Prosper zawahał się, ale

Bo niczym wiewiórka przeskoczył przez próg. Zanim Prosper wszedł do środka, kątem oka zobaczył jeszcze zatroskaną twarz Osy.

Pokojówka poprowadziła ich przez ciemny korytarz na dziedziniec. Tam Bo od razu wskoczył na schody prowadzące na piętro, ale dziewczyna powstrzymała go stanowczo.

- Poczekajcie tutaj - powiedziała, wskazując im kamienną ławeczkę, i już na nich nie patrząc, zaczęła wchodzić po stromych stopniach.

- Może to zupełnie inny Scipio! - szepnął Bo. - Albo może wśliznął się tutaj, żeby ich potem obrabować.

- Może - mruknął Prosper i niepewnie rozejrzał się wokół. Tymczasem Bo podbiegł do fontanny stojącej na środku dziedzińca.

Kiedy człowiek siedzi z bijącym sercem i czeka na coś, czego nie rozumie, na coś, o czym tak naprawdę nie chce wiedzieć, dziesięć minut może ciągnąć się w nieskończoność. Jednak Bo nie wy, wał się jakoś szczególnie przejęty całą tą sprawą. Szczęśliwy dotykał lwich łbów na fontannie i wkładał ręce do zimnej wody. Ale prosper czuł się podle. Okłamany, zdradzony. Co Scipio tutaj robił? Kim on w ogóle był?

Kiedy wreszcie przy balustradzie schodów pojawił się Scipio, prosper patrzył na niego, jakby zobaczyli co najmniej ducha.

A Scipio miał twarz bladą i obcą. Tymczasem Bo bez namysłu podbiegł do niego.

- No, Scip? - wykrzyknął i zatrzymał się.

Scipio nie odpowiedział. Stał na ostatnim stopniu, wlepiając wzrok w Prospera. Prosper też wpatrywał się w niego bez słowa, aż wreszcie Król Złodziei spuścił oczy. Gdy podniósł głowę, chcąc coś powiedzieć, na górze schodów ukazał się mężczyzna, wysoki i smukły, o takich samych oczach jak Scipio.

- Co tu jeszcze robisz? - spytał znudzonym tonem. - Nie masz dziś lekcji? - Rzucił Prosperowi i Bo zirytowane spojrzenie.

- Dopiero za godzinę - odpowiedział Scipio, nie patrząc na ojca. Jego głos był inny niż zwykle, jakby chłopiec nie był pewien, czy używa właściwych słów. Wydawał się też trochę niższy, ale może sprawiał to ten ogromny dom albo brak butów na wysokich obcasach. A ubrany był jak jedno z tych bogatych dzieci, które czasem można zobaczyć przez okna restauracji, jak siedzą sztywno i jedzą nożem i widelcem, uważając tylko, by się nie zabrudzić.

Mały Bo zawsze to podziwiał.

- Co tak stoicie? - Ojciec Scipia machnął ręką, jakby wszyscy trzej chłopcy byli ptakami brudzącymi mu dziedziniec. - Zaprowadź kolegów do swojego pokoju. Wiesz, że podwórze to nie miejsce zabaw dla dzieci.

- Oni... już idą - odparł Scipio ciężkim głosem. - Chcieli mi tylko... coś przynieść.

Ale ojciec już chyba nawet tego nie słyszał, bo zaraz się odwrócił i zniknął za drzwiami.

- Scip, ty masz tatę? - wyszeptał z niedowierzaniem Bo.

- A mamę też?

Scipio jakby nie wiedział, gdzie podziać oczy. Nerwowo bawił się guzikiem od kamizelki, ale po chwili kiwnął głową.

- Tak, ale często jej nie ma. - Spojrzał Prosperowi prosto w oczy i znów odwrócił wzrok. - Nie patrz tak na mnie. Mogę to wszystko wytłumaczyć. I tak bym wkrótce wam o tym powiedział.

- Możesz nam to wszystko wytłumaczyć od razu - odparł Prosper, chwytając Scipia za rękę. - Chodź, tamci czekają na zewnątrz i na pewno już nieźle zmarzli. - Chciał pociągnąć Króla Złodziei w stronę drzwi, ale Scipio wyrwał mu się i został u podnóża schodów.

- Ten przekłety szpicel wam to zdradził, tak?

- Gdybyś nas nie okłamał, nie miałby czego zdradzać - odpowiedział Prosper. - No, chodź.

- Zaraz mam lekcję, przecież słyszałeś! - Głos Scipia zabrzmiał gniewnie. - Później wam wszystko wytłumaczę. Dziś wieczorem.

Dziś wieczorem będę mógł się wyrwać. Mój ojciec wyjeżdża. A co do włamania... - zniżył głos - nic się nie zmieniło. Możemy to zrobić choćby jutro. Obserwowaliście dom, jak kazałem?

- Przestań, Scip! - krzyknął Prosper. - Założę się, że jeszcze nigdy w życiu niczego nie ukradłeś. - Zauważył, że Scipio rzucił na górę przestraszone spojrzenie. - Pewnie cały twój łup pochodzi z tego domu, prawda? - spytał Prosper, ścisząc głos. - Dlaczego więc przyjąłeś zlecenie Contego? Przecież się jeszcze nigdy nigdzie nie włamałeś! Kiedy pojawiałeś się tak znieścacka w kryjówce, pewnie otwierałeś sobie kluczem jakieś drzwi, o których nic nie wiemy, mam rację? Król Złodziei! Boże, ale byliśmy głupi! - Prosper z pogardą zacisnął usta, ale tak naprawdę czuł się całkiem otępiąły z rozczarowania i smutku.

Scipio starał się unikać ich spojrzeń.

- Chodź z nami teraz! - powtórzył Prosper. - Chodź z nami wszystkimi.

Odwrócił się, ale Scipio stał jak skamieniały.

- Nie - powiedział wreszcie. - Później wam wszystko wytłumaczę. Teraz nie mam czasu.

I wbiegł po schodach tak szybko, że omal się nie przewrócił.

I już ani razu nie odwrócił głowy.

Mosca, Riccio i Osa, zmarznięci, ciągle czekali przed bramą.

Zobaczywszy wychodzących Prospera i Bo, przywarli do muru.

- No i proszę! - wykrzyknął Riccio. - Więc to nie był nasz Scipio! - Nawet nie starał się ukryć ulgi. Nagle zrobił przerażoną minę. - Musimy lecieć do kryjówki! Nie rozumiecie? To był podstęp i szpicel nam teraz zwieje!

- Cicho bądź - powiedziała Osa, patrząc badawczo na Prospera. - No i co?

- Wiktor nas nie okłamał - oznajmił tylko Prosper. - Znikajmy stąd. -1 zanim ktokolwiek zdążył zadać jakiegokolwiek pytanie, skierował się w stronę mostu.

- Hej, zaczekaj! - krzyknął za nim Mosca, ale Prosper szedł tak szybko, że dogonili go dopiero po drugiej stronie kanału.

- Co się właściwie stało? - spytała zmartwiona Osa, stając obok niego. - Wyglądasz jak śmierć!

Prosper zamknął oczy, żeby inni nie mogli zobaczyć wzbierających mu pod powiekami łez. Czuł, jak Bo delikatnie gładzi go po dłoni swoją małą rączką.

- Nie rozumiecie? Przecież mówię, że szpicel nie kłamał! - wykrzyknął. - Jedyna osoba, która kłamała, to właśnie Scipio!

Mieszka w tym pałacu! Ja i Bo widzieliśmy jego ojca! Mają pokojówkę i podwórze z fontanną! Król Złodziei! Uciekł z sierocińca! Te jego sekrety, to sam-sobie-poradzę i niepotrzebuję-dorostych, to wszystko były kłamstwa! Nic, tylko kłamstwa! Niezły miał z nami ubaw! Znakomita przygoda, pobawić się trochę w sierotę! A my wysławialiśmy go pod niebiosą! - Głośno wytarł nos rękawem.

- Ale łupy... - cichutko powiedział Mosca.

- Ach tak, łupy. - Prosper zaśmiał się ironicznie. - Najprawdopodobniej wynosił rzeczy rodziców. Król Złodziei! Chyba raczej Król Kłamców!

Riccio stał z taką miną, jakby właśnie dostał lanie.

- Był tam? Ty... naprawdę go widziałeś? - wyjąkał.

Prosper przytaknął.

- Tak, był tam. Ale nie miał odwagi do was wyjść.

Bo wsunął głowę pod ramię Osy. Milczeli. Osa spoglądała w stronę Casa Massimo na odbijającą się w wodzie rezydencje mimo że było jeszcze wczesne popołudnie, w niektórych oknach paliło się światło. To był ponury, szary dzień.

- Nie jest tak źle, Prop - usiłował pocieszyć brata Bo. - Nie jest tak źle.

- Chodźmy do domu - mruknęła Osa.

I poszli.

Podczas drogi powrotnej nikt nie odezwał się ani słowem.

SŁOWO HONORU

Wyłamanie zamka nie sprawiło Wiktorowi żadnych trudności.

Wprawdzie przed wyjściem Mosca zabrał mu skrzynkę z narzędziami, ale on, tak jak każdy szanujący się detektyw, zawsze miał przy sobie kawałek drutu i inne pomocne drobiazgi ukryte w podwójnym obcasie buta. Już w korytarzu, trzymając pudełko z żółwiami pod pachą, uznał, że nie powinien zniknąć bez słowa pożegnania. Ponieważ jednak nie znalazł nigdzie papieru, flamastrem napisał kilka słów na ścianie.

Uwaga, daję słowo honoru - a jak już powiedziałem, nigdy nie łamię danego słowa - Hartliebowie niczego się ode mnie nie dowiedzą. Chyba że dojdą mnie w najbliższym czasie słuchy o jakichś włamaniach. Do zobaczenia. Wkrótce.

Cofnął się o krok i przeczytał napis na ścianie. Chyba oszalałem, pomyślał. Potem przez moment zastanawiał się, czy nie poszukać pistoletu, który zabrał mu Prosper, a także skradzionego Portfela. Ale gdzie miałby szukać? W tym bałaganie między materacami? Albo w korytarzu? Jeszcze by go nakryli i wszystko zaczęłoby się od nowa.

Co tam, idę do domu, pomyślał. Po nocy spędzonej na posadzce w łazience bolała go każda kość. Zmęczony ruszył w kierunku drzwi frontowych, które dzieci wcześniej zabarykadowały, i wyszedł na zewnątrz.

Trzy domy dalej dostrzegł kilka kobiet plotkujących beztrósco przed otwartą bramą jednego z budynków. Na widok Wiktora wychodzącego z opuszczonego kina zamilkły ze zdumienia. Jak gdyby nigdy nic pozdrowił je, zasunął za sobą oklejone kartonami drzwi i ruszył w drogę powrotną do domu.

- Chyba mu nie wierzycie?! - zawołał Riccio, gdy odkryli nabazgrany list Wiktora i pustą toaletę. - Musimy go teraz jak najszybciej złapać.

- Coś ty? A niby jak? - zapytał Mosca, zaglądając przez wyważone drzwi do łazienki. Na posłaniu, które miało chronić ich więźnia przed zimnem kafelków, stało radio. Złożone. Nie brakowało ani jednej części. Mosca podszedł i zaczął kręcić wszystkimi gałkami po kolei, a pozostali wciąż wpatrywali się w bazgraninę Wiktora.

- Nie pozostaje nam nic innego, jak tylko uwierzyć w to, co napisał - stwierdziła Osa. - Czy może chcesz już teraz zacząć szukać nowej kryjówki, Riccio?

- A włamanie, umowa z Contem... Chcesz o tym wszystkim zapomnieć tylko dlatego, że ten szpicel tak każe?

- Nie, wcale nie. Ale o włamaniu i tak się dowie dopiero wtedy, gdy sprawa wyjdzie na jaw. A my zdążymy już zwiąć z pieniędzmi. Byle gdzie.

- Byle gdzie - powtórzył Riccio, wpatrując się w bazgroły Wiktora. Po chwili gwałtownie się odwrócił i zniknął za drzwiami prowadzącymi do sali kinowej. Osa chciała pójść za nim, jednak Prosper ją zatrzymał.

- Poczekaj - powiedział. - Wciąż jeszcze zamierzacie wykraść to drewniane skrzydło? Nic do was nie dociera? Przecież Scinjo jeszcze nigdy w życiu nigdzie się nie włamał!

- A kto mówi o Scipiu? - Osa splotła ręce. - Zrobimy to bez niego. I to jak należy. Z czego mamy żyć, jeśli Król Złodziei nie będzie już przynosił nam żadnych łupów, a z tym przecież koniec no nie? A Contemu pewnie i tak wszystko jedno, kto mu dostarczy skrzydło. Jak dostaniemy te pięć milionów, nikt nam nie będzie potrzebny - ani dorośli, ani tym bardziej jakiś Król Złodziei.

Może... - Osa raz jeszcze rzuciła spojrzenie na pożegnalny list Wiktora. - Może załatwimy to od razu, tej nocy? Im wcześniej, tym lepiej. Jak myślisz? Przecież chyba jesteście z nami.

- A co z Bo? - Prosper spojrział na nią i pokręcił głową. - Nie.

Jeśli koniecznie chcecie ryzykować, to w porządku. Życzę wam szczęścia. Ale ja nie idę. Za dwa dni do Wenecji przyjeżdża moja ciotka. Do tego czasu ja i Bo opuścimy miasto. Spróbujemy przeszmyglować się na jakiś statek. Albo na samolot... Cokolwiek, byle tylko stąd uciec. Innym też się to udało. Dwa dni temu pisali o tym w gazecie.

- Wiem i jestem zła, że ci to przeczytałam. Nie rozumiesz? - Głos Osy brzmiał gniewnie, ale w jej oczach pojawiły się łzy. - To jeszcze bardziej szalone od włamania się do obcego domu! Przecież jesteśmy teraz jak rodzina, ty i Bo, i Riccio, i Mosca - i ja.

- Hej, ludzie, chodźcie tutaj! - krzyknął Mosca z męskiej toalety. - Ten szpicel chyba rzeczywiście naprawił to radio. Nawet kieszeń na kasety znów działa.

Osa i Prosper nie zwracali jednak na niego uwagi.

- Zastanów się jeszcze! - poprosiła Osa, a jej głos brzmiał tak błagalnie, że niemal sprawiał Prosperowi ból. - Proszę. - Potem odwróciła się i pobiegła za Ricciem.

Kolacji nie robili. Nikt nie był głodny. Tylko Bo wsunął dwie miseczki papkowatych płatków kukurydzianych, a nieodstępujące go na krok kocięta mruczały i łaśliły się do niego, szybko zlizując wszystko, co mu się rozlało. Mosca w ogóle się nie pokazał. Złapał wędkę i radio i pobiegł nad kanał, gdzie była zacumowana jego łódka, która wciąż pilnie wymagała pomalowania. Riccio zakopał się głęboko w swój śpiwór, tak że nie wystawał mu nawet czubek głowy, a Prosper usiłował pozbyć się wszystkich męczących myśli, szorując siedzenia krzesel i podłogę z gołębich odchodów. Gołębica Contego, przekrzywiając łepkę, skakała sobie w koszyku, który jej zawiesili, i spoglądała na niego z góry. Osa leżała na swoim

materacu i czytała jeden z kryminałów, które zabrała z regału Wiktora, ale gdy uświadomiła sobie, że już po raz trzeci czyta tę samą stronę, zamknęła książkę i bez słowa zaczęła pomagać Prosperowi. Kiedy Bo zrobił się śpiący, przeczytała mu coś na dobranoc i zaraz po tym zasnęła, trzymając go w ramionach. Gdy Prosper wślizgiwał się pod swoje przykrycie, Riccio pochrapywał, leżąc wśród swoich pluszaków, a po Mosce wciąż nie było ani śladu. Prosper przez chwilę leżał z szeroko otwartymi oczami, rozmyślając o słowach honoru i kłamstwach, o ojcach i ciotkach, o przyjaźni i domu, i o pasażerach na gapę. Odwrócił się na bok i patrzył na Osę i Bo, przytulonych do siebie, na Riccia, mruczącego coś przez sen w swoim śpiworze. I nagle, pomimo wszystkiego, co zdarzyło się tego przekłętego dnia, poczuł się bezpieczny. Ale gdy odwrócił się do reszty plecami, ogarnęła go ciemność, kładąc swe czarne palce na jego powiekach. Poczul się tak strasznie zagubiony, że musiał nakryć głowę poduszką.

Kiedy w końcu zasnął, śniło mu się, że znowu jest z Bo w pociągu, którym przybyli do Wenecji. Chcieli znaleźć jakieś wolne miejsce, ale za każdym razem, gdy Prosper otwierał drzwi do przedziału, siedziała tam Estera. Biegł z Bo wąskim korytarzem coraz dalej, otwierał następne przedziały, ale za każdymi drzwiami czekała Estera wyciągająca ręce po Bo. Prosper słyszał, jak wali mu serce, jak Bo coś do niego woła, ale nie mógł zrozumieć ani słowa. Wydawało się, że Bo coraz bardziej się oddala, mimo że Prosper trzyma go za rękę. A potem drogę zastąpił im Wiktor.

I gdy Prosper z desperacją otworzył kolejne drzwi, by przez nie uciec, nie było za nimi nic poza ciemnością, lodowatą, czarną jak smoła, bezdenną ciemnością. Wpadł w nią, zanim zdążył się cofnąć. I Bo nie było już przy nim.

Prosper obudził się zlany potem. Wokół było ciemno. Ciemno i zimno. Ale nie tak zimno jak w jego śnie. Po omacku sięgnął po kieszonkową latarkę, która zawsze leżała obok jego poduszki, i włączył ją. Materac Osy był pusty. Nie było ani jej, ani Bo. Przerażony zerwał się na równe nogi, podbiegi do materaca Riccia i ściągnął z niego śpiwór. Nic poza brudnymi pluszakami. A pod przykryciem Moski leżało tylko radio.

Nie było nikogo. Nikogo. Nawet Bo.

Od razu wiedział, dokąd poszli. Mimo to, potykając się, pobiegł do szaty, w której Mosca zgromadził wszystko, co było niezbędne do włamania: linę, plan domu, kiełbasę dla psów, czarną pastę do wysmarowania twarzy - wszystko zniknęło.

Dlaczego wzięli ze sobą Bo, myślał zrozpaczony, w pośpiechu się ubierając. Jak Osa mogła się na to zgodzić?

Gdy Prosper opuszczał kino, księżyc świecił wysoko nad miastem. Uliczki były puste, a nad kanałami unosiły się szarobiałe kłęby mgły.

Prosper biegł. Jego kroki odbijały się tak głośnie echem, że sam się przestraszył. Musiał dogonić tamtych, zanim przejdą przez mur, zanim wedrą się do obcego domu. Niemal widział, jak policjanci wynoszą wierzgającego Bo, jak zabierają Osę i Moscę, a Riccia szarpią za zjeżone włosy.

Most Accademia był śliski od mgły. Nad Canal Grandę Prosper przewrócił się i stłukł sobie kolano. Ale zaraz się podniósł i biegł dalej przez puste place, mijając wznoszące się pod niebo czarne, strzeliste wieże kościołów. Przez chwilę miał wrażenie, że przeniósł się w czasie. Opustoszałe miasto wyglądało tak staro, tak wiekowo. Gdy wpadł na Ponte dei Pugni, ledwo mógł oddychać. Kaszląc, zbiegł po schodach, stanął oparty o balustradę i wpatrywał się w odciski stóp na kamiennej powierzchni mostu.

Wiedział od Riccia, że dawniej odbywały się tu co roku walki na pięści między przedstawicielami wschodniej i zachodniej części miasta. Kończyły się zawsze w wodzie i najczęściej bardzo krwawo. Odciski wskazywały walczącym, gdzie mają się ustawić.

Z trudem łapiąc oddech, na drżących nogach pobiegł dalej.

Jeszcze tylko jedna uliczka i będzie na Campo Santa Margherita. Dom Idy Spavento znajdował się po prawej stronie, przy końcu placu. We wszystkich oknach było ciemno. Prosper podbiegł do drzwi i zaczął nasłuchiwać. Nic. No jasne. Przecież planowali dostać się przez mur do ogrodu. Starał się oddychać spokojniej.

Gdyby tylko wejście w uliczkę nie wyglądało tak przerażająco.

Z kamiennego łuku nad bramą jakieś postacie szczyrzyły do niego zęby, a gdy zza chmur wynurzył się błądy księżyc, wydawały się w jego świetle ożywać i stroić miny. Prosper zamknął oczy i szedł dalej na oślep, dotykając zimnej ściany.

Jeszcze tylko kilka kroków w czarnej jak smoła ciemności i znów zrobiło się jaśniej. Na szarym murze, który wznosił się pomiędzy ciasno stojącymi domami, przykucnęła jakaś ciemna postać. Na jej widok Prosper poczuł zarazem złość i ulgę.

Kolana mu drżały, każdy oddech sprawiał ból. Jego kroki odbijały się w ciszy głośnie echem. Postać siedząca na murze spojrzała na niego z przerażeniem. To była Osa, poznała ją pomimo umazanej na czarno twarzy.

- Gdzie jest Bo? - wyrzucił z siebie, przyciskając ręce do stłuczonego kolana. - Dlaczego go wzięliście? Natychmiast go tutaj przyprowadź!

- Uspokój się - wyszczała Osa. - Wcale go nie wzięliśmy! Wyniknął się za nami. A potem zagroził, że obudzi całe Campo Santa Margherita, jeśli nie pomożemy mu przejść przez mur! Co mieliśmy robić? Sam wiesz, jaki potrafi być uparty.

- Jest już tam w środku? - Prosper poczuł, że dławi go przerażenie.

- Łap! - Osa rzuciła mu linę, którą przed chwilą wciągnęła.

Chłopak bez namysłu owinął sobie jej koniec wokół nadgarstka i zaczął się wspinać. Mur był wysoki, wyszczerbiony i Prosper podrapał sobie całe ręce. Kiedy wreszcie znalazł się na górze, Osa bez słowa zwinęła linę i pomogła mu zejść do ogrodu. Ze strachu zaschło mu w ustach. Potem Osa rzuciła mu zwinięty sznur i sama zeskoczyła.

Suche liście szeleściły im pod nogami, gdy mijając ogołoczone przez zimę grządki i puste donice, przemykali w stronę domu.

Mosca i Riccio już majstrowali przy kuchennych drzwiach. Czarnego Moski i tak prawie nie było widać w ciemności, a Riccio miał twarz umazaną na czarno, tak jak Osa. Na widok Prospera Bo schował się ze strachu za plecami Moski.

- Szkoda, że nie pozwoliłem, żeby zabrała cię Estera! - wyszczał Prosper. - Co ty sobie, u diabła, myślałeś, Bo?

Chłopiec przygryzł dolną wargę.

- Ja tylko chciałem z nimi... - wymamrotał.

- No, to teraz już stąd idziemy - powiedział cicho Prosper. - Chodź ze mną.

Usiłował wyciągnąć Bo zza pleców Moski, ale mały zwinnie się wymknął.

- Nie, ja tu zostaję! - krzyknął tak głośno, że przerażony Mosca błyskawicznie zasłonił mu usta dłonią. Riccio i Osa z niepokojem spojrzeli na okna na najwyższym piętrze. Wciąż były ciemne.

- Prosper, zostaw go, proszę! - wyszeptała Osa. - Wszystko będzie dobrze.

Mosca powoli odjął dłoń od ust chłopca.

- Więcej już tego nie rób, dobrze? - szepnął. - Myślałem, że umrę ze strachu.

- A co z psami? - spytał Prosper.

Osa pokręciła głową.

I

- Na razie jeszcze ich nie słyszeliśmy - oznajmiła.

Riccio z westchnieniem uklęknął przed drzwiami do kuchni, fylosca przyświecał mu kieszonkową latarką.

- Kurczę, zamek jest tak zardzewiały, że się zacina! - zaklął cicho Riccio.

- Aha, to dlatego nie potrzeba tu żadnej zasuwki - mruknął pod nosem Mosca.

Osa nachyliła się do Prospera, który stał oparty o mur i wpatrywał się w księżyc.

- Nie musisz z nami iść - szepnęła. - Będę uważać na Bo.

- Jeśli Bo idzie, to ja też - odparł Prosper.

Riccio, modląc się po cichu, pchnął drzwi. On i Mosca wśliznęli się pierwsi, potem Bo i Osa. Tylko Prosper wahał się chwilę, ale w końcu też ruszył za nimi.

Wsluchiwali się w odgłosy nieznanego domu. Gdzieś tykał zegar, szumiała lodówka. Posuwali się dalej, przepełnieni mieszaniną wstydu i ciekawości.

- Zamknijcie drzwi! - szepnął Mosca.

Osa poświeciła dookoła latarką. W kuchni Idy Spavento nie było nic nadzwyczajnego. Garnki, patelnie, pojemniki z przyprawami, czajniczek do kawy, duży stół, kilka krzeseł...

- Czy ktoś nie powinien zostać na straży? - zapytał cicho Riccio.

- Po co? - Osa otworzyła drzwi na korytarz i przez chwilę nasłuchiwała. - Policja raczej nie będzie przechodziła przez mur.

Idź pierwszy! - szepnęła do Moski.

Mosca skinął głową i ruszył naprzód.

Za drzwiami, tak jak było zaznaczone na planie, znajdował się wąski korytarz. Przeszli nim kilka metrów i dotarli do schodów prowadzących na górę. Na ścianach wisiały tam maski, które w świetle latarki wyglądały przerażająco. Jedna przypominała tę, którą zawsze nosił Scipio.

Schody kończyły się przed jakimiś drzwiami. Mosca uchylił je, chwilę nasłuchiwał, po czym machnął ręką na znak, że można iść dalej. Korytarz był szerszy od tego na parterze, a oświetlały go dwie słabe lampki pod sufitem. Od czasu do czasu słyszeli stukanie w rurach, ale poza tym było bardzo cicho. Gdy mijali schody prowadzące na następne piętro, Mosca ostrzegawczo położył palec na ustach. Z niepokojem spojrzeli na wąskie stopnie.

- Może nikogo nie ma w domu - szepnęła Osa.

Dom, z tymi wszystkimi cichymi, ciemnymi pokojami, wydawał im się wymarły. Za kolejnymi drzwiami znajdowała się łazienka, dalej niewielka rupiecarnia; to Mosca wiedział z planu, który otrzymali od Contego.

- Robi się interesująco - szepnął, gdy stanęli przed trzecimi drzwiami. - To musi być salotto. Może signora Spavento zawiesiła skrzydło nad sofą. - Sięgnął właśnie do klamki, gdy nagle ktoś otworzył drzwi.

Mosca, przerażony, cofnął się tak gwałtownie, że omal się nie przewrócił, wpadając na idących tuż za nim. Ale w otwartych drzwiach ujrzeni nie Idę Spavento, tylko Scipia.

Scipia, którego tak dobrze znali. Ubrany był w długi czarny płaszcz i skórzane rękawiczki, na nogach miał buty na obcasach a na twarzy maskę.

Riccio patrzył na niego zaskoczony, a twarz Moski skamieniała ze złości.

- Co tu robisz?! - zaatakował Scipia.

- Co wy tu robicie? - syknął Scipio. - To moje zlecenie.

- Zamknij się! - Mosca uderzył go w pierś tak mocno, że Król Złodziei aż się zatoczył do tyłu. - Ty zakłamana świni! Nieźle wodziłeś nas za nos. Król Złodziei! Może dla ciebie to jest zabawa, ale my potrzebujemy tych pieniędzy, jasne? I dlatego to my wykradniemy skrzydło dla Contego. Mów, jest tam?

Scipio wzruszył tylko ramionami.

Mosca odepchnął go brutalnie na bok i wkroczył do ciemnego pokoju.

- Jak właściwie się tu dostałeś? - warknął Riccio.

- Nie było to nadzwyczaj trudne, skoro i wy tu jesteście - odpowiedział z ironią Scipio.

- I powtarzam raz jeszcze. To ja zdobędę skrzydło dla Contego. Tylko ja. Dostaniecie swoją część, jak zawsze, ale teraz znikajcie.

- Sam znikaj - odezwał się Mosca, wynurzając się z mroku. - go inaczej opowiemy twojemu tatusiowi, że jego ukochany synalek włamuje się nocami do obcych domów! - Mówił tak głośno, że zaniepokojona Osa stanęła między nimi.

- Natychmiast przestańcie! - uciszyła ich. - Zapomnieliście, gdzie jesteście?

- Ale i tak nie będziesz mógł nic dostarczyć Contemu - wyszeptał Riccio ze złością. - Nawet wiadomości, bo to my mamy jego gołębicę.

Scipio zacisnął usta. Najwyraźniej zapomniał o Sofii.

- Chodźcie - rozkazał Mosca, nie racząc nawet spojrzeć na Scipia. - Szukajmy dalej. Ja i Prosper bierzemy lewe drzwi, Riccio i Osa - prawe.

- I biada, jeśli nam przeszkodzisz! - dorzucił Riccio.

Scipio milczał. Stał bez ruchu i tylko na nich patrzył. Mosca, Riccio i Osa zniknęli już za drzwiami, ale Prosper jeszcze się obejrzał. Scipio ciągle stał w tym samym miejscu.

- Idź do domu, Scip - rzekł cicho. - Oni są na ciebie strasznie wkurzeni.

- Strasznie - potwierdził Bo, smutno patrząc na Scipia.

- A wy? - zapytał Scipio. A gdy Prosper nie odpowiedział, odwrócił się nagle i pobiegł schodami na górę.

- Patrzcie - szepnął Mosca, gdy Prosper i Bo wsunęli się za nim przez otwarte drzwi. - Na planie było napisane Laboratorio, a ja się zastanawiałem, o co może chodzić. To jest

laboratorium fotograficzne! Kompletnie urządzone. - W świetle latarki z podziwem oglądał całe pomieszczenie.

- Scip poszedł na górę - powiedział Prosper.

- Co? - zapytał Mosca, usuwając się z drogi, by wpuścić Riccia i Osę do środka.

- Tam po drugiej stronie, w jadalni, też nie ma tego skrzydła - oznajmiła Osa. - A tutaj?

- Scipio poszedł na górę - wycodził Mosca. - Musimy szybko iść za nim!

- Na górę? - Riccio niepewnie przejechał ręką po nastroszonych włosach.

Właśnie tego się bali: że będą musieli wejść na piętro, gdzie nie przeczuwając niczego, spała w swoim łóżku właścicielka.

- Skrzydło musi być na górze - szepnął Mosca. - I jak się nie pospieszymy, Król Złodziei znajdzie je przed nami!

Stali w ciemnym laboratorium, spoglądając na siebie niezdecydowani.

- Mosca ma rację - mruknęła Osa. - Mam tylko nadzieję, że te schody nie skrzypią tak jak tamte.

Nagle zapaliło się światło. Czerwone światło.

Odwrócili się przerażeni. W drzwiach ujrzeli kobietę w grubym zimowym płaszczu. W ręku trzymała dubeltówkę.

- Wybaczcie - powiedziała Ida Spavento i wycelowała broń w Riccia, który stał najbliżej. - Ale czy ja was zapraszałam?

- Proszę nie strzelać! - wyjąkał Riccio i podniósł ręce do góry.

Mały Bo skrył się za Prosperem i Osą.

- Och, wcale nie zamierzam - odparła Ida Spavento. - Ale nie możecie się dziwić, że słysząc wasze szepty, wyciągnęłam tę starą strzelbę. Wychodzę i co widzę? Bandę małych złodziejasków, którzy skradają się z latarkami po moim domu! Cieszcie się, że nie zadzwoniłam po karabinierów.

- Proszę tylko nie wzywać policji! - wyszeptała Osa. - Bardzo proszę.

- No cóż, może tego nie zrobię. Nie wyglądacie zbyt niebezpiecznie. - Ida Spavento opuściła strzelbę, wyciągnęła z kieszeni paczkę papierosów i włożyła sobie jednego do ust. - Chcieliście sję dobrać do moich aparatów? Łatwiej by wam było ukraść takie same gdzieś w mieście.

- Nie, my... nie chcieliśmy ukraść nic cennego, signora - wyjąkała Osa łamiącym się głosem. - Naprawdę nie.

- Ach tak? W takim razie co chcieliście ukraść?

- Skrzydło - wykrztusił Riccio. - A ono jest z drewna. - Ciągle jeszcze trzymał ręce podniesione, mimo że lufa skierowana była już w dół.

- Skrzydło? - Ida oparła strzelbę o ścianę na korytarzu.

Riccio z westchnieniem ulgi opuścił ręce, a Bo ostrożnie wyjrzał zza pleców Prospera.

Ida Spavento popatrzyła na niego, marszcząc czoło.

- O, jeszcze jeden - powiedziała. - Ile masz lat? Pięć? Sześć?

- Pięć - burknął Bo, spoglądając na nią podejrzliwie.

- Pięć! Madonna! Wy naprawdę jesteście bandą małych złodziejasków. - Ida oparła się o futrynę, obrzucając ich po kolei spojrzeniem. - Co ja mam z wami teraz zrobić? Włamujecie się do mojego domu, chcecie mnie okraść... Co wiecie o tym skrzydle? I skąd w ogóle wiecie, że je mam?

- A więc naprawdę ma je pani? - Riccio patrzył na nią wielkimi oczami.

Ida nie odpowiedziała.

- Do czego wam ono potrzebne? - zapytała, strząsając popiół z papierosa.

- Ktoś nas wynajął, żebyśmy je wykradli - burknął Mosca.

Ida Spavento spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Wynajął? Kto?

- Tego absolutnie nie możemy zdradzić! - odezwał się głos za jej plecami.

Odwróciła się szybko. Zanim spostrzegła, co się święci, Scipio ziapał dubeltówkę i wycelował w Idę.

- Scipio, co robisz? - krzyknęła przerażona Osa. - Natychmiast zostaw tę broń!

- Mam to skrzydło! - powiedział Scipio, nie opuszczając strzelby. - Znalazłem je, wisiało na górze w sypialni. Więc możemy stąd spadać.

- Scipio? A kto to znowu? - Ida rzuciła niedopałek papierosa na podłogę, przydepnęła go i skrzyżowała ręce na piersiach. - Widzę, że dziś w nocy w moim domu aż roi się od nieproszonych gości. Ciekawa maska, mój drogi. Mam podobną, tyle że swojej rzadko używam przy włamaniach. A teraz odstaw tę strzelbę.

Scipio cofnął się o krok.

- O tym skrzydle krążą różne opowieści. Czy wasz zleceniodawca cokolwiek wam na ten temat wspomniał?

Scipio nie zwracał na nią uwagi.

- Jeśli teraz nie pójdziecie ze mną, to wychodzę sam! - krzyknął. - Ze skrzydłem. A pieniądze, które za nie dostanę, zatrzymam dla siebie. - Strzelba drżała w jego dłoniach. - Idziecie wreszcie?! - krzyknął znowu.

Wtedy Ida Spavento zrobiła krok w jego stronę, chwyciła za lufę i jednym ruchem wyrwała mu broń z ręki.

- Koniec z tym! - oświadczyła. - I tak nie jest nabita. A teraz oddaj moje skrzydło.

Usłyszawszy głosy na korytarzu, Scipio owinął skrzydło w koc i schował w łazience. Teraz, kładąc zawiniątko przed Idą, mruknął z ponurą miną:

- Mogliśmy je mieć! Gdyby ci idioci nie stali tu jak mumie. - Z pogardą popatrzył na nich, stojących teraz ciasno przy sobie w drzwiach laboratorium. Jedynie Riccio ze skruczą pochylił głowę. Inni odpowiedzieli mu wrogim spojrzeniem.

- Zamknij się! Chyba całkiem ci odbiło! - burknął Mosca. - Wymachiwać tu spluwą!

- Przecież bym nie wystrzelił! - krzyknął Scipio. - Chciałem tylko, żebyśmy dostali pieniądze. Oddałbym wam nawet wszystko. Sam powiedziałeś, że ich potrzebujecie.

- Pieniądze? A tak, rzeczywiście. - Ida Spavento pochyliła się, rozłożyła koc, w który Scipio zawinął skrzydło. - Ile mieliście dostać, jeśli wolno spytać, za moje skrzydło?

- Bardzo, bardzo dużo - odparła Osa.

Niepewnie podeszła do nieznanym kobiecie i stanęła obok.

Na podłodze leżało skrzydło. Biała farba była zszarzała i krucha, dokładnie tak jak na zdjęciu, które dał im Conte. Ale na skrzydle widać było jeszcze plamki złota.

- Zdradźcie mi imię waszego zleceniodawcy. - Ida z powrotem zawinęła koc i wstała, trzymając pakunek tak, że wystawał za ledwie czubek skrzydła. - Wy zdradźcie mi nazwisko zleceniodawcy, a ja wam powiem, dlaczego on chce tak wiele dać za kawałek drewna.

- Nie wiemy, jak się nazywa - szepnął Riccio.

- Kazał do siebie mówić Conte - bezwiednie wymusnęło się Mosce, a kiedy Scipio spojrzał na niego złowrogo, wrzasnął: - Co się tak gapisz, Królu Złodziei? Dlaczego mamy tego nie mówić?

- Król Złodziei. - Ida Spavento uniosła brwi. - To chyba powinnam czuć się zaszczycona, że zakradłeś się do mojego domu, czy tak? - Obrzuciła Scipia ironicznym spojrzeniem. - No cóż, ja w każdym razie muszę się teraz napić kawy. Przypuszczam, że nikt nie zamartwia się o was w domu, prawda? - Spojrzała pytająco na dzieci.

Wszyscy milczeli, tylko Osa pokręciła przecząco głową.

- Nie - szepnęła wreszcie cichutko.

- Dobrze, więc dotrzymacie mi towarzystwa - rzekła Ida Spavento - i jeśli chcecie, opowiem wam pewną historię. O zgubionym skrzydle i karuzeli. Tobie też - dodała, patrząc na Scipia. - Ale może Król Złodziei ma coś lepszego do roboty?

STARA HISTORIA

Scipio ruszył razem ze wszystkimi do kuchni Idy Spavento, ale nie wszedł do środka, tylko stanął w drzwiach. Pozostali zasiedli wokół dużego stołu. Przed nimi, na kolorowym obrusie, leżało skrzydło. Ida Spavento odwinęła je z koca, po czym zaczęła przygotowywać kawę.

- Ładnie wygląda - zachwyciła się Osa i ostrożnie przesunęła palcami po drewnie. - To pewnie skrzydło jakiegoś anioła, prawda?

- Anioła? Nie. - Ida zdjęła czajnik z ognia i zalała kawę. Gorący napar zasyczał cicho w dzbanku. - To skrzydło lwa.

- Lwa? - Riccio spojrzał na nią zaskoczony.

Ida przytaknęła.

- Owszem. - Marszcząc brwi, sięgnęła do kieszeni. - Gdzie też mogłam zapodziać moje papierosy?

- Riccio! - Mosca dał mu kuksańca w bok i Riccio ze skruszoną miną wyciągnął z kieszeni kurtki pudełko papierosów. Osa zrobiła się czerwona aż po cebulki włosów.

- Przepraszam... - wyjąkał Riccio. - To z przyzwyczajenia, już nie będę...

- Mam nadzieję. - Ida wsunęła papierosy do kieszeni. Potem wyjęła z szafki cukiernicę i filiżankę dla siebie, dla dzieci zaś szklanki i sok. Dla Scipia również, ale on wciąż stał w drzwiach.

Tylko zdjął maskę.

- Co to za historia? - zapytał Mosca, nalewając sobie soku.

- Już mówię. - Ida Spavento przerzuciła płaszcz przez oparcie krzesła, wypila łyczek kawy i sięgnęła po papierosa.

- Ja też dostanę jednego? - zapytał Riccio.

Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Jasne, że nie. To bardzo niezdrowy nałóg.

- Aha, a pani to co?

Ida westchnęła.

- Próbuję rzucić. Ale przejdźmy do historii. - Oparła się wygodnie. - Słyszeliście kiedyś historię o karuzeli sióstr miłosierdzia?

Dzieci pokręciły przecząco głowami.

- Sierociniec dla dziewcząt na południu miasta - wtrącił Riccio - należy do jakichś tam sióstr miłosierdzia.

- Właśnie. - Ida lekko posłodziła sobie kawę. - Podobno przed ponad stu pięćdziesięciu laty pewien bogaty kupiec podarował sierocińcowi bardzo drogi prezent. Na podwórzu kazał zbudować karuzelę z pięcioma pięknymi drewnianymi figurami.

Do dziś jej obraz widnieje nad wejściem do sierocińca. Pod kolorowym baldachimem z drewna kręciły się jednorożec, konik morski, wodnik, syrena i skrzydlaty lew. Złośliwi mówili, że bogacz zamierzał w ten sposób uciszyć wyrzuty sumienia, gdyż podobno sam oddał do sierocińca niechciane dziecko swojej córki. Ale inni zaprzeczali tym pogłoskom i twierdzili, że był to człowiek o wielkim sercu, który pragnął po prostu podzielić się swym bogactwem z biednymi sierotami. Nieważne, jak było naprawdę.

Wkrótce cała Wenecja mówiła o cudownej karuzeli, co nie było bez znaczenia w mieście, które i tak jest już pełne cudów. Ale niebawem zaczęły krążyć pogłoski, że za murami sierocińca dzieją się zagadkowe rzeczy związane z tą karuzelą.

- Zagadkowe rzeczy? - Riccio wpatrywał się w Idę szeroko otwartymi oczami. Tak patrzył zawsze na Osę, gdy im czytała...

Ida przytaknęła.

- Tak. Zagadkowe rzeczy. W mieście szeptano, że wystarczy ło kilka okrążeń na karuzeli sióstr miłosierdzia, aby dzieci stawaj ły się dorosłymi, a dorośli na powrót byli dziećmi.

Przez kilka chwil panowała całkowita cisza. Nagle Mosca roześmiał się z niedowierzaniem.

- Niby jakim to cudem?

Ida wzruszyła ramionami.

- Nie mam pojęcia. Mówię tylko to, co słyszałam.

Scipio ruszył wreszcie od drzwi i usiadł obok Prospera i Bo.

- Co ma wspólnego ta karuzela ze skrzydłem? - zapytał.

- Właśnie do tego zmierzam - odparła Ida i dolała Bo trochę soku. - Siostry i sieroty nie cieszyły się długo podarunkiem. Już po kilku tygodniach karuzelę skradziono. Pewnego dnia siostry pojechały z dziećmi na wycieczkę do Burano, a po powrocie zastały wyłamana bramę i puste podwórze. Karuzela zniknęła i już nigdy jej nie odnaleziono. Ale złodzieje zgubili coś w pośpiechu...

- Skrzydło lwa - wyszeptał Bo.

- Właśnie - przytaknęła Ida. - Leżało niezauważone w kącie podwórza sierocińca, aż pewnego dnia znalazła je tam jedna z sióstr. Nikt jej nie wierzył, że to część cudownej

karuzeli, ale ona je schowała. Po jej śmierci skrzydło trafiło na strych sierocińca, gdzie wiele, wiele lat później ja tam je znalazłam.

- Co pani tam robiła? - spytał Mosca.

Ida zgasiła papierosa.

- Często bawiłam się na górze, przy gołębnikach - odpowiedziała. - Były bardzo stare, jeszcze z czasów, gdy przesyłano sobie listy przez gołębnie pocztowe. W Wenecji było to bardzo popularne. Kiedy bogaci Wenecjanie wyjeżdżali latem na wieś, wysyłali w ten sposób wiadomości do miasta. Najczęściej wyobrażałam sobie, że ktoś zamknął mnie na strychu i że wysyłam gołębnie, by sprowadzić pomoc. I pewnego dnia w trakcie zabawy znalazłam leżące tam wśród gołębic odchodów skrzydło. Jedna ze starszych sióstr pamiętała jeszcze, skąd ono pochodzi, i opowiedziała mi o karuzeli, a kiedy zorientowała się, jak bardzo poruszyła mnie ta historia, po prostu mi je podarowała.

- Bawiła się pani w sierocińcu? - zdziwił się Scipio. - Jak pani tam wchodziła?

Ida odgarnęła włosy.

- Mieszkałam w tym sierocińcu. Ponad dziesięć lat. To nie by-

ły moje najszczęśliwsze lata, ale od czasu do czasu odwiedzam niektóre siostry.

Osa przypatrywała się Idzie, jakby widziała jej twarz po raz pierwszy w życiu. Potem sięgnęła do kieszeni kurtki i wyjęła zdjęcie, które dał im Conte. Przesunęła je w stronę Idy.

- Nie wydaje się pani, że to coś za skrzydłem przypomina trochę głowę jednoroźca?

Ida Spavento pochyliła się nad zdjęciem.

- Skąd je macie? - zapytała. - Od waszego zleceniodawcy?

Osa przytaknęła.

Scipio podszedł do kuchennego okna. Na dworze wciąż było ciemno.

- Czy człowiek staje się dorosły po przejażdżce na tej karuzeli? - zapytał, nie odwracając się.

- Po kilku okrążeniach. Dziwna historia, prawda? - Ida wstawiła filiżankę do zlewu. - Ale ten wasz Conte może wam na pewno o wiele więcej o tym opowiedzieć. Myślę, że wie, gdzie znajduje się karuzela sióstr miłosierdzia. Bo niby po co by was wynajmował? Pewnie karuzela nie może się kręcić, dopóki lwu brakuje drugiego skrzydła.

- Conte jest już bardzo stary - powiedział Prosper. - Nie zostało mu zbyt wiele czasu na uruchomienie karuzeli.

- Signora... - Mosca pogładził dłonią skrzydło. Drewno było chropowate w dotyku. - Jeśli naprawdę jest to skrzydło lwa z karuzeli, to pani raczej do niczego się ono nie przyda. Równie dobrze może pani je nam oddać, no nie?

Ida Spavento uśmiechnęła się.

- Ach tak?

Otworzyła drzwi do ogrodu, by wpuścić trochę chłodnego nocnego powietrza. Dłuższą chwilę stała odwrócona do dzieci tyłem, po czym nagle spojrziała na nie.

- Co powiecie na mały układ? - zapytała. - Zostawię wam skrzydło, żebyście je mogli dostarczyć Contemu i dostać od niego zapłatę, ale za to...

- I tu jest haczyk - mruknął Riccio.

- Ale za to - kontynuowała Ida - kiedy Conte odejdzie z moim skrzydłem, ruszymy za nim w pościg i w ten sposób może uda nam się odnaleźć karuzelę sióstr miłosierdzia. Mówię: my, bo oczywiście pójdę z wami. To należy do umowy. - Popatrzyła na swoich nocnych gości. - I co wy na to? Nie domagam się swojej części pieniędzy. Z fotografowania mam więcej, niż mi potrzeba.

Ale tak bardzo chciałabym zobaczyć karuzelę. No, proszę was, zgódźcie się!

Dzieci nie wyglądały jednak na szczególnie zachwycone.

- Ruszymy za nim w pościg? Co to ma znaczyć? - Riccio o mało nie odgryzł sobie czubka języka.

- No, nie wiem... ten Conte jest taki... niesamowity - mruknął Mosca. - A jeśli nas złapie? Wydaje mi się, że on potrafi być bardzo nieprzyjemny.

- Ale czy to zdjęcie nie budzi waszej ciekawości? - Ida zamknęła drzwi do ogrodu i wróciła na swoje miejsce. - Nie chcielibyście zobaczyć karuzeli? Podobno jest przepiękna.

- Lew na placu Świętego Marka też jest przepiękny - odburknął Mosca. - Niech lepiej jemu się pani przyjrzy.

I wtedy wstał Scipio. Nie mógł nie widzieć pełnych oburzenia spojrzeń pozostałych, ale mimo to powiedział:

- Ja bym przyjął tę propozycję. Jest okej. Dostaniemy nasze pieniądze, a nawet jeśli Conte zorientuje się, że go śledzimy, to przecież i tak umiemy biegać szybciej od niego.;

- Ciągle słyszę: „my” - mruknął Mosca. - Z „nami” już koniec, ty podły kłamco. Teraz już do nas nie należysz. Zresztą nigdy nie należałeś, nawet jeśli ci się tak wydawało.

- Właśnie, wracaj do swojego wytwornego domu! - krzyknął Riccio. - Biedne sierotki nie mają już ochoty bawić się z tobą, w „Scipio, Król Złodziei”.

Scipio stał bez ruchu, przygryzając wargi. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć - i znów je zamknął. Riccio i Mosca spoglądali na niego wrogo, Osa wpatrywała się w blat stołu, a Bo wcisnęła głowę pod ramię Prospera, jakby chciał się schować.

- Możecie mi wyjaśnić, o co tu właściwie chodzi? - zapytała Ida Spavento. Gdy nikt jej nie odpowiedział, podeszła do zlewu i wypłukała dzbanek po kawie.

- Nigdzie nie wrócę - odezwał się nagle Scipio zachrypniętym głosem. - Już nigdy nie wrócę do domu. Z tym już koniec. Nie potrzebuję ich. I tak nigdy nikogo nie ma. A nawet jeśli są, to traktują mnie jak kłopotliwe zwierzę. Jeżeli ta karuzela naprawdę istnieje, to przejadę się na niej jeszcze szybciej niż Conte, a zsiądę dopiero wtedy, gdy będę o głowę wyższy od mojego ojca i wyrośnie mi broda. A jeśli wy nie chcecie, zrobię to sam i nikt już nie będzie mnie traktował jak źle wytresowanego psa ani nie będzie wzdychał ciężko, gdy coś mówię. Nigdy więcej.

Po słowach Scipia nastąpiła taka cisza, że słychać było miauczenie kota na dworze.

- Myślę, że powinniśmy przyjąć ofertę signory Spavento - powiedziała Osa bardziej do siebie niż do innych. - I powinniśmy też zakopać topór wojenny, przynajmniej do czasu, gdy przekazemy Contemu skrzydło i dostaniemy zapłatę. W końcu mamy teraz wystarczająco dużo kłopotów na głowie bez uprzykrzania sobie wzajemnie życia, no nie? - Spojrzała w stronę Prospera i Bo. - Czy ktoś jest przeciw?

Nikt się nie poruszył.

- No to postanowione - orzekła Osa. - Umowa stoi, signora.

SCIPIO KLAMCA

Kiedy dzieci opuszczały dom Idy Spavento, ponad dachami Wenecji szarzał już świt. Scipio poszedł razem ze wszystkimi do kryjówki, chociaż Riccio i Mosca przez całą długą drogę nie odezwali się do niego ani słowem. Czasem tylko Riccio spoglądał na Króla Złodziei z taką wrogością, że w końcu Prosper przezornie wepchnął się między nich. Skrzydło zostawili u Idy; miała je przynieść w dzień spotkania z Contem.

- No, chyba że wcześniej odwiedzą mnie jacyś inni złodzieje i je wykradną - powiedziała jeszcze na pożegnanie.

Mały Bo był tak śpiący, że Prosper musiał go nieść na plecach przez ostatni kawałek drogi, ale kiedy wreszcie dotarli do kina, okropnie już zmęczeni, nagle się rozbudził. Pozwolili mu więc złapać gołębicę. Radosny, ustawił się pod koszem, nabrał w dłoń ziarna i wyciągnął ją w stronę ptaka, tak jak pokazywał mu Wiktor na placu Świętego Marka. Gołębica zagruchała i łypnęła na niego nieufnie, ale potem sfrunęła mu prosto na rękę. Bo, śmiejąc się, uniósł ramiona, gdy wczepiła mu się ostrymi pazurkami w rękaw.

Ostrożnie ruszył w kierunku wyjścia awaryjnego, podczas gdy Sofia pospiesznie wydziobywała ziarno spomiędzy jego palców.

- Idź z nią nad kanał, Bo! - szepnął Mosca, otwierając i przytrzymując mu drzwi.

Na dworze zrobiło się już jasno, był zimny poranek. Gołębica nastroszyła piórka i zamrugła niepewnie, kiedy Bo wyszedł z nią na dwór. Wśród ciasno stojących domów siedziała ze złożonymi skrzydłami, dopiero nad kanałem, kiedy poczuła podmuch wiatru, poderwała się z ręki Bo. Wzleciała wysoko w poranne niebo, które barwą podobne było do jej szarego upierzenia, leciała coraz szybciej i szybciej, aż wreszcie zniknęła gdzieś za kominami miasta.

- Kiedy mamy odebrać wiadomość od Barbarossy? - zapytał Prosper, gdy zmarznięci wracali do kina. - Tego samego dnia, którego wysłemy wiadomość? To znaczy, że gołębica nie może lecieć daleko.

- Gołębie pokonują w ciągu dnia setki kilometrów - odparł Scipio. - Do wieczora spokojnie dotarłaby do Londynu czy Paryża. - Widząc pełne niedowierzania spojrzenie Osy, dodał: - Czytałem gdzieś. - Ale powiedział to nie tym aroganckim tonem, który wcześniej tak chętnie przybierał, tylko z zakłopotaniem, niemal przepaszajaco.

- Eee, nie wierzę, że Conte mieszka w Paryżu - powiedział Riccio lekceważąco. - Ale nieważne. Gołąb jest w drodze, a ty lepiej już spadaj do domu.

Scipio drgnął. Spojrzał błagalnie na Prospera, ale ten odwrócił głowę. Nie zapomniał jeszcze, jak Król Złodziei ich potraktował, kiedy czekali przed bramą domu jego rodziców. Scipio zdawał się odgadywać myśli Prospera, bo spuścił oczy. Zagubiony, nie wiedział, u kogo jeszcze mógłby szukać pomocy. Mały Bo zachowywał się tak, jakby w ogóle nie zauważał panującego napięcia, i karmił swoje kotki, a Osa stała z pochyloną głową, unikając wzroku Scipia.

- Riccio ma rację, Scip - powiedziała po chwili, ze zmarszczonym czołem przyglądając się swoim paznokciom. - Musisz wracać. Nie możemy sobie pozwolić na to, żeby twój ojciec postawił na nogi całe miasto, bo mu synek zniknął. Pewnie dość szybko wpadnie na trop starego kina. I za chwilę będziemy już mieli połowę weneckiej policji pod drzwiami. A i bez tego mamy dość kłopotów.

Twarz Scipia stężała i Prosper ujrzał, że oto wraca dawny Król Złodziei, przekorny i wyniosły, umiejący się bronić przed taką wrogością.

- Ach tak - powiedział, krzyżując ręce na piersi. - Prospera i Bo nie wyrzucacie, chociaż sprowadzają wam na głowę tego szpicla, ale ja nie mam prawa zostać, chociaż to ja znalazłem wam tę kryjówkę, chociaż to właśnie ja przynosiłem wam pieniądze i ciepłe ubrania! Załatwiłem wam nawet materace, przywiozłem je na dziurawej łódce Moski, o mało przy tym nie tonąc.

Przyniosłem wam kołdry i piecyki, kiedy zrobiło się zimno. Myślicie, że było łatwo wykraść te wszystkie rzeczy moim rodzicom?

- Jasne, że nie było łatwo. - Mosca popatrzył na Scipia z pogardą. - Pewnie podejrzewali służącą albo kucharza, albo jeszcze kogoś z tysiąca waszej służby.

Scipio nie odpowiedział, ale jego twarz przybrała nagle barwę szkarłatu.

- Bingo - powiedział Riccio. - Strzał w dziesiątkę.

- Podejrzewali kogoś innego? - Osa z przerażeniem spojrzała na Scipia, który starannie zapinał sobie kurtkę.

- Moją opiekunkę.

- No i co? Wstawiłeś się za nią?

- A niby jak? - Scipio zezłościł się, widząc osłupiałe spojrzenie Osy. - Żeby ojciec odesłał mnie do internatu? Myślicie, że tam jest lepiej niż w sierocińcu? Nie znacie mojego ojca! Za ukradzioną spinkę do mankietu kazałby mi biegać po ulicy z tabliczką zawieszoną na szyi: „Jestem małym, ohydny złodziejem!”.

- Zamknęli ją? - spytał Bo, który jednak przysłuchiwał się rozmowie, chociaż tak bardzo starał się udawać zajętego kociętami. - W prawdziwym więzieniu?

- Kogo? - Scipio odwrócił się, krzyżując ręce na piersi, jakby to mogło go ochronić przez wyrzutami przyjaciół.

- Twoją opiekunkę. - Bo przygryzał dolną wargę.

- No co ty! - Scipio wzruszył ramionami. - Przecież nie mogli jej nic udowodnić. Po prostu została natychmiast zwolniona, to wszystko. Gdybym nie wziął tych diabelnych szczypiec do cukru, nikt by niczego nie zauważył. Większość wynosiłem z pokojów, których nikt nie używa, gdzie wszystko tylko pokrywa się kurzem.

Ale kiedy moja matka zauważyła, że nie ma jej cudownych szczypiec do cukru, zorientowała się też, że brakuje innych rzeczy. No cóż. Teraz po prostu nie mam już opiekunki.

- Scip, człowieku! - mruknął Mosca.

- Przecież robiłem to tylko dla was! - krzyknął Scipio. - Zapomnieliście już, jak wam było ciężko, zanim zacząłem się wami opiekować?

- Spadaj! - ryknął Riccio, ze złości przykładając Scipiovi pięścią w brzuch. - Poradzimy sobie i bez ciebie. Nie chcemy już mieć z tobą nic wspólnego. W ogóle nie powinniśmy cię tu więcej wpuszczać.

- Nie powinniście mnie tu więcej wpuszczać? - wrzasnął Scipio tak głośno, że aż Bo zatkał sobie uszy. - Co ty sobie wyobrażasz? To wszystko należy do mojego ojca!

- No tak, jasne! - krzyknął Riccio. - To leć do niego i podkabluj nas, ty nadęta złota rybko!

Słyszac to, Scipio jak wściekły rzucił się na Riccia. Tylko dzięki pomocy Moski Osa i Prosper ich rozdzielili. Kiedy Bo ujrzał, że Ricciowi krew leci z nosa, a twarz Scipia jest cała podrapana, rozplakał się tak głośno, że wszyscy z przerażeniem odwrócili się do niego. Osa była szybsza niż Prosper. Objęła malca ramieniem, aby go pocieszyć, i uspokajająco głaskała po włosach, na których widać już było jasne odrosty.

- Idź do domu, Scip - powiedziała niecierpliwie. - Damy ci znać, jak tylko się dowiemy, kiedy mamy się spotkać z Contem.

Może już jutro po południu dostaniemy wiadomość; ktoś z nas Polecisz zaraz po śniadaniu do Barbarossy.

- Co?! - Riccio odepchnął Moscę, który usiłował mu otrzeć krew z nosa. - Dlaczego chcesz mu dać znać?

- Riccio, dosyć tego! - krzyknął Prosper. - Widziałem ojca Scipia. Nie odważyłbyś się ukraść mu nawet jednej srebrnej łyżeczki. A już na pewno do niczego byś mu się nie przyznał.

Riccio siąknął tylko, przyciskając nos wierzchem dłoni.

- Dzięki, Prop - mruknął Scipio. Zadrapania na jego policzku przypominały paski zebry. - Do jutra! - mruknął, zawahał się i jeszcze raz się odwrócił. - Naprawdę dacie mi znać?

Prosper przytaknął.

Ale Scipio ciągle jeszcze się wahał.

- Ten detektyw... - zaczął.

- Uciekł - oświadczył Mosca.

- Co?!

- To nic takiego. Dał nam słowo honoru, że nas nie zdradzi - powiedział Bo, uwalniając się z objęć Osy. - On jest teraz naszym przyjacielem.

Scipio patrzył na Bo z takim zdumieniem, że Osa wybuchnęła śmiechem.

- No, przyjaciel to może trochę za dużo powiedziane - stwierdziła. - Wiesz, Bo całkiem oszalał na jego punkcie. Ale rzeczywiście, na pewno nas nie zdradzi.

- Jeśli tak uważacie. - Scipio wzruszył ramionami. - A więc do jutra.

Powoli ruszył wzdłuż obitych na czerwono rzędów składanych foteli, gładząc ich oparcia i spoglądając po drodze na pokrytą gwiazdami kurtynę. Szedł bardzo wolno, jakby wciąż czekał, że ktoś go zawoła. Ale nikt się nie odezwał, nawet Bo, który głaskał swoje kotki.

On się boi, zrozumiał nagle Prosper, spoglądając za Królem Złodziei. Boi się wrócić do domu. Przypomniał sobie ojca Scipia, stojącego na górze, przy poręczy schodów, i zrobiło mu się żal chłopca.

JESZCZE JEDNA WIZYTA

W sklepie Barbarossy było całkiem pusto. Prosper otworzył drzwi, a dzwoneczki wiszące na framudze natychmiast głośno się rozdzwoniły. Bo zatrzymał się na progu, wpatrując się w nie zachwycony, aż Osa musiała wciągnąć go do środka. Po nocy powietrze było wręcz lodowate. Wiatr nie wiał już od morza, tylko od strony gór, suchy i porywisty, owiewał mosty i place.

To nie byli już posłańcy zimy, to ona sama przybyła do księżycowego miasta i skostniałymi, mroźnymi palcami dotykała jego oblicza.

- Signor Barbarossa? - krzyknęła Osa, spoglądając na obraz nad ladą. Oczywiście ona też wiedziała o istnieniu wizjera, przez który Rudobrody obserwował swoich klientów.

- Si, si, pazienza! - usłyszeli jego mrukliwą odpowiedź.

Po chwili Barbarossa wystawił głowę przez zasłonę oddzielającą sklep od biura. Jego oczy były nabiegłe krwią. Zasłaniając usta ogromną chustką, głośno wytarł nos.

- A, wzięliście ze sobą małego. Uważajcie, żeby znów czegoś nie zbił. I co zrobiliście z jego anielskimi włosami? Powiedz dzień dobry, karzełku.

- Buongiorno - mruknął Bo i schowawszy się za plecami Prospera, pokazał Barbarossie język.

- Ach! Buongiorno. On coraz lepiej mówi po włosku. No wchodźcie! - Barbarossa niecierpliwym gestem wskazał dzieciom drogę do biura. - Zima, czego ona, do diabła, chce o tej porze? Czy cały świat kompletnie oszalał? - narzekał, przepychając się w stronę biurka. - To miasto ledwie można znieść nawet w lecie, ale zimą potrafi najzdrowszego człowieka wpędzić do grobu.

Ale komu ja to mówię? Dzieci nie mają o tym pojęcia. Dzieciom nigdy nie jest zimno, dzieci skaczą po kałużach i nie dostają nawet kataru. Nie przeszkadza im, że mają na głowach czapy śniegu, podczas gdy nam, dorosłym, z każdym płatkem bliżej do śmierci. - Z westchnieniem, jakby był śmiertelnie chorym człowiekiem, Barbarossa opadł na fotel. - Ból gardła, ból głowy i wiecznie ciekący nos! - jęknął. - Ohyda! Jakby człowiek był jakimś żywym kranem. - Ściślej owinął sobie szal wokół tłustej szyi i spojrzał na gości znad chustki do nosa. - Nie macie żadnej torby, niczego? Czy tym razem łup Króla Złodziei mieści się w kieszeni spodni?

Tymczasem Bo wyciągnął dłoń i dotknął leżącego na biurku małego blaszanego dobosza.

- Nie dotykaj, to jest wiele warte! - wykrzyknął Rudobrody i podsunął chłopcu cukierek od kaszlu.

- Nie przyszliśmy nic sprzedawać - powiedziała Osa. - Conte miał u pana zostawić dla nas list.

Bo odwinął cukierek i nieufnie go powąchał.

- Ach tak, list od Contego. - Barbarossa raz jeszcze głośno wytarł nos i schował chustkę do kieszeni kamizelki wyhaftowanej w mnóstwo maleńkich gondoli. - Jego siostra, Contessa, zostawiła go wczoraj dla was. On sam rzadko odwiedza miasto. - Barbarossa wepchnął sobie do ust cukierek od kaszlu i z ciężkim westchnieniem otworzył górną szufladę biurka. - Proszę bardzo!

Ze znudzoną miną wręczył Osie cieniutką kopertę. Niczego na niej nie było - ani adresu, ani nadawcy. Ale kiedy Osa sięgnęła po nią, Barbarossa cofnął rękę.

I

- A tak między przyjaciółmi - mruknął, zniżając głos - powiedzcie mi, co takiego mieliście ukraść dla Contego. Król Złodziei wykonał zlecenie, jak należy, nieprawdaż?

- Być może - odpowiedział wymijająco Prosper i niemal wyrwał Barbarossie kopertę z dłoni.

- He, he, he! - Barbarossa podniósł się i gniewnie uderzył pięścią w stół. Z przerażenia Bo omal nie połknął cukierka. - Rzeczywiście bezczelny z ciebie chłopak, wiesz? - krzyknął Barbarossa. - Czy nikt cię nie nauczył, jak należy się odnosić do dorosłych?

Atak kaszlu powalił go z powrotem na fotel. Prosper nic nie odpowiedział, tylko bez słowa schował kopertę do kieszeni kurtki. A Bo wypluł na rękę lepki cukierek i rzucił nim o blat biurka.

- Masz, weź go sobie z powrotem. I nie krzycz na mojego brata - powiedział.

Barbarossa patrzył na malca, zbity z tropu.

Osa pochyliła się nad biurkiem z najbardziej przyjaznym uśmiechem, na jaki mogła się zdobyć.

- A jak tam z panem, signor Barbarossa? Czy nikt pana nie nauczył, jak należy się odnosić do dzieci?

Barbarossa tak się rozkaślał, że jego twarz poczerwieniała bardziej niż nos.

- No, już dobrze. Na lwy Świętego Marka, ale jesteście obraźliwi! - Odchrząknął w chustkę. - Nie pojmuję tej całej tajemniczości. Wiecie co, pobawmy się po prostu w zgadywanki, jeśli nie chcecie odpowiadać wprost. Ja zaczynam. - Pochylił się nad biurkiem.

- Czy to, czego Conte tak strasznie pragnie, jest ze złota?

- Nie! - odpowiedział Bo i z szerokim uśmiechem pokręcił głową. - Ani trochę.

- Ani trochę? - Barbarossa zmarszczył czoło. - Pozwól mi zgadywać jeszcze raz. Ze srebra?

- Pudło! - Bo przestępował z nogi na nogę. - Zgaduj dalej.

Ale zanim Rudobrody zdążył zadać kolejne pytanie, Prosper już wypchnął brata przez koralikową zasłonę. Osa podążyła za nimi.

- Z miedzi? - zawołał za nimi Barbarossa. - Nie, czekajcie, to obraz! Posąg!

Prosper otworzył drzwi sklepu.

- Idziemy, Bo - powiedział, ale malec jeszcze się odwrócił.

- Wszystko pudło! - krzyknął. - To jest z ogromnych diamentów. I pereł.

- Nie może być! - Barbarossa pospiesznie przepychał się za nimi. - Opisz mi to nieco dokładniej, mały!

- Niech pan weźmie termofor i kładzie się do łóżka, signor Barbarossa! - poradziła Osa. Wyciągnęła Bo na dwór i dosłownie zamarła.

Wokół wirowały płatki śniegu, leciały tak gęsto z brudnobiałego nieba, że Bo aż zmrużył oczy. Wszystko zrobiło się nagle szare i białe, jakby w czasie, kiedy oni byli w sklepie Barbarossy, ktoś nagle zredukował wszystkie barwy miasta tylko do tych dwóch.

- A więc to naszyjnik! Czy może pierścień? - Podekscytowany Barbarossa wystawił głowę przez drzwi. - Dlaczego nie możemy jeszcze chwilę porozmawiać? Zapraszam was na tort do cukierni naprzeciwko. Co wy na to?

Ale dzieci odchodziły, nie zwracając już na niego uwagi.

Widziały tylko śnieg. Zimne białe płatki opadały im na twarze i włosy. Bo zlizął jeden płatek z czubka nosa i unióśł ręce wysoko w górę, jakby chciał je wszystkie złapać, a Osa z niedowierzaniem wpatrywała się w chmury. W Wenecji od lat nie padał śnieg. Ludzie, których mijali, byli nim równie oczarowani jak dzieci. Nawet sprzedawczynie wyszły ze sklepów, aby wpatrywać się w niebo.

Prosper, Osa i Bo zatrzymali się na moście, przechylili przez kamienną poręcz i patrzyli, jak srebrnoszara woda pochłania opadające płatki. Śnieg delikatnie pokrywał okoliczne domy, rdzawobrązowe dachy, czarne kraty balkonów i liście jesiennych kwiatów, stojących w doniczkach i plastikowych wiaderkach.

Prosper czuł, jak śnieg, miękki i zimny, kładzie się na jego włosach. I nagle przypomniał sobie całkiem inny kraj, niemal już zaponiniany, daleki, i rękę, która delikatnie strzepywała mu śnieg z włosów. I stał tak między Osą i Bo, wpatrywał się niewidzącym wzrokiem w odbijające się w wodzie domy i przez tę krótką chwile rozkoszował się

wspomnieniami. Ze zdziwieniem uświadomił sobie, że nie sprawiają mu już teraz bólu. Być może dzięki Osie i Bo, których bliskość i ciepło czuł przy sobie. Nawet kamienna poręcz wydawała mu się przyjazna i chroniła go przed bólem.

- Prop. - Osa otoczyła go ramieniem i spojrzała z niepokojem. Stojący przy niej Bo pochłonięty był łapaniem na język płatków śniegu. - Czy wszystko w porządku?

Prosper strzepnął śnieg z włosów i przytaknął.

- Otwórz ten list - rzekła Osa. - Chciałabym wiedzieć, kiedy wreszcie zobaczę Contego.

- Skąd wiesz, pojawi się osobiście?

Prosper wyjął kopertę z kieszeni. Była zalakowana, jak ta z konfesjonału, ale pieczęć wyglądała dziwnie. Jak gdyby ktoś zamalował ją czerwoną farbą. Osa obejrzała dokładnie list.

- Ktoś ją otwierał! - Z niepokojem popatrzyła na Prospera. - Barbarossa!

- To nic - uspokoił ją Prosper. - Dlatego właśnie Conte już wtedy podał Scypiovi miejsce spotkania. Przewidział, że Rudobrody otworzy list. Widocznie nieźle go zna.

Osa ostrożnie rozcięła kopertę szczyrykiem. Zaciekawiony Bo cały czas zaglądał jej przez ramię. W środku była mała kartka, która tym razem zawierała tylko kilka słów.

- Barbarossa pewnie gryzł biurko z rozczarowania, kiedy ją zobaczył - roześmiał się Prosper i przeczytał:

W umówionym miejscu na wodzie szukajcie czerwonej latami w nocy z wtorku na środę, godz. 1.00.

- To jutrzejszej nocy! - Prosper pokręcił głową. - O pierwszej trochę późno.

Schował kopertę z wiadomością do kieszeni i zmierzwił ufarbowane na czarno włosy Bo.

- To z ogromnymi diamentami było naprawdę nieźle. Widzieliście jego chciwy wzrok?

Chichocząc, Bo zlizął płatek śniegu z dłoni, ale Osa z niepokojem spoglądała przez poręcz.

- Na wodzie? - mruknęła. - Co to może znaczyć? Czy mamy mu przekazać skrzydło na łódce?

- Żaden problem - odparł Prosper. - Wszyscy się zmieścimy w łódce Moski.

- To prawda - powiedziała Osa. - Ale mimo wszystko mi się to nie podoba. Ja nie umiem dobrze pływać, a Ricciowi robi się niedobrze od samego patrzenia na łódce.

Z obawą spojrziała na kanał, w którym bezpowrotnie tonęły śnieżynki. Jakaś gondola sunęła w cieniu mostu, a troje turystów siedziało nieruchomo na ośnieżonych poduszkach. Osa patrzyła z ponurą miną, dopóki łódź nie zniknęła pod mostem.

- Nie lubisz łodzi? - Prosper pociągnął ją zadziornie za cieniutki warkoczyk. - Ale przecież urodziłaś się w Wenecji. Myślałem, że wszyscy weneccjanie je uwielbiają.

- No to źle myślałeś - ucięła Osa i odwróciła się plecami do balustrady. - Chodźcie, reszta na pewno już na nas czeka.

Śnieg sprawił, że miasto wydawało się całkiem ciche. Osa i Prosper szli obok siebie w milczeniu, a Bo podskakiwał przed nimi jak pchełka i pomrukiwał wesoło jakąś melodię, całkowicie zajęty sobą.

- Nie chcę, żeby Bo brał udział w przekazywaniu skrzydła! - szepnął Prosper do Osy.

- Rozumiem - odparła cicho. - Ale ciekawe, jak mu to wytłumaczysz, żeby nie wpadł w histerię? Będzie się darł, aż nam bębenki w uszach popękają.

- Nie mam pojęcia, co zrobić - mruknął Prosper bezradnie. - jest strasznie uparty, a zwłaszcza kiedy ja coś mówię. Może ty z nim porozmawiasz?

- Porozmawiać? - Osa pokręciła głową. - Gadanie nic nie pomoże. Nie, chyba mam lepszy pomysł. No i wykręcę się od jazdy

}ódką. Tylko że znów nie zobaczę Contego...

BIEDNY CHORY WIKTOR

Wiktor leżał w łóżku z kołdrą naciągniętą na głowę.

Leżał tak już od dwóch dni. Zwlekał się tylko po to, żeby iść do łazienki, nakarmić żółwie albo kupić sobie na dole w pasticcerii kawałek ciasta. Nawet śnieg nie mógł poprawić mu humoru.

- Jestem przeziębiony - mruczał w odpowiedzi na pytania sprzedawczyni o stan zdrowia. - Zaraziłem się od mojego żółwia.

Wracał z ciastkami i znów zakopywał się w łóżku. Nie odbierał telefonu i nie otwierał drzwi. Oglądał telewizję, obserwował przez okno płatki śniegu, które wiatr pędził we wszystkie strony, i wmawiał sobie, że jest zbyt chory, żeby spotkać się z Hartliebami w hotelu Sandwirth.

To niemożliwe. Nie da rady. Zresztą wiadomość od Estery Hartlieb, zostawioną na automatycznej sekretarce, i tak już wykasował.

Przeglądał gazety w poszukiwaniu informacji o włamaniach, ale wszystko, co znalazł, to artykuł o złodzieju-windziarzu w hotelu przydworcowym. Sprawilo mu to zadziwiająca ulgę. Swoją drogą, odkąd uciekł dzieciakom, wszystko było dziwne. Do diabła, zupełnie nie rozumiał, co się z nim dzieje. Czy ciągle musiał wracać do nich myślami? Cisza w jego mieszkaniu wydała mu się nagle przytłaczająca. Czasem łapał się na tym, że nasłuchuje. Ale czego?

Czyżby miał nadzieję, że ta banda przyjdzie go odwiedzić?

Z westchnieniem spuścił nogi z łóżka i chwiejnym krokiem przeszedł do biura. Kiedyś i tak będzie musiał wybrać się do tych małych złodziejasków, w końcu ukradli mu sztuczne wąsy. Zasiadł za biurkiem i z najniższej szuflady wyjął album ze zdjęciami. Ze zmarszczonym czołem, lepkimi od ciastek palcami zaczął go przeglądać. O, to oni. Jego rodzice. Nigdy nie wiedział, jakie mieli marzenia. Nie wiedział tego nawet teraz, kiedy sam był dorosły. A tutaj dziecko w wózku, przy którym jego rodzice tak sztywno stoją - to on w swoje pierwsze urodziny. Wiktor nie mógł sobie przypomnieć siebie tak małego, takiego okrągłutkiego i różowiutkiego, z meszkiem na głowie.

Przeglądał album dalej. Już prędzej pamiętał tę buzię, którą wystawiał do aparatu w wieku sześciu lat. Swoją dwunastoletnią twarz często godzinami obserwował w lustrze w poszukiwaniu pryszczki, a mimo to teraz wydawała mu się obca, obca jak twarz innego człowieka.

Zostawił na biurku otwarty album i w samych skarpetkach podreptał do lustra. Nos za bardzo się nie zmienił. A może jednak?

A oczy? Stał tak blisko, że mógł dojrzeć swoje odbicie we własnych źrenicach. Czy oczy pozostają takie same? Takie same u rocznego dziecka albo sześciolatka, który właśnie poszedł do szkoły? Kto siedział w tym nieustannie zmieniającym się ciele?

Jak to mogło się stać, że zapomniał, kim kiedyś był i co czuł w wieku dwóch, pięciu, trzynastu lat?

Zerknął na zegar wiszący na ścianie przy drzwiach sypialni.

Dziesiąta. Jaki dziś dzień? Tak jak się obawiał. Wtorek, dzień spotkania z Hartliebami. Nie udało mu się po prostu go przespać. Z ciężkim westchnieniem powrócił do sypialni, postać chwile niezdecydowany między szafą a miękkim, zachęcająco ciepłym łóżkiem - i otworzył szafę. Co powinien powiedzieć spiczastonosej Esterze i jej mężowi? Co chciał im powiedzieć?

Nie mam pojęcia, myślał Wiktor, ubierając się. W każdym razie na pewno nie prawdę.

DAREMNE KLAMSTWA

Wiktor spóźnił się. Było już kwadrans po czwartej, kiedy przekroczył drzwi wytwornego hotelu Gabrielli Sandwirth. Ostatnio był tu przed niespełną miesiącem, kiedy śledził kogoś, kto zatrzymał się właśnie tutaj. W ten sposób Wiktor poznał wiele weneckich hoteli. Wtedy w Sandwirth, o ile go pamięć nie myliła, nosił ciemny, bujny zarost i ohydne okulary. Sam nie mógł się prawie rozpoznać w lustrze, co było niewątpliwym dowodem udanego kamuflażu. Dziś był po prostu sobą, a to wywoływało w nim dziwne uczucie, że jest jakby nieco mniejszy.

- Buonasera - powiedział, podchodząc do recepcji.

Zza ogromnego bukietu kwiatów wyjrzała głowa recepcjonistki.

- Buonasera. Czym mogę panu służyć?

- Nazywam się Wiktor Getz. Jestem umówiony z państwem Hartlieb... - Wiktor uśmiechnął się przepaszająco - ...i niestety, trochę się spóźniłem. Czy mogłaby pani sprawdzić, czy są jeszcze w swoim pokoju?

- Ależ oczywiście. - Odgarnęła do tyłu czarne włosy. - Co pan powie na ten śnieg? - zagadnęła, sięgając po słuchawkę. - Pamięta pan, kiedy ostatnio tak padało w Wenecji?

Słowo „śnieg” dosłownie rozplynęło się w jej ustach jak kawałek czekolady. Wiktor bez trudu mógł sobie wyobrazić jej twarz, gdy była małym dzieckiem, zupełnie jakby pokazała mu swoje stare zdjęcie. Uśmiechnął się, widząc, jak jej spojrzenie ciągle wędruje za okno, w kierunku płatków śniegu przepływających powoli w powietrzu, jakby świat zaczął się nagle kręcić w zwolnionym tempie.

- Halo, signora Hartlieb, signor Getz do pani.;

Hartliebowie nie marnowali czasu na podziwianie śniegu.

Przed ich oknami wyspa San Giorgio Maggiore unosiła się na lagunie, jakby właśnie wynurzyła się z morskich fal. Widok był tak piękny, że Wiktor dosłownie poczuł skurecz serca, jednakże Estera i jej mąż stali obok siebie, odwrócenie od okna, i patrzyli tylko na niego. A patrzyli złowrogo. Wiktor niepewnie skrzyżował palce za plecami.

Dlaczego nie przykleiłem sobie przynajmniej małego wąsika, pomyślał. Znacznie ułatwiłoby to mówienie nieprawdy. Ale przecież dzieciaki ukradły mu jego wszystkie przepiękne sztuczne wąsy. A więc to będzie ich wina, jeśli spiczastonosza, bystrooka Estera przyłapie go na kłamstwie.

- Cieszę się, że otrzymał pan wiadomość ode mnie - zaczęła doskonałą angielszczyzną. Zwracała się do Wiktora tylko w jego ojczystym języku. - Po telefonicznej

rozmowie z pańską niemiłą sekretarką miałam już wątpliwości, czy pan w ogóle jest w mieście.

- Prawie nigdy go nie opuszczam - odparł Wiktor. - Zbyt za nim tęsknię, kiedy wyjeżdżam.

- Coś takiego! - Estera uniosła swoje cieniutko wydepilowane brwi niemal o centymetr do góry.

Niesamowite, przemknęło Wiktorowi przez myśl. Ja bym tak nie potrafił.

- A więc słuchamy, signor Getz. - Pan Hartlieb wciąż był wielki jak szafa i blady jak wirujące za oknem płatki. - Proszę zdać nam relację z poszukiwań.

- Moich poszukiwań, oczywiście. - Wiktor nerwowo zakołysał się na palcach.

- Wyniki moich poszukiwań są, niestety, jednoznaczne. Małego nie ma już w mieście, jak i zresztą jego starszego brata.

Hartliebowie wymienili szybkie spojrzenia.

- Pana sekretarka wspominała coś o tym - zaczął Max Hartlieb. - Ale...

- Moja sekretarka? - przerwał mu Wiktor, ale w porę przypomniał sobie, że Osa, Prosper i Riccio byli w jego biurze nakarmić żółwia. - Ach tak, naturalnie, moja sekretarka. - Przepraszająco wzruszył ramionami. - Jak państwo wiedzą, deptałem już Bo i jego bratu po piętach. Dowodzi tego przysłane przeze mnie zdjęcie.

Niestety, nie miałem wtedy możliwości złapania ich. Rozumieją państwo, ten cały tłum... ale dowiedziałem się, że bracia dołączyli do bandy młodocianych złodziei. Jeden z nich, którego kiedyś przyłapałem na kradzieży torebki, rozpoznał mnie. To pewnie on przekonał chłopców, że nie są już bezpieczni w Wenecji. Moje dochodzenie wykazało niestety... - Wiktor odchrząknął. Dlaczego zawsze, kiedy musiał skłamać, ścisnęło go w gardle? - ...hm, moje dochodzenie wykazało, że obaj bracia dostali się dwa lub trzy dni temu na jeden z dużych statków, które regularnie zawijają do Wenecji. Mają państwo z waszych okien doskonały widok na przystań.

Hartliebowie odwrócili się zmieszani do okna i wyrzeli na nabrzeże, gdzie tłum zmarzniętych turystów wsiadał właśnie na wycieczkowy parostatek.

- Ale... - Estera Hartlieb wyglądała na tak rozczarowaną, że Wiktorowi zrobiło się jej niemal żal - ...dokąd, na Boga, płynął ten statek?

- Na Korfu - odparł Wiktor. Jak gładko przeszło mu to przez usta - nie czuł nawet szczególnego ucisku w gardle. Co ja najlepszego wyprawiam, myślał. Okłamuję moich zleceniodawców!

Gdybym był Pinokiem, mój nos przebiłby szybę i wszystkie gołębie w mieście mogłyby na nim usiąść...

- Korfu! - wykrzyknęła Estera i spojrzała na męża takim wzrokiem, jakby tonęła i czekała na ratunek.

- Czy ma pan stuprocentową pewność? - zapytał nieufnie Max Hartlieb.

Wiktor odpowiedział mu najbardziej niewinnym spojrzeniem, na jakie było go stać. Tylko że znów musiał odchrząknąć. Co za szczęście, że nie mieli pojęcia, co to oznaczało.

- Cóż, nie mogę być tak zupełnie pewny - powiedział. - Kiedy ktoś zamierza uciec na statku, nie ma go przecież na liście pasażerów, ale pokazywałem zdjęcie obu braci kilku marynarzom, kiedy statek przybił dziś znowu, i dwóch zdecydowanie rozpoznało chłopców. Nie byli tylko zgodni co do dnia, kiedy widzieli ich na pokładzie.

W geście pocieszenia Max Hartlieb przytulił żonę. Pozwoliła się objąć, stojąc sztywno jak manekin i nie spuszczać wzroku z Wiktora. Przez jedną chwilę miał wrażenie, że na jego czole pojawiło się wypisane czerwoną farbą słowo „kłamstwo”.

- To nie może być prawda! - powiedziała Estera Hartlieb, uwalniając się z objęć męża. - Mówiłam przecież panu, że Prosper nieprzypadkowo znalazł się właśnie w Wenecji. To miasto przypomina mu o matce. Nie wierzę, że mógłby stąd wyjechać.

Niby dokąd, na Boga?

- Pewnie wsiadł na statek, ponieważ przekonał się, że nie jest tu tak idyllicznie jak w opowieściach jego matki - powiedział pan Hartlieb.

- ...i że jej samej tu nie ma, nawet jeśli jest tutaj jak w raju - mruknął Wiktor, spoglądając w kierunku okna.

- Nie, nie. - Estera Hartlieb energicznie pokręciła głową. - Bzdury. Ciągle czuję, że on tu jest, a tam, gdzie jest Prosper, znajdzie się i Bo.

Wiktor opuścił wzrok, wpatrując się w swoje buty. Co jeszcze mógł powiedzieć?

- Kazałam powielić zdjęcie chłopców, które nam pan przysłał, signor Getz - ciągnęła Estera Hartlieb. - Nadeszło krótko po mojej rozmowie z pana sekretarką. Poleciałam zrobić z niego plakaty.

Nagroda, o której na nich informujemy, jest wysoka. Pamiętam, że odradzał mi pan szukanie chłopców tą metodą, i przyznaję, że nagroda zawsze ściąga również hołotę, ale jednak każę porozwieszać plakaty przy każdym kanale, w każdym barze, kawiarni i w każdym muzeum. Już to zresztą zleciłam. Znajdę Bo, zanim umrze w tym podłym mieście na zapalenie płuc albo na suchoty. Trzeba go chronić przed jego nieodpowiedzialnym bratem!

Na te słowa Wiktor tylko smutno pokręcił głową.

- Czy pani ciągle tego nie pojmuje? - powiedział zniecierpliwiony. - Chłopcy uciekli właśnie dlatego, że chcieliście ich rozdzielić!

- Wypraszam sobie taki ton! - krzyknęła Estera Hartlieb. - A więc uważa pan, że to my jesteśmy wszystkiemu winni, tak?

- Chłopcy są bardzo do siebie przywiązani! - Wiktor podniósł głos. - Nie rozumiecie tego?

- Kupimy psa dla Bo - rzekł spokojnie Max Hartlieb. - Zobacz pan, jak szybko zapomni o bracie.

Wiktor spojrzał na niego, jakby ten potężny mężczyzna rozpiął właśnie koszulę i pokazał mu z uśmiechem, że nie ma serca w piersi.

- Proszę mi odpowiedzieć na jedno pytanie - zwrócił się do niego Wiktor. - Czy pan właściwie lubi dzieci?

Max Hartlieb zmarszczył czoło. Za oknem śnieg utworzył na głowach aniołów z kościoła San Giorgio białe czapy.

- Dzieci w ogóle? Nie, nieszczególnie. Są zbyt ruchliwe, głośne i bardzo często brudne.

Wiktor znów spojrzał na swoje buty.

- A poza tym - ciągnął Max Hartlieb - nie mają zielonego pojęcia, co tak naprawdę jest ważne.

Wiktor skinął głową.

- Tak... - powiedział powoli. - Dziwne, że z tych bezużytecznych istot wyrasta ktoś tak wspaniały i rozsądny jak pan, nieprawdaż? potem odwrócił się i wyszedł. Opuścił pokój z przesłicznym widokiem i ruszył długim, hotelowym korytarzem. W windzie serce waliło mu jak szalone, ale nie miał pojęcia dlaczego. Kiedy przechodził przez hol, recepcjonistka przesłała mu uśmiech, a potem znów spojrzała w okno, że którym zaczynało się powoli ściemniać i ciągle padał śnieg.

Przystań przed hotelem była pusta, jakby lodowaty wiatr wywiały z niej wszystko do czysta. Tylko dwie ciepło opatulone postacie czekały na brzegu na vaporetto. W pierwszej chwili Wiktor również chciał sobie kupić bilet, ale potem postanowił się przejść. Musiał przemyśleć kilka spraw, a spacer dobrze też chyba zrobi jego skołataniem sercu. Przynajmniej taką miał nadzieję. Zmęczony, pokonując gwałtowne podmuchy wiatru, ruszył w kierunku Pałacu Dożów, przed którym zapaliły się właśnie różowe latarnie, i podreptał przez plac Świętego Marka, całkiem wyludniony o tej porze. Widać było tylko gołębie wydziobujące okruszki pomiędzy opuszczonych kawiarnianych krzeseł. Muszę ostrzec

chłopców, pomyślał Wiktor, czując kłujący niczym igiełki lodu podmuch wiatru. Muszę im powiedzieć, jak się sprawy mają: że niedługo na każdym rogu zobaczą plakat ze swoim zdjęciem. A co potem? Co za idiotyczne pytanie. Skąd niby miał wiedzieć? Nic już nie wiedział.

Tylko tyle, że było parszywie zimno. Nie mam nawet kapelusza, myślał Wiktor, a droga do kina jest długa. Pójdę tam jutro rano.

W świetle dnia łatwiej przyjmuje się złe wiadomości.

Teraz postanowił czym prędzej wrócić do domu. Przed drzwiami uświadomił sobie, że miał przecież tej nocy jeszcze kogoś obserwować. Z westchnieniem zaczął wspinać się po schodach. Zdąży jeszcze wypić filiżankę kawy.

Sacca delia Misericordia wrzyna się w płataninę uliczek Wenecji, jakby morze wygryzło i połknęło kawałek miasta.

Była za kwadrans pierwsza, gdy Mosca zatrzymał swoją łódkę przy ostatnim moście przed zatoką. Riccio wyskoczył na brzeg i przywiązał łódź do jednego z drewnianych pali wystających z wody. To była niezwykle długa podróż kanałami, których Prosper nigdy przedtem nie widział. Tę najbardziej wysuniętą na północ część miasta odwiedził dotąd tylko raz. Domy były tu tak samo stare, choć nie tak wspaniałe jak te w sercu Wenecji. Ciche i ciemne odbijały się w tafli wody jak zaczarowane.

Przypłynęli we trzech: Mosca, Riccio i on.

Osa przygotowała dla Bo na kolację ciepłe mleko z miodem, a on wypił dwa kubki, niczego nie podejrzewając. Potem położyła się obok niego na materacu, objęła go ramieniem i zaczęła mu czytać jego ulubioną książkę: Opowieści z Nami. Już przy trzecim rozdziale Bo zaczął smacznie chrapać.

Prosper, Riccio i Mosca cichutko wymknęli się z kina. Osa usiłowała opanować niepokój, kiedy machała im na pożegnanie.

- Słyszycie coś?

Riccio z uwagą wpatrywał się w otaczającą ich noc. W niektórych oknach paliło się jeszcze światło, odbijając się w wodzie.

Śnieg wyglądał przedziwnie, jak cukier puder na makiecie miasta. Prosper spojrzał na leżący w dole kanał. Wydawało mu się, że słyszy zbliżającą się łódkę, ale być może tylko dlatego, że tak niecierpliwie jej wyczekiwał. Ida Spavento miała przypłynąć własną łodzią razem ze Scipiem.

- Chyba coś słyszę! - Riccio ostrożnie wsiadł z powrotem do Jodki. Mosca oparł wiosło o drewniany pal nabrzeża, żeby zapobiec kołysaniu.

- Powinni już tutaj być! - szepnął Prosper i spojrzął na zegarek. - Kto wie, ile Conte będzie czekać, nie możemy się spóźnić.

Ale teraz wyraźnie już dało się słyszeć odgłos silnika. Po chwili ujrzeli wyłaniającą się z ciemności łódź, o wiele szerszą i cięższą niż ta Moski, pomalowaną na czarno jak gondola. U steru siedział potężny mężczyzna, a za nim dostrzegli Idę Spavento z głową zakrytą szalem, tak że ledwie można ją było rozpoznać, i Scipia.

- No, wreszcie! - krzyknął cicho Mosca, kiedy łódka przybijała do brzegu. - Riccio, odwiąż linę.

Patrząc wrogo w kierunku Scipia, Riccio wyskoczył na nabrzeże.

- Wybaczcie, Giaco zabłądził - powiedziała Ida. - A Król Złodziei też nie grzeszy punktualnością. - Wstała i podała Prosperowi ciężkie zawiniątko. Było to skrzydło lwa owinięte w koc i obwiązane rzemykiem.

- U ojca siedzieli koledzy z pracy - tłumaczył się Scipio. - Trudno mi było wyjść tak, żeby nikt nie zauważył.

- Nic by się nie stało, gdybyś sobie darował! - mruknął Riccio.

Prosper, mocno obejmując rękami skrzydło, przykucnął z tyłu łodzi.

- Najlepiej będzie, jak zaczeka pani z łodzią tam, gdzie kanał wpada do zatoki! - tłumaczył Riccio Idzie. - Gdyby wypłynęła pani dalej, Conte mógłby to zauważyć i nic by nie wyszło z interesu.

Ida przytaknęła.

- Tak, tak, oczywiście! - powiedziała przytłumionym głosem.

Jej twarz była blada z podekscytowania. - Niestety, musiałam zostawić aparat w domu, bo lampa by nas zdradziła, ale - wyjęła spod płaszcza lornetkę - to na pewno się przyda. I mam jeszcze propozycję... - Przyjrzała się starej łodzi Moski. - Kiedy Conte odbierze skrzydło i wypłynie na lagunę, ścigajmy go lepiej moją łodzią.

- Na lagunę? - Riccio z przerażenia otworzył szeroko usta.

- Oczywiście! - szepnęła Ida. - W mieście nie mógłby utrzymać karuzeli w tajemnicy. A na lagunie jest całe mnóstwo wysepek, na które nigdy nikt nie przypływa.

- Prosper i Riccio wymienili spojrzenia. Wypuścić się w nocy na lagunę - ta myśl zdecydowanie im się nie spodobała. Ale Mosca wzruszył tylko ramionami. Całkiem dobrze czuł się na wodzie, zwłaszcza w ciemności, kiedy wokół panowała cisza. I pustka.

- W porządku, umowa stoi - powiedział. - Moją łódką można wypłynąć na ryby, ale nie w pogoń. A kto wie, jaką łódź ma Conte. Jak tylko zobaczymy, że wypływa z zatoki, szybko wiosłujemy z powrotem do pani i dalej gonimy go motorówką.

- Tak zrobimy. - Ida chuchnęła w zziębnięte dłonie. - Ach, wspaniale! Czegoś tak szalonego nie robiłam od lat! - westchnęła. - Prawdziwa przygoda! Gdyby tylko nie było tak zimno. - Mocniej otuliła się swoim grubym płaszczem.

- A co z nim? - Riccio dyskretnie skinął głową w kierunku mężczyzny, który prowadził łódź Idy. - On też ma płynąć?

Natychmiast go rozpoznali: był to mąż gospodyni Idy Spavento.

Wyglądał jak zwykle ponuro i jeszcze nie odezwał się ani słowem.

- Giaco? - Ida uniosła brwi. - Oczywiście. O wiele lepiej radzi sobie z łodzią niż ja. Poza tym potrafi milczeć.

- Skoro pani tak twierdzi - mruknął Riccio.

Giaco mrugnął do niego porozumiewawczo i splunął do kanału.

- Koniec z tym gadaniem! - Mosca ujął wiosło. - Pora wypływać.

- Scipio popłynie z nami - powiedział Prosper. - To w końcu z nim rozmawiał Conte. Zdziwiłby się, gdyby go nie było.

Riccio zacisnął usta, ale nie protestował. Zegar na wieży kościoła Santa Maria di Valverde wybijał właśnie pierwszą, kiedy wiosłowali w kierunku Sacca delia Misericordia. W wodzie odbijały się tylko nieliczne światła. Łódź Idy pozostała za nimi niczym cień, jeszcze jedna czarna plama na tle ciemnych zarysów brzegu.

Conte już na nich czekał.

Żaglówka przycumowana była przy zachodnim brzegu zatoki.

W tafli wody odbijały się światła pozycyjne, a tył oświetlała widoczna z daleka czerwona latarnia.

- Żaglówka! - szepnął Mosca, kiedy już się zbliżyli. - Więc Ida miała rację. Przyplłynął z jakiejś wyspy.

- Na pewno. - Scipio włożył maskę. - Ale mamy dobry wiatr.

Motorówką łatwo go dogonimy.

- No to czeka nas laguna. - Riccio westchnął ciężko. - Do diabła. Do diabła, do diabła.

Prosper milczał. Nie spuszczał wzroku z czerwonego światła i mocno trzymał zawiniątko w objęciach. Zimny wiatr niemal ucichł i łódź Moski łagodnie sunęła po gładkiej powierzchni. Mimo to Riccio siedział, trzymając się mocno burty i twardo wpatrując się w

swoje stopy, jak gdyby bał się, że jeśli tylko zerknie w ciemną głębinę, wszyscy natychmiast wpadną do wody.

Conte stał w tylnej części żaglówki, ubrany w luźny szary płaszcz. Nie wyglądał tak staro i krucho, jak Prosper go sobie wyobrażał po spotkaniu w konfesjonale. Miał wprawdzie siwe włosy, ale kiedy tak stał w łodzi wyprostowany, sprawiał wrażenie silnego mężczyzny. Za nim był ktoś jeszcze, niższy i szczuplejszy, ubrany od stóp do głów na czarno, z głową ukrytą pod kapturem.

Kiedy Mosca ustawiał się bokiem, ten ktoś rzucił Prosperowi linę z hakiem, żeby łodzie pozostały blisko siebie.

- Salve! - zawołał Conte wesołym głosem. - Zakładam, że jest wam tak samo zimno jak mnie, więc szybko załatwmy sprawę. Zima wcześniej przyszła w tym roku.

- Dobrze. Oto skrzydło.

Prosper podał Scipiowi zawiniątko, a on ostrożnie przekazał je Contemu. W tej właśnie chwili wąska łódka zakołysała się nagle i Król Złodziei omal się nie przewrócił. Conte bez wahania przechylił się przez burtę, jak gdyby bał się, że to, czego tak długo szukał, mogłoby teraz przepaść. Gdy wziął zawiniątko z rąk Scipia, jego poorana zmarszczkami twarz pojaśniała nagle jak twarz małego chłopca, który trzyma w rękach upragniony prezent.

Niecierpliwie rozwinął koc.

- To ono! - usłyszał Prosper jego szept. Mężczyzna niemal z namaszczeniem pogłaskał malowane drewno. - Morosina, popatrz. - Odwrócił się do towarzysza, który stał oparty o maszt, i przywołał go do siebie. Kiedy ten podszedł i zsunął kaptur z głowy, ku zdziwieniu chłopców okazał się kobietą, niewiele młodszą od Contego, z wysoko upiętymi, siwymi włosami.

- Tak, to ono - doszedł Prospera jej głos. - Dajmy im pieniądze.

- Ty to załatw - powiedział Conte i zawinął skrzydło w koc.

Kobieta podała Scipiowi starą torbę.

- Masz! - powiedziała. - I przeznaczone te pieniądze na zdobycie innego zawodu. Ile masz lat? Jedenaście, dwanaście?

- Z takimi pieniędzmi jestem dorosły - odparł Scipio. Wziął ciężką torbę i postawił ją między sobą a Moscą na dnie łodzi.

- Słyszałeś, Renzo? - Kobieta oparła się o burtę, obrzucając Scipia ironicznym spojrzeniem. - Chce być dorosły. Nasze pragnienia są tak różne...

- To marzenie spełni dla niego niedługo natura - odparł Conte, dodatkowo owijając skrzydło plandeką. - Ale z naszymi życzeniami jest trochę inaczej. Chcesz przeliczyć pieniądze, Królu Złodziei?

Scipio postawił torbę na kolanach Moski i otworzył ją.

- Święty Pantaleonie! - wyszeptał Mosca.

Scipio wyjął z torby plik banknotów i zaczął je liczyć, jakby nie wierząc własnym oczom. Prosper zajrzał mu przez ramię. Nawet Riccio zapomniał o strachu przed wodą i wstał, ale kiedy tylko łódź zaczęła się kołysać, natychmiast usiadł.

- Do diabła, widzieliście kiedyś tyle kasy? - szepnął.

Scipio przytrzymał jeden banknot pod światło latarki, potem przeliczył pliki w torbie i z zadowoleniem skinął głową Mosce.

- Wydaje się, że wszystko w porządku - krzyknął do Contego i jego towarzyszek. - Dokładnie przeliczymy je w kryjówce.

Siwowłosa kobieta kiwnęła głową.

- Buonritorno! - powiedziała.

Conte stanął obok niej. Prosper odrzucił mu linę, którą przywiązani byli do większej łodzi, a Conte ją złapał.

- Buonritorno i dużo szczęścia na przyszłość - powiedział, po czym odwrócił się do nich plecami.

Na znak Scipia Prosper i Mosca wzięli wiosła, z każdym ich zanurzeniem coraz bardziej oddalając się od żaglówki. Ujście kanału, gdzie czekała na nich Ida, wydawało się daleko, nieskończenie daleko, a za nimi mimo ciemności Prosper doskonale widział łódź kierującą się tam, gdzie Sacca della Misericordia otwierała się na lagunę.

Scipio miał rację, wiatr im sprzyjał. Delikatnie marszczył powierzchnię wody i kiedy dotarli do łodzi Idy, wciąż jeszcze widzieli żaglówkę Contego. Szybko uwiązali łódkę Moski pod mostem i przesiedli się do motorówki.

- No, mówcie, wszystko poszło dobrze? - pytała niecierpliwie Ida, kiedy wszyscy czterej znaleźli się na pokładzie. - Mogłam zobaczyć tylko tyle, że ma żaglówkę, nic poza tym, byliście za daleko.

- Wszystko super, my mamy pieniądze, a on skrzydło - odparł Scipio, stawiając torbę z pieniędzmi przy nodze. - Była z nim jakaś kobieta. I miała pani rację, płyną na lagunę.

- Tak myślałam.

Ida dała znak Giaco, mimo że ten wcześniej już zapalił silnik i teraz wypływał z warkotem w stronę zatoki.

- Niestety, zgasił czerwone światło - zawołał do niego Mosca, usiłując przekrzyczeć hałas silnika - ale da się ich wypatrzeć!

Giacco mruknął coś pod nosem i dalej trzymał kurs, jakby nie było to nic trudnego podążać w mroku za obcą łodzią.

- Przeliczyliście pieniądze? - spytała Ida.

- Mniej więcej - powiedział Scipio. - W każdym razie dużo ich.

- Mogę popatrzeć przez lornetkę? - spytał Mosca.

Ida podała mu ją i szczerzej otuliła się szalem.

- Widzisz coś?

- Tak - odpowiedział Mosca. - Płynie bardzo powoli, ale i tak zaraz opuści zatokę.

- Nie podpływaj za blisko, Giacco! - krzyknęła Ida.

Ale Giacco potrząsnął tylko głową.

- Proszę się nie martwić, signora.

Zostawili miasto za sobą. Z oddali Prosperowi wydawało się ono utraconym skarbem błyszczącym w ciemności. Ale w pewnym momencie zniknęło i ono, i jego blask - otaczały ich już tylko noc i woda. Warkot silnika zdradziecko zakłócał panującą wokół ciszę. Od czasu do czasu dochodziły ich jednak z różnych stron odgłosy innych łodzi. Nie byli sami na lagunie, nawet jeśli tak im się wydawało. Co chwila z ciemności wynurzały się czerwone, zielone i białe światła pozycyjne łodzi, podobne do tych, jakie posiadała motorówka Idy. Ale nawet jeśli by Conte coś zauważył, dlaczego miałby przypuszczać, że jest śledzony? Przecież opłacił Króla Złodziei.

Prosper z niepokojem spoglądał na wodę, na to morze atramentu, zlewające się gdzieś tam z ciemnością nieba. Ani Bo, ani on nigdy tu nie byli, chociaż dużo słyszeli o lagunie, o wyspach na płytkiej wodzie, o małych, otoczonych trzcina skrawkach ziemi z ruinami dawnych wsi i twierdz, z polami owoców i warzyw, skąd zaopatrywano miasto, albo z klasztorami i szpitalami, do których kiedyś przewożono chorych przez ciemną wodę.

Milczący Giacco ostrożnie prowadził łódź wzdłuż bricole, drewnianych pali wystających z wody i wyznaczających białym kolorem drogę pomiędzy mieliznami. Ledwie można je było zauważyć w świetle księżyca.

- Przed nami leży San Michele! - wyszeptał w pewnej chwili Mosca.

Powoli płynęli wzdłuż wyspy, na której od kilkuset lat grzebano zmarłych Wenecjan. Kiedy zostawili za sobą ten cmentarz, łódka Contego obrała kurs na północny wschód. Minęli Murano, wyspę znaną z wyrobu szkła, i płynęli dalej, zagłębiając się w labirynt innych wysp i pokrytych trawą wysepek.

- Czy mijaliśmy już tę wyspę, na którą wywozili dawniej chorych na dżumę? - spytał zaniepokojony Riccio, spoglądając na zarys ruin jakiejś budowli. W Wenecji orientował się najlepiej z nich wszystkich, ale tu, między wyspami, czuł się tak samo obco jak Prosper.

- To było dawno temu, Riccio - mruknął Prosper.

Zaczął się bać, że łódź przed nimi będzie tak płynąć wiecznie, wiecznie i bez końca. Miał nadzieję, że Bo ciągle jeszcze śpi, inaczej Osę czekałaby ciężka noc. Gdyby Bo się dowiedział, że popłynęli bez niego na spotkanie z Contem i że Osa właśnie dlatego usypiała go ciepłym mlekiem i czytaniem książki, zrobiłby jej piekielną awanturę.

- Chodzi ci o San Lazarro. - Ida Spavento wyrzuciła niedopałek papierosa przez burzę.

- Nie, ta wyspa leży po drugiej stronie miasta i wcale nie jest taka niesamowita, jak ludzie opowiadają. Madonna, gdyby te wszystkie upiorne opowieści o lagunie były prawdziwe...

- Upiorne opowieści? - Riccio chuchnął w zmarznięte dłonie. - Niby jakie?

Mosca zaśmiał się, ale zabrzmiało to nieco sztucznie. Znał te historie, Osa opowiedziała ich już dziesiątki. Ale co innego, gdy słuchał o tym w kryjówce, leżąc opatulony w ciepłe koce. Wtedy nawet fajne było to uczucie lekkiego strachu, jednak tutaj, na otwartej wodzie, w środku nocy...

- Mosca, daj popatrzeć. - Riccio chwycił lornetkę, żeby odpędzić od siebie straszne myśli. - Ile jeszcze ten facet zamierza żeglować? Jak tak dalej pójdzie, dopłyniemy do Burano i będziemy wyglądać jak mrożone kurczaki.

Płynęli dalej i dalej w ciemność. Czuli, że pomimo zimna zaczyna ich ogarniać senność. Nagle Riccio gwizdnął przez zęby.

Przyklęknął, żeby lepiej widzieć.

- Chyba zakręca! - szepnął podekscytowany. - Tam, płynie na tamtą wyspę! Nie mam pojęcia, jak się ona nazywa. Czy pani ją poznaje, signora?

Ida wzięła od niego lornetkę. Prosper usiłował zajrzeć jej przez ramię. Ale nawet bez lornetki mógł dostrzec dwie latarnie na brzegu, wysoki mur i widoczny za nim, przesłonięty czarnymi gałęziami, zarys jakiegoś domu.

- Madonna, chyba wiem, co to za wyspa! - Głos Idy wydawał się drżeć ze strachu. - Giaco, nie podpływaj bliżej! Wyłącz silnik.

I światła pozycyjne.

Kiedy silnik umilkł, ogarnęła ich nagła cisza. Tak raptowna, że wydała się Prosperowi jakimś niewidzialnym zwierzem czającym się gdzieś w ciemności. Słyszał uderzenia wody o burzę łodzi, oddech Moski, a z daleka jakieś głosy, których echo niosło się po wodzie.

- Tak, to ona! - szepnęła Ida. - Isola Segreta, Tajemnicza Wyspa. Na jej temat rzeczywiście krążą niesamowite opowieści. Kiedyś mieszkali tu Vallaressowie, jedna z najstarszych rodzin w mieście, ale to było dawno. Myślałam, że się wyprowadzili, a ich posiadłość popadła w ruinę. Wygląda na to, że się myliłam.

- Isola Segreta? - Mosca wpatrywał się w oddalone światła. - To przecież wyspa, do której nikt nie przy pływa.

- Zgadza się, niewielu ludzi by się na to odważyło - potwierdziła Ida, nie odejmując lornetki od oczu. - Mówi się, że wyspa jest zaczarowana, że dzieją się na niej straszne rzeczy... I tu niby ma stać karuzela? Karuzela sióstr miłosierdzia?

- Słuchajcie! - szepnął Riccio.

Rozległo się głośnie i groźne szczekanie.

- Tam musi być dużo psów! - rzekł z przerażeniem Mosca. - I to pewnie strasznie wielkich.

- Czy to pani nie wystarczy, signora? - Ze strachu Riccio mówił teraz piskliwym głosem. - Śledziliśmy Contego aż do tej po trzykroć przeklętej wyspy. O niczym więcej nie było mowy, niech więc pani każe temu milczkowi na dziobie zabrać nas z powrotem do domu.

Ale Ida nie odezwała się słowem. Nadal obserwowała wyspę przez lornetkę.

- Zeszli na ląd - powiedziała cicho. - Aha, więc tak wygląda Conte. Inaczej go sobie wyobrażałam. A obok niego... - Jeszcze bardziej zniżyła głos. - To musi być ta kobieta, o której mówił Scipio. Kim oni mogą być? Czyżby na wyspie ciągle mieszkali jacyś potomkowie Vallaressów?

Mosca, Prosper i Scipio patrzyli w kierunku wyspy z taką samą ciekawością jak Ida. Tylko Riccio siedział z ponurą miną przy torbie z pieniędzmi, gapiąc się na szerokie plecy Giaco, jakby to mogło zmniejszyć nieco jego strach.

- Tam jest kładka - szepnął Scipio - i kamienne schody, które prowadzą od brzegu do bramy w murze.

- Ktoś siedzi na tym murze. - Przerażony Mosca złapał Prospera za ramię. - Tam są dwie białe postacie!

- To posągi - uspokoiła go Ida. - Kamienne anioły. Tak, teraz otwierają bramę. Ojej, te psy są naprawdę wielkie.

Chłopcy mogli je dostrzec nawet bez lornetki: ogromne białe dogi, wielkie jak cielaki. Nagle, jakby coś zwietrzyły, skierowały pyski w stronę ich motorówki i zaczęły ujadać, tak

głośno i z taką wściekłością, że nawet Ida drgnęła i wypuściła z rąk lornetkę, prosper chciał ją chwycić, ale wysliznęła mu się z palców i z głośnym chlupotem wylądowała w wodzie.

Ten odgłos przeciął ciszę niczym strzał. Struchlały Riccio zatkał sobie uszy dłońmi, jak gdyby mógł w ten sposób cofnąć wszystko to, co się zdarzyło, a pozostali z przerażeniem skulili się w łodzi. Tylko Giaco ani drgnął - wciąż nieporuszenie stał za sterem.

- Usłyszeli nas, signora! - powiedział spokojnie. - Patrzą w naszą stronę!

- No właśnie! - wyszeptał Scipio, wyglądając za burtę. - Co za przekłety pech!

- Strasznie mi przykro! - szepnęła Ida. - O, mój Boże! Schowajcie głowy, ty też, Giaco! Ta kobieta ma chyba strzelbę!

- Jeszcze i to! - Mosca westchnął i naciągnął sobie kurtkę na głowę.

- Ciebie i tak nie zobaczą! - lamentował Riccio, kuląc się na dnie łodzi obok torby z pieniędzmi. - Ale my wszyscy świecimy w ciemności jak księżycy! Mówiłem, że to głupi pomysł! Mówiłem, żeby zawrócić!

- Zamknij się! - warknął Scipio.

Dogi na wyspie czekały coraz bardziej zajadle. Do ich szczekania dołączył kobiecy głos, donośny i zły, a potem nagle - huknęło. Kiedy padł strzał, Prosper schylił głowę i pociągnął ze sobą Scipia. Riccio zaczął szlochać.

- Giaco! - Głos Idy zabrzmiał rozkazująco. - Zawracaj! Natychmiast!

Giaco bez słowa zapuścił silnik.

- A co z karuzelą? - Scipio chciał się podnieść, jednak Prosper go przytrzymał.

- Karuzela nie przywraca życia zmarłym! - krzyknęła Ida. - Dodaj gazu, Giaco! A ty, Królu Złodziei, głowa w dół!

Ryk silnika wwiercał im się w uszy, a woda przyskała na wszystkie strony, kiedy Giaco zostawiał za sobą Isola Segreta. Wyspa stawała się coraz mniejsza, aż całkiem pochłonęła ją noc.

Ida i chłopcy siedzieli ściśnięci, a na ich twarzach malowało się rozczarowanie, ale też strach i ulga, że udało im się wyjść z tego cało.

- Było gorąco! - powiedziała Ida, naciągając na uszy szal, który zsunął jej się podczas ucieczki. - Przykro mi, że namówiłam was na takie szaleństwo. Giaco! - krzyknęła gniewnie.

- Dlaczego mnie przed tym nie powstrzymałeś?

- Przecież nie dałoby się, signora! - odparł Giaco, nawet się nie odwracając.

- Ach, teraz i tak wszystko jedno - odezwał się Mosca. - Najważniejsze, że mamy kasę.

- Właśnie! - mruknął Riccio, chociaż ciągle jeszcze wydawał się przerażony.

Scipio z ponurą miną spoglądał na ślad, jaki motorówka pozostawiała za sobą na wodzie.

- Daj spokój - powiedział Prosper, trącając go. - Ja też chętnie zobaczyłbym karuzelę.

- Ona tam jest - westchnął Scipio, spoglądając na niego. - Nie mam co do tego cienia wątpliwości.

- Niech ci będzie - wtrącił się Riccio. - Ale teraz powinniśmy przeliczyć pieniądze.

Ani Scipio, ani Prosper nie zaoferowali pomocy, więc Riccio i Mosca sami zabrali się do pracy. Obok nich siedziała zamyślona Ida, paląc jednego papierosa za drugim i wyrzucając niedopałki za burtę. Kiedy na horyzoncie pojawiły się pierwsze światła miasta, Riccio i Mosca wciąż jeszcze liczyli pieniądze. Dopiero kiedy Giaco wpłynął do Sacca delia Misericordia, zamknęli torbę.

- Chyba się zgadza - powiedział Mosca. - Mniej więcej. Człowiek się ciągle myli przy liczeniu banknotów.

Ida skinęła głową i z niepokojem spojrzała na torbę.

- Macie ją gdzie schować? To naprawdę sporo pieniędzy.

Mosca zerknął niepewnie w stronę Scipia. Ten wzruszył tylko ramionami.

- Schowajcie je tam, gdzie zwykle chowamy pieniądze od Barbarossy. Tam będą bezpieczne.

- W porządku. - Ida westchnęła. - No to wysadzę was teraz przy waszej łodzi. Na pewno macie jakieś ciepłe miejsce do spania.

Prosper, pozdrów ode mnie małego i dziewczynkę. Ja... - Chciała coś jeszcze powiedzieć, ale Riccio pospiesznie jej przerwał, jak gdyby musiał wypowiedzieć te słowa, zanim spalą mu usta.

- Scipio nie idzie z nami. Czy mogłaby go pani odwiedzić do domu?

Prosper spuścił głowę, a Mosca bawił się sprzączką od torby, wyraźnie starając się nie patrzeć na Scipia.

- Ach, rzeczywiście. - Ida odwróciła się do Scipia. - Koniec zawieszenia broni. Czy mam podrzucić cię z powrotem do mostu Accademia, skąd cię zabrałam?

Scipio pokręcił głową.

- Fondamenta Bollani - powiedział cicho. - Jeśli można prosić.

Koniec z przyjaźnią, pomyślał Prosper. Usiłował przypomnieć sobie tamto uczucie złości i rozczarowania, kiedy odkrył, że Scipio ich okłamał. Ale bezskutecznie. Widział tylko bladą, zamarłą twarz Scipia z zaciśniętymi ustami, który z trudem chyba usiłował

powstrzymać łzy. Stał sztywno, cały napięty, jak gdyby się obawiał, że się rozplącze, jeśli tylko weźmie głębszy oddech. Albo jeśli spojrzy na któregoś ze swoich przyjaciół.

Ida chyba także zdawała sobie sprawę, z jakim trudem chłopek nad sobą panuje.

- Dobra, Giaco, najpierw płyniemy do łódki, a potem na Fondamenta Bollani - powiedziała prędko.

Kiedy wpływali do kanału, gdzie stała łódź Moski, znowu zaczął prószyć śnieg, a drobne płatki delikatnie owiewały wodę. Jeden wpadł Idzie do oka.

- No to po moim skrzydle - powiedziała, spoglądając w górę na stojące nad brzegiem kanału domy. - Pewnie przez całą noc będę się gapić w ścianę nad moim łóżkiem i zastanawiać się, czy rzeczywiście skrzydło wróciło na grzbiet lwa. Albo kim byli ten tajemniczy Conte i siwowłosa kobieta. - Zziębnięta, otuliła się szczelniej płaszczem. - W ciepłym łóżku będzie można śmiało o tym porozmyślać.

Łódź Moski spokojnie kołysała się na wodzie tam, gdzie ją zostawili. Pod ławeczką ułożył się wygodnie jakiś zabłąkany kot, ale słysząc odgłos zbliżającej się motorówki, prędko uciekł.

- Buonanotte! - pożegnała się Ida, zanim Prosper, Riccio i Mosca przesiedli się do swojej łódki. - Przyjdźcie mnie czasem odwiedzić, ale nie czekajcie z tym, aż staniecie się dorośli i już was nie rozpoznam. I jeśli będziecie kiedykolwiek potrzebować pomocy - chociaż teraz jesteście bogaci, to nigdy nic nie wiadomo - zawsze możecie przyjść do mnie.

Chłopcy spojrzeli po sobie z zażenowaniem.

- Dziękujemy! - mruknął Mosca, wpychając torbę Contego pod ramię. - To naprawdę miło z pani strony. Naprawdę...

- Na pewno już nigdy więcej nie włamiemy się do Casa Spavento. Słowo - dodał Riccio, za co otrzymał od Moski kuksańca w zębra.

Kiedy obydwaj gramolili się już do łódki, Prosper raz jeszcze popatrzył na Scipia. Król Złodziei siedział w motorówce, z twarzą zwróconą w stronę ciemnych domów.

- Jak tylko będziesz chciał, w każdej chwili możesz odebrać swoją część, Scip - powiedział.

Przez chwilę myślał, że tamten nie odpowie, Scipio spojrzał jednak na niego i cicho szepnął:

- Tak zrobię. Pozdrów ode mnie Osę i Bo.

Po czym szybko odwrócił się do niego plecami.

TYLKO KARTKA

- Brr, ale zimnica! - szepnął Riccio, kiedy z powrotem stanęli przed wyjściem awaryjnym kina. Sięgnął do sznura przy drzwiach i nagle zdziwiony zamarł w bezruchu. - Hej, patrzcie, drzwi nie są zamknięte.

Ostrożnie pchnął je nogą.

- Pewnie Osa się bała, że się nie obudzi, kiedy zadzwonimy - uspokoił go Mosca.

Pozostali przytaknęli, ale mimo to, skradając się ciemnym korytarzem, czuli się nieswojo. W środku było tak cicho, że słyszeli hasające w ciemności kocięta Bo.

- Co to ma znaczyć? - szepnął Mosca, kiedy przemykali wzdłuż składanych krzeseł. Osa zapomniała zgasić świece. A pamiętacie, jak mnie się dostało, kiedy ja o tym raz zapomniałem?

- Pewnie nie chciała wstawać. Może się bała, że Bo zrobi jej awanturę, jak się obudzi - szepnął Riccio.

Uśmiechając się, podszedł cichutko do materaca Osy leżącego przy ścianie po lewej stronie; otoczony stosami książek, przypominał mury fortecy. Riccio ostrożnie zerknął i z przerażeniem na twarzy odwrócił się do przyjaciół.

- Nie ma ich tutaj!

- Jak to?

Prosper poczuł, że serce zaczyna mu walić w piersi. Potykając się o porozrzucone książki Osy, ruszył w kierunku materaca, który dzielił z Bo. Nic poza pogniecionymi poduszkami i kocami. Ani śladu Bo. Nie było go także na materacu Moski ani Riccia.

- Pewnie chcą się z nami bawić w chowanego! - powiedział Mosca. - Hej, Osa, Bo! - zawołał. - Wychodźcie, nie mamy ochoty was szukać. Nie wyobrażacie sobie, jak tam na dworze było zimno! Teraz marzymy tylko o ciepłym łóżku.

- Właśnie! - krzyknął Riccio. - Ale najpierw możecie zobaczyć te góry pieniędzy, które przynieśliśmy. No, co wy na to?

Nie było odpowiedzi. Żadnego chichotu, żadnego szelestu. Nawet koty przestały szaleć. Prosper pomyślał o niezaryglowanych drzwiach i nagle poczuł się tak, jakby ktoś chwycił go za gardło.

Riccio ukląkł na materacu Osy.

- Tu jest jakaś kartka. To jej pismo.

Prosper wyrwał mu papier z ręki.

Zaniepokojony Mosca spojrział przyjacielowi przez ramię.

- Czytaj. Co tam jest?

- Prawie nie da się odczytać! Musiała się strasznie spieszyć.

Prosper pokręcił głową. Litery skakały mu przed oczami.

- Ktoś jest pod drzwiami - czytał, jękając się. - Może policja.

Wiejemy. Przyjdźcie na umówione miejsce. Osa.

- Nie brzmi to dobrze! - szepnął Mosca.

Prosper wpatrywał się w kartkę.

- Do diabła! Wiedziałem! Dlaczego nie chcieliście mnie słuchać? - Riccio zaczął po kolei rozwalać stosy książek. - Jak mogliście uwierzyć temu szpiclowi? „Słowo honoru”! To on nas zdradził. Teraz widzicie, co dla niego znaczy słowo honoru!

Prosper podniósł głowę. Nie chciał w to wierzyć, ale nie było innego wytłumaczenia. Riccio miał rację. Tylko Wiktor mógł zdradzić ich kryjówkę. Bez słowa wcisnął kartkę Osy do kieszeni i jak szalony zaczął grzebać między jej rzeczami.

- Czego tam szukasz? - spytał Mosca.

Prosper nie odpowiedział, a kiedy wstał, trzymał w ręku pistolet, ten sam, który wyciągnął z kieszeni Wiktora.

- Wyrzuć to, Prop! - Mosca zastąpił mu drogę. - Co chcesz zrobić? Załatwić szpicla? Nie wiemy nawet, czy to na pewno on nas podkablował.

- A kto inny? - Prosper schował broń pod kurtkę i odepchnął Moscę. - Idę do niego. Kiedy mu podstawię jego własny pistolet pod nos, wtedy mi powie, czy to był on, czy nie.

- Nie gadaj głupot! - Mosca usiłował go zatrzymać. - Najpierw idziemy na umówione miejsce.

- Gdzie to jest? - Prosper cały drżał. Miał wrażenie, że za chwilę straci władzę w nogach.

- No tak, ty i Bo nic o nim nie wiecie. To był pomysł Osy: „Srający Książkami”, na Campo Morosini.

Prosper kiwnął głową.

- Dobra, idziemy. Na co jeszcze czekacie?

- A co robimy z pieniędzmi? - Riccio patrzył na nich jak przestraszony królik. - No i nasze rzeczy; nie są już tutaj bezpieczne.

- Bierzemy jedynie pieniądze - powiedział niecierpliwie Mosca. - Po resztę przyjdziemy później. I tak nie ma tu nic cennego.

A może to tylko fałszywy alarm.

Riccio wepchnął sobie do kieszeni kurtki resztkę pieniędzy od Barbarossy, a Mosca chwycił torbę od Contego. Raz jeszcze rzucili spojrzenie na Kryjówkę pod Gwiazdami, jakby nie byli pewni, czy kiedykolwiek tu powrócą. Potem zgasili świece i ruszyli na umówione miejsce.

Prawie całą drogę na Campo Morosini przebyli biegiem. Niebo było jeszcze zupełnie czarne, ale w uliczkach otwierano już pierwsze sklepy. Pod mostami przesuwały się barki, na których dostarczano do miasta produkty spożywcze, i statki wywożące śmieci z wczorajszego dnia. Miasto budziło się do życia, ale oni nie zwracali na to uwagi. Biegąc przez ciemne uliczki, oczami wyobraźni widzieli już tysiące rzeczy, które mogły przytrafić si Osie i Bo, a im bardziej zbliżali się do Campo Morosini, tym obrazy stawały się straszniejsze. Oddychając ciężko, dopadli do pomnika przedstawiającego mężczyznę trzymającego za plecami kilka przewiązanych sznurkiem książek. Nazywał się Niccolo Tommaseo, ale w mieście nazywano go po prostu Cagalibri, czyli „Srający Książkami”.

Mimo że uważnie rozglądali się dookoła, nigdzie nie dostrzegli ani Osy, ani Bo.

Prosper bez słowa pobiegł dalej.

- Prop! - wołał za nim Mosca, a Riccio stał, masując obolałe od szybkiego biegu nogi.
- Szpicel mieszka daleko stąd! Chcesz tak biec całą drogę?

Ale Prosper nawet się nie odwrócił.

- Chodź! - powiedział Mosca, pociągając dyszące ciężko Riccia. - Musimy biec za nim, bo inaczej zrobi coś głupiego.

Scipio poprosił Idę, żeby wysadziła go dwa mosty od domu jego ojca. Chciał się jeszcze przejść po ośnieżonym brzegu kanału wdychając zimne powietrze, które dawało mu poczucie siły i wolności. Nie musiał myśleć ani o innych, ani o ogromnym domu, w którym znów stanie się mały i nieważny. Przystanął, wierząc obcasem w śniegu, potem ukucnął i palcem wyrysował na brzegu kanału skrzydło. Gdy podniósł głowę, zobaczył łódź policyjną zacumowaną zaledwie kilka metrów od domu jego rodziców.

Podniósł się przerażony. Czuł w głowie kompletny zamęt. Czy miało to coś wspólnego z Contem? Dobrze, że torbę z pieniędzmi zabrali chłopcy.

- Eee tam, niemożliwe! - wyszeptał i ze zdenerwowania ledwie trafił kluczem do zamka. - Na pewno przyплыnęli do signora Veronese. U niego włącza się alarm, nawet jak gołąb usiadzie na dachu.

Najciszej, jak to tylko było możliwe, otworzył drzwi, zadowolony, że ojciec nie zaciągnął zasuwki. Między kolumnami jak zwykle paliło się światło. Na dziedzińcu panował

spokój. Wstrzymując oddech, Scipio przemknął na schody. Był mistrzem w przemysłaniu się. Ale tym razem jego starania na nic się nie zdały.

Był już na pierwszym stopniu, kiedy z góry dobiegły go głosy.

Z poczuciem winy uniósł głowę - i zatrzymał się jak wryty: na dół schodzili dwaj karabinierzy, prowadzący Osę. Wydawała się mała i chudziutka przy tych dwóch ubranych na niebiesko mężczyznach, śmiejących się z jakiegoś dowcipu, który najwyraźniej właśnie opowiedział im jego ojciec.

Jego ojciec.

Stał u góry przy balustradzie. Gdy jego spojrzenie padło na Scipia, zmarszczył czoło. Z jego ust zniknął uśmiech i pojawił się wyraz twarzy, który ojciec zwykle przybierał na widok syna: rozdrażnienie, zniecierpliwienie, gniewne zdziwienie.

- Moi panowie! - krzyknął głosem, który Scipio tak lubił naśladować, ponieważ robił większe wrażenie niż jego własny. - Jak widzicie, sprawa się wyjaśniła. Mój syn postanowił jednak wrócić do domu, mimo że o tak późnej porze. Dziękuję panom bardzo za pomoc. Ale to chyba najlepszy dowód, że nie miał nic wspólnego z tymi dziećmi, które ukrywały się w kinie Stella.

Scipio przygryzł wargę i spojrzał na Osę. Na jego widok zwolniła kroku.

- Znasz tego chłopca? - zapytał jeden z policjantów, o czarnych cienkich wąsikach. - No, gadaj.

Osa pokręciła przecząco głową.

- Dokąd ją zabieracie? - wykrzyknął Scipio. Przestraszył go dźwięk własnego głosu, tak był chrapliwy i wysoki.

Policjant z wąsikiem zaśmiał się, a drugi chwycił Osę za rękę.

- Co, uważasz może, że powinieneś ją ochronić? Mały dżentelmen, tak? Nie martw się, nie porwaliśmy jej. Ale ta bezczelna dziewczyna nie chce nam nawet zdradzić swojego imienia. Przyprawiliśmy ją tutaj, myśląc, że dottor Massimo zdoła z niej coś wyciągnąć na temat twojego zniknięcia.

- Nasza pokojówka wpadła w histerię, kiedy o północy nie znalazła cię w łóżku, więc wywołała mnie z przyjęcia! - dobiegł go z góry podniesiony głos ojca. - Wracam do domu, a tu jeszcze dzwoni policja, że w kinie, które kazałem zamknąć, znaleziono grupkę bezdomnych dzieciaków. Od razu im powiedziałem, że nie ma to nic wspólnego z twoim zniknięciem. Ale co to za głupoty wymykać się nocą z domu? Poleciałeś za jakimś bezpieczeństwa kotem?

Scipio milczał. Usiłował omijać wzrokiem Osę, która była teraz smutna i jakby zagubiona. Zupełnie nie jak ta dziewczyna, która tyle razy go denerwowała.

- Chciałem tylko popatrzeć na śnieg - mruknął.

- Tak, na widok śniegu wariują nie tylko dzieciaki! - powiedział wąsaty karabinier i mrugnął do Scipia.

Drugi policjant sprowadzał już Osę ze schodów.

- Puść mnie, mogę iść sama! - krzyknęła Osa. Zeskoczyła z ostatniego stopnia i przepchnęła się obok Scipia ze spuszczoną głową. - Mały jest u ciotki! - zdążyła wyszeptać.

- Hej, nie tak szybko! - krzyknął policjant, któremu się wyrwała, i złapał ją za chudziutki kark.

- Buonanotte, dottor Massimo! - Karabinierzy pożegnali się i zniknęli między kolumnami. Osa już się nie odwróciła.

Scipio powoli zaczął wchodzić po schodach. Usłyszał jeszcze trzask zamykanej bramy.

Ojciec patrzył na niego bez słowa.

Kto zdradził kryjówkę? Co z resztą? Co z Prosperem, Moscą i Ricciem? Dlaczego Bo jest u ciotki?

- A więc skąd tak naprawdę wracasz?

Ojciec zlustrował go od stóp do czubka głowy. Scipio miał wrażenie, że zna jego myśli. Z pewnością dottore zastanawia się, co ma wspólnego z tą dziwną istotą, która jest jego synem. W końcu Scipio nie był ani tak wysoki jak on, ani tak mądry, interesujący, pracowity, opanowany, rozważny i rozsądny - jednym słowem, zupełnie inny.

- Już mówiłem - odpowiedział Scipio. - Patrzyłem na śnieg.

Poza tym pobiegłem za kotem. A z moją kotką jest już lepiej, znów zaczęła jeść.

- No i widzisz, dobrze, że nie wzywałem weterynarza. - Dottor Massimo zmarszczył czoło. - To, że łazisz gdzieś po nocy, oczywiście nie ujdzie ci płazem.

Jego głos był niesłychanie spokojny. Zresztą ojciec nigdy się nie unosił, nawet jeśli był bardzo zdenerwowany.

- Pokojówka będzie odtąd zamykać cię na klucz. Przynajmniej tak długo, jak długo będzie leżał ten śnieg, z którego powodu stajesz się jeszcze bardziej dziecinny, rozumiano?

Scipio nie odpowiedział.

- Boże, jak ja nie cierpię tej twojej zaciętej miny. Żebyś ty wiedział, jak głupio wyglądasz. - Ojciec odwrócił się na pięcie. - Muszę coś zrobić z tym kinem - powiedział jeszcze. - Nie do wiary, banda dzieciaków! Pewnie złodziejaszki. Już policja się nimi zajmie.

Dlaczego ten dziennikarz nic o tym nie wspomniał? Ten, który tu niedawno był, Getz, czy jakoś tak.

- Dlaczego zaraz złodziejaszki? - Scipio z trudem przełknął ślinę. - Ta dziewczynka wyglądała przecież na miłą. A jeśli oni nie mają domu, to dlaczego nie mogliby mieszkać w twoim kinie?

I tak stoi puste.

- Boże, dzieci mają czasem absurdalne pomysły. No i co z tego, że stoi puste? Czy tylko dlatego mogą tam zamieszkać żebracy i bezdomni z całego miasta?

- A co się teraz z nimi stanie? - Scipio czuł, jak robi mu się gorąco. A potem zimno. Okropnie zimno. - Przecież widziałeś tę dziewczynkę. Co z nią będzie? Nic cię to nie obchodzi?

- Nie. - Ojciec ze zdziwieniem spojrział na niego z góry. Był taki wysoki. - O co ci chodzi? Tyle zainteresowania okazujesz zwykle tylko kotom. Może jednak ją znasz?

- Nie. - Scipio czuł, jak wzbiera w nim fala złości. - Nie, do diabła! - krzyknął. - Czy muszę ją znać, żeby jej współczuć?

Nie możesz jej jakoś pomóc? Masz chyba tutaj coś do powiedzenia?

- Scipio, idź spać - odpowiedział tylko ojciec, ziewając. - Boże, tak mi zepsuć wieczór.

- Proszę! - wyjąkał Scipio. Z oczu spłynęła mu łza. I mimo że usiłował je wycierać, nieustannie napływały nowe. - Ojcze, pr^oszę, może znasz kogoś, kto mógłby wziąć do siebie taką dziewczynkę, która jest sama... Ona przecież nic nie zrobiła...

- Scipio, powiedziałem, idź do łóżka! - przerwał mu ojciec. - Chyba zbyt często wpatrujesz się w księżyc. Niedługo zaczniesz czytywać horoskopy, jak twoja matka.

- To nie ma nic wspólnego z księżycem! - wrzasnął Scipio. - Ty mnie nie słuchasz! W ogóle nie masz pojęcia, kim jestem! Nie masz pojęcia!!!

Ale ojciec zniknął już za drzwiami swojej sypialni.

A Scipio stał na schodach i płakał.

GOŚCIE WIKTORA

Wiktor miał za sobą okropną noc. Mężczyzna, którego musiał śledzić, do drugiej nad ranem włóczył się od baru do baru, po czym zniknął w jakimś domu, przed którym Wiktor sterczał aż do świtu. I w dodatku przez całą noc padał śnieg. W końcu miał wrażenie, że jego kolana składają się z samego lodu, ze skrzypiącego, trzeszczącego lodu.

- Najpierw wyleżę się w wannie - mruknął, przechodząc przez most, z którego miał już niedaleko do domu. - Z tak gorącą wodą, że można nią będzie parzyć herbatę.

Ziewając, zaczął szukać klucza w kieszeni płaszcza. Może powinien zmienić zawód. Kelnerzy w kawiarniach na placu Świętego Marka też wprawdzie musieli biegać, ale oni najpóźniej o północy mogli już sobie pójść do domu. Albo strażnicy w muzeum.

Dlaczego nie został strażnikiem w muzeum? Tam zamykano jeszcze wcześniej. Znów ziewnął. Nie mógł opanować tego ziewania.

Był tak śpiący, że trzy postacie, czekające przed wejściem, zauważył dopiero wtedy, gdy go zaatakowały. Chłopcy wyglądali na przerażonych, chociaż jeden wypychał mu do nosa pistolet. Jego własny pistolet, jak zdołał zauważyć.

- Hej, co to ma znaczyć? - powiedział, usiłując zachować spokój, podczas gdy ci trzej ciągnęli go w stronę drzwi.

- Otwieraj! - wysyczał Prosper, wciąż trzymając broń przy jego twarzy.

Ale Wiktor spokojnie odsunął lufę na bok i dopiero potem wyjął klucz.

- Czy moglibyście być tak mili i wyjaśnić mi, co ma znaczyć ten cały teatr? - warknął, otwierając drzwi. - Jeśli to ma być jakaś nowa zabawa, to zaręczam wam, że jestem za stary, żeby mnie to śmieszyło.

- Osa i Bo zniknęli - powiedział Mosca. - A Prop myśli, że zdradziłeś policji naszą kryjówkę. I Riccio też.

- Policji albo mojej ciotce - powiedział Prosper.

Był blady ze złości, ale jego oczy zdawały się błagać Wiktora, żeby powiedział, że to wszystko nieprawda, że nie zdradził Bo i Osy, że ich nie okłamał i nie oszukał.

- Dałem wam moje słowo honoru, zapomnieliście?! - ryknął na nich Wiktor. Wyrwał Prosperowi pistolet ze skostniałych palców. - Nikt się niczego ode mnie nie dowiedział, zrozumiano?

Sami już nie wiecie, komu naprawdę możecie ufać. Chodźmy na górę, zanim staniemy się atrakcją turystyczną.

Zawstydzeni chłopcy ruszyli za nim po schodach.

- Ja od razu wiedziałem, że to nie ty - powiedział Mosca, kiedy Wiktor wepchnął ich do swojego mieszkania. - Ale Prosper...

- Prosper nie potrafi teraz jasno myśleć - dokończył za niego Wiktor. - To zrozumiałe, jeśli jego brat rzeczywiście zniknął. A teraz powiedzcie mi, jak to się mogło stać. Czy ci dwoje byli sami?

Usiedli w małej kuchni. Wiktor zrobił sobie kawę, chłopcom podsunął oliwki, a oni tymczasem opowiadali mu o wszystkim, co się zdarzyło, odkąd im uciekł. Za grappę, winogronową wódkę, którą Wiktor zaproponował im na rozgrzanie, podziękowali po wypiciu jednego łyżeczka.

- Macie szczęście, że was znam! - powiedział Wiktor, kiedy skończyli swoją opowieść. - Inaczej nie uwierzyłbym w ani jedno słowo. Włamujecie się do obcego domu, zawieracie z okradzioną I kobietą umowę, sprzedajecie za jej zgodą łup i wypuszczacie się nocą na lagunę w poszukiwaniu karuzeli. Mój Boże, dobrze, że nie muszę tego tłumaczyć karabinierom. Chętnie bym powiedział tej szalonej signorze Spavento, co o niej myślę! Namówić kilku chłopców na nocną wycieczkę na Isola Segreta!

- Przecież nie wiedzieliśmy, że Conte mieszka na tej przeklętej wyspie - mruknął Mosca półgłosem.

- Wszystko jedno. - Wiktor zmarszczył czoło i potarł zmęczone oczy. - Co macie w torbie? Waszą zapłatę?

Mosca przytaknął.

- Pokaż mu pieniądze - powiedział Prosper. - Przecież nam ich nie ukradnie.

Mosca z wahaniem postawił torbę na kuchennym stole. Kiedy ją otworzył, Wiktor gwizdnął przez zęby.

-1 z tym biegliscie przez pół miasta? - mruknął i wyjął jedną paczuszkę. - Macie mocne nerwy.

Wyciągnął banknot, dokładnie go obejrzał, a potem przytrzymał pod światło.

- Chwileczkę! - powiedział. - Ktoś was nieźle załatwił. To fałszywka.

Chłopcy spojrzeli po sobie z niedowierzaniem.

- Jaka fałszywka?! - Riccio wyrwał Wiktorowi banknot z ręki i przyjrzał mu się z niepokojem. - Nic nie widzę. On... wygląda całkiem normalnie.

- Wcale nie - zaprzeczył Wiktor. Raz jeszcze sięgnął do torby i zbadął kolejną paczkę.

- Wszystkie fałszywe - stwierdził. - I w dodatku taka sobie robota. Wyglądają, jakby ktoś je zrobił na kolorowym ksero. Bardzo mi przykro.

Z westchnieniem wrzucił pieniądze z powrotem do torby.

Chłopcy spoglądali na niego jak ogłuszeni.

- Wszystko na darmo - mruknął wreszcie Riccio. - Włamanie, wyprawa na lagunę. O mało nas nie zastrzelili. I za jaką cenę? Za kupę podrobionych pieniędzy. Cholera!

Ze złością zrzucił torbę ze stołu. Pliki banknotów posypały się na podłogę.

- A Osy i Bo też nie ma! - Mosca ukrył twarz w dłoniach.

- Właśnie. - Wiktor zebrał pieniądze z podłogi i wrzucił je z powrotem do torby. - O tym musimy teraz pomyśleć. Gdzie mogą być Bo i dziewczynka?

Z westchnieniem wstał i przeszedł do biura. Chłopcy podążyli za nim, bladzi niczym duchy.

- Mruga lampka od automatycznej sekretarki - zauważył Mosca, kiedy stanęli przed biurkiem.

- Kiedyś wyrzucę ten telefon przez balkon - burknął Wiktor i włączył przycisk odsłuchiwania.

Prosper natychmiast rozpoznał ten głos. Głos Estery. Rozpoznałby go nawet, gdyby ten głos zapowiadał na dworcu odjazd pociągu.

- Signor Getz, mówi Estera Hartlieb. Zlecenie, które pan od nas otrzymał, jest już nieaktualne. Dzięki informacji pewnej starszej kobiety, która widziała nasz plakat, dziś w nocy odnaleźliśmy wreszcie mojego siostrzeńca. Od tygodni ukrywał się w nieczynnym kinie razem z dziewczynką, która nie chce zdradzić swojego nazwiska. Policja już się nią zajęła. Co do Bo, to oczywiście jest jeszcze wzburzony i trochę wychudzony. Nie chciał nic powiedzieć o tym, gdzie się podziewa jego brat. Kto wie, może jest na niego tak samo wściekły jak ja. Kwestię honorarium omówimy w najbliższych dniach. Opuszczamy hotel Sandwirth dopiero na początku przyszłego tygodnia. Proszę poinformować nas o terminie pańskiej wizyty. Do usłyszenia.

Prosper stał bez ruchu, jakby zamienił się w kamień. Wiktor nie miał pojęcia, co powiedzieć. Gdyby znalazł jakieś słowo, najzwyklejsze, które obudziłoby chłopca do życia. Ale nic nie przychodziło mu do głowy.

- Co to za starsza kobieta? - spytał Riccio łamiącym się głosem. - Psiakrew, kto to mógł być?

I

- Ciotka Prospera kazała wczoraj w całym mieście porozwieszać plakaty - wyjaśnił Wiktor. - Ze zdjęciem Prospera i Bo. - Zdecydował się przemilczeć, kto zrobił to zdjęcie. - Podobno jest na nich też informacja o wysokiej nagrodzie. Nie widzieliście ich jeszcze?

Zaskoczeni chłopcy pokręcili głowami.

- Cóż, w każdym razie ta starsza kobieta musiała zobaczyć taki plakat - powiedział Wiktor. - Może mieszka w pobliżu kina i zauważyła kiedyś, jak się zakradacie albo wymykacie. Pewnie nawet myślała, że dobrze robi, zawiadamiając ciotkę biednego chłopca.

Prosper stał na balkonie, patrząc przed siebie. Nastął już ranek, ale niebo nadal było szare i zasnuwane chmurami.

- Estera już nigdy nie wypuści Bo ze swoich szponów - mruknął. - Już nigdy. - Zrozpaczony spojrzał na Wiktora. - Gdzie jest ten hotel Sandwirth?

Wiktor miał wątpliwości, czy powinien mu to powiedzieć, ale Mosca zdecydował za niego.

- Na Riva degli Schiavoni - odparł. - Ale czego chcesz tam szukać? Lepiej chodź z nami do kryjówki. Musimy spakować rzeczy, zanim policja tam wróci. A Wiktor może się dowiedzieć, dokąd karabinierzy zabrali Osę. Da się to zrobić?

Spojrzał pytająco na Wiktora.

Ten przytaknął.

- Pewnie, wystarczy kilka telefonów. Powiedzcie mi tylko, jak ona się naprawdę nazywa.

Riccio zrobił zdziwioną minę.

- Nie mamy pojęcia.

- Podpisała się w kilku książkach - powiedział Prosper głuchym głosem. - Caterina Grimani. Ale co nam to da? Na pewno zabrali ją do jakiegoś schroniska, a stamtąd i tak jej nie wydostaniecie. Nie ma jej, tak samo jak Bo.

- Prosper, posłuchaj... - Wiktor wstał i oparł się o biurko. - Spokojnie, to jeszcze nie koniec świata...

- Dla mnie tak - powiedział Prosper, otwierając drzwi. - Muszę pobyć trochę sam.

- Zaczekaj! - Riccio bezradnie zrobił krok w jego stronę. - Moglibyśmy najpierw przenieść nasze rzeczy do Idy Spavento.

Zaproponowała nam pomoc, pamiętasz? Na pewno nie myślała, że pojawimy się już dziś, ale przecież możemy spróbować.

- To spróbujcie. - Prosper wzruszył ramionami. - Mnie już wszystko jedno. - I szybko wyszedł z mieszkania Wiktora.

Mosca i Riccio odwrócili się do detektywa, szukając u niego pomocy.

- Co teraz? - zapytał Riccio.

Ale Wiktor pokręcił tylko głową, wpatrując się w telefon.

SCHRONIENIE

Gdy tylko Riccio nacisnął dzwonek, drzwi otworzyła gospodyni Idy. Jego rozczochna czupryna była prawie niewidoczna zza wielkiego pudła, które trzymał w rękach.

- Czy ja cię przypadkiem nie znam? - zapytała, groźnym gestem zakładając okulary.

- Pewnie, że tak. - Riccio uśmiechnął się promiennie. - Ale nie mam interesu do pani, tylko do Idy Spavento.

- No proszę, proszę. - Gospodyni skrzyżowała ręce na obfitym biuście. - Do signory Spavento, Jeżozwierz. I czego ty od niej chcesz, jeśli wolno spytać?

- No, zaczyna być ciekawie - szepnął Wiktor, który z jeszcze większym pudłem stał za Ricciem. - Cały dobytek dzieciaków zmieścił się w tych trzech pudłach - trzeci niósł Mosca. W istocie, tworzyli dość osobliwe trio. Wiktor nawet się zdziwił, że kobieta w fartuchu w kwiaty nie zatrzasnęła im drzwi przed nosem. W dodatku z kieszeni Wiktora wyglądały kociaki Bo.

- Proszę jej przekazać, że Riccio i Mosca są tutaj, będzie wiedziała, o co chodzi - powiedział Riccio.

- Riccio i Mosca to pewnie wy dwaj. - Potężna kobieta nieufnie spojrzała na Wiktora.
- A ten to twój ojciec?

- Ten? Gdzie tam! To...

- ...jego wujek - dokończył Wiktor. - Czy teraz byłaby pani tak miła i zawiadomiła signorę Spavento, zanim upuszczę sobie to pudło na nogi? Wcale nie jest takie lekkie.

Gospodyni rzuciła mu tak surowe spojrzenie, że Wiktor poczuł się jak mały chłopiec. Odwróciła się i zniknęła. Kiedy zjawiła się z powrotem, bez słowa już otworzyła drzwi i wpuściła ich do środka.

Wiktor był bardzo ciekaw Idy Spavento.

- Ona jest trochę stuknięta - opowiadał mu Riccio. - I pali jak smok, a mnie nie chciała dać nawet jednego papieroska. Ale poza tym jest w porządku.

Tego akurat Wiktor nie był tak całkiem pewien. Z trzema dzieciakami, po nocy, płynąć gdzieś na lagunę, żeby śledzić jakiegoś tajemniczego faceta, który w dodatku nasłał na nią tych małych złodziejasków - to dla Wiktora wcale nie było w porządku.

Szalone - tak. Ale w porządku? O, nie.

Zaledwie jednak zobaczył Idę, klęczącą na dywanie, ubraną w luźny sweter, z miejsca poczuł do niej sympatię. Mimo że wcale tego nie chciał. Pochylała się właśnie nad

fotografiami poukładanymi na podłodze, przesuwała je, zmieniała kolejność, niektóre odkładała na bok.

- No, ale niespodzianka! - powiedziała, zobaczywszy chłopców i Wiktora. - Nie sądziłam, że zjawicie się tak szybko. Co macie w tych pudłach i skąd nagle wytrzasnęliście wujka? - Zebrała zdjęcia i wstała.

O kurczę, pomyślał Wiktor, ona ma w uszach koleczki w kształcie gondoli.

- Mieliśmy spore kłopoty, Ido - powiedział Mosca i postawił swoje pudło na podłodze. Riccio z ciężkim westchnieniem zrobił to samo.

- Czy są tu psy tej grubej? - zapytał. - Wiktor ma w kieszeni kociaki Bo.

- Masz na myśli psy Łucji? Nie, są zamknięte w ogrodzie zżarły moje czekoladki. - Ida zmarszczyła czoło i zatroskana spojrzała na chłopców. - Jakie kłopoty? Co się stało?

- Ktoś zdradził policji, gdzie się ukrywamy! - powiedział Mosca Dolna warga Riccia zaczęła drżeć.

- I karabinierzy złapali Osę i Bo! - ciągnął dalej Mosca. - Z Prosperem jest bardzo niedobrze...

- Chwileczkę - przerwała mu Ida i odłożyła fotografie na mały stolik. - Dzisiaj rano byłam trochę nieprzytomna. Poprawcie mnie, jeśli źle zrozumiałam: mieliście kryjówkę, którą odkryła policja. Szukali was z powodu waszych kradzieży?

- Nie! - krzyknął Mosca. - To wszystko z powodu Bo. Ciotka go szuka. Ale Bo woli zostać z Prosperem. Więc schowaliśmy ich u nas. Do wczoraj wszystko było w porządku, ale ktoś zdradził naszą kryjówkę i ciotka dorwała Bo, a Prosper zupełnie się załamał. I jeszcze oddali Osę do sierocińca sióstr miłosierdzia, i...

- ...na dodatek Conte wcisnął nam fałszywe pieniądze - dokończył Riccio. Wyjął z kieszeni kurtki plik banknotów i pokazał Idzie. - To wszystko fałszywki.

Ida z wrażenia usiadła w fotelu.

- Dobry Boże! - westchnęła.

Wiktor nie mógł się powstrzymać.

- Te dzieciaki mają już dość kłopotów na głowie, signora Spavento! - wypalił. - A pani się postarała, żeby miały ich jeszcze więcej! Musiała ich pani wciągnąć w tę całą aferę? Nocny wypad na Isola Segreta...

- Cicho bądź, Wiktor! - warknął Mosca.

Ida poczerwieniała aż po cebulki ufarbowanych na blond włosów.

- Opowiedzieliście wszystko swojemu wujkowi? - zapytała ostro. - Myślałam, że jesteśmy przyjaciółmi...

- Przecież to nie jest wcale nasz wujek! - wrzasnął Riccio. - Wiktor jest detektywem i koniecznie chciał przyjść z nami. Poza pomógł zebrać nasze rzeczy i dowiedział się jeszcze, że karabinierzy wzięli Osę do sióstr.

- Osa. To ta dziewczynka, która była tu z wami, prawda? - Ida bawiła się kolczykami.
- Wiecie co, ta cała afera z Bo i jego ciotką... nie bardzo to rozumiem, ale wytłumaczycie mi, jak trochę się uspokoję. A co do Osy, to trzeba szybko coś zrobić.

Wstała i wzięła jedno z kociąt z kieszeni Wiktora. Ostrożnie posadziła je sobie na ramieniu.

- Miałam złe przeczucia, od kiedy popłynęliśmy na wyspę - powiedziała. - Przez całą noc nie zmrzyłam oka. A co się dzieje ze Scipiem?

- Nic jeszcze nie wie o kłopotach - rzekł Mosca.

- To nam też niewiele pomoże. - Ida spojrzała na Wiktora. - Dobrze. To co robimy? - Patrzyła, jak gdyby oczekiwała od niego odpowiedzi.

Wiktor osłupiał.

- Jak to: my? - wysapał. - Nic się nie da zrobić. Najwyżej możemy powstrzymać Prospera przed rzuceniem się do morza. Jeśli banda dzieciaków sama chce sobie układać życie, to zawsze oznacza kłopoty.

- W sierocińcu byłoby im prawdopodobnie jeszcze gorzej! - Ida niecierpliwie zmarszczyła czoło. - Te dzieci przecież potrzebują pomocy. Chyba nie wierzy pan, że ten cały galimatias sam się rozwiąże, panie...?

- To jest Wiktor - powiedział Riccio. - Ale możesz do niego mówić signor Getz.

Wiktor rzucił mu wściekle spojrzenie.

- Powinam była was zatrzymać już wtedy, kiedy zjawiliście się tutaj w środku nocy! - powiedziała Ida do chłopców. Kociak Bo bawił się jej kolczykami. - Ale myślałam, że wszystko będzie dobrze. Ja po prostu zbyt chętnie wierzę w bajki! Postaram się wam jakoś pomóc. Łucja da wam coś do jedzenia, a potem zanieście swoje rzeczy na górę. Na poddaszu jest wolny pokój. Tylko co zrobimy z Prosperem i małym? Czy w ogóle możemy w tej sytuacji cokolwiek zrobić?

- Jeśli chodzi o Bo, sądzę, że sprawa jest beznadziejna - odpowiedział Wiktor ze zniechęconą miną. - Żadnych szans. Jego ciotka ma pełne prawo do opieki nad nim. Ale Prospera musimy mieć na oku, był strasznie załamany, kiedy go ostatnio widziałem. Riccio, czy dałbyś radę go znaleźć, nawet jeśli nie stoi przed hotelem Gabrielli Sandwirth?

Riccio skinął głową.

- Znajdę go. I przyprowadzę tutaj.

- Dobrze. Od razu lepiej to wygląda. Mosca - zwróciła się do niego Ida - nie wiem, o co wam poszło ze Scipiem, ale powinieneś do niego zadzwonić i opowiedzieć, co się stało zeszłej nocy.

I że teraz będziecie tutaj. Zrobisz to?

Mosca zgodził się, choć nie krył zdziwienia.

- Mam mu też powiedzieć o fałszywkach? - zapytał.

Ida wzruszyła ramionami.

- Kiedyś i tak musiałby się dowiedzieć, prawda? A jeśli chodzi o nas - dotknęła palcem Wiktora - co by było, gdybyśmy spróbowali wyciągnąć tę biedaczkę z sierocińca, Wiktorze, czy też może signor Getz, nie wiem, jak wolisz?

- Może być Wiktor - mruknął. - Ale dlaczego wydaje się to pani takie proste?

Ida postawiła kociaki na podłodze i uśmiechnęła się do niego.

- Mam tam pewne znajomości. I nie musisz mi towarzyszyć, jeśli nie chcesz. Pomimo że dwoje dorosłych zawsze lepiej wygląda w takich sytuacjach.

Wiktor zmieszany spojrzał na swoje buty. Dywany w domu Idy były dużo mniej wydeptane niż jego i oczywiście ładniejsze, dużo ładniejsze.

- Miałem pewne kłopoty z siostrami miłosierdzia - mruknął. - Szukałem włamywacza, który przebierał się za zakonnice, i niechący złapałem prawdziwą siostrę. Od tego czasu się do mnie nie odzywają. Mimo że dwa lata temu odnalazłem ich najpiękniejszą figurkę Maryi.

Mosca i Riccio zaczęli chichotać, ale Ida spojrzała na Wiktora z błyskiem w oku.

- Moglibyśmy się przebrać - zaproponowała. - W tej chwili wyglądasz zupełnie jak detektyw, ale to da się zmienić. Mam szafę z ubraniami, których używam jako rekwizytów do moich zdjęć.

Są tam oczywiście różne garnitury, jeden nawet z dziewiętnastego wieku.

- Chyba lepiej będę wyglądał w takim z dwudziestego - powiedział Wiktor.

Ida roześmiała się.

- Mam też sztuczne brody! - powiedziała. -1 to całą kolekcję.

- Naprawdę? - Wiktor popatrzył wymownie na Riccia. - Moją ktoś ostatnio ukradł, ale na szczęście jakimś cudem ją dzisiaj znalazłem.

Riccio zaczerwienił się i spojrzał przez okno.

Wiktor podążył za Idą do małego pomieszczenia w piwnicy, w którym nie było nic, poza dwiema wielkimi szafami. To, że ona zbiera sztuczne brody, pomyślał, wybierając garnitur, jest naprawdę zdumiewające.,:.:????

Osa siedziała na łóżku, które jej wskazano, i oglądała białe nagie ściany dookoła. I już chyba po raz setny zamykała oczy, marząc, by zobaczyć inne miejsce: takie z kurtyną z gwiazdami.

I materac z mnóstwem książek pełnych opowieści czytanych nocami. Przypominała też sobie głosy: Moski i Riccia, zawsze trochę podenerwowany Scipia, Prospera - i głos Bo, jeszcze wyższy niż jej. Dotknęła zimnej białej narzuty na łóżku i wyobraziła sobie, że trzyma pulchną rączkę Bo. Taką ciepłą...

W sierocińcu wcale nie było zimniej niż w opuszczonym kinie, pewnie nawet dużo cieplej, ale Osa i tak marzła do szpiku kości.

Marzło też jej serce. Czy Bo będzie miał lepiej u ciotki? I co stanie się z resztą?

Osie zaburczało w żołądku. Przecież nie jadła nic, odkąd karabinierzy ją tu przyprowadzili. Nie tknęła śniadania, które siostry jej przygotowały, nie spojrzała nawet na obiad. Posiłki podawano tutaj bardzo wcześnie. Reszta dzieci była jeszcze na dole w stołówce, skąd zapach jedzenia dochodził aż do sypialni. Ale dużo ładniej pachniało, gdy Mosca gotował spaghetti, mimo że stale dodawał za dużo soli i prawie zawsze przypalał sos.

Wstała i podeszła do okna, z którego można było popatrzeć na dziedziniec. Dreptało po nim kilka gołębi, szukających jedzenia między kamieniami. One mogły sobie stąd odlecieć, tak po prostu. Nagle zobaczyła dwoje ludzi wchodzących przez główną bramę: kobietę w czarnym kapeluszu i mężczyznę z brodą. Zakonnica donośnym głosem skierowała ich do drzwi frontowych, przyszli tutaj, żeby kogoś adoptować? Pewnie chcą jakieś małe dziecko, najlepiej niemowlę. Tylko takie maleństwa miały szansę znaleźć nowych rodziców. Inne musiały długo czekać, aż wreszcie staną się dorosłe. Dni, tygodnie, miesiące. Jakże powoli się dorastało. Kociaki Bo urosły więcej w ciągu tygodnia niż Osa przez cały zeszły rok. Lata, miesiące, tygodnie, dni.

Osa przycisnęła policzek do zimnej szyby i spojrzała na drugie skrzydło sierocińca. W jednym z okien dostrzegła jakieś dziecko, tak jak ona wyglądające na dziedziniec. Osa nie zdradziła, jak naprawdę się nazywa, pomimo że siostry ciągle ją o to pytały. Nie chciała tu zostać, ale nie chciała też wracać do domu. Jeśli nie ma się rodziców, jak na przykład Riccio, można sobie chociaż wyobrażać, jacy byli wspaniali. Ale co zrobić, kiedy się ich ma, ale wcale nie są tacy dobrzy? Nie, nie zdradzi, jak się nazywa. Przenigdy.

Skrzypnęły drzwi. Przestraszona odwróciła głowę. Przecież zamknęła je, kiedy reszta dzieci zeszła na posiłek. Do środka zajrzała zakonnica.

- Caterina?

Osa drgnęła. Skąd znali jej imię?

- Oho, ty chyba naprawdę masz tak na imię. Dobrze. Chodź, proszę, ktoś chce się z tobą widzieć!

- Kto niby? - Osa nie była pewna, czy ma się cieszyć, czy raczej bać.

- Dlaczego nic nam nie powiedziałaś, kto jest twoją matką chrzestną? - fuknęła na nią zakonnica, gdy szły pustym korytarzem. - Taka znana osoba. Chyba zdajesz sobie sprawę, ile zrobiła dla tego sierocińca.

Znana? Matka chrzestna? Osa nic nie rozumiała. Czy w ogóle miała jakąś matkę chrzestną? Siostra zdawała się ogromnie poruszona, co chwila poprawiała okulary na nosie, takie z grubymi szklami, za którymi oczy wyglądały na przerażająco wielkie.

- No dalej, Caterina! - Zakonnica z niecierpliwością popędzała Osę. - Jak długo jeszcze mają na ciebie czekać?

Kto? - chciała krzyknąć. Co się tutaj dzieje? Ale nic nie powiedziała, bo nagle zobaczyła Idę. Prawie jej nie rozpoznała w tym kapeluszu. A kim był ten mężczyzna obok?

- Chyba się zgadza, signora Spavento! - obwieściła siostra. - Nasza mała bezimienna dziewczynka ma na imię Caterina. To jest pani chrześniaczka, czy tak?

Osa poczuła się lekka jak piórko. Chciała podbiec do Idy, objąć ją, schować się pod jej szerokim płaszczem i nigdy stamtąd nie wychodzić. Ale bała się, że wszystko zepsuje. Więc tylko z niewyraźnym uśmiechem podeszła wolno do niej i jej nieznanego towarzysza.

- Tak, to ona. Cara! - Ida chwyciła Osę w ramiona i uścisnęła tak mocno, że aż zrobiło jej się gorąco.

- Cześć, Osa! - powiedział obcy mężczyzna stojący z boku.

Osa spojrzała ze zdziwieniem i nagle poznała go: Wiktor, ten szpicel, tyle że z nową brodą. Wiktor, przyjaciel Bo. I jej przyjaciel. - To jest mój adwokat, cara - wyjaśniła Ida, wypuszczając Osę z objęć.

- Buongiorno - powiedziała Osa i grzecznie uśmiechnęła się do Wiktora.

- Dlaczego zawsze tak poważnie traktujesz kłótnie swoich rodziców, cara? - zapytała Ida i westchnęła głęboko, jakby już nieraz rozmawiała z Osą o jej rodzinnych kłopotach. - Już trzy ucieczki tylko z tego powodu - wyjaśniła siostrze, które ze wzruszeniem przyglądały się całej trójce. - Jej matka, a moja kuzynka, poślubiła okropnego człowieka, ale na szczęście niedługo się rozwodzą. Do tego czasu wezmę małą do siebie, bo jeszcze znowu ucieknie, a kto wie, gdzie ją wtedy znajdzie policja. Proszę sobie wyobrazić, że ostatnio ukrywała się aż w Burano!

Osa przysłuchiwała się kłamstwu Idy jak zaczarowana. Ścisnęła przy tym jej rękę, jakby już nigdy nie chciała jej puścić. To wszystko brzmiało tak prawdziwie, że przez chwilę zaczęła sobie wyobrażać wiecznie kłócących się rodziców i dzieci zatykające palcami uszy.

Zakonnica, ta z donośnym głosem, ze wzruszenia dosłownie wylewała potoki łez. Kiedy zdjęła mokre okulary, by wytrzeć szkła, Osa zauważyła, że jej oczy tak naprawdę są małe i otoczone siateczką zmarszczek. Wyglądały zupełnie inaczej niż przez grube soczewki.

- Czy mogę już teraz zabrać Caterinę? - zapytała Ida, jak gdyby była to najnormalniejsza rzecz na świecie.

- Ależ oczywiście, signora Spavento - odpowiedziała siostra i szybko założyła okulary. - Jesteśmy takie szczęśliwe, że choć raz my też możemy pomóc. Po tych wszystkich hojnych datkach, którymi obdarzyła pani nasz sierociniec. A zdjęcia, które zrobiła pani naszym podopiecznym, niech mi pani wierzy, oni przechowują jak skarby.

- A więc dobrze. - Ida unikała zaciekawionego wzroku Osy. - Proszę pozdrowić ode mnie siostrę Angelę i siostrę Luccię. Proszę też pozdrowić siostrę przełożoną, a papiery, które muszę podpisać, prześlijcie mi do domu.

- Ależ oczywiście! - Siostra popędziła do drzwi i otworzyła je przed Idą. - Życzę miłego dnia, panu także.

- Dziękuję! - mruknął Wiktor, mijając ją.

Osie serce podskakiwało do gardła, kiedy mijali klasztorny dziedziniec. Na mały placzyk wyłożony kostką brukową wychodziły niezliczone puste i nagie okna. Tylko na parterze poprzyklejane były do szyb gwiazdki bożonarodzeniowe, a na najwyższym piętrze jakaś dziewczynka ciągle jeszcze przyciskała policzek do szyby, tak samo jak przedtem Osa.

- Tyle okien - powiedział Wiktor. - Tak dużo okien i tak dużo dzieci.

- Owszem, i nikogo, kto by je przytulał i cieszył się nimi każdego dnia - dodała Ida. - Co za straszne marnotrawstwo.

- AtrivederLa, signorą Spavento! - zawołała siostra, która wyszła ze stróżówki, żeby otworzyć wielką bramę.

- O rany! - zdziwił się Wiktor. - One panią traktują, jakby miała pani aureolę! I dlaczego ta brama jest taka wysoka? Można by pomyśleć, że została zrobiona dla słonia, a nie dla dzieci.

Osa puściła jego rękę. Nagle bardzo zaczęło jej się spieszyć. Pędem pobiegła nad kanał, przy którym znajdował się sierociniec, splunęła do ciemnej wody, spojrzała na łódzie płynące w stronę Canal Grandę i odetchnęła głęboko. Przez chwilę stała tak, rozkoszując się świeżym, wilgotnym powietrzem. Potem odetchnęła powolutku, a wraz z tym pozbyła się

strachu i zwątpienia, które odczuwała, od kiedy karabinierzy ją złapali. I wtedy przypomniła sobie o Bo. Przestraszona odwróciła się do Idy i Wiktora.

- Co się dzieje z Bo? - zapytała. - I z całą resztą?

Wiktor odkleił sobie fałszywą brodę.

- Mosca i Riccio są u Idy - powiedział. - Ale Bo jest nadal u swojej ciotki.

Osa spuściła głowę i kopnęła niedopałek papierosa do kanału.

- A co z Prosperem?

- Riccio już go szuka - odparł Wiktor. - Nie rób takiej miny, na pewno go znajdzie.

Riccio odnalazł Prospera przed hotelem Gabrielli Sandwirth.

Stał bez ruchu, jak gdyby przymarzył do szerokiej promenady, zupełnie nie zwracając uwagi na mijających go ludzi. Na Riva degli Schiavoni zawsze panował harmider, nawet w tak mroźny dzień; nic dziwnego, w końcu znajdowały się tam najpiękniejsze hotele w mieście. Przy nabrzeżu cumowały niezliczone łodzie, zapewniające jedyne połączenie z resztą miasta. Wiatr popychał je na nabrzeże. Prosper słyszał głucho uderzenia w drewno, słyszał śmiech i prowadzone w niezliczonych językach rozmowy przechodzących ludzi. Tkwił tam, z nastawionym kołnierzem, wpatrując się w okna hotelu Sandwirth. Kiedy Riccio położył mu rękę na ramieniu, drgnął przestraszony.

- Prop, w końcu cię znalazłem! - odetchnął z ulgą Riccio. - Przez tyle godzin biegam za tobą. Tutaj też byłem już kilka razy, ale cię nie widziałem.

- Sony - powiedział Prosper i odwrócił się. - Cały dzień ich śledzę. Tak żeby tego nie dostrzegli. Kilka razy Bo prawie mnie zauważył, ale zawsze zdążyłem się ukryć. Boję się, że jak mnie zobaczy, to zacznie szaleć. A czegoś takiego mój wujek z pewnością by nie zniósł.

Prosper odgarnął włosy z czoła.

- Wszędzie za nimi chodziłem. Kupili Bo jakieś nowe ciuchy a Ester a chciała mu nawet zawiązać muszkę. Widziałem, jak Bo wyrzucił ją cichcem do kosza. Nie poznałbyś go. W tych za dużych swetrach, które przynosił Scipio, wyglądał zupełnie inaczej. A oni zaciągnęli go nawet do fryzjera i już nie ma śladu po jego czarnych włosach, tak jak je przefarbowaliśmy. Potem łazili z nim od jednej kawiarni do drugiej, ale on niczego nie tknął, obojętnie, co mu zamawiali. Tylko patrzył ponad ich głowami. Raz chyba mnie dostrzegł za szybą i już chciał im zwać, ale wujek złapał go jak małego psiaka i posadził z powrotem na krześle. Przed ogromną porcją lodów, której nawet nie ruszył.

- Dlaczego nie chciał nic jeść? - Riccio nie wyobrażał sobie, że ktoś nie miałby ochoty na porcję lodów.

Na widok jego miny Prosper nie mógł się nie roześmiać. Ale po chwili twarz znowu mu spoważniała.

- Teraz są w środku - powiedział i wskazał na oświetlone okna hotelu. - Odważyłem się wejść i zapytać portiera, w którym pokoju mieszkają, ale ten facet powiedział mi tylko, że Hartliebowie nie życzą sobie, żeby ktokolwiek im przeszkadzał.

Kilka chwil stali tak obok siebie, razem patrząc w górę, na okna. To były piękne, jasno oświetlone okna z błyszczącymi zasłonami. Za którym oknem znajdował się Bo?

- Chodź już! - powiedział w końcu Riccio, z zainteresowaniem spoglądając na turystę, który lekkomyślnie wymachiwał aparatem fotograficznym. - Przecież nie możesz tak stać do nocy. Nie chcesz wiedzieć, gdzie się ukryliśmy? Wiktor pomógł nam spakować rzeczy, a potem zanieść je do Campo Santa Margherita. Mosca przez całą drogę narzekał, że to głupi pomysł, no, ale co ja ci będę opowiadał! Ida ani chwili się nie zastanawiała! Mamy własny pokój na poddaszu. Nie mogliśmy zabrać materaców, ale Ida dała nam dwa stare łóżka, które zsunęliśmy razem. Troszkę ciasno, ale i tak lepiej niż na dworze. No, powiedz coś! Czy to nie super? Chodź już, zaraz będzie coś do jedzenia. Mówię ci, jak ta gruba gospodyni umie gotować! - Chwycił Prospera za ramię, ale on tylko potrząsnął głową.

- Nie! - odparł, strącając rękę Riccia. - Zostaję tutaj.

Riccio głęboko westchnął i spojrzał w niebo, jak gdyby oczekiwał stamtąd wsparcia.

- Słuchaj, Prop! - próbował go przekonać. - Jak myślisz, co zrobi portier, gdy zobaczy cię wałęsającego się przed hotelem, i to po nocy? Wezwie karabinierów. A co im powiesz? Że ciotka uprowadziła twojego brata?

Prosper milczał.

- Riccio, idź sobie - mruknął w końcu, nie odrywając oczu od hotelowych okien. - Wszystko jest nie tak. Nie mamy już kryjówki, złapali Osę, a Bo jest u Estery.

- Nie mają Osy! - krzyknął Riccio tak głośno, że aż ludzie zaczęli się na nich oglądać. Natychmiast ściszył głos. - Nie mają! - szepnął. - Ida i szpicel wyciągnęli ją z sierocińca, do którego trafiła!

- Ida i Wiktor? - Prosper spojrzał na niego ze zdumieniem.

- Tak. I wiesz co, oni się świetnie przy tym bawili. Żałuj, że ich nie widziałeś, jak szli pod rękę, niczym stare małżeństwo. - Riccio zachichotał. - A szpicel zachowywał się jak prawdziwy dżentelmen. Otworzył Idzie drzwi i nawet podał jej płaszcz. Tylko nie podaje ognia, bo ciągle narzeka na to jej palenie.

- No, ale jak im się to udało?

Riccio z zadowoleniem stwierdził, że Prosper na chwilę zapomniał o hotelu.

- Zabrali Osę do sierocińca sióstr miłosierdzia, tego samego, w którym kiedyś była Ida - mówił półgłosem. - Teraz ona często daje im pieniądze, zbiera dla nich zabawki i takie tam... Wiktor śmiał się, że siostry traktują ją jak Najświętszą Panienkę i uwierzyły we wszystko, co im powiedziała. On musiał tylko stać obok niej i dobrze wyglądać.

- To faktycznie super. - Prosper znowu skierował wzrok na hotel. - Pozdrów ode mnie Osę. Dobrze się czuje?

- Nie, nie rób tego! - Riccio stanął tak, że Prosper, chcąc nie chcąc, musiał na niego patrzeć. - Ona się o ciebie martwi. O Bo też, ale on przynajmniej nie rzuci się do morza.

- Naprawdę myślicie, że chcę coś takiego zrobić? - Prosper ze złością odepchnął Riccia. - Co za głupota. Przecież boję się wody.

- Super, ale sam jej to powiedz! Proszę! - Riccio uniósł ręce w błagalnym geście. - Widziałem ją tylko przez chwilę, jak wróciłem po południu coś przekąsić. Te całe poszukiwania zaostrzyły mi apetyt, wiesz, jak to jest, ale Osa nie dała mi nawet spokojnie zjeść. - Riccio zaczął naśladować Osę: - „No, idź już, Riccio, no szybko!” - piszczał. - „Zaraz pęknie z przejedzenia, proszę, rusz się i poszukaj Prospera! Pewnie się rzucił do kanału!”. Nawet chciała iść ze mną, ale Ida jej poradziła, żeby została przez jakiś czas w domu, bo zaraz z powrotem wyląduje w sierocińcu!

Dzięki Bogu, bo już miałem jej dość! A tak nawiasem mówiąc, to wiedziałem, że się gdzieś tutaj pojawi.

Riccio zobaczył uśmiech na twarzy Prospera, słabiutki wprawdzie, ale jednak uśmiech.

- Dobra - rzekł w końcu. - Już się dość nagadałem. Jutro rano będziesz mógł znowu tu przyjść, ale teraz już chodź.

Prosper nie odpowiedział, ale pozwolił się Ricciowi poprowadzić. Szli Riva degli Schiavoni, mijając liczne stoiska z pamiątkami.

Wielu handlarzy składało już swoje rzeczy, jednak u niektórych nadal można było coś kupić: plastikowe wachlarze, które Bo tak lubił, z czarną końcówką i mostem Rialto, koraliki, gondole z pomalowanego na złoto plastiku, przewodniki, suszone koniki morskie.

Prosper przeciskał się za Ricciem, co chwila jednak przystawał i spoglądał w stronę hotelu Gabrielli Sandwirth. Kiedy Riccio zauważył to, chcąc dodać mu otuchy, lekko objął go za ramię.

Musiał przy tym stanąć na palcach, bo przecież był sporo niższy od Prospera.

- Chodź. Skoro Idzie i Wiktorowi udało się wyciągnąć Osę - powiedział - to poradzą też sobie z Bo. Zobaczysz!

- Na początku przyszłego tygodnia ciotka wraca do domu - przypomniał mu Prosper. -
I co wtedy?

- To jeszcze dużo czasu - uspokajał go Riccio, stawiając kołnierz. - Poza tym Bo nie
siedzi w sierocińcu. Człowieku, to jest Sandwirth! Cholernie luksusowy hotel!

Prosper tylko przytaknął. Czuł się w środku całkiem pusty.

Pusty jak muszle, które leżały w koszach przed straganami z pamiątkami. Wyglądały
ślicznie, tylko jedna maleńka dziurka zdradzała, że wyssano z nich życie.

- Poczekaj, Prop. - Riccio zatrzymał się nagle.

Niebo nad laguną przybrało barwę ciemnego granatu, mimo że była dopiero czwarta.
Na nabrzeżu stali nieliczni turyści i jak zaczarowani spoglądali na zachodzące słońce,
nadające brudnej wodzie złoty kolor.

- Co za okazja! - szepnął Riccio. - Teraz by się nie zorientowali, nawet gdybym im
ukradł buty. Daj mi tylko kilka sekund.

Popatrz sobie na muszelki, a ja zaraz wracam.

Zdażył już się odwrócić i przybrać minę: „Jestem tylko biednym chłopczykiem, który
muchy by nie skrzywdził”, ale Prosper szybko złapał go za kołnierz.

- Zostaw to - powiedział ze złością. - Myślisz, że Ida Spavento pozwoli ci u siebie
zostać, jeśli karabinierzy przyłapią cię na kradzieży?

- Ty tego nie rozumiesz! - wściekł się Riccio, usiłując wyswobodzić się z rąk
Prospera. - Ja tylko nie chciałem wyjść z wprawy.

Ale Prosper go nie puścił i Riccio, głęboko wzdychając, ruszył za nim. A turyści dalej
podziwiali zachód słońca, nie płacąc za swoje wzruszenia portfelami.

WSZYSTKO STRACONE

Tego wieczoru w domu Idy panowała świąteczna atmosfera.

Przez całe popołudnie Łucja gotowała, smażyła i piekła, ubijała śmietanę i wyjmowała z foremek małe ciasteczka, szykowała ravioli i mieszała sosy. Gdy jednak, zwabiony smakowitymi zapachami, Wiktor usiłował czegoś choćby spróbować, dostawał po łapach drewnianą łyżką. Prosper i Osa razem nakrywali stół w jadalni, a Riccio i Mosca biegali po piętrach, ganiając się ze szczekającymi psami Łucji.

Obaj chłopcy wyglądali na tak wesołych i szczęśliwych, jak gdyby nigdy już nie mieli się denerwować tym, że Conte ich oszukał.

- Tak czy inaczej możemy wydać tę kasę - powiedział Riccio, gdy Wiktor zapytał, co zamierzają zrobić z fałszywymi banknotami.

Wiktor zaklął siarczyście i zażądał, żeby oddali mu torbę. Ale Riccio tylko zaśmiał się przekornie, pokręcił głową i powiedział, że już ją ukryli. W bezpiecznym miejscu, dodał. Nawet Osa i Prosper nie wiedzieli gdzie, ale chyba ich to w ogóle nie interesowało.

Wiktor postanowił więcej nie zaprzętać sobie głowy fałszywkami. Usadowił się na sofie w salotto Idy i chrupał czekoladki, jednocześnie starając się zmobilizować, by wreszcie wrócić do domu. Trzeba było przecież nakarmić zółwie, no i musiał zarabiać pieniądze. Ale za każdym razem, kiedy już zamierzał się pożegnać, Ida przynosiła mu kieliszek grappy czy filiżankę kawy albo prosiła, żeby przyniósł wykałaczki. I Wiktor zostawał.

Gdy na dworze zapadł zmrok i księżyc objął w posiadanie swoje miasto, Ida rozświetliła dom, jak gdyby miał konkurować z bladą księżycową poświatą. Trudno byłoby zliczyć świece, które zapaliła. I choć w żyrandolu nad stołem paliła się tylko co druga żarówka, to kryształowe wisiory rzucały na ściany tak piękne refleksy, że Osa nie mogła oderwać od nich wzroku.

- Uszczypnij mnie! - powiedziała do Prospera, gdy już ustawili wszystkie talerze, sztuce i szklanki. - To przecież nie może być prawda.

Prosper, bez namysłu całkiem mocno uszczypnął ją w ramię.

- A więc to prawda! - wykrzyknęła Osa i ze śmiechem zaczęła tańczyć po pokoju.

Ale nawet jej zadowolenie nie mogło usunąć troski z twarzy Prospera. Wszyscy już próbowali go rozweselić. Riccio usiłował żartować, Mosca pokazywał przeróżne dziwne rzeczy, które skrywał ten dom, ale nic nie pomagało. Ani słodycze Idy, ani zapewnienia Wiktora, że na pewno znajdzie jakieś rozwiązanie. Prosperowi brakowało Bo, tak jakby brakowało mu ręki albo nogi.

Było mu przykro, że tą swoją smutną miną psuje radość innym, zwłaszcza gdy zauważył, że Riccio zaczął schodzić mu z drogi, a Mosca uciekał, gdy tylko go zobaczył. Jedynie Osa nie odstępowała go na krok. Ale kiedy próbowała go pocieszyć i kładła mu rękę na ramieniu, szybko odsuwał się i szedł poprawiać widelce na stole albo stawał przy oknie, zapatrzony w dal.

Przy jedzeniu Riccio i Mosca dosłownie szaleli. Wiktor stwierdził nawet, że stado małą robiłoby mniej hałasu. Tylko Prosper milczał. Po kolacji wszyscy siedli do kart, on zaś poszedł na górę.

Ida przyniosła jeszcze dwa dmuchane materace, żeby nie było im za ciasno na zsuniętych łózkach. Jeden z nich zajęła Osa. Rozłożyła go pod ścianą, a obok poukładała swoje książki; Riccio i Mosca nie odważyli się zostawić w kinie choćby jednej. Prosper zaciągnął swój materac pod okno, przez które można było obser wować kanał za ogrodem Idy. Poszewki i prześcieradła, które do stali, przyjemnie pachniały lawendą. Mimo to Prosper nie mógł zasnąć. Kiedy o jedenastej zjawiała się w pokoju cała reszta towarzystwa, a Wiktor, ociągając się, ruszył jednak wreszcie do domu gnany wyrzutami sumienia, że głodzi biedne żółwiki, Prosper ciągle jeszcze nie spał. Ale nakryty kołdrą udawał, że śpi. Z twarzą zwróconą do ściany czekał, aż wszyscy zasną.

Gdy tylko Riccio zaczął po cichutku mrużyć przez sen, Mosca przykryty kołdrą, pochrapywać, a Osa z lekkim uśmiechem zasnęła pośród swoich książek, Prosper wstał. Niektóre deski w podłodze trzeszczały pod jego stopami, lecz nie obudziło to nikogo. Jeszcze nigdy w życiu nie spali tak głęboko i spokojnie jak w domu Idy.

Na schodach Prosper mało nie potknął się ze zmęczenia, ale jak mógłby teraz odpoczywać? Wszystko stracił. Dobre czasy minęły. Znowu. Myśl o tym wciąż wracała, choć starał się ją odepchnąć. Po cichu zszedł na parter. Z ciemności groźnie spoglądały na niego maski, tym razem jednak nie czuł już strachu.

Od kiedy Ida powiedziała Łucji, jak dzieci dostały się do domu, gospodyni starannie zamykała na klucz drzwi kuchenne. Naprawiła też i naoliwiła potężny zamek. Gdy Prosper przekręcił klucz, zawiasy cichutko skrzypnęły. Wyszedł do ogrodu.

Wszystko było białe od szronu. Tej nocy każdy kamień w mieście należał do zimy. Wydawało się, jakby mróz sięgał gwiazd.

W miejscu, gdzie ogród Idy graniczył z kanałem, była w murze mała furtka, zaledwie troszkę powyżej powierzchni wody. Prosper słyszał, jak woda pluszcze delikatnie o kamienie. Łódź Idy kołysała się lekko, przywiązana do dwóch pomalowanych pali; w księżycowym mieście co krok takie pale wystawały z kanałów.

Rysunek na nich i kolor zdradzały, do kogo należy miejsce cumowania. Prosper ostrożnie zszedł do łodzi, przysiadł na zimnej ławce i popatrzył na księżyc.

- Co mam robić? Powiedz, co mam robić?

Ale księżyc milczał.

Właściwie w każdej historii, którą opowiadała mu matka, występował księżyc. Wielki sprzymierzeniec, który mógł spełniać sny i otwierać przejścia, gdy tylko ktoś chciał się dostać do innych światów. Tutaj, w swoim własnym mieście, księżyc był kobietą, la bella luna. Małemu Bo bardzo się to podobało. Ale nieważne, on czy ona - i tak nie mógł mu pomóc odzyskać młodszego brata.

Prosper siedział w łodzi Idy, a łzy spływały mu po policzkach.

Myślał, że Wenecja stanie się jego domem. Jego i Bo. Wierzył, że jak uciekną tutaj, do miejsca zupełnie innego niż wszystkie inne na ziemi, z dala od Estery, będą bezpieczni. Przecież to nie było jej miasto. Nienawidziła Wenecji, była tu obca. Dlaczego nie dziobały jej gołębie? Dlaczego marmurowe smoki nie gryzły jej w plecy? Dlaczego skrzydlate lwy nie ryczały na nią? Prosper wierzył, że zdołają ich obronić, ale nie zrobiły tego.

Jakże piękne wydawały mu się te lwy, kiedy zobaczył je po raz pierwszy - nie oczami mamy, tylko tak naprawdę. Spojrzał na nie do góry, jak stały na kolumnach, pomiędzy gwiazdami, dotknął zimnego kamienia i wyobraził sobie, że pilnują cudów Wenecji.

I jego. Kiedy wszedł z Bo po schodach Gigantów i stał na dziedzińcu Pałacu Dożów, a potem na górze, pomiędzy wielkimi rzeźbami, czuł się tak pewnie, jak jakiś król w swoim królestwie, chroniony przez lwy i smoki, i wodę, która go otaczała. Estera nienawidziła wody, bała się jej, bała się nawet wsiąść do łódki.

A jednak zjawiła się tutaj i zabrała Bo. I Prosper nie był już żadnym królem. Stał się nikim - za mały, za słaby, żebrak we własnym mieście, wypędzony ze swojego pałacu. Do tego jeszcze zabrali mu brata.

Otarł łzy rękawem. Gdy usłyszał silnik łodzi, skulił się i czekał, aż łódź przepłynie obok. Ale nie przepłynęła. Silnik ucichł, a Prosper usłyszał czyjeś ciche przekleństwa, po czym coś uderzyło w motorówkę Idy. Przerażony uchwycił się burty.

Scipio zdjął swoją maskę i roześmiał się z taką ulgą, że Prosper zapomniał przez chwilę, dlaczego miał oczy pełne łez.

- Popatrz, stary! - powiedział Król Złodziei. - To się nazywa mieć szczęście! Wiesz, że przypląnąłem tu po ciebie?

- Po mnie? A dokąd mamy płynąć? - Zbity z tropu Prosper nie patrzył na Scipia. - Skąd masz taką łajbę?

To była naprawdę piękna łódka. Z ciemnego drewna, ozdobiona złotymi ornamentami.

- Należy do mojego ojca - powiedział Scipio i pogładził drewno, jak gdyby głaskał szlachetnego konia. - To jego duma. Pożyczyłem ją sobie. No, a teraz ma już pierwszą rysę.

- Skąd wiedziałeś, że tutaj jesteśmy? - zapytał Prosper, pochylając się nad burtą, ale nie zauważył na łodzi Idy żadnej rysy.

- Mosca zadzwonił do mnie. - Scipio spojrzał na księżyc. - Powiedział mi, że Conte nas oszukał. I że Bo jest u ciotki. Czy to prawda?

Prosper przytaknął i przysłonił oczy dłonią. Nie chciał, żeby Scipio zauważył w nich łzy.

- Przykro mi. - W głosie Scipia brzmiała szczerza troska. - To była głupota, żeby zostawić Osę i Bo samych, prawda?

Prosper nic nie odpowiedział, mimo że już chyba ze sto razy myślał o tym samym.

- Prop? - Scipio odchrząknął. - Mam zamiar jeszcze raz popłynąć na Isola Segreta. Wybierzesz się ze mną?

Prosper spojrzał na niego zdumiony.

- Conte nas oszukał! - Scipio ściszył głos, jak gdyby ktoś mógł ich podsłuchać. - Wykiwał nas. Albo odda mi pieniądze, ale tym razem prawdziwe, albo pozwoli mi przejechać się na karuzeli.

Ona na sto procent jest na wyspie!

Prosper potrząsnął głową.

- Ty chyba nie wierzysz w tę historyjkę? Zapomnij o tym i zapomnij o kasie. Sami daliśmy się wykiwać. Mieliśmy pecha. Co z tego, że się jeszcze raz tam zakradniemy? Inni już sobie odpuścili. Riccio obmyśla, jak wydać fałszywki. I nikt już nie popłynie na tę przeklętą wyspę, nawet za worek czystego złota.

Scipio spoglądał na niego, bawiąc się gumką od maski.

- Ja tam płynę - powiedział. - Z tobą. Chcę się przejechać na karuzeli. A jak Conte mi nie pozwoli, odbiorę mu skrzydło. Popłyn ze mną, Prop, dobrze? Co masz do stracenia, skoro i tak zabrali Bo?

Prosper patrzył na swoje ręce. Ręce dziecka. Przypomniał sobie lekceważące spojrzenie portiera z hotelu Gabrielli Sandwirth i swojego wielkiego wujka, idącego obok Bo i trzymającego mu rękę na plecach, jakby był właścicielem jego młodszego brata.

I nagle poczuł, że chce, aby Scipio miał rację. Żeby na tej nieprzyjaznej wyspie coś na nich czekało, coś, co zmieniłoby małość w wielkość, a słabość w siłę. I to pragnienie wypełniło pustkę w jego sercu. Bez słowa wskoczył do łodzi Scipia.

ISOLA SEGRETA

Noc była ciemna. Księżyc co chwila chował się za chmurami.

Mimo że Scipio wykradł ojcu mapę morską, według której mieli płynąć, już dwa razy zboczyli z kursu. Za pierwszym razem uświadomili sobie, że poruszają się w złym kierunku, gdy ujrzeli wyspę cmentarną. A kiedy zobaczyli Murano, zorientowali się, że odpłynęli za daleko na zachód. Wreszcie, gdy już tak przemarzli, że prawie nie czuli palców, ujrzeli wyłaniający się z osłony nocy mur Isola Segreta, bladoszary w świetle latarni. Z góry spoglądały na nich kamienne anioły, zupełnie jakby ich oczekiwały.

Scipio zgasił motor. Łódź Contego kołysała się przy brzegu ze zwiniętym żaglem. Wtedy Prosper usłyszał ujadanie psów.

- I co teraz? - wyszeptał do Scipia. - Jak chcesz przejść obok tych dogów?

- Myślisz, że jestem taki głupi, żeby przechodzić przez bramę? - odparł cicho Scipio. - Spróbujemy z drugiej strony.

Prosper nie uważał, że to szczególnie przebiegły plan, ale milczał. W końcu, jeśli chcieli dostać się na wyspę, nie pozostawało im nic innego. Szczekanie psów ucichło dopiero wtedy, gdy światło latarni mieli już daleko za sobą. Scipio płynął łódką tuż przy brzegu, szukając jakiejś wyrwy w murze. W niektórych miejscach mur wystawał prosto z wody, w innych - z trzciny i mułu, ale wydawał się otaczać całą wyspę. Wreszcie Scipio ostatecznie stracił cierpliwość.

- Dość tego, przechodzimy górą!

Prosper z niepokojem spojrział w ciemność. Łódź wciąż dzieliło od wyspy kilka dobrych metrów.

- Chcesz tam dopłynąć wpław?

- No co ty, lepiej mi pomóż.

Ze skrytki pod sterem Scipio wyciągnął dwa wiosła i nadmuchiwaną łódkę. Pomagając przeciągnąć ponton ponad relingiem, Prosper dziwił się, jak ciężkie może być trochę gumy i powietrza.

Było tak zimno, że wiosłując do brzegu, wydychali obłoki pary.

Następnie ukryli ponton w trzcinach. Mur widziany z bliska wydawał się jeszcze wyższy. Prosper mocno odchylił głowę i spoglądając do góry, zastanawiał się, czy psy rzeczywiście pilnują tylko bramy.

Gdy wdrapali się wreszcie na mur, dyszeli ciężko, a dłonie mieli otarte do krwi. Ale udało się. Przed nimi rozpościerał się ogród - ogromny, zdziczały ogród. Krzewy, żywopłoty, dróżki - wszystko było białe od szronu.

- Widzisz ją gdzieś tutaj? - zapytał Scipio.

Prosper pokręcił przecząco głową. Nie, nie widział żadnej karuzeli, tylko duży, ciemny dom, który majaczył pomiędzy drzewami.

Zejść z muru było chyba jeszcze trudniej, niż się na niego wdrapać. Ostatecznie chłopcy wylądowali w koleczastych zaroślach, a gdy wreszcie udało im się z nich wydostać, stanęli niepewni, w którą stronę mają pójść.

- Karuzela musi stać z tyłu domu - wyszeptał Scipio - inaczej zobaczylibyśmy ją z góry.

- Racja - przytaknął Prosper i rozejrzał się wokół.

Z krzaków dobiegł ich szelest i coś małego, ciemnego śmignęło przez dróżkę. Na śniegu Prosper odkrył ślady ptaków i odciski łap. Całkiem dużych.

- Chodź, spróbujemy tamtędy! - szepnął Scipio i szybko ruszył przodem.

Pomiędzy krzakami stały porośnięte mchem kamienne figury niektóre były zupełnie ukryte pod bujnie rozrośniętymi gałęziami i na zewnątrz wystawały tylko ich ręce lub głowy. W pewnej chwili Prosperowi wydało się, że słyszy za sobą kroki, ale gdy się odwrócił, ujrzał jedynie ptaka wylatującego z żywopłotu. Wkrótce całkiem stracili orientację. Nie byli już nawet pewni, w jakim kierunku powinni wracać ani gdzie był dom, który widzieli z góry.

- A niech to! Prop, może ty spróbujesz poprowadzić? - spytał Scipio, gdy na jakimś skrzyżowaniu zobaczyli swoje własne ślady.

Ale Prosper nie odpowiedział.

Znów coś usłyszał. Tym razem nie był to żaden spłoszony ptak. Przypominało to dyszenie, krótkie i ostre, a potem z ciemności doszło ich warczenie - ciche, głębokie i tak groźne, że Prosperowi niemal zabrakło tchu w piersiach. Odwrócił się powoli i zobaczył je - oddalone zaledwie o kilka kroków, jakby wyrosły ze śniegu. Dwa ogromne białe dogi. Usłyszał głośny, nerwowy oddech Scipia.

- Nie ruszaj się, Scip! - szepnął. - Jak zaczniemy uciekać, będą nas gonić.

- A jak człowiek się trzęsie, to też gryzą? - spytał cichutko Scipio.

Psy ciągle warczały. Podchodziły coraz bliżej, z nisko spuszczonej łbami, zjeżoną sierścią na karku i wyszczerzonymi zębami. Zaraz moje nogi same zaczną uciekać, myślał Prosper. Po prostu zaczną uciekać, a ja nic nie będę mógł na to poradzić.

Z rozpaczą zacisnął powieki.

- Bimba! Bella! Basta! - usłyszeli za plecami czyjś głos.

Psy natychmiast ucichły i spokojnie przebiegły obok Prospera i Scipia. Chłopcy odwrócili się zaskoczeni i zobaczyli światło latarki. Na dróżce przed nimi stała dziewczynka - ośmio-, może dziewięcioletnia, prawie niewidoczna w swej ciemnej sukience.

Dogi sięgały jej niemal do ramion, były tak duże, że mogłaby chyba na nich jeździć.

- No proszę! - powiedziała. - Jak to dobrze, że lubię pospacerować w świetle księżyca. Czego tu chcecie? - Gdy podniosła głos, psy natychmiast postawiły uszy. - Wiecie, co się dzieje z tymi, którzy zakradają się na Isola Segreta?

Scipio i Prosper spojrzeli na siebie.

- Chcemy się widzieć z Contem - oświadczył Scipio, jak gdyby nocny spacer po cudzym ogrodzie był czymś najnormalniejszym w świecie. A może odzywał się tak bojowo tylko dlatego, że byli więksi od dziewczynki? Prosper czuł jednak, że psy dawały jej przewagę. Stały obok niej, gotowe rozerwać każdego, kto za bardzo się zbliży.

- Ach, z Contem? Zawsze składacie wizyty po północy? - Zaświeciła latarką Scipioowi prosto w twarz. - Conte nie lubi niezapowiedzianych gości. A już z pewnością nie tych, którzy cichcem zakradają się na jego wyspę.

Potem skierowała światło latarki na Prospera. Zmieszany, mrużył oczy w ostrym świetle.

- Mieliliśmy z Contem umowę! - krzyknął Scipio. - Ale nas oszukał! Damy mu spokój tylko wtedy, gdy pozwoli nam przejechać się na karuzeli. Na karuzeli sióstr miłosierdzia.

- Karuzela? - Dziewczynka spojrzała na nich jeszcze bardziej wrogo. - Nie rozumiem, o co ci chodzi.

- Wiemy, że ona tu jest! Chcemy ją zobaczyć! - Scipio zrobił krok w jej stronę, ale dogi natychmiast wyszczerzyły kły, więc szybko się cofnął. - Jeśli Conte pozwoli nam przejechać się na niej, to nie pójdziemy na policję.

- Jak to łaskawie z waszej strony! - Dziewczynka spojrzała na niego ironicznie. - A skąd wiesz, że Conte w ogóle was stąd wypuści? Jesteście na Isola Segreta. Na pewno słyszeliście opowieści o niej. Kto przybywa na tę wyspę, już z niej nie wraca. Naprzód! - Niecierpliwie wskazała ręką na dróżkę, która po lewej stronie zniknęła za krzakami. - Tamtędy. I nie próbujcie uciekać.

Wierzcie mi, moje psy są szybsze od was.

Chłopcy wciąż stali bez ruchu.

- Róbcie, co mówię! - krzyknęła gniewnie dziewczynka. - Albo poszczuję psy!

- Zaprowadzisz nas do Contego? - zapytał Scipio. - No, odpowiedz!

Dziewczynka, jakby go nie słysząc, wydała psom cichy rozkaz.

Bezgłośnie ruszyły w stronę Prospera i Scipia.

- No chodź, Scip - powiedział Prosper i pociągnął go za rękę.

Scipio niechętnie usłuchał.

Psy trzymały się tak blisko chłopców, że niemal czuli na plecach ich gorące oddechy. Od czasu do czasu Scipio odwracał się, jakby mimo wszystko rozważał ucieczkę w pobliskie krzaki, ale Prosper za każdym razem przytrzymał go mocno za rękaw.

- Złapani przez dziewczynę - mruknął Scipio. - Jejku, dobrze, że nie ma tu Riccia i Moski.

- Jeśli ona naprawdę zaprowadzi nas do Contego, to lepiej nie groź mu policją, dobra? Kto wie, co mógłby z nami zrobić...

Scipio przytaknął tylko i z ponurą miną spojrzął na psy.

Wkrótce zobaczyli, dokąd ich prowadziła. Spomiędzy drzew wynurzył się dom, który Prosper widział ze szczytu muru. Był przeogromny, jeszcze większy niż dom ojca Scipia. Ale nawet w nocnej poświacie, która wiele skrywa, wyglądał na opuszczony i zaniedbany. Tynk płatami odpadał ze ścian, okiennice wisiały krzywo na zawiasach, a dach był tak dziurawy, że światło księżyca przenikało do wnętrza. Do drzwi wejściowych prowadziły szerokie schody. Nad poręczami pochylały się anioły, ale słone morskie powietrze wygryzło ich kamienne twarze tak, że były nie do rozpoznania, podobnie jak herby nad wejściem.

- O nie, nie na górę! - powiedziała dziewczynka, widząc, dokąd kieruje się Scipio. - Dziś Conte na pewno nie będzie z wami rozmawiać. Resztę nocy spędzicie w starej stajni. Tam, prosto. - I niecierpliwie wskazała na niski budynek obok domu. Scipio jednak nie zamierzał jej słuchać.

- Nie! - odrzekł i z przekorą skrzyżował ręce na piersiach.

Myślisz, że możesz nam rozkazywać, bo masz przy sobie te wie kie cielaki? Chcę rozmawiać z Contem. Teraz. Natychmiast.

Dziewczynka cmoknęła i dogi pyskami wbiły się chłopcu w brzuchy. Cofnęli się z przerażeniem aż na pierwszy stopień schodów.

- Dzisiejszej nocy już z nikim nie porozmawiacie - powiedziała stanowczo. - Najwyżej ze szczurami w stajni. Conte śpi i dopiero jutro rano zastanowi się, co z wami zrobić. I powinniście się tylko cieszyć, bo dzięki temu nie wylądujecie od razu w lagunie.

Scipio ze złości zacisnął usta, ale psy znów zaczęły warczyć więc Prosper szybko pociągnął go za sobą.

- Lepiej róbmy, co każe, Scip! - szepnął, gdy już szli w stronę stajni, równie zaniedbanej jak dom. - Mamy całą noc, żeby przemyśleć, jak się stąd wydostać. A jeśli psy cię pożą, na pewno nam się to nie uda. I na sto procent nie przejedziesz się wtedy na karuzeli.

- No dobra. - Scipio rzucił dziewczynce posępne spojrzenie.

- Władcie, moi panowie! - zawołała, otwierając drzwi stajni.

W środku panowały nieprzeniknione ciemności, a roztaczając się smród był tak gryzący, że Scipio odwrócił głowę ze wstrętem.

- Tutaj?! - krzyknął. - Chcesz nas zabić?

- Mam wam zostawić psy do towarzystwa? - zapytała dziewczynka, dłońmi rozwierając psom pyski, by pokazać w całej okolicy; żalości ich potężne zębiska.

- No, chodź już, Scip - powiedział Prosper i wciągnął go do ciemnej stajni. W świetle latarki dostrzegł kilka szczurów zmykających w popłochu.

- Gdzieś z tyłu muszą leżeć jeszcze stare worki - powiedział dziewczynka. - Na jedną noc powinny wystarczyć za posłanie.

Szczury nie są zbyt głodne, mają tu dosyć jedzenia, więc raczej nie będą wam dziś w nocy przeszkadzać. Możecie sobie darować obmyślanie drogi ucieczki. Nie ma takiej, a poza tym zostawiał psy pod drzwiami. Buonanotte!

Prosper usłyszał, jak dziewczynka zasuwa rygiel. W stajni było tak ciemno, że nie widział nawet własnych dłoni. Tylko przez wąską szparę w drzwiach wpadało światło księżyca.

- Prop! - szepnął Scipio. - Boisz się szczurów? Bo ja na sam ich widok umieram ze strachu.

- Przyzwyczailem się, w kinie też od czasu do czasu się pojawiały - odparł szeptem Prosper, uważnie nasłuchując, co dzieje się na zewnątrz. Słyszał, jak dziewczynka rozmawia z psami cichym, niemal czułym głosem.

- Bardzo pocieszające - mruknął Scipio.

- Nagle coś za nim zaszeleściło. Przerażony podskoczył, o mało nie przewracając Prospera.

Potem usłyszeli oddalające się kroki dziewczynki i sapanie psów układających się pod drzwiami. Po chwili, gdy ich oczy oswoiły się z panującymi tu ciemnościami, zaczęły szukać worków, na których mieli ułożyć się do snu. Gdy jednak jakiś szczur przebiegł Scipiovi po bucie, postanowili nie kłaść się na ziemi.

Znaleźli dwie drewniane beczki, na których usiedli, opierając się plecami o zimną ścianę.

- On po prostu musi nam dać się na niej przejechać! - powiedział w pewnej chwili Scipio do siebie. - Choćby dlatego, że tak nas oszukał.

- Hm - mruknął tylko Prosper.

Nie próbował nawet wyobrazić sobie, co Conte mógłby z nimi zrobić. I nagle pomyślał o Bo. Po raz pierwszy, odkąd wsiadł do łodzi Scipia. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek jeszcze ujrzy swego młodszego brata.

To była nieskończenie długa noc, a myśli Prospera i Scipia stały się wkrótce czarniejsze niż ciemność w cuchnącej stajni.

NOCNY TELEFON

Było już po północy, gdy Wiktora obudził świdrujący dźwięk telefonu. Przykrył sobie głowę poduszką, ale to nic nie dało.

Złorzecząc, wygrzebał się z ciepłego łóżka i poczłapał do biura.

W ciemności potknął się o pudełko z zółwiami.

- Co jest, u licha? - burknął w słuchawkę, masując sobie jednocześnie bolącą stopę.

- On znów uciekł! - Estera Hartlieb wyrzuciła z siebie te słowa tak szybko, że w pierwszej chwili Wiktor nie zrozumiał. - Ale jedno panu powiem, tym razem już go nie weźmiemy! O nie. Ten mały diabeł ściągnął obrus ze stolika w najlepszej restauracji w mieście, a gdy siedzieliśmy z makaronem na kolanach, po prostu uciekł! - Wiktor usłyszał, jak Estera szlocha. - Mój mąż zawsze powtarzał, że on do nas nie pasuje, że jest taki jak moja siostra, ale przecież wyglądał jak aniołek! Wyrzucono nas z hotelu, bo tak wrzeszczał, że posadzono nas o znęcanie się nad nim. Wyobraża pan to sobie? Najpierw nie odzywał się ani słowem, tylko siedział cicho w kącie, a potem nagle napad szał. I to jedynie dlatego, że usiłowałam mu włożyć czyste skarpety! Ugryzł nawet mojego męża! Powycinał scyzorykiem dziury w zasłonach, wylał kawę z balkonu... - Estera Hartlieb nabrała powietrza. - Mój mąż i ja odlatujemy do domu zgodnie z planem. Gdyby policja w najbliższym czasie złapała moich siostrzeńców, proszę w naszym imieniu polecić, by umieszczono ich w sierocińcu. Słyszałam, że w mieście jest kilka dobrych placówek. Słyszysz pan, signor Getz? Signor Getz...

Wiktor skrobał nożykiem do listów wzorki na blacie biurka.

- Jak długo chłopiec błąka się sam po mieście? - zapytał. - Kiedy uciekł?

- Kilka godzin temu. Najpierw musieliśmy uregulować rachunek za szkody w restauracji. I przenieść się do innego hotelu.

Z całym naszym bagażem. Wszystkie przyzwoite miejsca były już zarezerwowane i mieszkamy w jakimś obskurnym hotelu przy moście Rialto.

Kilka godzin. Wiktor przeciągnął dłonią po zmęczonej twarzy i wyjrzał za okno. Między domami czaiła się ciemna i zimna noc.

Jak zwierzę, które pożera małych chłopców.

- Zawiadomiła pani policję? - spytał. - Czy ktoś już szuka Bo? Pani mąż na przykład?

- Co pan chce przez to powiedzieć? - Estera ze zdenerwowaniem podniosła głos. - Myśli pan, że ktoś z nas szuka go w tych ciemnych uliczkach? Po tym wszystkim, na co ten chłopak nas dzisiaj naraził? Nie. Nasza cierpliwość się skończyła, nie chcę nawet znać jego imienia. Ja...

Wiktor odłożył słuchawkę. Po prostu. Kilka godzin! Zaspany włożył ubranie.

Gdy wyszedł z domu, ogarnęło go tak przeraźliwe zimno, że aż łyzy stanęły mu w oczach. Cóż, pomyślał, zawsze to lepsze, niż gdyby lało jak z cebra. Nasunął kapelusz głęboko na czoło i ruszył na poszukiwanie. Poprzedniej zimy miasto wiele razy stało pod wodą, i to tak wysoką, że pewnie zmyłoby takiego małego chłopca jak Bo. Laguna coraz częściej zalewała Wenecję, dawniej działo się to najwyżej raz na trzy lata, ale o tym Wiktor nie chciał teraz myśleć. Jego samopoczucie było fatalne.

Człapał słabo oświetlonymi uliczkami, po kamieniach srebrzących się od mrozu, a nogi miał jak z ołowiu. Znał tylko jedno miejsce, w którym Bo mógł się ukryć. Przecież nie miał pojęcia, że Prosper i jego przyjaciele znaleźli schronienie u Idy Spavento. Detektyw siąknął zimnym jak sopel lodu nosem, potem wytarł go rękawem. Biedny Bo nie miał o niczym pojęcia.

Mieszkanie Wiktora dzieliła duża odległość od kryjówki dzieci. Gdy w końcu znalazł się przed kinem, był przemarznięty do szpiku kości. Muszę sobie kupić cieplejszy płaszcz, pomyślał, szukając odpowiedniego wytrychu. Na szczęście dottor Massimo nie kazał wymienić zamka. Korytarz ciągle zavalony był rupieciami, jakby nic nie zdarzyło się od tej nocy, gdy dzieci pojmały Wiktora. Ale kiedy wszedł do ciemnej sali kinowej, usłyszał ciche pochlipywanie.

- Hej, Bo? - krzyknął. - To ja, Wiktor. Gdzie jesteś? Czy chcesz się znowu bawić w chowanego?

- Nie wrócę do niej! - dobiegł go z ciemności zapłakany głos malca. - Nie myśl sobie. Chcę do Prospera.

- Uspokój się, nigdzie nie musisz wracać. - Wiktor poświecił latarką wzdłuż rzędu siedzeń. W końcu natrafił na blond czuprynę. Chłopiec siedział schowany między siedzeniami i wyglądało, jakby czegoś szukał.

- Poszli sobie! - szlochał. - Poszli sobie!

- Kto? - Wiktor pochylił się nad nim, a zapłakany Bo spojrzał do góry. - Moje koty - pociągnął nosem. - I Osa.

- Nikt sobie nie poszedł - odparł Wiktor. Wziął Bo na rękę i otarł mu łyzy z policzków. - Wszyscy są u Idy Spavento: Osa, Prosper, Riccio, Mosca i twoje kociaki. - Usiadł na składanym krześle i posadził sobie Bo na kolanach. - Słyszałem o tobie ładne rzeczy, kochany - powiedział. - O ściąganiu obrusów, wrzaskach, ucieczkach. Wiesz, że twoją ciotkę i wujka przez ciebie wyrzucono z luksusowego hotelu?

- Serio? - Chłopiec odchylił głowę i wtulił twarz w płaszcz Wiktora. - Byłem taki zły - mruknął. - Estera nie chciała mi powiedzieć, gdzie jest Prosper.

- No, już w porządku. - Wiktor wcisnął mu chusteczkę do ręki. - Masz, wytrzyj nos. A Prosper ma się dobrze. Leży w miękkim łóżku i śni o swoim małym braciszku.

- Chciała mi zrobić przedziałek - burknął Bo i przejechał dłonią po potarganych włosach, jakby musiał się upewnić, że starania Estery poszły na marne. - I nie wolno mi było skakać po łóżku.

I chciała wyrzucić sweter, który dostałem od Osy. Zrobiła awanturę o taką malutką plamkę - pokazał palcami wielkość - i ciągle chciała mi wycierać buzię. I mówiła brzydkie rzeczy o Prosperze.

- No nie, coś takiego! - Wiktor ze współczuciem pokręcił głową.

Bo potarł oczy i ziewnął.

- Zimno mi - mruknął. - Zaprowadzisz mnie do Prospera?

Wiktor skinął głową.

- Tak, zaprowadzę. - Ale gdy chciał podnieść Bo, ten nagle zanurkował pomiędzy siedzenia.

- Tam ktoś jest! - wyszeptał.

Wiktor odwrócił się.

W drzwiach prowadzących do korytarza stał jakiś mężczyzna i świecił wielką latarką po sali, a gdy światło padło na Wiktora, krzyknął ostrym głosem:

- Co pan tu robi?

Wiktor wyprostował się i objął Bo ramieniem.

- Ach, małemu tylko uciekł kotek - powiedział tak obojętnie, jak gdyby nie było nic dziwnego w tym, że stali w środku nocy w zamkniętym kinie. - I wydawało mu się, że wbiegł tutaj przez wyjście awaryjne. Kino jest przecież puste, prawda?

- Tak, ale odkąd złapano tu ukrywające się sieroty, właściciel, dottor Massimo, kazał mi go pilnować. Tam za panem... - machnął ręką - też jest dziecko.

- Bystry z pana facet. - Wiktor zmierzwił Bo włosy. - Ale to nie jest sierota. To mój syn. Jak już mówiłem, szukał tylko swojego kotka. - Wiktor rozejrzał się dookoła. - Bardzo tu ładnie.

Dlaczego to kino jest puste?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Po tym całym zamieszaniu dottor Massimo chce tutaj zrobić supermarket. A teraz proszę już iść. Nie ma tu żadnych kotów, a nawet gdyby były, dawno by już zdechły. Rozrzuciłem trutkę na szczury.

- Więc już znikamy! - Wiktor pociągnął Bo do wyjścia awaryjnego, ale mały nie chciał się ruszyć. No tak, usłyszał, że z Kryjówki pod Gwiazdami ma być zrobiony supermarket.

- Kurtyna - powiedział nagle. - Wiktor, zobacz, po prostu ją zerwali.

Ciężki materiał leżał teraz brudny i pognieciony na podłodze.

- Co chcecie zrobić z tą kurtyną? - zawołał Wiktor do strażnika, który zniknął właśnie za drzwiami.

Mężczyzna odwrócił się niechętnie.

- Niech pan posłucha, jest późno! - krzyknął. - Proszę się już stąd wynosić. A kurtynę może pan sobie wziąć, jeśli pan chce.

- Ach tak? Niby jak mam to zrobić? - mruknął Wiktor. - Idiota.

Po czym wyjął z kieszeni płaszcz scyzoryk i odciął duży kawałek materiału.

- Weź - powiedział, wciskając go Bo do ręki. - Na pamiątkę.

- Czy Scipio też jest u Idy? - spytał malec, gdy wychodzili już z kina.

- Nie - odpowiedział Wiktor. Owinął chłopca w ciepły koc, który przezornie zabrał ze sobą, i wziął na ręce. - Jest pewnie u siebie w domu. Myślę, że twoi przyjaciele nie chcą z nim już więcej rozmawiać.

- Ale jego ojciec jest wstrętny - mruknął Bo, mimo że oczy mu się już zamykały. - Ty jesteś o wiele miłszy.

Objął Wiktora za szyję i z ziewnięciem oparł głowę o jego ramię. Zanim doszli do mostu Accademia, malec spał już twardym snem, a Wiktor niósł go dalej przez ciche, bezludne uliczki, aż do domu Idy Spavento.

Drzwi otworzyła im Ida. Miała podkrążone ze zmęczenia oczy, co jeszcze bardziej podkreślał ogniście czerwony szlafrok. Za nią z przestraszonymi minami stali Osa, Mosca i Riccio, wpatrując się w Wiktora tak, jakby oczekiwali kogoś zupełnie innego.

- Co się tu dzieje? - wyszeptał, przeciskając się między nimi ze śpiącym Bo na rękach.

- To przecież jest Bo! - wykrzyknęła Osa tak głośno, że Wiktor z niepokojem spojrzał na małego, ale ten wymamrotał tylko coś niezrozumiale przez sen, naciągając na siebie ciepły koc.

- Tak, to jest Bo - mruknął Wiktor. - I jest nieco ciężki, więc może zejście mi z drogi, żebym mógł go gdzieś położyć.

Szybko usunęli się na bok, a Ida ruszyła stromymi schodami na górę, aż do pokoju dzieci. Wiktor z westchnieniem ulgi położył owiniętego kocem Bo na jednym z łóżek, przykrył go kołdrą aż po samą brodę i wymknął się z Idą z pokoju. Przed drzwiami czekali na niego zdumieni Mosca, Riccio i Osa. Dopiero wtedy Wiktor zauważył, że kogoś brakuje.

- Gdzie Prosper? - zapytał.

- To dlatego mimo późnej pory wszyscy jesteśmy na nogach - odpowiedziała cicho Ida. - Caterina obudziła mnie godzinę temu, bo nie było go w łóżku.

Osa przytaknęła. Jej twarz była jeszcze bledsza niż zwykle.

- Wszystko przeszukaliśmy - szepnęła. - Dom, podwórze, nawet Campo. Zniknął.

Z nadzieją spojrzała na Wiktora, jakby mógł wyczarować Prospera, tak jak najwyraźniej udało mu się z Bo.

- Chodźcie, nie będziemy dłużej szeptać pod drzwiami - powiedziała Ida. - Mały nie powinien się teraz dowiedzieć, że jego brat zaginął. A Wiktor też na pewno ma wiele do opowiedzenia.

W salotto było zimno. Ida w nocy ogrzewała tylko sypialnie. Wiktor szybko napalił w kominku i wszyscy usiedli blisko siebie przy ogniu. Po chwili zrobiło się już całkiem ciepło. W każdym razie na tyle, że kotki Bo zlazły z szafy i zaczęły się łąsić. Wiktor opowiedział, jak Estera wyrwała go ze snu i gdzie znalazł Bo. Trudno mu jednak było skoncentrować się na swojej opowieści, bo ciągle wracał myślami do Prospera. Gdzie ten chłopiec mógł się podziewać?

- Co to ma znaczyć: ona go nie chce z powrotem? - Głos Idy wyrwał go z zamyślenia.

- Co ona sobie myśli? Że chłopczyk jest butem, który przymierza się i wyrzuca, jeśli nam nie pasuje? - Z gniewną miną szukała w kieszeniach szlafroka papierosów.

- Proszę. - Riccio z zażenowaniem podał Idzie zmiętą paczkę. - Wziąłem tylko jednego, słowo.

Ida z westchnieniem odebrała od niego pudełko.

- Nie wiem, co ta Estera Hartlieb sobie myśli! - mruknął Wiktor i przetarł zmęczone oczy. - Wiem tylko, że cieszyłem się, wyobrażając sobie minę, jaką zrobi Prosper, gdy przyniosę mu braciszka. A tymczasem ja się zjawiam, a Prospera nie ma. Do diabła!

Gniewnie spojrział na trójkę dzieci.

- Nie mogliście na niego trochę bardziej uważać? Widzieliście przecież, w jakim jest stanie.

- To znaczy co? - krzyknął oburzony Mosca. - Mieliśmy go może przywiązać do łóżka?

Osa zaczęła szlochać. Łzy jej kapały na za dużą koszulę, którą dostała od Idy.

- Przestań - powiedziała Ida, biorąc ją w ramiona. - Co robimy? Gdzie zaczniemy szukać? Ktoś ma jakiś pomysł?

- Pewnie ciągle jeszcze stoi przed hotelem Sandwirth! - powiedział Mosca.

- Tak, przecież nie wie, że jego ciotki już tam nie ma - mruknął Wiktor. - Zadzwoń i zapytam portiera, czy jakiś chłopiec nie stoi przypadkiem przed hotelem.

Z westchnieniem wyjął z kieszeni płaszcza telefon i wybrał numer Sandwirth. Portier właśnie kończył nocną zmianę, ale zgodził się wyjrzeć przez okno. Na pustej promenadzie Riva degli Schiavoni nie było żadnego chłopca. Wiktor opuścił bezradnie rękę.

- Potrzebuję teraz trochę snu - powiedział, wstając. - Dwie godzinki, żebym znów mógł normalnie myśleć. Jeden brat się odnajduje, drugi ginie. - Z westchnieniem przesunął dłonią po czole. - Co za noc! Mam wrażenie, że ostatnio miewam tylko takie.

Czy znajdzie się w tym domu jakieś wolne łóżko?

- Możesz wziąć materac Prospera - powiedziała Ida.

Wszyscy byli skonani, ale nikt nie mógł zasnąć, gdyż pod poduszkami i tak czekały same złe sny. Tylko Bo spał spokojnie jak aniołek, jakby skończyły się wszystkie jego problemy.

Dźwięk otwieranych drzwi obudził Prospera i Scipia. Na ich twarze padło światło dnia. W pierwszym momencie nie wiedzieli, gdzie się znajdują, ale widok stojącej w drzwiach dziewczynki szybko przywrócił im pamięć.

- Buongiorno, moi panowie - powiedziała, przytrzymując psy, żeby nie wbiegły do stajni. - Zostawiłabym was tu dłużej, ale mój brat koniecznie chce się z wami zobaczyć.

- Brat? - szepnął Scipio, gdy wychodzili na zewnątrz.

W świetle poranka domostwo wyglądało na jeszcze bardziej zrujnowane, niż wydawało się w nocy. Dziewczynka niecierpliwie wbiegła po schodach. Chłopcy ruszyli za nią, mijając pozbawione twarzy anioły, aż znaleźli się między kolumnami przed głównym wejściem. Gdy otworzyła drzwi, uderzyło ich w twarze stęchłe zimne powietrze. Wielkie dogi, przepychając się, pierwsze wbiegły do środka i machając ogonami, natychmiast zniknęły we wnętrzu domu.

Sień była tak wysoka, że Prosperowi aż zakręciło się w głowie.

Odchylił głowę do tyłu i spojrzał na sufit pokryty malowidłami.

Chociaż dawno wyblakły i pokrywała je warstwa sadzy, nadal zachwycały swym pięknem: konie stawały dęba, anioły rozkładały skrzydła i odfruwały prosto w niebieściutkie niebo.

- No, ruszcie się! - ponagliła ich dziewczynka. - Jeszcze wczoraj tak się wam spieszyło. Tamtędy!

Wskazała na otwarte drzwi na drugim końcu korytarza. Doei popędziły tak szybko, że aż rozjeżdżały im się łapy na śliskiej podłodze. Scipio i Prosper, ociągając się, ruszyli za nimi. Mijali jednorożce i syreny, pokryte kurzem obrazy z maleńkich, kolorowych kamyczków. Ich kroki odbijały się głośnym echem. W pewnej chwili Prosperowi wydawało się, że to anioły zlatują z trzepotem skrzydeł.

Pomieszczenie, w którym zniknęły psy, pomimo smugi dziennego światła wpadającego przez wąskie okienko, było ciemne.

W kominku, który kształtem przypominał otwartą paszczę lwa, palił się ogień. Przed nim właśnie rozłożyły się dogi, obejmując łapami porozrzucane zabawki. Było ich tutaj bez liku: kule, piłki, miecze, cały tabun koni na biegunach, lalki wszelkiego rodzaju i wielkości, rzucone niedbale, z powykręcانymi rękami i nogami, ołowiane żołnierzyki, maszyny parowe, statki z wyrzeźbionymi marynarzami na pokładzie - a w środku tego całego bałaganu siedział chłopczyk. Ze znudzoną miną sadzał właśnie żołnierzyka na maleńkiego konia.

- To oni, Renzo - powiedziała dziewczynka i popchnęła Prospera i Scipia przez otwarte drzwi. - Śmierdzą trochę gołębimi odchodami, ale, jak widać, szczury ich nie zjadły.

Chłopiec podniósł głowę. Miał czarne, krótko ostrzyżone włosy, a jego ubranie wyglądało jeszcze bardziej staromodnie niż kurtka Scipia.

- Król Złodziei! - powiedział. - Rzeczywiście. Miałaś rację, siostrzyczko.

Niedbale rzucił żołnierzyka na podłogę i wstał.

- Ty też byłeś w bazylice, prawda? - spytał Prospera. - Wybaczcie, że Morosina zamknęła was w stajni, ale generalnie nie należy zakradać się w środku nocy na cudze wyspy. Przykro mi z powodu fałszywych pieniędzy - to był pomysł Barbarossy, inaczej wcale nie mógłbym wam zapłacić. Pewnie już zauważyliście - wskazał na ściany, z których odpadał tynk - że nie jestem bogaty, nawet jeśli mieszkam w tym pałacu.

- Renzo! - ucięła niecierpliwie Morosina. - Powiedz lepiej, co z nimi zrobimy.

Chłopiec przesunął stopą leżącą na ziemi lalkę.

- Spójrz, jak osłupieli! - zwrócił się do Morosiny. - Pytacie, skąd to wszystko wiem? Zapomnieliście już o naszej rozmowie w konfesjonale? Albo o nocnym spotkaniu na Sacca delia Misericordia?

Prosper cofnął się. Obok słyszał ciężki oddech Scipia.

- To działa! - wyszeptał Scipio i z niedowierzaniem spojrział na nieznanego chłopca.

- Ty jesteś Conte.

Renzo z uśmiechem wykonał przed nimi głęboki ukłon.

- Do usług, Królu Złodziei - powiedział. - Dzięki twojej pomocy. Bez lwiego skrzydła byłaby to tylko zwykła karuzela, a tak...

- Zapytaj, kto opowiedział im o karuzeli - przerwała mu siostra, z założonymi rękami opierając się o ścianę. - No, dalej! Czy to był Barbarossa? Zawsze powtarzałam, że temu grubasowi nie można ufać.

- Nie! - Scipio wymienił z Prosperem spojrzenie. - Nie, Barbarossa nie ma nic wspólnego z tym, że tu jesteśmy. O karuzeli opowiedziała nam Ida Spavento, kobieta, do której należy to skrzydło. Ale to długa historia...

- Czy ona wie, że tu jesteście? - zapytała surowo Morosina. - Czy ktokolwiek o tym wie?

Scipio już chciał odpowiedzieć, ale Prosper go ubiegł.

- Tak. Wiedzą o tym nasi przyjaciele i jeden detektyw. I jeśli nie wrócimy, przyplyną tu i będą nas szukać.

Morosina rzuciła bratu chmurne spojrzenie.

- Słyszysz? - spytała. - Co robimy? Dlaczego w ogóle z nimi rozmawiasz? Jak możesz zdradzać im naszą tajemnicę? Mogliśmy wcisnąć im jakąś bajkę...

Renzo pochylił się i podniósł maskę, która leżała pomiędzy żołnierzami.

- Oni dostarczyli mi skrzydło - powiedział - a ja im nie zapłaciłem. Dlatego pozwolę im przejechać się na karuzeli.

Spojrział na Prospera i Scipia.

- Na początku obraca się powoli - powiedział cicho. - I prawie nic się nie czuje. Ale potem kręci się coraz szybciej i szybciej. O mało nie zszedłem za późno, ale hmm... - przyjrzał się sobie - jest dokładnie tak, jak chciałem. Zwróciłem sobie wszystkie te lata, które mi skradziono. Kiedy dzieci Vallaressów bawiły się tym wszystkim - wskazał ręką na konia na biegunach i żołnierzyki - ja i Morosina, stojąc w gołębach odchodach, musieliśmy szorować grzędy. Wyrwaliśmy chwasty, czyściliśmy omszałe twarze aniołów w ogrodzie, myliśmy podłogi, polerowaliśmy klamki, wstawaliśmy, nim ktokolwiek z państwa się zbudził, i kładliśmy się do łóżek, gdy wszyscy już dawno spali. Ale Vallaressów już nie ma, a ja i Morosina ciągle jesteśmy tutaj. A teraz okazało się, że zabawa tymi wszystkimi rzeczami nudzi mnie. Dziwne, prawda?

Zaśmiał się i przewrócił stopą lokomotywę.

- Więc ty tylko przybrałeś imię Conte - odezwał się Scipio. - Wcale nie jesteś Vallaresso.

- Nie, nie jest - odpowiedziała Morosina za brata. - Ale ty - pogardliwym wzrokiem zmierzyła Scipia od stóp do głów - ty pochodzisz z dobrej rodziny, prawda? Poznaję to po sposobie, w jaki mówisz, w jaki chodzisz. Pewnie jest też jakaś dziewczynka, niewiele starsza od ciebie, która podnosi twoje brudne spodnie, niedbale rzucone na podłogę, czyści twoje buty, ściele ci łóżko.

Ty przecież nie masz powodu wsiadać na karuzelę. Więc czego tu szukasz? Nie dostaniesz swoich pieniędzy, bo ich nie mamy!

Scipio spuścił głowę. Czubkiem buta rysował jakieś wzory na płytkach.

- Tak, to prawda, że ktoś po mnie sprząta - powiedział, nie podnosząc głowy. - I rano przygotowuje mi ubranie, które mam włożyć. Ale nienawidzę tego. Rodzice traktują mnie, jakbym był za głupi' żeby zapiąć sobie spodnie. Scipio, umyj ręce, gdy głaskałeś kota... Scipio, nie chodź po kałużach... Na Boga, nie bądź taki nieporadny... Nie wypowiadaj się na tematy, o których nie masz pojęcia... głupi, mały, nikomu niepotrzebny dzieciak. - Scipio spojrzał na Morosinę. - W szkole czytałem historię o Piotrusiu Panu, znasz ją? To taki głupek jak ty i twój brat. Staliście się znów dziećmi, żeby inni mogli was popychać i wyśmiewać! Tak, chcę przejechać się na karuzeli. Tylko po to zakradłem się na waszą wyspę. Ale ja chcę się kręcić w drugą stronę, w przeciwnym kierunku. Chcę być dorosły, dorosły, dorosły!

Scipio tak mocno tupnął nogą, że rozdeptał małego żołnierzyka.

- Przepraszam - mruknął i spojrzał na zniszczoną zabawkę, jakby zrobił coś strasznego.

Renzo schylił się i wrzucił kawałki w ogień. Potem spojrzał z namysłem na Scipia. W kominku trzaskało drewno, a iskry sypały się na kafelki i gasły pomiędzy rozrzuconymi zabawkami.

- Pokażę wam karuzelę - powiedział wreszcie. - I jeśli chcecie, możecie się na niej przejechać.

Prosper widział, że Scipio aż drży z niecierpliwości, gdy wysokim korytarzem podążali za Renzem. On sam nie potrafiłby określić, co czuje. Odkąd znaleźli się na wyspie, wszystko wydawało mu się dziwnie nierzeczywiste. Niby sen. I nie umiał powiedzieć, czy był to sen przyjemny, czy może koszmar.

Morosina nie poszła z nimi. Pozostała na górze, między kolumnami, a psy usiadły obok niej.

Renzo zaprowadził Prospera i Scipia do altanki za domem, gdzie z drewnianych filarów zwisały zmarznięte jesienne liście.

Tam znajdowało się przejście do labiryntu. Przed laty po tych poplątanych drózkach chadzali Vallaressowie. Teraz żywopłoty zdziczały i labirynt stał się prawie nie do przebycia. Renzo doskonale jednak znał drogę. Tylko raz zatrzymał się na chwilę, nasłuchując.

- Co jest? - spytał Scipio.

Zimne powietrze przyniosło odgłos bijącego dzwonu, gwałtowny i niecierpliwy.

- To dzwon przy bramie - powiedział Renzo. - Kto to może być? Barbarossa miał przyjść dopiero jutro.

Conte sprawiał wrażenie zaniepokojonego.

- Barbarossa? - Prosper spojrział na niego ze zdziwieniem.

Renzo przytaknął.

- Mówiłem wam przecież, że fałszywki to był jego pomysł. I to on je załatwił. Ale za takie rzeczy Rudobrody oczywiście żąda zapłaty. Jutro ma się zjawić po stare zabawki. Już od dawna miał na nie oko.

- A to kłamca! - mruknął Prosper. - Więc od samego początku wiedział, że dostaniemy tylko fałszywki.

- Nie przejmujcie się! On wyroluje każdego - powiedział Renzo, wciąż nasłuchując. Ale dzwon ucichł i słychać było tylko szczekanie psów. - Pewnie łódź jakichś turystów - mruknął. - Morosina zawsze, kiedy jest w mieście, opowiada o wyspie jakieś przerażające historie, ale dogi przepędzają nawet najbardziej ciekawskich.

Prosper i Scipio wymienili spojrzenia. Tak, obaj mogli to sobie doskonale wyobrazić.

- Od dawna robię z Rudobrodym interesy - ciągnął Renzo, przedzierając się przez dziki gąszcz. - To jedyny handlarz starociami, który nie zadaje zbyt wielu pytań. No i jedyny, którego ja i Morosina kiedykolwiek wpuściliśmy na wyspę. On oczywiście jest przekonany, że ma do czynienia z Contem Vallaresso, który tak zbiedniał, że wyprzedaje po trochu swój majątek. Ja i Morosina już od dawna żyjemy z tego, co oni pozostawili. Ale gdy jutro przyjdzie po zabawki, nikt mu nie otworzy. Conte zniknie raz na zawsze.

- Barbarossa zachowywał się tak, jakby nie miał pojęcia, co mamy dla ciebie ukraść - powiedział Scipio.

- Bo nic mu nie powiedziałem - oświadczył Renzo.

- A wie o karuzeli? - spytał Scipio.

Renzo zaśmiał się.

- Nie, uchowaj Boże! Rudobrody byłby ostatnią osobą, której bym ją pokazał. Z miejsca zacząłby sprzedawać na nią bilety, po milion lirów każdy. Nie, nigdy jej nie widział, bo na szczęście - odchylił kilka ciemnych gałęzi - jest bardzo, bardzo dobrze ukryta.

Przecisnął się między krzakami i zniknął. Scipio i Prosper usiłowali za nim nadążyć, chociaż ciernie boleśnie drapały im twarze.

I nagle znaleźli się na polanie otoczonej krzewami i drzewami] których gałęzie wydawały się ukrywać to, co stało między nimi na ośnieżonym mchu.

Karuzela wyglądała dokładnie tak, jak opisała ją Ida Spavento. No, może Prosper wyobrażał sobie, że jest bardziej okazała i kolorowa. Wiatr, deszcz i słone powietrze sprawiły, że farba wyblakła, ale nawet czas nie mógł odebrać wdzięku figurom. Były tam wszystkie: jednorożec, syrena, wodnik, konik morski i lew rozkładający obydwie skrzydła, jakby nigdy żadnego nie brakowało. Wisiały na drążkach pod drewnianym baldachimem i zdawały się płynąć w powietrzu. Wodnik trzymał w drewnianej dłoni trójząb, syrena spoglądała w dal bladozielonymi oczami, jak gdyby marzyła o wodzie i odległych morzach, a konik morski z rybim ogonem był tak piękny, że na jego widok można było zapomnieć o istnieniu prawdziwych koni.

- Tjssnsz tu była? - zapytał Scipio.

Niemal z nabożeństwem podszedł do karuzeli i pogłaskał lwa po rzeźbionej grzywie.

- Odkąd pamiętam - odparł Renzo. - Morosina i ja byliśmy jeszcze mali, gdy matka przybyła z nami na wyspę, bo Vallaressowie szukali pomocy kuchennej. Nikt nam nie powiedział o karuzeli, ale my i tak ją znaleźliśmy. Już wtedy stała tu, na końcu labiryntu, i czasem podkradałem się, żeby przyglądać się jeżdżącym na niej bogatym dzieciom. Razem z Morosina leżeliśmy w krzakach, marząc, by móc się na niej chociaż raz przejechać.

Ale kiedyś nas tam znalezione i zagoniono z powrotem do pracy.

Mijały lata, mijało nasze dzieciństwo, matka umarła, my robiliśmy się coraz starsi, Vallaressowie stracili majątek i opuścili wyspę, a Morosina i ja znaleźliśmy pracę w mieście. Pewnego dnia w barze usłyszałem historię o karuzeli sióstr miłosierdzia. Od razu wiedziałem, że chodzi o karuzelę na wyspie. Nagle zrozumiałem, dlaczego Vallaressowie otaczali ją taką tajemnicą. Nie mogłem przestać o niej myśleć, marzyłem o tym, by odnaleźć prawdziwe skrzydło lwa, znów obudzić czar karuzeli i przejechać się na niej.

]Vtorosina wyśmiewała mnie, ale ostatecznie wróciliśmy na wyspę razem. Karuzela wciąż była w labiryncie, więc rozpocząłem poszukiwania skrzydła. Nie pytajcie, ile lat trwało, zanim się dowiedziałem, gdzie ono jest.

Renzo wdrapał się na karuzelę i oparł o grzbiet jednorożca.

- Oplącało się - powiedział, głaszcząc drewnianą figurę. - Wy przynieśliście mi skrzydło, a wtedy Morosina i ja przejechaliśmy się na karuzeli.

- Wszystko jedno, na które zwierzę się wsiądzie? - Scipio wskoczył na grzbiet lwa.

- Nie. - Przez chwilę Renzo stał pochylony, jakby ciągle był starym człowiekiem. - Dla mnie odpowiednią figurą był lew, ale ty i twój przyjaciel musicie wybrać jedno z morskich stworzeń.

- Chodź, Prop! - krzyknął Scipio, machając do Prospera. - Wybierz sobie, na czym chcesz jechać. Co chcesz - konika morskiego, wodnika?

Prosper niepewnie zbliżył się do karuzeli. Z daleka doszło go skomlenie psów. Najwyraźniej Renzo również je usłyszał, bo ze zmarszczonym czołem podszedł do brzegu podestu.

- Wsiadajcie - powiedział do Scipia. - Ja chyba powinienem sprawdzić, co się dzieje z Morosina...

Scipio ześliznął się z grzbietu lwa i szybko wskoczył na konika morskiego.

- Prosper, na co czekasz? - krzyknął zniecierpliwiony, widząc, że Prosper wciąż jeszcze stoi przed podestem.

Ale Prosper nawet nie drgnął. Nie mógł. Po prostu nie mógł.

Oczami wyobraźni widział siebie, wysokiego i dorosłego. Widział, jak wkracza do hotelu Gabrielli Sandwirth, odpycha Esterę i wuja, a potem wychodzi, trzymając Bo za rękę. Ale mimo to nie mógł wsiąść na karuzelę.

- Zmieniłeś zdanie? - spytał Renzo, spoglądając na niego z ciekawością.

Prosper nie odpowiedział. Spojrzał na jednorożca, na wodnika o bladej twarzy i na skrzydlatego lwa.

- Jedź pierwszy, Scip - odezwał się wreszcie.

Cień rozczarowania pojawił się na twarzy Scipia.

- Jak wolisz - powiedział i odwrócił się do Renza. - Słyszałeś.

Włączaj.

- Poczekaj, nie spiesz się tak! - Renzo wyjął spod staromodnego płaszcza zawiniątko i rzucił! Scipiovi. - Jeśli nie chcesz rozerwać spodni, lepiej włóż na siebie coś z tych rzeczy. To moje stare ubranie albo, powiedzmy, stare rzeczy Contego.

Scipio niechętnie zsiadł z konika morskiego. Widząc go w dawnym ubraniu Renza, Prosper nie mógł powstrzymać uśmiechu.

- Nie śmieję się! - warknął Scipio i rzucił mu swoje rzeczy. Potem podwinął zbyt długie rękawy, nogawki i dopiero wtedy dosiadł konika morskiego. - Buty mi pospadają! - narzekał.

- Najważniejsze, żebyś ty sam nie spadł. - Renzo podszedł do Scipia i położył dłoń na grzbiecie konika morskiego. - Trzymaj się mocno. Popchnę raz i zaczniesz się kręcić, coraz szybciej i szybciej, dopóki nie zeskoczysz. Jeszcze możesz zrezygnować.

Scipio zapiął guziki za dużej na niego kurtki.

- Zeskoczyć, jeszcze czego - mruknął. Ale po chwili dodał: - Nie, żebym chciał, ale czy można to potem odwrócić?

Renzo wzruszył ramionami.

- Nie wiem, jeszcze nie próbowałem.

Scipio spojrzał na Prospera, który stał kilka kroków dalej w cieniu drzew.

- Prop, no chodź!

Patrzył tak błagalnym wzrokiem, że Prosper nie wiedział, gdzie ma podziąć oczy. Pokręcił jednak przecząco głową.

- No dobrze, sam chciałeś! - Scipio usiadł wyprostowany.

Długie rękawy kurtki całkiem zakryły mu dłonie. - No, to dalej jazda! - wykrzyknął. - I przysięgam, że nie zejdem, dopóki nie wyrosnie mi broda!

Renzo klepnął konika w zad. Karuzela ruszyła z delikatnym szarpnięciem; stare drewno jęczało i trzeszczało. Renzo stanął obok Prospera.

- Juhuuu! - krzyczał Scipio, przywierając do grzbietu konika z rybim ogonem.

Postacie kręciły się coraz szybciej i szybciej, jakby to sam czas wprawiał je w ruch niewidzialną ręką. Prosperowi zrobiło się niedobrze od samego patrzenia. Słyszał śmiech Scipia i nagle poczuł, jak przepelnia go przedziwne uczucie radości. Na widok wirujących figur ogarnęła go niezwykła lekkość, taka, jakiej już od dawna nie czuł.

Zamknął oczy i zdawało mu się, że sam zamienia się w skrzydlatego lwa. Rozkłada skrzydła i wznosi się w górę. Wysoko. Coraz wyżej.

Głos Renza ściągnął go z powrotem na ziemię.

- Zeskakuj! - usłyszał.

Przerażony otworzył oczy. Karuzela zwalniała. Pojawił się wodnik z trójzębem w dłoni, potem syrena i lew, całkiem wolno nadpływał jednorożec - i wreszcie konik morski. Karuzela zatrzymała się, ale grzbiet konika był pusty.

- Scipio! - krzyknął Prosper, obiegając karuzelę dookoła.

Renzo pobiegł za nim.

Po drugiej stronie było ciemniej. Rosły tam wysokie, wiecznie zielone drzewa, z długimi, rozłożystymi gałęziami, które niespokojnie kołysały się na wietrze. Coś poruszyło się w ich cieniu. Jakaś wysoka i szczupła postać podniosła się z ziemi. Prosper zatrzymał się zdumiony.

- Było blisko - powiedział obcy głos.

Prosper cofnął się bezwiednie.

- Nie patrz tak na mnie.

Nieznamy zaśmiał się nerwowo. No, niezupełnie nieznamy. Wyglądał jak młodsze wydanie ojca Scipia. Tylko śmiech był całkiem inny. Scipio wyciągnął ręce przed siebie - jakie były długie! - i gwałtownie objął nimi Prospera.

- To działa, Prop! - krzyknął. - Popatrz. Tylko popatrz! - puścił przyjaciela i sięgnął dłonią podbródka. - Broda! Niewiarygodne. Chcesz dotknąć?

Śmiejąc się, zatańczył w kółko, wyciągając ręce. Potem złapał protestującego Renza i podniósł go do góry.

- Silny jak Herkules! - krzyknął i postawił go z powrotem na ziemię. Potem raz jeszcze dotknął dłonią swojej twarzy, nosa brwi. - Gdybym tylko miał lustro! - powiedział. - Jak wyglądam, Prop? Inaczej?

Jak twój ojciec, chciał odpowiedzieć Prosper, ale ugryzł się w język.

- Dorośle - wyręczył go Renzo.

- Dorośle! - wyszeptał Scipio, przyglądając się swoim dłoniom. - Tak, jestem dorosły. Jak myślisz, Prop, jestem wyższy od mojego ojca? Chyba trochę tak? - Rozejrzał się, jakby czegoś szukał. - Musi tu być jakaś studnia albo staw, w którym mógłbym się przejrzeć.

- W domu jest lustro - odparł Renzo, uśmiechając się. - Chodźcie, i tak muszę już wracać. - Nagle zamarł bez ruchu. W krzakach rozległy się trzaski, jakby skradał się jakiś gruby zwierz.

- Dokąd mnie prowadzisz, mały potworze? - usłyszeli czyjś głos. - Jestem już naszpikowany cierniami jak kaktus.

- Droga prowadzi tamtędy. Już prawie jesteśmy! - usłyszeli odpowiedź Morosiny.

Renzo odwrócił się do Scipia i Prospera, na jego twarzy malowało się przerażenie. Chciał pobiec w stronę, z której dochodziły głosy, ale Scipio pociągnął go w stronę karuzeli.

- Schylcie się! - szepnął do Prospera i Renza, chowając się razem z nimi za podest.

- Pożaluje pan tego! - krzyczała z piskiem Morosina. - Nie ma pan prawa tu węszyć! Jak Conte się dowie...

- No tak, Conte! - sztychł głębowi głos, który wydawał się Prosperowi dziwnie znajomy. - Ale dziś go nie ma. Sam mnie o tym poinformował. Wiem, że jeste tu całkiem sama, i wcale mnie nie obchodzi, kim właściwie jeste. Jak myślisz, dlaczego Ernesto Barbarossa zjawia się właśnie dziś na tej przeklętej wyspie?

Renzo zacisnął pięści.

- Barbarossa! - wyszeptał.

Chciał wyskoczyć zza podestu, ale Scipio mocno go przytrzymał. Ostrożnie wyjrzeni ponad krawędzią.

- Myślisz, że na darmo przelazłem przez ten przeklęty mur? - wysapał Barbarossa. - Chcę się w końcu dowiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi. A jeśli mi się to nie uda, stanę się bardzo, ale to bardzo niemiły!

Raz jeszcze trzasnęły gałęzie, po czym na polanę wtoczył się Barbarossa, ciągnący Morosinę za włosy.

- Co to ma być, do diabła? - wrzasnął na widok karuzeli. - Masz mnie za idiotę? Szukam czegoś z brylantami, z wielkimi brylantami i perłami. Od razu wiedziałem, że mnie okłamujesz.

Ale teraz wracamy do domu i biada ci, jeśli nie pokażesz mi tego, czego szukam.

- Prosper! - wyszeptał Scipio tak cicho, że ledwie było go słyhać. - Jestem podobny do mojego ojca? No, powiedz.

Prosper zawahał się, ale skinął potakująco.

- Dobrze. Bardzo dobrze. - Scipio wygładził kurtkę, oblizując wargi jak kot, który szykuje się na polowanie. - Poczekajcie tu - szepnął. - Zaraz będzie bardzo, bardzo zabawnie.

Schylony minął Renza i Prospera, jeszcze raz się odwrócił, spojrział na nich - i wstał.

Rzeczywiście był o kilka centymetrów wyższy od swojego ojca.

Wysuwając podbródek, jak czynił to również dottor Massimo, Scipio ruszył w stronę Barbarossy.

Rudobrody, wciąż trzymając Morosinę za włosy, wpatrywał się w niego z otwartymi ustami.

- Dottore... dottor Massimo! - wyjąkał całkiem osłupiały. - Co pan... co pan tu robi?

- Właśnie chciałem o to samo zapytać pana, signor Barbarossa - odparł Scipio. Prosper zauważył, że doskonale naśladował protekcyjnalny ton swojego ojca. - I co, na miłość boską, robi pan z Contessą?

Przerażony Barbarossa wypuścił z dłoni warkoczyk Morosiny jakby go parzył.

- Contessą? Vallaresso?

- Naturalnie. Contessą bardzo często przyjeżdża do dziadka w odwiedzin, nieprawdaż, Morosino? - Scipio uśmiechnął się do niej. - Ale co pana sprowadza na wyspę? Interesy?

- Co? A, tak. Tak - potwierdził zbity z tropu Barbarossa. - Interesy. - Ciągłe jeszcze był zbyt zdziwiony, by zauważyć, że Morosina wpatruje się w Scipia z równym zaskoczeniem.

- Ach, tak. A mnie Conte zaprosił, żebym dokonał wyceny tej karuzeli. - Scipio odwrócił się tyłem do Barbarossy, łapiąc się za ucho, jak zazwyczaj robił to jego ojciec. - Miasto zastanawia się nad jej zakupem. Ale obawiam się, że jest w bardzo złym stanie.

Rozpoznaje ją pan, nieprawdaż?

- Czy rozpoznaje? - Barbarossa stanął obok niego osłupiały, szeroko otwierając oczy. - Oczywiście! Jednorożec, syrena, lew, wodnik. - Uderzył się dłonią w czoło, jakby chciał pobudzić swoje leniwe szare komórki. - I konik morski! Karuzela sióstr miłosierdzia! Niepojęte! - Zniżył głos i spojrzał porozumiewawczo na Scipia. - A opowieści? Te wszystkie historie, jakie o niej krążą?

Scipio wzruszył ramionami.

- Chce pan ją wypróbować? - zapytał z uśmiechem, który wcale nie przypominał uśmiechu dottor Massima. Ale Barbarossa tego nie zauważył.

- Wie pan, jak ją uruchomić? - zapytał i ostrożnie wszedł na podest.

- O, mam dwóch młodych pomocników - odparł Scipio. - Gdzieś się pochowali, pewnie znów migają się od pracy. - Machnął ręką w kierunku Renza i Prospera. - Hej, wy tam, wyłaście, signor Barbarossa chciałby się przejechać na karuzeli.

Na widok Prospera Barbarossa zmrużył oczy.

- A ten, co tu robi? - warknął, spoglądając na niego z góry. - Znam go. On pracuje dla...

- Teraz pracuję dla dottor Massima - przerwał mu Prosper, stając obok Scipia.

Morosina podbiegła do brata i szepnęła mu coś do ucha. Renzo pobladł.

- Rzucił psom zatrute mięso! - krzyknął i wskoczył na podest, ale Barbarossa po prostu go zepchnął.

- No i co? Przeżyją - odburknął lekceważąco. - Miałem dać się im pożreć? Już nieraz te bestie napędziły mi strachu.

- Biegnij i daj im korzeń wymiotnicy! - nakazał Renzo Morosinie, nie spuszczać wzroku z Rudobrodego. - Powinno go być jeszcze trochę w stajni.

Morosina zniknęła za krzakami, a Barbarossa spoglądał z karuzeli, bardzo zadowolony z siebie.

- Te potwory nie zasłużyły na nic lepszego, proszę mi wierzyć, dottore - zapewnił Scipia. - Czy to ma jakieś znaczenie, na którą figurę się wsiądzie?

- Wsiadaj na lwa, Rudobrody! - powiedział Renzo, patrząc na niego wrogo. - Tylko on zdoła wytrzymać twoją wagę.

Barbarossa zmierzył go pogardliwym spojrzeniem, ale pchany ciekawością podszedł do lwa. Gdy ładował na niego swoje wielkie cielsko, drewno jęczało, jakby lew budził się do życia.

- Bajecznie - stwierdził z zadowoleniem, spoglądając na nich z góry niczym król siedzący na swoim rumaku. - Jeśli o mnie chodzi, można zaczynać próbną jazdę.

Scipio skinął głową i położył Renzowi i Prosperowi ręce na ramionach.

- Wiecie, co macie zrobić. Zapewnijcie signorowi Barbarossie jazdę, na jaką zasługuje.

- Ale najpierw tylko jedna rundka! - Podekscytowany Barbarossa przesunął się jeszcze trochę do przodu i zapał stopami o drążek. - Nigdy nic nie wiadomo. Może w starych opowieściach jest jakieś ziarnko prawdy, a ja nie chciałbym zmienić się w takiego smarkacza jak ten tutaj - pogardliwie wskazał na Renza. - Ale kilka latek... - zaśmiał się i przejechał dłonią po łysinie - kto nie chciałby się ich pozbyć, nieprawdaż dottorel.

- Renzo, Prosper, dobrego kopa dla signora Barbarossy - nakazał Scipio.

Chłopcy podeszli do karuzeli. Renzo położył dłoń na plecach wodnika, Prosper oparł się o jednorozca.

- Trzymaj się mocno, Rudobrody! - krzyknął Renzo. - To będzie przejażdżka twojego życia!

Karuzela ruszyła z szarpnięciem. Wydawało się, że jednorozec wskakuje na plecy lwa. Przerażony Barbarossa chwycił za drążek.

- Hola, nie tak gwałtownie! - krzyknął, ale karuzela kręciła się coraz szybciej i szybciej.

- Stać! - wrzeszczał Barbarossa. - Stać! Niedobrze mi!

Figury jednak wciąż wirowały jak szalone. Jeszcze jedno okrążenie i jeszcze jedno.

- Przeklęte diabelstwo! - wrzeszczał Barbarossa, a Prosperowi wydawało się, że jego głos staje się coraz cieńszy.

- Skacz, Rudobrody! - krzyknął Renzo. - Skacz, jeśli się odważysz!

Ale Barbarossa nie skoczył. Krzyczał, klął, szarpał za drążek, kopał lwa, jakby chciał w ten sposób zatrzymać bieg karuzeli.

I nagle stało się.

Barbarossa, rozpaczliwie szukając oparcia dla stóp, zaparł się nogami o skrzydło. I nagle rozległ się trzask starego drewna, a zabrzmiało to tak przeraźliwie, jakby łamało się coś żywego.

- Nie! - krzyknął rozpaczliwie Renzo, ale było już za późno.

Skrzydło wyleciało w powietrze, walnęło wodnika w pierś i grzmotnęło o drewniany podest. Przez chwilę sunęło po nim, mocno uderzyło Prospera w rękę i zniknęło między krzakami.

Karuzela, kołysząc się, zrobiła ostatnie okrążenie, po czym figury z jękiem stanęły w miejscu. I już nie drgnęły.

- Madonna! - Prosper usłyszał drżący głos. - Co to było? Co za po trzykroć przeklęta, diabelska jazda!

Z grzbietu skrzydlatego lwa ześliznął się chłopiec. Ciężko sapiąc, na drżących nogach zatoczył się po podeście, potknął o nogawki spodni - i spojrział na swoje palce: krótkie, grube, z różowymi paznokietkami.

ZA DUŻO OKRĄŻEŃ

- Zepsuł ją! - krzyczał Renzo.

Wskoczył na karuzelę, popchnął odmienionego Barbarossę tak silnie, że malec o mało nie upadł, i pochylił się nad lwem. Skrzydło od Idy wciąż znajdowało się na swoim miejscu, ale z prawego został tylko kikut. Renzo z rozpaczą spojrział na Prospera i Scipia.

Potem, jakby dotarło do niego, kto jest odpowiedzialny za to nieszczęście, rzucił się na Barbarossę, wciąż z niedowierzaniem przypatrującego się swoim palcom.

- Ty przeklęty łajdaku! - wrzasnął i tak przyłożył Barbarossie pięścią w brzuch, że ten wpadł na konika morskiego. - Zakradasz się na moją wyspę, trujesz moje psy, grozisz mojej siostrze i psujesz to, czemu poświęciłem pół mojego życia!

- Nie chciała się zatrzymać! - krzyczał Barbarossa, osłaniając rękami głowę, ale Renzo na oślep okładał go pięściami. W końcu Prosper wskoczył na podest i odciągnął Renza jedną ręką.

Druga, uderzona skrzydłem, ciągle go bolała.

Renzo opuścił bezradnie pięści i patrzył na okaleczonego lwa.

Również Scipio stał jak zamurowany. Z wahaniem, jakby bał się tego, co tam znajdzie, podszedł do krzaków, w których zniknęło skrzydło, i wyłowił je spośród gałęzi.

- Każemy wyrzeźbić nowe skrzydło, Renzo! - powiedział.

Renzo podszedł do lwa i przytulił twarz do drewnianej grzywy.

- Nie - odparł. - Jak myślicie, dlaczego tak długo szukałem drugiego skrzydła? Podobno Conte Vallarosso kazał wyrzeźbić ponad trzydzieści skrzydeł, ale nadaremnie. Bez prawdziwego skrzydła to tylko zwyczajna karuzela.

- Bzdura, inne postacie są przecież na miejscu! - krzyknął Barbarossa. - Co macie takie miny?

Stał boso, bo buty i skarpetki pogubił w czasie dzikiej jazdy, a rękawy kurtki ciągnęły się za nim po ziemi. Barbarossa był teraz mniejszy od Bo.

Nie odpowiedzieli mu, więc zerwał kurtkę z pleców, zdjął za duże spodnie i podreptał w kierunku wodnika. A kiedy nie zdołał go osiągnąć, spróbował wspiąć się na konika morskiego. Figury jednak zrobiły się nagle ogromne, za wysokie dla małego, grubego chłopca, który i tak zawsze był dosyć nieporadny.

- Daruj sobie, Barbarossa - powiedział Prosper, przysiadając na krawędzi podestu. - Słyszałeś, co powiedział Renzo. Już nigdy nie będzie działać.

- Bzdura! - wrzasnął Barbarossa. - Natychmiast to uruchom!

Dottor Massimo! - Podbiegł do krawędzi podestu i zziębnięty przestępował z nogi na nogę. - Proszę, dottore! Niech pan zakończy tę błazenadę! Niech pan tylko na mnie spojrzy. Jestem poważnym człowiekiem, zna mnie każdy w mieście! Ludzie z całego świata odwiedzają mój sklep! Mam ich przyjmować w tej śmiesznej postaci?

Scipio wciąż patrzył na roztrzaskane skrzydło.

- Ach, daj mi spokój, Barbarossa - powiedział, nie podnosząc głowy. - Nic nie rozumiesz. Czego tu w ogóle szukałeś? Wszystko popsuleś.

- Ależ dottore! - krzyczał Barbarossa.

- Nie jestem dottor Massimo! - wrzasnął Scipio. - Jestem Królem Złodziei. - Znużony położył skrzydło na podeście. - Tylko teraz jestem dorosły. Ale w jakiś sposób zabiłeś we mnie radość. Cholera, muszę pomyśleć.

Barbarossa patrzył na Scipia tak jakby widział przed sobą samego diabła.

- Królem Złodziei? - powtórzył. - Król Złodziei jest szanowanym dottor Massimo? A niech mnie!

Groźnie zniżył głos, ale w przypadku pięciolatek na ogół nie robi to zbyt wielkiego wrażenia.

- Uruchom to! - powiedział, zaciskając pięści. - Już, natychmiast! Albo powiem policji, kim jesteście.

- O tak, koniecznie! - odparł Scipio. - Opowiedz im, że dottor Massimo jest Królem Złodziei. Szkoda tylko, że teraz jesteś takim smarkaczem i nikt ci nie uwierzy.

Barbarossie zabrakło słów. Stał bezradny, z zaciśniętymi pięściami, i patrzył na swoje gołe, zziębnięte stopy.

- Bezcelny łobuzie, masz jeszcze odwagę kogoś tu szantażować? - wtrącił się stojący za jego plecami Renzo. - Sprawdzę teraz, co z moimi psami. A jeśli wyrządziłeś im taką samą szkodę jak mojej karuzeli, to pożałujesz, że kiedykolwiek postawiłeś stopę na Isola Segreta. Zrozumiano?

- Ty... - Barbarossa odwrócił się do niego ze złością. - Ty masz czelność mi grozić? Ty brudny, mały...

- To ja jestem Conte! - ostro przerwał mu Renzo. - A ty zjawileś się nieproszony na mojej wyspie i od tej chwili jesteś tu więźniem.

Zeskoczył z karuzeli i spojrzał na Prospera i Scipia.

- Miejcie na niego oko. Muszę sprawdzić, co z Morosią i psami.

Prosper skinął głową. Wciąż trzymał się za rękę.

- Co z tobą? - spytał zaniepokojony Scipio, widząc jego wykrzywioną z bólu twarz.

Ale Prosper tylko wzruszył ramionami.

- Skrzydło mnie uderzyło, wszystko w porządku.

- Morosiną ją obejrzy - uspokoił go Renzo. - Zabierzcie Rudego do domu. - Po czym zniknął między krzakami.

Barbarossa spoglądał za nim ze złością.

- Co za niewyparzona gęba! - krzyknął. - On jest Conte. I co z tego? Nie znosiłem go już, kiedy był stary i pomarszczony. Jego wyspa. Też coś! Pojadę do domu i zatrudnię najlepszego stolarza w mieście. Już on naprawi tę piekielną karuzelę.

- Nigdzie nie pojedziesz - powiedział Scipio, stając przed nim w rozkroku. Mimo że Barbarossa stał na podeście, Scipio ciągle był od niego wyższy. - Czy twoi rodzice jeszcze żyją?

Barbarossa skulił ramiona z zimna.

- Nie. A o co chodzi?

Prosper i Scipio wymienili spojrzenia.

- No, to chyba proponujemy Renzowi, żeby go oddał do sierocińca sióstr miłosierdzia - powiedział Prosper.

- Co? - Barbarossa cofnął się oburzony. - Nie odważycie się!

Nie odważycie się!

Scipio wskoczył na podest i wyciągnął protestującego karzełka spomiędzy figur.

- Karuzela już nigdy nie będzie się kręcić, Rudzielcu - odrzekł. - I to twoja wina. Przede wszystkim dlatego nie możesz sam wrócić do miasta. Kto wie, jak jeszcze mógłbyś narozrabiać.

Słyszałeś, co powiedział Renzo: teraz jesteś więźniem. I szczerze mówiąc, nie chciałbym znaleźć się w twojej skórze, bo dałeś im dosyć powodów, żeby byli na ciebie nieźle wkurzeni.

Barbarossa szarpnął się, ale Scipio zarzucił go sobie na plecy jak worek i po prostu zaniósł do domu. Sami nigdy nie przeszliby przez labirynt, ale podążali śladami Renza. Chociaż Barbarossa kłął, pluł i okładał go pięściami, Scipio nie odezwał się ani słowem. Od czasu do czasu patrzył w niebo albo na korony drzew i przyglądał im się, jakby były tak samo nowe i niezwykle jak jego nagle dorosłe ciało. Wydawał się nie słyszeć wrzasków Barbarossy. Szedł jak ogłuszony, stawiając tak długie kroki, że Prosper ledwie mógł za nim nadążyć. Dopiero gdy znaleźli się przed domem, Scipio postawił przeklinającego Barbarossę na ziemi, po czym zwrócił się do Prospera:

- Wszystko jest mniejsze, Prop. Świat zrobił się nagle taki mały. Jakbym już do niego nie pasował.

Pochylił się nad Barbarossą.

- Z tobą jest całkiem odwrotnie, Rudzielcu, prawda? - ironizował. - Jak jest ci tam, na dole?

Barbarossą starał się go nie słuchać. Z ponurą miną spoglądał wokół jak zaszczute zwierzę, które szuka drogi ucieczki. Gdy Prosper ciągnął go w stronę schodów, bronił się rękami i nogami.

- Zostaw mnie! - wrzeszczał z twarzą siną od gniewu. - Ten chłopak... Conte, on mnie zabije! Musicie pozwolić mi uciec, w końcu jesteśmy starymi wspólnikami! Dam wam pieniądze, moja łódź czeka przy bramie, możecie powiedzieć, że wam uciekłem!

- Pieniądze? Już mamy pełną torbę fałszywek - odrzekł Prosper. - One też są od ciebie. To na chwilę odjęło Barbarossie mowę.

- Jakich fałszywek?! Nic nie wiem o żadnych fałszywkach - powiedział wreszcie, unikając wzroku Prospera i Scipia.

- Ależ doskonale wiesz - odparł Scipio, idąc po schodach.

Barbarossą szedł za nim z ponurym wyrazem twarzy. Nagle stanął jak wryty. Między kolumnami pojawił się Renzo.

- Ach! Widzicie, jaką ma wściekłą minę? - wyszeptał, łapiąc Prospera za rękę. - Musicie mnie przed nim ochronić.

W tej chwili za Renzem pojawiły się dogi. Miały mętne oczy, ale jakoś utrzymywały się na nogach. Między nimi stanęła Morosina, patrząc na Barbarossę z zaciśniętymi ustami.

- Twoje szczęście, ty trucicielu! - krzyknął Renzo, powoli schodząc po stopniach. - Tak, ciągle żyją - potwierdził, widząc ulgę we wzroku Barbarossy. - Morosina miała propozycję, żebyś stanął z nimi do wyścigu. Na przykład, kto pierwszy dobiegnie do twojej łodzi.

Barbarossą pobladł.

Renzo zatrzymał się dwa stopnie wyżej i spoglądał na Rudego z góry.

- Ale ja zaproponuję coś innego - oświadczył. - Oczywiście, musisz zapłacić za to, co narobiłeś, ale nie swoim życiem i nie tak, jak opłaciliśmy Króla Złodziei.

- A niby jak? - Barbarossą spojrział na niego ze złością.

- Przez ciebie ja i Morosina nie możemy odwrócić tego, co uczyniliśmy - powiedział Renzo. - Podobnie jak Król Złodziei i ty sam. Sprzedałem ci już niemal wszystkie wartościowe rzeczy, jakie były tu na wyspie, może tylko poza starymi zabawkami.

A Morosina i ja jesteśmy sami. Dlatego pozwolę ci odejść, jeśli oddasz mi za to wszystkie pieniądze, które masz w sklepie. I to nie w kasie, ale w sejfie.

Barbarossą cofnął się z takim oburzeniem, że niemal się przewrócił. Prosper zdążył go jeszcze złapać, ale tamten odepchnął jego rękę.

- Oszalałeś?! - wrzasnął. - A niby z czego mam żyć w najbliższym czasie? Nie dosięgam nawet do lady. To nie moja wina, że to spróchniałe skrzydło po prostu odpadło!

- Nie twoja wina? - Scipio usiadł z westchnieniem na zimnych schodach i z ironią popatrzył na Barbarossę. - Nie twoja wina, że zakradłeś się na wyspę z torbą pełną zatrutego mięsa i przyciągnąłeś Morosinę za włosy na polanę?

Barbarossą otworzył usta, ale Renzo nie dopuścił go do głosu.

- Razem pojedziemy do miasta - postanowił - a ty dasz mi pieniądze. Nie będę się na tobie mścił ani za karuzelę, ani za psy.

Moja siostra też zrezygnuje z zemsty. A wierz mi, że mamy sporo możliwości. Moglibyśmy na przykład zawiadomić karabinierów o osieroconym chłopcu, któremu wydaje się, że jest Ernestem Barbarossą, albo poprosić Scipia i Prospera, by podrzucili cię do sierocińca sióstr miłosierdzia. To wszystko zależy od ciebie. Możesz się wykupić.

Barbarossą przejechał dłonią po brodzie i ze złością uświadomił sobie swoją nagość i brak zarostu.

- To szantaż - warknął.

- Nazwij to, jak chcesz - odparł Renzo. - Na to, co zrobiłeś na mojej wyspie, istnieje wiele niecenzuralnych określeń.

Barbarossa spojrział na niego takim wzrokiem, że Prosper musiał się roześmiać.

- Na twoim miejscu przyjąłbym propozycję, Rudzielcu - powiedział. - Inaczej Morosina cię jeszcze gotowa oddać dogom na pożarcie.

Barbarossa bezsilnie zacisnął pięści.

- Dobrze, zgadzam się - powiedział, spoglądając w stronę psów, które ułożyły się na najwyższym stopniu. - Ale to jest szantaż i zawsze nim pozostanie.

KARA BARBAROSSY

Wczesnym popołudniem wrócili do Wenecji. Niebo pokrywały ciemne chmury i Prosperowi wydawało się, że już zapada zmrok.

Całkiem stracił poczucie czasu. Miał wrażenie, że minęło już kilka miesięcy od chwili, gdy ze Scipiem wyruszył na Isola Segreta. Czuł się jak podróżnik, który powraca z dalekich, obcych krajów. Gdy Scipio kierował łódź swego ojca w kierunku Canal Grandę, zaczęło padać. Deszcz zacinał zimnymi kroplami prosto w ich twarze, a pałace na brzegach wyglądały, jakby były skąpane we łzach.

- Jak długo mam jeszcze siedzieć w tej dziurze? - narzekał Barbarossa. Scipio zamknął go w kajucie, aby nie przyszły mu do głowy żadne głupstwa.

Renzo płynął za nimi w barce Barbarossy; na jej pokładzie Rudobrody miał prawdopodobnie zamiar wywieźć z wyspy swoje łupy, mimo że teraz gwałtownie temu zaprzeczał. Morosina została na Isola Segreta, by opiekować się psami. Widząc, jak bardzo są osłabione, Renzo z zasmuconą miną pożegnał się z nimi i wszedł do łodzi.

- Jak zamierzasz wrócić? - zapytał Scipio, gdy cumowali łodzi przy nabrzeżu.

- Och, pożyczę sobie na jakiś czas łódź signora Barbarossy - odparł Renzo. - Jest bardziej praktyczna niż moja żaglówka, a poza tym będę pewien, że nikt nie złoży mi w najbliższym czasie niezapowiedzianej wizyty.

Barbarossa wymamrotał pod nosem coś niezrozumiałego i z ponurą miną ruszył przodem. Scipio dał mu swoje dziecięce ubranie, ale nawet to było dla niego za duże. Buty ciągle zsuwały mu się ze stóp, a ludzie oglądali się i zaśmiewali, gdy usiłował patrzeć na nich z godnością.

Ale zaciekawione spojrzenia przyciągał również Scipio. Renzo dał mu swoją ciemną pelerynę, którą kiedyś nosił, i Scipio wyglądał w niej tak, jakby właśnie zszedł ze starego obrazu. Obok niego dreptał zakłopotany Prosper. Tęsknił już za znajomą twarzą Króla Złodziei. Nawet w masce wydawał mu się mniej obcy niż teraz. Od czasu do czasu Scipio uśmiechał się do niego, usiłując jakoś przełamać onieśmienie przyjaciela, ale nic to nie pomagało.

Deszcz lał coraz mocniej i kiedy wreszcie dotarli do ulicy, na której znajdował się sklep Barbarossy, nigdzie nie było żywej duszy. Antykwariusz z ponurą miną otworzył sklepik i włączył światło. Na zewnątrz wywiesił tabliczkę z napisem Chiuso i przezornie zamknął drzwi na klucz.

- Musicie zostawić mi jedną trzecią - jęczał, przechodząc do biura. - Przynajmniej! Inaczej z czego będę żył? Chcecie, żebym umarł z głodu?

Jako chłopcu łatwiej było mu przeciskać się po zapełnionym sklepie, ale pomimo nowej postury usiłował zachowywać się równie protekcyjnie i wyniośle jak dawniej. Wyglądało to tak osobliwie, że Scipio zaczął przedrzeźniać go za plecami.

- Co to za śmichy-chichy? - spytał Barbarossa, słysząc parsknięcia Prospera i Renza. Urażony, zniknął za koralikową zasłoną, oddzielającą wejście do biura. Pozostali trzej natychmiast podążyli za nim.

- A wy gdzie? - wrzasnął Barbarossa. - Dostaniecie pieniądze, ale nic was nie powinien obchodzić mój szyfr.

- Zamkniemy oczy - uspokoił go Prosper i postawił ki pod plakatem Gallerie dell' Accademia, wiszącym nad biurkiem Barbarossy.

- Szpiegowaliście! - sapał Barbarossa, wspinając się na stopy. - Ty i twój kumpel z językiem! Od kiedy wiecie, że sejf jest za plakatem?

Prosper wzruszył ramionami.

- Nie wiedzieliśmy na pewno - odparł. - Ale Riccio za tak obstawiał.

- Banda tchórzy! - warknął Barbarossa, ostrożnie zdejmował plakat ze ściany. - Obrabować biednego, małego chłopca, podłość ludzka nie ma granic. Ale jak już trochę podrosną...

- Do tego czasu minie wiele lat - przerwał mu niecierpliwie Renzo. - Otwieraj wreszcie! Muszę załatwić jeszcze weterynarza chyba pamiętasz, dlaczego... Kiedy się tak zastanowić, wywinie się właściwie bardzo tanim kosztem.

Barbarossa zapatrzył się na sejf.

- Zapomniałem kombinację! - oświadczył wreszcie, ale Renzo rzucił mu takie spojrzenie, że natychmiast odzyskał pamięć.

- To wszystko? - spytał z niedowierzaniem Renzo, gdy Barbarossa podał mu dwa pliki banknotów. - Z tego powodu taszczysz? Nie starczy nawet na weterynarza.

Bez słowa odwrócił się i zniknął we wnętrzu sklepu.

- Co on zamierza? - Barbarossa zeskoczył z krzesła i pot za nim. - Dostałeś już swoje pieniądze. Niczego nie ruszaj, zumiałość?

Renzo stał na środku sklepu pod kolorową lampą, rozglądając się wokół.

- Co byście stąd wzięli? - zapytał. - Co wynagrodzi mi trzaskane lwie skrzydło?

Scipio otworzył szklaną gablotkę.

- Co powiesz na to? - spytał, podając Renzowi szczypce cukru, które wykradł z domu swojego ojca.

Oburzony Barbarossa z trudem chwycił powietrze.

- Zapłaciłem ci za to, Królu Złodziei! - krzyczał dziecięcym głosem. - Spytaj swojego pośrednika. Zapłaciłem aż nadto.

Wzburzony Scipio ruszył w stronę Barbarossy, który teraz ledwie sięgał mu do pasa.

- Cena, jakiej żądasz za te szczypce, jest niemal dziesięciokrotnie wyższa niż suma, którą zapłaciłeś Prosperowi. Długo graliśmy według twoich reguł, Rudy, ale teraz ty zaczniesz grać według naszych.

- Na pewno nie! - Barbarossa ujął się pod boki, ale Scipio po prostu odwrócił się do niego plecami i zaczął oglądać znajdujące się w gablotach przedmioty.

Renzo tymczasem wepchnął obydwie pliki banknotów pod kurtkę, szczypce do cukru włożył do kieszeni spodni i ruszył do wyjścia.

- Życzę ci szczęścia, Królu Złodziei - powiedział i otworzył drzwi. Wiatr uderzył go deszczem w twarz. - Gdybyś chciał nas jeszcze kiedyś odwiedzić, daj znać dzwonem przy bramie. Jeśli będę w domu, otworzę ci.

- A ja, przechodząc obok Bazyliki Świętego Marka, zawsze będę myślał o Contem - odrzekł Scipio.

Renzo skinął głową.

- Barbarossa! - odezwał się jeszcze z pogroźką w głosie. - Na przyszłość omijaj Isola Segreta szerokim łukiem. Nasze psy długo nie zapomną twojego zapachu.

Barbarossa spojrział na niego ponuro.

- No i co? Te bestie nie będą żyły wiecznie - mruknął, ale Renzo wyszedł już na ulicę.

Deszcz tak mocno tłukł o parapety i dachy, jakby niebo złożyło morzu obietnicę, że zatopi miasto. Scipio podszedł do okna i patrzył za Contem, aż ten zniknął pomiędzy domami.

- Prosper, ty pewnie wrócisz teraz do domu Idy Spavento.

Odprowadzę cię, dobrze?

- Pewnie. Możesz spać z nami w pokoju, przynajmniej tej nocy - zaproponował Prosper, ale Scipio pokręcił przecząco głową.

- Nie, dzięki - powiedział, patrząc w okno. - Dziś w nocy muszę być sam. Mam jeszcze trochę pieniędzy, wynajmę pokój w hotelu, taki z wielkim lustrem, żebym mógł przyzwyczaić się do mojej nowej twarzy. Może Mosca da mi część fałszywych pieniędzy, tak na wszelki wypadek. W którym hotelu mieszka twoja ciotka?

- W Sandwirth - odpowiedział Prosper, zastanawiając się, czy nie powinien tam natychmiast pójść.

- Chodźmy najpierw do domu Idy. Tamci pewnie już się zamartwiają, co się z tobą dzieje - rzekł Scipio, jakby czytając w jego myślach.

- A co ze mną? - Barbarossa wepchnął się między nich.

Całkiem o nim zapomnieli. Pośród tych wszystkich kosztownych i bezcennych naczyń, które uzbierał, wyglądał jeszcze dziecinniej. Lada sięgała mu ledwie do ramion.

- Możecie przenocować u mnie - zaproponował. - Mam bardzo, bardzo duże mieszkanie, i w dodatku tu blisko, nad sklepem.

- Nie, dzięki - odparł Scipio, okrywając się szczelniej peleryną. - Chodź, Prosper, idziemy.

- Chwileczkę, zaczekajcie! - Barbarossa przecisnął się między nimi i zagroził im drogę. - Idę z wami! - oświadczył. - Nie zostanę tu, nie ma mowy. Z pewnością jutro wszystko będzie wyglądać inaczej, ale dziś...

Pełen niepokoju wyrzwał przez mokrą od deszczu szybę.

- Niedługo zrobi się ciemno, to znaczy już jest okropnie ciemno, deszcz pewnie zmyje to miasto, a ja nie dosięgnę nawet do lodówki czy ekspresu do kawy. Basta! - Odepchnął dłoń Scipia, sięgającą do klamki. - Tylko do jutra, jak już mówiłem...

Prosper i Scipio spojrzeli na siebie. Wreszcie Prosper wzruszył ramionami.

- Może spać w łóżku Bo - stwierdził. - Jeśli to tylko na jedną noc, Ida nie będzie chyba miała nic przeciwko temu.

Na twarzy Barbarossy, równie okrągłej jak wcześniej, teraz jednak całkowicie pozbawionej zarostu, rozlał się uśmiech ulgi.

- Zaraz wracam! - krzyknął i pobiegł po ogromny parasol.

Wszyscy trzej, skrywając się pod nim, wyruszyli w długą drogę na Campo Santa Margherita.

Dwa dni później straż morską zauważyła zacumowaną łódź której kradzież zgłosił dottor Massimo. Jednak po jego synu słuch zaginął.

NIEZNAJOMI GOŚCIE

Scipio miał rację. Wszyscy okropnie martwili się o Prospera.

Doskonale pamiętali, jak bardzo był zrozpaczony, i to, że nawet Osa nie umiała go pocieszyć. Ukrywali swój niepokój przed Bo tak długo, jak tylko się dało, a Caterina robiła, co mogła, aby przekonać go, żeby został z Łucją i kotkami. Reszta miała ruszyć na poszukiwania. Ale Bo kręcił głową i uczepiwszy się Wiktora, uparł się, by iść razem ze wszystkimi.

Najpierw raz jeszcze sprawdzili w hotelu Sandwirth, potem na policji, w szpitalach i sierocińcach. Giaco pływał łodzią po kanałach i pokazywał gondolierom zdjęcie Prospera. Mosca i Riccio pytali o niego w vaporetti. Wreszcie lunął deszcz i niebo zrobiło się czarne. Wydawało się, że słońce opuściło Wenecję i ruszyło na poszukiwanie jakiegoś bardziej suchego miejsca. Po Prosperze wszelki ślad zaginął. Ida i Osa, nie wiedząc już, gdzie jeszcze mogłyby szukać, wróciły do domu. Na Campo Santa Margherita spotkały Wiktora ze śpiącym, przemokniętym do suchej nitki Bo na plecach. Idzie wystarczyło jedno spojrzenie, by wiedzieć, że Wiktor miał równie mało szczęścia.

- Gdzie może się podziewać ten chłopak? - westchnęła, otwierając drzwi do domu. - Łucja poszła jeszcze raz do starego kina, pewnie zaraz wróci.

Zmęczona Osa oparła głowę na ramieniu Idy.

- Może załapał się na jakiś statek - wymamrotała - i jest już bardzo daleko...

Ale Wiktor pokręcił głową.

- Jakoś nie chce mi się w to wierzyć - odparł. - Teraz położę Bo, zjem coś, wypiję kieliszek wina i wpadnę do dottor Massima.

Może Scipio wie coś o Prosperze? Już parę razy usiłowałem się tam dodzwonić, ale nikt nie odbierał.

Ida otworzyła drzwi.

- Tak, warto to sprawdzić - powiedziała i zastygła w bezruchu.

- Co jest? - spytał Wiktor. W tej chwili i on coś usłyszał.

Z kuchni dochodziły czyjeś głosy.

- Giaco? - zapytał Wiktor, ale Ida pokręciła głową.

- Popłynął na Mur ano.

- Mogę pójść na zwiady - szepnęła Osa.

- Nie, ja się tym zajmę! - rzekł cicho Wiktor i ostrożnie położył Bo w fotelu obok drzwi. - Zostańcie tu, a ja sprawdzę, co to za goście. Gdyby coś się działo - dodał, wręczając Idzie swój telefon komórkowy - dzwoń na policję.

Ida przekazała jednak telefon Osie.

- Idę z tobą - szepnęła. - To w końcu moja kuchnia.

Wiktor westchnął, ale nie zaprotestował. Osa z niepokojem patrzyła, jak skradają się ciemnym korytarzem.

Drzwi do kuchni stały otworem. Przy wielkim stole, na którym Łucja zwykle wałkowała ciasto na makaron, siedzieli dwaj chłopcy i dorosły mężczyzna, który, ku zdziwieniu Wiktora, wyglądał jak młodsza wersja szpakowatego dottor Massima. Jeden z chłopców miał rude loki i był jeszcze młodszy niż Bo. Zamierzał właśnie sięgnąć po opróżnioną już do połowy butelkę porto, stojącą na środku stołu, jednak drugi z chłopców, siedzący plecami do drzwi, odebrał mu ją.

Ida, ujrawszy profil jego twarzy, westchnęła tak głośno, że odwrócił się przerażony.

- Do diabła, Prosper! Wiesz, jak długo już cię szukamy?

- Cześć, Wiktor! - Prosper zsunął się z krzesła. Lewą rękę miał na temblaku.

Pozostali dwaj gwałtownie, jak gdyby ktoś przyłapał ich na gorącym uczynku, odstawili kieliszki. Młody mężczyzna usiłował nawet schować swój pod stół, ale zrobił to tak nieporadnie, że wylał sobie wino na spódnie.

- Jak tu weszliście? - zapytała Ida, nie spuszczać wzroku z twarzy Prospera.

- Łucja powiedziała mi, gdzie trzyma zapasowy klucz. - Był wyraźnie zażenowany.

- Ach tak, więc ty sprowadzasz sobie do Idy całą zgraję koleżków? - Wiktor rzucił młodemu mężczyźnie wrogie spojrzenie. - Założę się, że nazywa się pan Massimo - warknął.
- A co to za dzieciak? Czy w tym domu jest ich jeszcze za mało?

Mały rudzielec gwałtownie się wyprostował, zmierzył wzrokiem Wiktora od czubka głowy do znoszonych butów i odezwał się bojowym tonem:

- Dzieciak? Nazywam się Ernesto Barbarossa i jestem bardzo ważnym człowiekiem w Wenecji, ale kim, do cholery, jest pan, jeśli wolno zapytać?!

Zaskoczony Wiktor otworzył usta, ale zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, młody mężczyzna usadził malca na krześle.

- Siedz cicho, Barbarino - powiedział. - Jak się będziesz źle zachowywać, wystawimy cię za drzwi. To jest Wiktor, nasz przyjaciel. A obok niego stoi Ida Spavento, właścicielka tego domu.

A ty najwyraźniej wypileś zbyt wiele jej porto.

Wiktor z Idą wymienili zdziwione spojrzenia.

- Przykro mi, że przyprowadziliśmy tu jeszcze Rudzielca - wyjąkał Prosper. - I że wypił to całe porto, ale za nic nie chciał zostać w swoim sklepie. Ale to tylko na jedną noc...

- W swoim sklepie? - spytał Wiktor. - Do pioruna, Prosper, może wyjaśnisz wreszcie, o co w tym wszystkim chodzi?

- Daliśmy sobie słowo honoru, że nie będziemy o tym rozmawiać - mruknął Prosper, szarpiąc brudną chustkę podtrzymującą jego rękę.

- Właśnie. Naprawdę nam przykro, Wiktorze - powiedział młody mężczyzna.

Wiktor nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek widział u dorosłego człowieka taki bezczelny uśmiech.

- Ale może spróbujesz zgadnąć, kto przed tobą stoi? Z moim nazwiskiem to był całkiem dobry strzał.

Wiktor nie zdążył jednak odpowiedzieć, bo w tej samej chwili ktoś pociągnął go za rękaw. Gdy się obrócił, zobaczył Osę.

- Co się tu dzieje? - zapytała, usiłując zajrzeć do kuchni.

Spostrzegłszy Prospera, przemknęła między Idą i Wiktorem i nie zwracając uwagi ani na rudego dzieciaka, ani na opierającego się o stół nieznanego mężczyznę, doskoczyła do przyjaciela.

- Gdzie byłeś?! - krzyknęła. W jej głosie słychać było zarówno gniew, jak i ulgę. - Gdzie byłeś, do licha! Wiesz, jak się o ciebie martwiliśmy? Tak zniknąć w środku nocy... - W jej oczach zalśniły łzy.

Prosper otworzył usta, aby coś odpowiedzieć, ale Osa nie dała mu dojść do słowa.

- Szukaliśmy cię po całym mieście! Mosca i Riccio do tej pory jeszcze nie wrócili! - krzyczała. - Łucja i Giaco też! A Bo tylko wyplakał sobie oczy! Nawet Wiktor nie mógł go pocieszyć.

- Jak to: Bo? - Prosper unikał dotychczas wzroku Osy, ale teraz z niedowierzaniem spojrzał jej prosto w oczy. - Przecież Bo...

- wyjąkał - jest u Estery...

- A właśnie, że nie! - krzyknęła Osa. - Ale skąd możesz o tym wiedzieć, skoro po prostu uciekłeś? I co ci się stało w rękę?

Prosper nie odpowiedział, tylko popatrzył na Wiktora.

- Nie patrz tak. Twój braciszek zwyczajnie zwiął Esterze - potwierdził Wiktor. - A przedtem tak dał się jej we znaki, że twoja ciotka nie uważa go już za aniołka. I nie chce już nigdy więcej go oglądać. Nigdy więcej - tak, to są jej własne słowa - ani jego, ani ciebie.

Gdybyście się jeszcze kiedyś pokazali, mam dla was znaleźć piękny włoski sierociniec. Ale ona nie chce mieć już z wami nic do czynienia.

Prosper pokręcił głową.

- Niewiarygodne!

- Znalazłem twojego brata w kinie - wyjaśnił Wiktor. - Myślałem, że jak tu wrócę, z radości rzucisz mi się na szyję. Ale ciebie nie było.

Prosper jeszcze raz pokręcił głową, jakby nie mógł pojąć tego wszystkiego, co Wiktor do niego mówi.

- Słyszałeś, Scip? - wymamrotał.

- No, to mamy powód do świętowania - powiedział młody signor Massimo, obejmując Prospera. - Może powinniśmy wydać trochę naszych fałszywych pieniędzy?

- Prosper, kto to jest, do diabła? - warknął Wiktor.

- Scipio oczywiście - odparł Prosper. - Ale teraz powiedz mi, proszę, gdzie jest Bo?

Wiktorowi odjęło mowę. Otworzył usta, lecz zaraz je zamknął, nie mogąc wykrztusić ani słowa. Ida ujęła Prospera za rękę.

- Chodź - rzekła i poprowadziła go korytarzem.

Bo wciąż spał w fotelu przy drzwiach. Zwinął się w kłębek, jak jedno z jego kociąt, wtulając się w koc, którym przykryła go Osa.

Miał mokre od deszczu włosy, a oczy zapuchnięte od płaczu. Prosper pochylił się nad nim i podciągnął mu koc do samego nosa.

- Tak, mały Bo wziął sprawy w swoje ręce - powiedziała cicho Ida. - Podczas gdy jego brat wybrał się na Isola Segreta.

- Nie wolno mi o tym mówić. To jest czyjaś tajemnica. I...

- ...tajemnicą zostanie - dokończyła za niego Ida. Przysiadła na poręczu fotela. - Jak widzę, moje skrzydło wróciło na właściwe miejsce - powiedziała. - Twój brat ucieszy się, że nie przejechałeś się na rzeczy, o której nie wolno nam mówić.

- Tak, też tak myślę. - Prosper wyprostował się. - Co on nawyprowadził u Estery?

- No cóż, wyrzucili ich z hotelu - wyjaśniła Ida. - Mówili coś o jakimś makaronie i sosie pomidorowym...

Prosper musiał się uśmiechnąć.

- Była tak piękna, jak mówiłaś - powiedział nagle. - Ale teraz jest zepsuta. Przez Barbarossę. I wydaje mi się, że już nigdy, nigdy nie będzie działać.

Ida milczała. Zamyślona schyliła się nad śpiącym Bo i odgarnęła mu kosmyk z czoła.

- Chyba powinieneś obudzić swojego braciszka - rzekła. - A potem obejrzyć twoją rękę.

- Nie jest tak źle - zapewnił Prosper. - Ale może znasz jakiegoś weterynarza, który odważyłby się popłynąć na Isola Segreta do dwóch dogów?

- Oczywiście - odpowiedziała Ida, wychodząc do kuchni.

A Prosper obudził Bo.

ZWARIOWANY POMYSŁ

Tego wieczora Osa nakryła do stołu na dziesięć osób. Kiedy Ida oświadczyła Łucji, że mały rudzielec i nieznajomy młody mężczyzna również zostaną na kolacji, gospodyni pokręciła tylko głową, mamrocząc, że niedługo pewnie zjedzą samą signorę Spavento.

Ale potem zniknęła w kuchni i zabrała się do gotowania ogromnych ilości makaronu. Gdy wносиła parujące półmiski, wszyscy siedzieli już przy stole. Brakowało tylko Idy i Barbarossy.

Prosper zauważył, że Osa, Riccio i Mosca z zakłopotaniem spoglądają na Scipia, który z wyciągniętymi, długimi nogami siedział u szczytu stołu. Od czasu do czasu Król Złodziei przesuwał dłonią po włosach, zupełnie tak, jak zwykł to robić wcześniej.

Nawet brwi unosił w ten sam sposób, ale mimo wszystko był im obcy, nawet Prosperowi. I wydawało się, że on też to czuje, szczególnie gdy odpowiadał uśmiechem na niepewne spojrzenia swych przyjaciół.

- A więc, signor Massimo, kiedy masz zamiar pojawić się u swoich rodziców? - zapytał Wiktor, gdy Łucja z ciężkim westchnieniem usiadła przy stole. - Jeszcze dziś?

- A czy w ogóle powinienem? - zapytał Scipio, bawiąc się widelcem. - Nikt tam za mną nie tęskni. Zakradnę się do domu najwyżej po to, by sprawdzić, co się dzieje z moim kotem.

- Ale nie możesz przecież pozostawić swych rodziców w niepewności - tłumaczył Wiktor, nakładając sobie na talerz ogromną porcję makaronu. Starał się nie zauważać wymownego spojrzenia Łucji. - Nie chodzi o to, co czujesz do swojego ojca, ale przecież on będzie do końca życia myślał, że wpadłeś do kanału albo że porwali cię pedofile. Z pewnością się niepokoi.

Scipio zastukał widelcem w blat stołu, nie mówiąc ani słowa.

- Ale on wcale nie chce tam iść! - poparł przyjaciela Bo. - Poza tym on teraz jest dorosły.

Scipio posłał mu uśmiech.

- Dorosły! - prychnął Wiktor. - I co z tego?

Chciał właśnie poinformować wszystkich, co myśli o dorosłości Scipia, gdy otworzyły się drzwi i weszła Ida. Prowadziła za rękę Barbarossę, który czując na sobie ich spojrzenia, ponuro wbił wzrok w sufit.

- Od tej chwili wasz przyjaciel nie może się samodzielnie poruszać po moim domu - oświadczyła gniewnie Ida. - Węszy po mojej ciemni, przewraca wszystko w szufladach i wyżera mi czekoladki!

Barbarossa zrobił się czerwony jak pomidor.

- Byłem głodny! - krzyknął. - Kupię pani lepsze, jak tylko dostanę się do moich pieniędzy. Ile razy mam powtarzać, że mój portfel leży na tej przeklętej wyspie! Kiedy jutro otworzą banki i podejmę pieniądze, zwrócę pani za czekoladki i wreszcie przyzwolicie się ubiorę. To skandal, żeby ktoś taki jak ja musiał biegać w tych... - marszcząc nos, ujął dwoma palcami sweter pożyczony od Bo - idiotycznych ubraniach.

- No, to pięknie. - Ida popchnęła go w kierunku jedyne wolnego krzesła, między Ricciem a Bo, sama zaś przysunęła sobie stół obok Wiktora.

- Słyszałam, że błagałeś Scipia i Prospera, żeby cię tu zabrali ze sobą? - odezwała się Osa. - Więc zachowuj się teraz grzecznie, dobra?

- Ten karzełek kradnie nie tylko czekoladki - oznajmiła Łucja. - Przyłapałam go z naszymi ostatnimi srebrnymi łyżkami.

I chował pod kurtkę aparat fotograficzny.

Riccio zachichotał, a Wiktor zauważył przy tym pełne podziwu spojrzenie, jakim chłopiec obdarzył Barbarossę. W tej chwili Bo wstał od stołu i usiadł ze swym talerzem na dywanie.

- Nie będę koło niego siedział - oświadczył. - Jeszcze ukradnie mi mój makaron. - I rzucił w Rudzielca oliwką, za co Osa skarciła go lekkim klapssem.

- Spokój! - krzyknął Wiktor. - Co tu się dzieje? Nie dajcie się zwariować temu szczeniakowi.

Łucja z westchnieniem wstała od stołu.

- Signora, idę do domu - powiedziała, składając serwetkę. - Jeśli już musi tutaj nocować, może powinna go pani zamknąć w schowku na szczotki.

- Jeśli jeszcze raz zrobisz coś takiego, Barbarino - zagroził mu Scipio, gdy za Łucją zamknęły się drzwi - wrócisz spać pod swoją ladę. Tam na pewno ci będzie dobrze. Za oknem ciemne ulice, deszcz wali o szyby, a nasz malutki rudzielec leży sam jak palec i przez całą noc szczeka zębami ze strachu.

Barbarossa zacisnął usta i wlepił wzrok w talerz. Osa, Mosca, Riccio, Prosper - nikt nie patrzył na niego przyjaźnie. Ida tymczasem szeptała o czymś z Wiktorem.

- Może powinniśmy dać o tobie ogłoszenie, Barbarino. - Scipio rozparł się na krześle i rozłożył długie ręce. - „Niežnośny bachor, cztery, może pięć lat, szuka matki”. A może raczej

wolałbyś załatwić to na własną rękę? Myślę, że Ida jako matka zastępcza nie wchodzi w rachubę.

- Z całą pewnością nie - powiedziała Ida, zjadając oliwkę. - Ale tak ważnemu człowiekowi mogłabym chyba załatwić łóżko u sióstr miłosierdzia.

- Nie, dziękuję! - Barbarossa zmarszczył nos. - Obejdzie się.

A jeśli rzeczywiście będę szukał matki zastępczej, to mój wybór na pewno nie padnie na kobietę, która rozdaje sierotom srebrną zastawę i biega rozczochrana.

Ida aż sapnęła z oburzenia.

- Wydaje się, że dokładnie wiesz, czego ci potrzeba - warknął Wiktor. - A przy tym nie sięgasz nawet brodą do lady. Nic się nie bój, zakonnice w sierocińcu są nienagannie uczesane.

Riccio zachichotał, ale Barbarossa tak silnie kopnął go w nogę, że aż łzy stanęły mu w oczach.

- Poradzę sobie - odrzekł Rudobrody. - W banku mam aż nadto pieniędzy.

- Ach tak? - Ida i Wiktor wymienili rozbawione spojrzenia. - I wydaje ci się, że bank wypłaci pieniądze Ernesta Barbarossy jakiemuś pięciolatkowi?

Barbarosa z ponurą miną nalał sobie kieliszek wina.

- Jak znów będę dorosły - wymamrotał, rzucając w stronę Prospera i Scipia groźne spojrzenie - to zemszczę się na każdym, kto nie powstrzymał mnie przed przejażdżką na tej po trzykroć przeklętej karuzeli. Zamierzam...

- Zamknij się, Barbarino! - uciął Prosper. - Tak jak i my dałeś słowo, że nie będziesz mówił o całej sprawie. Poza tym znam dwa psy, które tylko czekają, żeby cię ujrzeć ponownie na wyspie...

- Daj spokój, Prop - wtrącił Scipio, swobodnie zakładając nogę na nogę. - I tak nikogo nie interesuje, co ten smarkacz ma do powiedzenia. Nikt nie będzie go słuchał.

Pozostali unieśli głowy. Przez kilka chwil milczeli, jakby mając nadzieję, że usłyszą coś o tajemniczych przygodach, które chłopcy razem przeżyli, ale ci tylko spoglądali na siebie bez słowa.

- Tak, Barbarino - powiedział Riccio, poklepując go po ramieniu. - Witamy w świecie krasnali.

- Precz z łapami! - warknął Barbarossa. - Co ty sobie myślisz?! Nie spoufalaj się, ty kleszczu! A ty? - Spojrzał na Bo, który wciąż leżał na dywanie. - Co się tak gapisz na mnie tymi psimi oczami?

Chłopiec nie odpowiedział. Leżał na brzuchu, z brodą opartą na rękach, i patrzył na Barbarosę jak na rzadkie zwierzę, które wylazło z kanału i dostało się do domu Idy.

- Esterze by się to podobało, prawda, Prop? - spytał Bo.

Mówi jeszcze ładniej niż Scipio, a jest mniejszy niż ja. Tylko pewnie nie mogłaby znieść, jak przeklina.

- Mniejszy? Wcale nie jestem mniejszy, ty dywanowa gnido! - wyszczał Barbarossa. - Nas dzielą całe światy, rozumiesz? Jestem wykształcony, studiowałem, a ty nie chodzisz nawet do przed szkołą!!!

Znudzony Bo przewrócił się na plecy.

- I nie paprze przy jedzeniu - dodał. - To by się Esterze chyba najbardziej podobało, no nie, Prop?

Prosper opuścił widelec i zmierzył Barbarosę wzrokiem.

- Zgadza się - potwierdził. - Ani jednej, jedniusińskiej plamki. To by ją powaliło. I patrz, jak starannie uczesał sobie włoski.

A może to twoja zasługa, Ido?

Ida potrząsnęła głową.

- Słyszałeś przecież, że nawet ja sama jestem rozczochrana.

A może to ty, Wiktorze? Uczesałeś Rudzielcowi włosy?

- Jestem niewinny - burknął Wiktor.

- Co to za Estera, o której gadają te półgłówki? - Barbarossa zwrócił się do Riccia.

- Ciotka Prospera i Bo - odpowiedział Riccio z pełnymi ustami. - Zamierzała wziąć Bo do siebie, ale teraz nie chce nawet o nim słyszeć.

- Bardzo mądra kobieta. - Barbarossa pogładził się dłonią po gęstych lokach, których wspaniałość rekompensowała mu brak rudej brody.

Scipio obrzucił go zamyślnym spojrzeniem.

- Wiecie co, chyba mam zwariowany pomysł - powiedział wolno. - Jest jeszcze trochę niesprecyzowany, ale na pewno genialny...

- Genialny? - Barbarossa znów sięgnął po wino, ale Wiktor odebrał mu butelkę i postawił ją obok swojego talerza.

Barbarossa popatrzył na niego ze złością.

- Wiesz co, Królu Złodziei - warknął do Scipia - ty nie masz żadnych genialnych pomysłów. Jesteś tylko nędzną kopią swojego ojca.

Scipio zerwał się z krzesła, jakby go coś ugryzło.

- Powtórz to, ty mały krecie!

Tylko wspólnymi siłami udało się Osie i Prosperowi powstrzymać Króla Złodziei, by nie rzucił się na Barbarossę.

- Nie daj się sprowokować temu małemu szczurowi, Scip! - szepnęła Osa. Tymczasem Barbarossa z zadowoleniem oglądał swoje różowe paznokcie.

Scipio opadł na krzesło.

- Już dobrze - powiedział, nie spuszczać oczu z Rudego. - Opanuję się. I wyślę kiedyś signorowi Barbarossie pocztówkę do sierocińca, gdzie z pewnością wyląduje, jeśli wcześniej nie zdechnie z głodu w swoim sklepie. To właśnie stanie się z bidulkiem, ale mnie jest odtąd wszystko jedno. Nie poświęcę mu więcej ani jednej myśli, a już z pewnością żadnej genialnej.

Podniósł się ze znudzoną miną, podszedł do okna i zapatrzył się w ciemną noc. Riccio i Mosca tręcili się łokciami, Prosper zaś nie zdołał ukryć uśmiechu. Tak, Scipio wciąż był sobą, nadal uwielbiał grać.

A Barbarossa połknął haczyk.

- No, już zgoda - wymamrotał. - Co to za genialny pomysł?

Wyrzuc to z siebie, Królu Złodziei. Boże, ten człowiek jest wrażliwy jak francuski piesek.

Scipio jednak dalej go ignorował. Stał i patrzył przez okno w mrok, na Campo Santa Margherita. Jakby zapomniał o obecności innych.

- No, mówże, do diabła! - krzyknął Barbarossa, a pozostali zaczęli chichotać. Scipio ani drgnął.

Barbarossa wysiorbał ostatnią kroplę wina z kieliszka i walnął nim o stół tak mocno, że o mało go nie stłukł.

- Mam błagać na kolanach?

- Ta ciotka Prospera i Bo - zaczął Scipio, nie odwracając się - chce mieć słodkiego małego chłopca, który umie się zachować przy stole i jest odpowiedzialny jak dorosły. A ty na najbliższe lata potrzebujesz kryjówki, domu, kogoś, kto ci poda jedzenie i będzie spał obok, kiedy jest ciemno...

Barbarossa uniósł brwi.

- Ma pieniądze? - zapytał, odgarniając lok z czoła.

- O, tak - odparł Scipio. - Prawda, Prop?

Prosper przytaknął.

- To rzeczywiście zwariowany pomysł, Scip - orzekł. - Nigdy nie wypali.

Barbarossą nie chciał spać z resztą dzieci w jednym pokoju i ułożył się na sofie w salotto. Ida zgodziła się na to, ale na wszelki wypadek zamknęła drzwi na klucz, czego Barbarossą nawet nie zauważył. Potem pożegnała się z Wiktorem i poszła spać.

Scipia już dawno nie było. Wziął od Moski część pieniędzy, jakie zostały z handlu z Barbarossą, i po prostu zniknął. Nie powiedział, dokąd zamierza się udać.

- Jak dawniej - mruknęła Osa, gdy spoglądali za nim z balkonu Idy.

Noc pochłonęła Scipia, a oni pozostali sami z jakimś niewypowiedzianym smutkiem i z jego obietnicą, że się wkrótce zobaczą.

Każde z nich wiedziało, o czym myślą w tej chwili pozostali - o kurtynie z gwiazdami, drzwiach w pewnej wąskiej uliczce, materacach na podłodze i fotelach pogryzionych przez myszy. I o złotych i srebrnych łupach Króla Złodziei.

Wszystko stracone.

- Wracajmy do środka - powiedziała w końcu Osa. - Znow zaczyna padać.

Poszli na górę, do swojego pokoju, gdzie na ścianie wisiał wycięty przez Wiktora kawałek kurtyny. Na zimnej podłodze Ida położyła dywan, a ściany ozdobili resztkami dobytku uratowanego z kina. Z kina, w którym nad pustymi już materacami wciąż wisiały ich obrazki. Rysunki, których nie mogli zabrać.

Zmęczeni i smutni wśliznęli się pod przykrycia, jednak nie mogli zasnąć. Nawet Bo, któremu zwykle oczy same się zamykały, gdy tylko przykładł głowę do poduszki.

- To byłoby coś, gdyby Barbarossą mógł zamieszkać u waszej ciotki - usłyszeli w ciemnościach głos Moski. - Ale co my zrobimy? Teraz, kiedy jesteśmy już razem? Macie jakiś pomysł?

- Nieee - mruknął Riccio w poduszkę. - Nigdy już nie znajdziemy drugiego takiego miejsca jak Kryjówka pod Gwiazdami.

A już na pewno nie z torbą pełną fałszywek. Z naszych oszczędności też już za wiele nie zostało. Może znajdziemy coś w Castello? Tam wiele domów stoi przecież pustych...

- A po co? - Bo usiadł gwałtownie na łóżku, ściągając kołdrę z Prospera. - Ja nie chcę nowej kryjówki! Ja chcę zostać tutaj, z Idą...

- Ach, Bo! - Osa włączyła lampkę, którą Ida postawiła jej przy łóżku, żeby mogła wieczorami czytać.

- Posłuchajcie, co ten mały mówi! - zakpił Riccio. Oparł się plecami o ścianę i owinał kołdrą. - Czy Ida już wie, jaki zaszczyt ją spotka? Więc jeśli chodzi o mnie, to rozejrzę się w Castello.

A co z wami?

Mosca przytaknął.

- Ja jestem z tobą - mruknął, wyglądając przez okno, jakby chciał wywiercić wzrokiem dziurę w nocy.

Osa sięgnęła po książkę, którą wcześniej przyniosła sobie z regału Idy, i zaczęła bezmyślnie przerzucać kartki.

- Ale ja zostanę tutaj! - powtórzył Bo i skrzyżował ręce na piersiach. - I już!

- Teraz to idziesz spać. - Prosper położył go z powrotem na poduszce i przykrył. - O tym porozmawiamy rano.

- Możemy rozmawiać setki i tysiące lat! - wykrzyknął Bo, skopując z siebie kołdrę. - I tak zostanę tutaj. Moim kotkom się tu podoba, bo mogą drażnić psy Łucji, i Wiktor zabiera mnie i Idę na lody, i Łucja robi mi mój najulubieńszy makaron, i...

- I co z tego? - przerwał mu Riccio. - Potem każą ci iść do szkoły i będą ci mówić, kiedy masz jeść i spać, i że musisz się częściej myć. Nie, dziękuję! Tak długo dawaliśmy sobie radę sami, że nikt mi teraz nie będzie zwracał uwagi, że jestem za młody, żeby palić, albo że mam brudne paznokcie! Nie, co to, to nie.

Przez dłuższą chwilę panowała cisza, po czym Mosca oświadczył z podziwem:

- Człowieku, to dopiero była mowa!

Osa odłożyła książkę i podreptała bosą do okna.

- Ja też chętnie bym tu została - szepnęła tak cicho, że tamci ledwie ją usłyszeli. - Nigdy nawet nie wyobrażałam sobie, że gdzieś może być tak dobrze.

- Żartujesz - powiedział Riccio i ziewając, wśliznął się z powrotem pod kołdrę. - Zapytam Scipia, co zamierza. Jeśli rzeczywiście jeszcze kiedykolwiek wróci. Może ma jeszcze jeden genialny pomysł.

- Ciekawe, co on teraz robi - mruknął Mosca. - Jak ci się wydaje, Prop?

Osa wróciła do łóżka i zgasła lampę.

- Czy ja wiem - rzekł Prosper, spoglądając na sufit.

Usiłował wyobrazić sobie Scipia, jak idzie uliczkami i przegląda się w witrynach sklepowych, jak staje w świetle latarni, sprawdzając, jak długi zrobił się jego cień. Może poszedł do jednego z barów, w których dorośli przesiadywali do późnej nocy. A potem, kiedy poczuł się już zmęczony, wynajął sobie pokój w hotelu, taki, o jakim wspominał, z wielkim lustrem, i po raz pierwszy w życiu ogolił przed nim swą nieznajomą twarz.

- Myślisz, że jest szczęśliwy? - zapytał Bo, opierając głowę na piersi Prospera.

- Na pewno - odparł Prosper. - Tak. Myślę, że jest szczęśliwy.

Następnego dnia, gdy Wiktor przyszedł do Casa Spavento, przyniósł ze sobą gazetę. Na pierwszej stronie zamieszczone było zdjęcie Scipia. Niemal wszystkie lokalne gazety pisały o nim, dołączając apel policji do wszystkich weneccjan, aby wspomogli szanownego dottor Massima w poszukiwaniach syna.

Ida wywoływała właśnie w ciemni zdjęcia kamiennych lwów.

Wszędzie na ścianach wisiały ich podobizny: lwy kroczące, warczące, o spiczastych i okrągłych pyskach, ze skrzydłami i bez. Ida przeczytała wezwanie dottor Massima i westchnęła.

- Wiesz, gdzie jest Scipio? - spytała Osę, która przyglądała się jej pracy w ciemni.

- Nikt z nas tego nie wie - odparła Osa. - Nawet Prosper.

- Należałoby jednak przekazać dottore wiadomość - mruknął Wiktor. - Nawet jeśli Scipio ma na ten temat inne zdanie.

- Tak, też tak myślę - przytaknęła Ida. - Zaraz wracam - powiedziała do Osy i wyszła z Wiktorem do salotto, gdzie ze znużoną miną wylegiwał się Barbarossa, przeglądając album o skarbach weneckiej sztuki.

- Niczego nie dotykałem - powiedział ponuro na widok Idy i Wiktora. Już o świcie obudził wszystkich swoim wyciem, kiedy zobaczył, że Ida zamknęła go na klucz.

- I niech tak lepiej zostanie, Rudzielcu - warknął Wiktor.

Ida usiadła przy sekretarzyku i napisała kilka słów na kartce którą potem podała Wiktorowi.

- Szanowny Panie Massimo! - czytał. - Pragnę Pana poinformować, że Pana syn Scipio czuje się bardzo dobrze. W każdym razie nie chce w tej chwili wracać do domu i obawiam się, że nie zamierza uczynić tego również w najbliższej przyszłości. Cieszy się jak najlepszym zdrowiem, ma gdzie spać i niczego mu nie brakuje. Przykro mi, że nie mogę Panu więcej powiedzieć. Pozdrawiam, przyjaciółka Pańskiego syna.

- Wrzucisz ten list do skrzynki Massimów? - zapytała Ida. - Mogłabym to zlecić Giacowi, ale odkąd sprzedał Contemu plan mojego domu, już mu nie ufam.

- Jasne - odparł Wiktor, wsuwając list do kieszeni. - Czy mogę jeszcze jakoś pomóc?

- A co z ciotką?

Słyszac to, Barbarossa zsunął się z sofy, stanął przed Idą z założonymi rękami i oświadczył:

- Już po dziesiątej. Proponuję, aby pani w końcu do niej zadzwoniła, żeby mogła tu przyjść i mnie zobaczyć.

Wiktor miał już na końcu języka niezbyt przyjemny komentarz, ale do pokoju zajrzała Osa.

- Ido, powiesiłam zdjęcia, żeby wyschły - powiedziała. - Mam coś jeszcze zrobić?

- Tak. Powiedz Prosperowi i Bo - zaczęła Ida, patrząc gniewnie na Barbarossę - że zaraz będę dzwonić do ich ciotki. Może chcą być przy tym obecni.

Prosper i Bo grali właśnie na Campo w piłkę z Moscą. Kędy Osa przysłała z informacją, że Ida chce sprawdzić, czy szalony pomysł Scipia wypali, zaraz przybiegli do domu.

Ida siedziała już przy telefonie, gdy wszyscy czworo weszli do salonu. Usadowili się na dywanie, Osa i Prosper na wszelki wypadek po obu stronach Bo, żeby mu zatkać buzię, w razie gdyby śmiał się zbyt głośno. Barbarossa siedział w najlepszym fotelu Idy jak król, któremu właśnie ma się zaprezentować grupa kuglarzy.

- Że też zadajesz sobie tyle trudu z powodu tego knypka - szepnął do niej Wiktor. - Spójrz tylko, jak on siedzi...

- Właśnie dlatego zadaję sobie tyle trudu: żeby uchronić przed nim siostry miłosierdzia - odparła cicho Ida. - A poza tym chcę pomóc Prosperowi i Bo. Prosper ciągle się jeszcze zamartwia, że ciotka może przemyśleć sprawę i zdecydować się jednak, by wziąć do siebie Bo. Dajmy jej zamiast tego... Rudobrodzia.

- Jeśli tak uważasz - mruknął Wiktor. - Możesz rozmawiać z nią po włosku.

- Tym lepiej - stwierdziła Ida, ujęła słuchawkę i wybrała numer hotelu, w którym zatrzymali się Hartliebowie.

Ustalenie jego nazwy nie zabrało Wiktorowi zbyt wiele czasu.

- Buongiorno! - powiedziała Ida zdecydowanym głosem, gdy po drugiej stronie odezwał się portier. - Mówi siostra Ida ze zgromadzenia sióstr miłosierdzia. Czy mogłabym rozmawiać z signorą Hartlieb?

Po chwili rozległ się w słuchawce głos Estery.

- Dzień dobry, signora Hartlieb. Czy recepcjonista powiedział pani, kim jestem? Dobrze. Sprawa wygląda następująco: wczoraj w nocy policja przyprowadziła do naszego sierocińca dwóch chłopców. Jedna z sióstr od razu rozpoznała pani siostrzeńców z plakatów, które rozwiesiła pani po całym mieście. - Tu Ida zawiesiła głos, najwidoczniej słuchając Estery. - Ach tak?

Rzeczywiście, to przykre. No cóż... Jak to? Nie rozumiem. Co to ma znaczyć, że pani już nie chce chłopców?

Znów przez chwilę słuchała. Ze zdenerwowania Bo obgryzał paznokcie. Widząc to, Osa objęła go ramieniem.

- Ale czy pani nie jest przypadkiem ich prawną opiekunką?

- mówiła Ida. - Rozumiem. Tak, dzieci coś wspominały. To smutne, signora, bardzo smutne. Oczywiście zaopiekujemy się pani siostrzeńcami, to przecież nasz obowiązek, jednak w tych okolicznościach musimy panią prosić o pofatygowanie się do nas w celu dopełnienia wszystkich formalności... Tak, to konieczne, signora.

Ida zrobiła surową minę, jakby Estera mogła ją zobaczyć.

- Nalegam. Kiedy pani wyjeżdża...? Tak szybko? W takim razie spotkajmy się jutro po południu. Chwileczkę, spojrzę w terminarz. - Zaszleściła gazetą leżącą obok niej na sofie. - Signora, czy miałaby pani czas około trzeciej? Nie, absolutnie nie da się tego uniknąć. Znajdzie mnie pani w naszej filii, Casa Spavento, Campo Santa Margherita 423. Należy prosić siostrę Idę.

Tak. Bardzo dziękuję, signora Hartlieb. ArrivederLa.

Ida z głębokim westchnieniem odłożyła słuchawkę.

- Byłaś wspaniała - powiedział Wiktor. - Sam nie zrobiłbym tego lepiej.

- A ja nie chichotałem - zaznaczył Bo, odsuwając rękę Osy.

- Naprawdę Estera tu przyjdzie? - Prosper z niedowierzaniem patrzył na Idę.

- Niewiarygodne! - Barbarossa odepchnął jedno z kociąt Bo, które usiłowało wdrapać mu się na kolana. - Niektórzy ludzie są rzeczywiście nieprawdopodobnie głupi.

Ida wzruszyła ramionami i wyciągnęła papierosa.

- Zrzuciłam przynętę - powiedziała. - Teraz od ciebie zależy, czy signora Hartlieb ją chwyci.

Barbarossa z zadowoloną miną pogładził się po włosach.

- Niech was o to głowa nie boli.

- Nie chcę tu być, kiedy Estera przyjdzie - mruknął Bo i podrapał się nerwowo po nosie.

Prosper wstał i podszedł do okna.

- Ja też nie.

- Wcale nie musicie - uspokoił ich Wiktor. - Proponuję, żebyście wszyscy jutro udali się tam naprzeciwno, do kawiarenki, na duże lody, kiedy signora Hartlieb przyjdzie tu porozmawiać z siostrą Idą. Dam wam na to pieniądze, żebyście nie musieli używać waszych fałszywek.

- Mam nadzieję, że dobrze się spiszesz, Barbarino! - warknął Mosca. - Obyśmy się wreszcie ciebie pozbyli.

- „Rudobrodziu”, „Barbarino” - zabraniam wam nazywać mnie tymi głupawymi imionami! - krzyknął Barbarossa, z trudem gramoląc się z fotela. - Mam nadzieję, że ta ciotka rzeczywiście jest wystarczająco bogata. Biada wam, jeśli kłamiecie, bo wtedy od razu jej opowiem, w co ją wrabiacie.

- W każdym razie zawsze jest starannie uczesana - stwierdził z ironią Prosper.

- Bardzo śmieszne! - Barbarossa z urażoną miną zdjął sobie koci włos ze spodni, które pożyczył mu Bo. - A jeśli to skąpiradło? Wtedy nic mi po jej pieniądzach. Nie zgadzam się także na wysłanie mnie do szkoły. Ernesto Barbarossa nie będzie się zadawał z hałaśliwymi smarkaczami, którzy nie odróżniają A od B.

Co będzie, jeśli ta cała Estera nie zrozumie tego?

- Wtedy - odparła Osa, podchodząc do niego ze słodkim jak miód uśmiechem - na pewno znajdzie się dla ciebie jeszcze jakieś łóżko u sióstr miłosierdzia.

- Przy okazji będziecie też mogli o to zapytać - powiedziała Ida. - I tak chciałam prosić ciebie i Prospera, żebyście tam poszli i coś dla mnie odebrali.

- Odebrali? Niby co? - zapytał gniewnie Barbarossa.

Ale Ida położyła tylko palec na ustach.

- To jeszcze tajemnica - oświadczyła. - Ale niedługo wszystkiego się dowiesz, Barbarino.

Estera przyszła sama. Minęła kawiarnię, w której siedział Prosper z przyjaciółmi, zupełnie nieświadoma, kto obserwuje ją przez szybę.

Tak jak wcześniej ustalono, kiedy wskazówki kuchennego zegara zbliżały się już do godziny trzeciej, Wiktor wyprowadził z domu wszystkie dzieci poza Barbarosą.

- Na co się tak patrzysz? - spytała Osa, widząc, że Prosper nie może oderwać wzroku od szyby.

- Naprawdę przyszła - powiedział Prosper, nie spuszczać oka z Estery.

- Twoja ciotka? - Osa wyjrzała mu przez ramię. - To właśnie jest ona?

Prosper przytaknął.

- Kto? - dopytywał się Bo z buzią pełną lodów. Zamówił sobie ogromną porcję, taką samą jak Riccio, który zresztą zajadał już drugą.

- Nikt - mruknął Prosper, obserwując, jak Estera wchodzi do domu. Miała eleganckie kalosze, a z jej parasola spływały strugi deszczu.

- Zupełnie inaczej ją sobie wyobrażałam - szepnęła Osa. - Myślałam, że jest wyższa i jakaś taka... bardziej zła.

- Hej, Prop, nie chcesz już swoich lodów? - spytał Riccio, zlizując sobie czekoladę z czubka nosa. - Mogę?

- Riccio, zostaw go w spokoju - powiedziała Osa.

Gdy Estera zadzwoniła do drzwi, otworzyła jej gruba zakonnica o ponurym spojrzeniu, która bez słowa wskazała, że ma iść za nią. Ida poświęciła niemal godzinę na ubłaganie swej gospodyni, by przebrała się w pożyczony habit, ale opłacało się - Łucja do złudzenia przypominała zakonnice. Energicznym krokiem zaprowadziła gościa do pokoju, który służył zwykle za pralnię i spiżarnię.

Deska do prasowania, butelki z wodą i zapasy mąki zniknęły, a w ich miejsce pojawiło się biurko, które rano Wiktor, klnąc siarczyście, ściągnął ze strychu. Prócz tego stało tam kilka krzeseł i wielki świecznik. Jediną ozdobą nagich białych ścian był obraz Matki Boskiej z Dzieciątkiem, wiszący zwykle w kuchni Idy.

- Signora Hartlieb, jak mniemam - przywitała ją Ida, podnosząc się zza biurka.

Obok Idy, ubranej tak jak Łucja w habit zakonny, stał Wiktor.

Bez brody, bez przebrania - po prostu Wiktor, którego Estera знаła. - Proszę usiąść, signora Hartlieb - poprosiła Ida. - Pani mąż nie mógł przyjść?

- Nie, jest bardzo zajęty i nie zdołał znaleźć czasu. Pojutrze wyjeżdżamy.

Wiktor patrzył, jak Estera Hartlieb siada na krzesło, poprawia spódnicę, rozgląda się wokół niepewnie. Kiedy zauważyła jego spojrzenie, Wiktor skinął głową.

- Zna pani signora Getza - powiedziała Ida, siadając za biurkiem. - Zaprosiłam go tutaj, kiedy dowiedziałam się od policji, że to on na państwa zlecenie zajmował się poszukiwaniem pani siostrzeńców. Poza tym to dobry przyjaciel klasztoru.

Estera spojrzała na Wiktora, jak gdyby zastanawiając się, czy jego obecność jest dla niej dobrym, czy złym znakiem. Potem znów odwróciła się do Idy.

- Dlaczego poprosiła mnie pani tutaj? - zapytała, wygładzając spódnicę.

- Cóż, to jest chyba oczywiste, signora - odpowiedziała Ida. - Mamy pod swoją opieką tak wiele dzieci, a finanse, którymi dysponujemy, są bardzo, bardzo skromne. Jeśli więc, tak jak w przypadku pani siostrzeńców, dowiadujemy się, że nasi podopieczni mają bliską rodzinę...

- Ani już myślę troszczyć się o nich! - ostro przerwała jej Ester a. - Owszem chciałam, ale mały... - nerwowo złapała się za ucho - z pewnością signor Getz powiedział pani, przez co musieliśmy przejść. Może Bo zaccarował panią swoją anielską twarzą, ale ja już jestem z

niego wyleczona. Jest przekorny, kapryśny i gryzie jak mały pies. Mówiąc krótko... - nabrała powietrza - przykro mi, ale nawet z miłości do mojej zmarłej siostry nie jestem w stanie podjąć się opieki nad Bo, a w naszej rodzinie nie ma nikogo, kto mógłby zaopiekować się obydwoma chłopcami. Gdyby więc mogli zostać tutaj... w końcu tak bardzo pragnęli się tu znaleźć. A sierociniec z pewnością będzie mógł skorzystać z niewielkiej kwoty pieniędzy, które zostawiła ich matka.

Ida pokiwała głową i z ciężkim westchnieniem splótła dłonie na biurku.

- To rzeczywiście przykre, signora Hartlieb - powiedziała, patrząc w stronę drzwi.

Wiktor także usłyszał zbliżające się kroki, dokładnie według planu. Potem ktoś zapukał. Estera Hartlieb obejrzała się.

- Proszę! - zawołała Ida.

Drzwi otworzyły się i Łucja wprowadziła do pokoju Barbarossę.

- Ten nowy znów rozrabia, siostró! - oświadczyła, spoglądając na Rudobrodego jak na owłosionego pająka albo jakieś inne budzące wstręt zwierzę.

- Zajmę się tym - odparła Ida, a Łucja z ponurą miną opuściła pokój.

Stojący przy drzwiach Barbarossa wyglądał na małe, zagubione dziecko. Czując na sobie wzrok Estery, przesłał jej niepewny uśmiech.

- Przepraszam, signora Hartlieb - powiedziała Ida. - Ale ten chłopiec jest nowy i nie może porozumieć się z innymi dziećmi.

A więc znów cię zdenerwowali, Ernesto?

Barbarossa przytaknął, rzucając bezradne spojrzenie w stronę Estery. Po czym zaczął szlochać, najpierw cicho, potem głośniejsze, aż wreszcie rozbeczał się na dobre.

- Czy ma siostra chusteczkę? - spytał, siąkając nosem. - Oni znów zabrali moje książki.

- No, nie! - Ida sięgnęła do kieszeni habitu, ale Estera była szybsza. Zakłopotana podała Barbarossie swoją koronkową chusteczkę.

- Grazie, signora - szepnął, osuszając wiszące na długich rzęsach łzy.

Wiktor popatrzył na Esterę i z zadowoleniem stwierdził, że ta dosłownie nie może oderwać wzroku od Rudobrodego.

- Idź do siostry Cateriny, Ernesto - poleciła mu Ida - i powiedz jej, że ma im odebrać twoje książki. Poza tym niech za karę odeśle ich do pokojów.

Barbarossa raz jeszcze zaszlochał w chusteczkę Estery i podreptał z wahaniem w stronę drzwi.

- Siostró Idó? - wybąkał, kładąc rękę na kłamce. - Czy może mi siostra powiedzieć, kiedy wreszcie będzie wycieczka do muzeum Accademia? Tak bardzo chciałbym jeszcze raz zobaczyć obrazy Tycjana.

Na Boga, pomyślał Wiktor, teraz Rudobrodzio chyba już przesadził! Ale zachwyczone spojrzenie Estery mówiło coś całkiem przeciwnego. Najwyraźniej Barbarossa doskonale wiedział, co robi.

- Tycjana? - spytała z uśmiechem. - Lubisz jego obrazy?

Barbarossa przytaknął.

- Ja również - powiedziała Estera. Jej głos nagle stał się miękki, zupełnie inny niż do tej pory. - Tycjan to mój ulubiony malarz.

- Naprawdę, signora? - Barbarossa odgarnął sobie z czoła kosmyk rudych włosów. - To pewnie widziała już pani jego grób w kościele Frari, prawda? Najbardziej podoba mi się obraz, na którym sam siebie namalował, jak błaga Matkę Boską, żeby ocaliła jego ukochanego syna od zarazy. Widziała go pani?

Estera pokręciła głową.

- Jego syn i tak umarł od zarazy - mówił dalej Barbarossa. - I Tycjan też. Tak myślę, signora, że przypomina pani trochę Madonnę z tego obrazu. Chętnie bym go pani pokazał.

Do stu tysięcy skrzydlatych lwów, pomyślał Wiktor. Teraz to już dosłownie miód skapuje z języka temu małemu lizusowi.

Chociaż kto wie, Madonna na tym obrazie wyglądała raczej surowo, może rzeczywiście przypomina trochę Esterę Hartlieb?

W każdym razie Barbarossa trafił swoim komplementem w dziesiątkę. Spiczastonosza Estera zrobiła się dosłownie purpurowa.

Siedziała na samym brzeżku krzesła, jak mała dziewczynka, i spoglądała na swoje buty. Nagle odwróciła się do Idy.

- Można by? - wyjąkała. - To znaczy... pani wie, że oboje z mężem zostajemy w mieście jeszcze tylko jeden dzień, ale może mogłabym z małym...

- Ernesto - wtrąciła Ida z chłodnym uśmiechem. - Chłopiec ma na imię Ernesto.

- Ernesto. - Estera wypowiedziała to imię tak, jakby rozkoszowała się smakiem miodowego cukierka. - Wiem, że to trochę niecodzienna prośba, ale czy mogłabym wybrać się teraz z Ernestem na małą wycieczkę? Pokazałby mi kościół Frari i moglibyśmy pójść na lody albo popływać łodzią... Przyprowałabym go wieczorem.

Siostra Ida uniosła brwi. Wiktorowi wydawało się, że jej zdziwienie było prawdziwe.

- To rzeczywiście niecodzienna prośba - powiedziała i zwróciła się do Barbarossy, który wciąż stał z najbardziej niewinną miną na świecie, trzymając ręce grzecznie skrzyżowane z tyłu. Włosy sam sobie uczesał tak, że aż lśniły. - Co powiesz na propozycję signory Hartlieb, Ernesto? Miałbyś ochotę wybrać się z signora na taką wycieczkę? Wiesz, że my zamierzamy wybrać się tam najwcześniej za tydzień.

No, powiedz wreszcie „tak”, Rudobrodziu, myślał Wiktor, nie spuszczać oczu z Barbarossy. Pomyśl o twardych łózkach w sierocińcu.

Barbarossa zerknął na Wiktora, jakby czytał w jego myślach.

Potem popatrzył na Esterę. Nawet najwinniejszy pies nie mógłby mieć równie szczerego spojrzenia.

- To byłoby wspaniale, signora! - powiedział i przesłał jej uśmiech tak słodki jak budyń Łucji.

- To rzeczywiście wielkoduszne z pani strony, signora Hartlieb - powiedziała Ida i potrząsnęła małym srebrnym dzwonkiem stojącym na biurku. - Ernesto nie ma tu łatwego życia. A co się tyczy pani siostrzeńców - dodała, gdy Łucja znów ukazała się w drzwiach - z przykrością muszę panią poinformować, że oni nie chcą się z panią spotkać. Czy mimo to mam poprosić siostrę Łucję, aby ich przyprowadziła?

Uśmiech natychmiast zniknął z ust Estery.

- Nie, nie - zaprotestowała szybko. - Później ich odwiedzę, kiedyś, gdy znów będę w mieście.

- Jak pani uważa - powiedziała Ida i zwróciła się do Łucji: - Proszę przygotować Ernesta do wyjścia, siostrze. Signora Hartlieb zaprosiła go na wycieczkę.

- Jak to miło z jej strony - mruknęła Łucja, biorąc Barbarossę za rękę. - No, to małemu trzeba jeszcze szybko umyć szyję i uszy, nieprawdaż?

- Są czyste - oświadczył Barbarossa i w tym momencie jego głos nie brzmiał ani przyjemnie, ani nieśmiało.

Ale Estera niczego nie zauważyła. Siedziała na twardym krześle przed biurkiem Idy całkiem zatopiona w myślach, wpatrzona w obraz Madonny. Wiktor gotów byłby się założyć o trzy pary sztucznych wąsów, że wie, o czym Estera myśli.

- Czy chłopczyk ma rodziców? - zapytała, gdy za Łucją i Barbarossą zamknęły się drzwi.

Ida z ciężkim westchnieniem potrząsnęła głową.

- Nie, Ernesto jest synem bogatego antykwariusza, który zaginął w tym tygodniu w zagadkowych okolicznościach. Policja dopuszcza wypadek na łodzi, prawdopodobnie

podczas nocnego wędkowania. Odtąd chłopiec jest u nas. Matka kilka lat temu odeszła od ojca i nie może się podjąć opieki nad małym. Niewiarygodne, prawda? To taki zachwycający chłopczyk.

- W istocie, zachwycający. - Estera spojrzała w stronę drzwi, jakby Barbarossa wciąż tam stał. - Tak bardzo różni się od moich siostrzeńców.

- Pokrewieństwo to żadna gwarancja miłości - oświadczył Wiktor. - Mimo że wszyscy chętnie w to wierzymy.

- Co prawda, to prawda! - zaśmiała się Estera krótko. - Ja rzeczywiście bardzo chciałabym mieć dziecko, ale... - spojrzała na sufit, na którym tynk wyglądał, jakby miał zaraz spaść na jej pieczołowicie ufryzowaną głowę - ...nie znalazłam jeszcze takiego, które chciałoby, abym była jego matką. Wystarczy spojrzeć na moich siostrzeńców. Ci dwaj uważają mnie pewnie za jakąś wiedźmę. - Znowu spojrzała do góry. - Nie, chyba za coś znacznie nudniejszego - westchnęła. I znowu zaśmiała się urywanym, smutnym śmiechem. - Naprawdę pragnęłabym, by istniało gdzieś dziecko, które do mnie pasuje.

Wiktor i Ida wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

Estera odprowadziła Barbarosę dopiero późnym wieczorem.

Prosper i Bo patrzyli przez okno salotto, jak szli obok siebie przez plac: Barbarossa jadł ogromne lody, i to ani trochę się nie brudząc. Bo zastanawiał się, jak to w ogóle jest możliwe. Estera ob juczona była zakupami, ale lewą ręką trzymała dłoń Barbarossy a z jej ust nie schodził uśmiech szczęścia.

- Patrzcie, ona już go uwielbia! - Riccio też wyjrzał przez okno. - Założę się, że te wszystkie torby są dla niego. Nie żałuje cie teraz, że tak ją do siebie zraziliście, że już was nie chce?

Bo z przekonaniem pokręcił głową, ale Prosper myślał o kim innym, kogo przypominała mu Estera. Ucieszył się, gdy Wikto wyrwał go z zamyślenia.

- Czy ci dwoje nie wyglądają na stworzonych dla siebie? - szepnął Prosperowi do ucha. - Dopasowali się wręcz idealnie nie uważasz?

Prosper przytaknął.

- No, chodź. Porzuć na jakiś czas tę smutną minę. - Wikto trącił go łokciem. - Jeszcze trochę i wasza ciotka poleci do do mu, a Bo z pewnością nie będzie siedział z nią w samolocie.

- Uwierzę dopiero wtedy, gdy samolot znajdzie się już w po wietrze - mruknął Prosper.

A gdy tak patrzył, jak Estera wyciera Barbarossie buzię, p(raz setny zadawał sobie pytanie, gdzie też może być teraz Scipio Tak bardzo chciał mu powiedzieć, że jego zwariowany pomysł rzeczywiście wypalił.

WSZYSTKO W PORZĄDKU

Estera Hartlieb nie poleciała do domu. Jej mąż sam wsiadł do samolotu, a ona tymczasem zwiedzała z Barbarossą Pałac Dożów. Następnego dnia znów wzięła go na wycieczkę, tym razem do dmuchaczy szkła na Murano, ale wcześniej poszli na zakupy.

Kiedy Barbarossą wrócił wieczorem do Casa Spavento, miał na sobie najdroższe ubranie, jakie można było kupić w Wenecji dla chłopca w jego wieku.

Dzieci grały właśnie z Idą w karty, gdy wszedł do salotto, dumny jak paw.

- Jesteście głupcami nie z tej ziemi - powiedział do Prospera i Bo, którzy wciąż mieli na sobie stare ciuchy, tyle tylko że wyprane przez Łucję. - Los zesłał wam taką ciotkę, a wy uciekacie, jakby gonił was sam diabeł. Macie mózgi wielkości jajka.

- A ty, Ernesto - wtrąciła Ida - masz chyba zamiast serca portmonetkę.

Barbarossą ze znużeniem wzruszył ramionami i sięgnął do kieszeni kurtki, którą kupiła mu Estera.

- A propos portmonetki - powiedział, wyciągając wypchany portfel. - Chciałbym prosić kogoś z obecnych tutaj o regularne odwiedzanie mojego sklepu. Za odpowiednią zapłatą, rozumie się. Należy zobaczyć, jak się sprawy mają, trochę posprzątać... zresztą sami wiecie. Poza tym trzeba jak najszybciej znaleźć jakąś sprzedawczynię, która zna się na swojej pracy i nie podbiera ciągle z kasy. Może to być trudne, ale całkowicie zdaję się z tym na was.

Spojrzeli na niego ze zdziwieniem.

- Uważasz nas za swoich służących? - mało przyjaźnie zapytał Riccio. - Dlaczego sam tego nie zrobisz?

Barbarossą skrzywił się.

- Ponieważ ja, ty najeżony półgłówku, będę już jutro siedzia w samolocie razem z signorą Hartlieb - odparł. - Na jakiś cza: zamieszkam za granicą. Jeszcze dziś wieczorem moja przyszła opiekunka zadzwoni do siostry Idy, prosząc ją o zgodę na adopcję. Do sprawy włączony jest również adwokat, który rozwiąże wszelkie problemy natury prawnej. Przyszli rodzice nie mają pojęcia o istnieniu mojego sklepu i tak ma zostać. Postaram się założyć konto, na które będzie można wpłacać wpływy. W końcu nie mam zamiaru utrzymywać się tylko z kieszonkowego.

Riccio bez słowa opuścił ręce, a Mosca, korzystając z okazji szybko podejrzwał jego karty.

- No, to wszystkiego najlepszego, Barbarino - powiedział;

Osa. - Masz przed sobą miłe życie, prawda?

Barbarossą wzruszył tylko lekceważąco ramionami.

- W każdym razie - rozejrzał się po salotto Idy - na pewni wygodniejsze niż wy.

Po czym odwrócił się na pięcie i wymaszerował z pokoju. Ty] ko Bo pokazał mu jeszcze język, a reszta z zamyśleniem spogła dała w swoje karty.

- Ido - powiedział wreszcie Mosca - Riccio i ja też będziemy stąd spadać. Gdzieś tak pod koniec tygodnia. Riccio odkn opuszczony magazyn w Castello. Nad samą wodą. Jest tam nawc miejsce, żeby zacumować moją łódź.

Ida bawiła się koleczkami. Dziś były to małe złote rybi z oczkami z czerwonego szkła.

- Jak sobie poradzicie? - zapytała. - Życie w Wenecji nie jest tanie. Król Złodziei jest dorosły i już nie będzie się o was troszczył. Znów chcecie kraść?

Riccio miętosił swoje karty, jakby nie usłyszał pytania Idy, ale Mosca potrząsnął głową.

- Co tam, na początek mamy dosyć pieniędzy z ostatniego interesu z Barbarossą. Chyba że to też fałszywki.

Ida pokiwała głową i spojrzała na pozostałą trójkę: Prospera, Bo i Osę, na każde po kolei.

- A co z wami? - spytała. - Chyba nie opuścicie mnie wszyscy równocześnie? Kto zje te wszystkie zapasy, które Łucja już zrobiła? Kto będzie drażnił psy, czytał moje książki, grał ze mną w karty?

Osa usiłowała się uśmiechnąć, a mały Bo po prostu wstał i usiadł obok Idy.

- Zostajemy z tobą - oświadczył, kładąc jej na kolana jedno ze swoich kociać. - Osa i tak powiedziała, że najchętniej zostałaaby tu na zawsze.

- Och, Bo! - Osa zaczerwieniła się ze wstydu.

Ale Ida tylko odetchnęła z wyraźną ulgą.

- No, to dla mnie prawdziwa radość - powiedziała. Potem nachyliła się do Bo i szepnęła: - A co z twoim starszym bratem?

Prosper spojrział na nich z zakłopotaniem.

- On też chce tu zostać - rzekł cicho Bo. - Ale wstydzi się zapytać, czy się na to zgodzisz.

Prosper westchnął i ukrył twarz w dłoniach.

- Jak to dobrze, że ma młodszego brata, który może zadać takie pytanie i dostać na nie odpowiedź - rzekła Ida. Uporządkowała swoje karty i ujęła je tak, żeby Bo nie mógł podglądać. - Ida, Osa, Prosper i Bo. A zatem będzie nas czworo! - ucieszyła się. - Dobra

liczba, zwłaszcza do gry w karty. Ale wydaje mi się, że musimy wyjaśnić naszemu małemu Bo, że nie może wiecznie ustalać własnych reguł.

Następnego dnia Barbarossą, tak jak zapowiedział, wsiadł na pokład samolotu razem z Esterą Hartlieb. Ida oczywiście zgodziła się na adopcję, a wszystkimi formalnościami zajął się adwokat Estery.

W taksówce wodnej w drodze na lotnisko Barbarossą był milczący, a kiedy już Wenecja zniknęła z horyzontu, westchnął. Na pełne troski pytanie Estery, czy coś mu dolega, potrząsnął tylko głową i wymruczał, że nigdy nie znosił taksówek wodnych. W taki właśnie sposób Barbarossą pożegnał się z Wenecją, głęboko jednak w swoim przekornym i zachłannym sercu postanowił, że jeszcze tu powróci. Kiedyś, w swym nowym życiu.

Dwa dni i dwie noce później, gdy słońce schowało się już za dachami domów, Riccio i Mosca spakowali do łodzi resztki swojego dobytku ocalonego z Kryjówki pod Gwiazdami. Pożegnali się z Prosperem, Bo, Osą, Idą i Łucją, która wcisnęła im do rąk dwie wypełnione prowiantem reklamówki, i odpłynęli w kierunku Castello, gdzie zaczyna się biedna Wenecja. Obiecali, że odezwą się, jak tylko znajdą jakieś schronienie.

Pozostałym było bardzo smutno, że muszą się rozstać. Najsmutniejszy był chyba Bo, który zalał się łzami. Uspokoiła go dopiero Osa, tłumacząc, że Riccio i Mosca pozostają przecież w mieście.

A Wiktor, aby odwrócić jego uwagę, wziął małego na plac Świętego Marka, aby karmić gołębie. Ida pokazała Prosperowi i Osie szkołę, do której mieli zacząć chodzić na wiosnę. Każdego wieczora Prosper spoglądał za okno i zastanawiał się, co też może porabiać Scipio. Ale to nie on, tylko Wiktor pierwszy spotkał Króla Złodziei.

Pewnego wieczora, wracając właśnie po skończonym śledztwie, wstąpił na chwilę do sklepu Barbarossy, aby wywiesić na drzwiach ogłoszenie napisane przez Idę: Zatrudnię sprzedawcę lub sprzedawczynię, doświadczenie mile widziane. Zgłoszenia: Ida Spavento, Campo Santa Margheńta 423.

Przy każdej próbie przyklejenia kartki taśma klejąca pozostawała na kciuku Wiktora, aż w końcu zniecierpliwiony zaklął cicho. Nagle podszedł do niego jakiś wysoki mężczyzna.

- Cześć, Wiktor - powiedział nieznajomy. - Jak leci? I co z pozostałymi?

Wiktor spojrzał na niego zdumiony.

- Mój Boże, Scipio, czy ty zawsze musisz się tak skradać? - mruknął. - Zjawiasz się jak duch, a w tym kapeluszu prawie cię nie rozpoznałem.

Scipio nie miał już na sobie płaszcza Contego, tylko jakiś nowy, ciemny.

- Tak, kapelusz to była pierwsza rzecz, jaką sobie kupiłem - powiedział. - Od kiedy go noszę, już tylko ze trzy razy dziennie nazywają mnie dottor Massimo.

- Ida napisała do twojego ojca. - Wiktor po raz setny spróbował przykleić kartkę na drzwiach. Tym razem udało się. - Poinformowała go, że masz się dobrze i że już nie wrócisz do domu.

Widziałeś chyba ogłoszenia ojca w gazetach?

Scipio skinął głową.

- Tak, tak - mruknął. - Taki syn to skaranie boskie. A teraz jeszcze w dodatku zniknął. Wczoraj w nocy byłem w domu. Zabrałem koty. Ale na szczęście nikt mnie nie widział.

Milczeli przez chwilę, stojąc i patrząc na księżyc. W końcu Wiktor się odezwał:

- Ten twój pomysł... no wiesz, ten z Barbarossą, wypalił.

- Naprawdę? - Scipio wcisnął kapelusz głęboko na oczy. - Tak, wiedziałem, że jest genialny. A co z resztą? Czy nadal są u Idy?

- Prosper, Osa i Bo tak - odpowiedział Wiktor. - A Riccio i Mosca mieszkają w jakimś opuszczonym magazynie w Castello.

Ale mów, co u ciebie?

Przyjrzał się twarzy Scipia. Na ile mógł dojrzeć w ciemnościach, Król Złodziei nie wyglądał na specjalnie szczęśliwego.

Może raczej na zmęczonego.

- Jeśli nie masz nic lepszego do roboty - zaproponował detektyw - to może odprowadzisz mnie kawałek i opowiesz mi trochę o tym, co porabiasz. Jest za zimno, żeby tu stać, a ja muszę wracać do domu. Cały dzień jestem na nogach, a poza tym już prawie padam z głodu.

Scipio wzruszył ramionami.

- Nie mam nic szczególnego do roboty - odpowiedział. - A ten mój pokój w hotelu nie jest na tyle przytulny, żeby za nim tęsknić.

Tak więc ruszyli razem w kierunku mieszkania Wiktora. Jakiś czas szli w milczeniu. W uliczkach pomiędzy placem Świętego Marka i Canal Grandę ciągle jeszcze tłoczyli się ludzie, gdyż powietrze nie było tak mroźne jak ostatniej nocy, a na niebie skrzyły się gwiazdy.

Scipio przerwał milczenie dopiero, gdy mijali most Rialto.

- Tak naprawdę to nic nie robiłem - powiedział, gdy ramię w ramię schodzili z mostu. W wodzie kanału odbijały się tysiące drobnych światełek - światła nadbrzeżnych restauracji, światła gondoli, vaporetti, które sunęły po powierzchni szerokiego kanału.

Światelka błyszczały na wodzie, przemykały się między łodziami i docierały do jasno rozświetlonego brzegu. Pływające światelka.

Trudno było oderwać od nich wzrok. Wiktor pochylił się nad balustradą. Scipio splunął do kanału.

- Wiktor, co dorośli porabiają przez cały dzień? - zapytał.

- Pracują. Jedzą, piją, opłacają rachunki, telefonują, czytają gazety, popijają kawę i chodzą spać.

Scipio westchnął.

- Nic specjalnego - wymamrotał i oparł ręce o poręcz.

- Taak - mruknął Wiktor. Nic więcej nie przychodziło mu do głowy.

Powoli ruszyli dalej, zeszli z mostu i zanurzyli się w gąszcz uliczek i zaułków, w których każdy obcy przynajmniej raz zgubił drogę.

- Wyobrażałem sobie coś zupełnie innego - powiedział Scipio, a w jego głosie dało się wyczuć cień buntu. - Coś szalonego, jakąś przygodę. Może powinienem pojechać na lotnisko i wsiąść do pierwszego lepszego samolotu. Albo zostać poszukiwaczem skarbów, w końcu trochę na ten temat czytałem. Mogę też nauczyć się nurkować...

Wiktor uśmiechnął się kpiąco, co Scipio natychmiast zauważył.

- Wyśmiewasz się ze mnie! - powiedział ze złością.

- Ależ skąd! - zaprzeczył Wiktor. Poszukiwacz skarbów, nurek... nie, on nigdy nie chciał niczego takiego robić.

- Przyznaj, że też chciałbyś przeżyć jakąś przygodę! - rzekł Scipio. - W końcu jesteś detektywem.

Wiktor nic na to nie odpowiedział. Bolały go nogi, był zmęczony i najchętniej siedziałby teraz na sofie obok Idy. Dlaczego, do diabła, go tam nie ma? Zamiast tego włóczy się gdzieś po nocy.

- Powinieneś zobaczyć się ze swoimi starymi kumplami - odezwał się, gdy mijali most, z którego widać już było balkon jego mieszkania. - Czy może ci przeszkadza, że są o kilka głów niżsi od ciebie? Jestem pewien, że często się zastanawiają, gdzie ty właściwie się podziewasz.

- Tak, tak, wpadnę do nich. - Ale głos Scipia brzmiał tak, jak gdyby jego myśli błądziły zupełnie gdzie indziej. Nagle się zatrzymał. - Wiktor! - wykrzyknął. - Znowu mam genialny pomysł.

- Aha - mruknął zmęczony Wiktor, podchodząc do drzwi swojego mieszkania. - Powiesz mi rano, okej? Może wpadnij do Idy na śniadanie. Ja też tam będę. Jestem tam teraz właściwie codziennie.

- Nie! - Scipio energicznie potrząsnął głową. - Muszę ci to powiedzieć teraz.

Głęboko zaczerpnął tchu i przez chwilę wyglądał jak mały chłopiec, którym jeszcze niedawno był.

- Słuchaj, ty już nie jesteś najmłodszy...

- Co to ma znaczyć? - Wiktor odwrócił się zdenerwowany. - Jeśli chciałeś przez to powiedzieć, że nie jestem smarkaczem, który w ciele dorosłego chodzi po ulicach, to masz rację...

- Nie, bzdura! - Scipio niecierpliwie potrząsnął głową. - Ale przecież jesteś detektywem już od dobrych kilku lat. Czy nigdy nie bołą cię nogi, gdy musisz godzinami kogoś śledzić? Pamiętasz, jakie męczące było choćby śledzenie nas...

Wiktor rzucił mu chmurne spojrzenie.

- Nawet mi o tym nie przypominaj - mruknął i otworzył drzwi.

- Dobra, spokojnie. - Scipio precyzyjnie się obok niego. - Ale wyobraź sobie... - Mówiąc to, wbiegł na schody z taką lekkością, że Wiktor, który usiłował dotrzymać mu kroku, aż się zasapał. - Wyobraź sobie, że całą tę bieganinę, śledzenie ludzi po nocach, wszystko, od czego bołą nogi, zrobi za ciebie ktoś inny. Ktoś... - Scipio zatrzymał się przed drzwiami Wiktora, odwrócił i szeroko rozpostarł ręce - ...taki jak ja!

- Co? - Wiktor zatrzymał się obok niego, ciężko dysząc. - Co masz na myśli? Chcesz dla mnie pracować?

- Pewnie. Czyż to nie świetny pomysł? - Scipio wskazał na tabliczkę na drzwiach, która znów wymagała czyszczenia. - Nazwisko Getz mogłoby oczywiście pozostać na pierwszym miejscu, ale zaraz pod nim pojawiłoby się moje...

Wiktor już chciał coś odpowiedzieć, ale wtedy właśnie otworzyły się drzwi po drugiej stronie korytarza i przez szparę wysunęła się głowa jego sąsiadki, signory Grimani.

- Signor Getz - szepnęła, obrzucając Scipia zaciekawionym spojrzeniem. - Signor Getz, jak dobrze, że pana widzę. Czy będzie pan tak uprzejmy i jutro, gdy pójdzie pan rano po bułeczki, przyniesie mi bochenek chleba? Wie pan, gdy jest tak mokro na dworze, nie mam sił, żeby wdrapywać się po tych schodach.

- Oczywiście, signora Grimani - odrzekł Wiktor i przetarł tabliczkę rękawem marynarki. - Czy może potrzebuje pani jeszcze czegoś?

- Nie, dziękuję! - Signora Grimani potrząsnęła głową, patrząc na Scipia takim wzrokiem, jakim spogląda się na kogoś, czyjego imienia się nie pamięta.

- Dottor Massimo! - krzyknęła naraz i ścisnęła klamkę. - Widziałam pana zdjęcie w gazetach. I raz nawet zobaczyłam pana w telewizji. Ta cała sprawa z pana synem, naprawdę mi przykro.

Czy może już wrócił?

- Niestety nie, signora - odpowiedział Scipio z poważną miną.

- Dlatego jestem tutaj. Signor Getz pomoże mi w poszukiwaniach.

- Och, to wspaniale! Benissimo! Signor Wiktor to najlepszy detektyw w mieście! Przekona się pan! - Signora Grimani wpatrywała się w Wiktora, jakby wyrosły mu anielskie skrzydła.

- Buonanotte, signora Grimani! - mruknął Wiktor i wciągnął Scipia za rękaw do mieszkania, by uniknąć kolejnego tematu do plotek.

- No, super! - jęknął, usiłując wyswobodzić się z płaszcza. - Już wkrótce cała Wenecja będzie wiedzieć, że Wiktor Getz poszukuje syna dottor Massima. Co ty sobie wyobrażasz?

- Nic lepszego nie wpadło mi do głowy. - Scipio powiesił kapelusz w garderobie Wiktora i rozejrzał się. - Ciasno tu - stwierdził.

- Cóż, nie każdy ma własne fontanny i dachy prawie tak wysokie jak pałace dożów - mruknął Wiktor. - Ale mnie i moim żółwiom starczy to, co mamy.

- No tak, twoje żółwie.

Scipio wszedł do biura Wiktora i usiadł na krześle dla interesantów. Wiktor tymczasem pospieszył do kuchni, żeby przynieść żółwiom sałatę.

- Nie zdziwiło cię, że tak nagle pojawiłem się przy sklepie Barbarossy? - krzyknął do niego Scipio. - Minąłeś mnie na moście Accademia, ale byłeś tak zamyślony, że w ogóle nie zwróciłeś na mnie uwagi. Wtedy postanowiłem, że cię trochę posiedzę, no wiesz, tak dla zabawy. Musisz przyznać, że niczego nie zauważyłeś. A to znaczy, że jestem dobry!

- To nic nie znaczy - powiedział Wiktor, kucając obok pudełka z żółwiami. - Może tyle tylko, że ty wyobrażasz sobie nie wiadomo co o zawodzie detektywa, a to jest zazwyczaj bardzo nudne zajęcie.

Rzucił zwierzakom sałatę i wyprostował się.

- A poza tym nie mógłbym ci nawet dużo płacić.

- W porządku. Niewiele potrzebuję.

- Będziesz się nudzić.

- To się jeszcze zobaczy.

Z głębokim westchnieniem Wiktor usiadł wreszcie w fotelu przy biurku.

- Ale twoje nazwisko nie pojawi się na tabliczce.

Scipio wzruszył ramionami.

- Nie szkodzi, i tak muszę sobie znaleźć jakieś nowe. Chyba nie sądzisz, że dalej będę chodził po całej Wenecji jako Scipio Massimo?

- Dobrze, jeszcze tylko ostatnia sprawa. - Wiktor wyciągnął landrynkę z szuflady biurka i włożył do ust. - Napiszesz do swojego ojca.

Scipio zasepił się.

- Co miałbym do niego napisać?

Wiktor wzruszył ramionami.

- Że u ciebie wszystko w porządku. Że zamierzasz wyjechać do Ameryki i że wrócisz pewnie za jakieś dziesięć lat. Coś tam na pewno wymyślisz.

- Cholera! - mruknął Scipio. - No dobra, napiszę do niego.

Ale pod warunkiem, że mnie nauczysz być detektywem.

Wiktor, wzdychając, skrzyżował ręce pod głową.

- A może byś wolał przejąć sklep Barbarossy? - zapytał z nadzieją. - Ida i ja właśnie kogoś szukamy. Dostawałabyś połowę dochodów. Drugą połowę wysyłałbyś Rudobrodemu do jego nowej ojczyzny. Tak z nim ustaliliśmy.

Ale Scipio zmarszczył brwi.

- Cały dzień stać w sklepie i sprzedawać rupiecie Barbarossy?

Nie, dziękuję. Mój pomysł podoba mi się dużo bardziej. Zostanę detektywem, znanym detektywem, a ty mi w tym pomożesz.

I cóż Wiktor mógł na to powiedzieć?

- Zgoda - mruknął. - Zaczynasz jutro od rana. A ja pójdę do Idy na śniadanie.

Pół roku później, wprawdzie mniejszymi literami, ale jednak Wiktor umieścił nazwisko Scipia na tabliczce na drzwiach.

Nikt, nawet Prosper, nigdy nie zadał Scipiovi dręczącego ich pytania, czy nie żałuje, że wsiadł na karuzelę. Chociaż może nazwisko, które przybrał, było wystarczającą odpowiedzią? Scipio Fortunato - Scipio Szczęściarz.

Tak jak ustalił z Wiktorem, od czasu do czasu wysyłał ojcu kartkę. A dottor Massimo nie zdawał sobie sprawy, że jego syn mieszka zaledwie kilka ulic dalej, w mieszkaniu niewiele większym od jego gabinetu, i że jest przy tym tak szczęśliwy, jak nigdy nie był w Casa Massimo.

Scipio odwiedzał też niekiedy Moscę i Riccia w ich kryjówce, w Castello. Zazwyczaj zostawiał im trochę pieniędzy, chociaż wyglądało na to, że całkiem nieźle im się wiedzie. Nie chcieli też mu zdradzić, ile mają jeszcze fałszywek, które dostali od Contego.

- W końcu jesteś teraz detektywem - stwierdził Riccio.

Mosca znalazł pracę u rybaka, ale Riccio, no cóż, Scipio podejrzewał, że znów zajmował się kradzieżami.

Ose, Prospera i Bo widywał częściej. Wraz z Wiktorem odwiedzał ich u Idy przynajmniej dwa razy w tygodniu.

Pewnego wieczora, a było to jesienią, Scipio i Prosper postanowili wybrać się na Isola Segreta. Pożyczyli łódź od Idy, a Scipio tym razem nie zgubił drogi na lagunie. Anioły nadal stały na murze, jednak przy pomocy nie dostrzegli żadnej łódki, nie czekał też żaden pies. W pustym domu i w stajniach na próżno wołali Renza i Morosinę. Wydawało się, że nawet gołębie opuściły już wyspę. Gdy wreszcie udało im się przebić przez labirynt na polanę, nie znaleźli tam nic, oprócz niemal zarośniętego przez zielsko kamiennego lwa.

Prosper i Scipio nigdy się nie dowiedzieli, czy Renzo z siostrą zniknęli od razu tamtej nocy, kiedy Barbarossa zniszczył karuzelę. Przez wiele lat zadawali sobie pytanie, czy może Renzo znalazł sposób, by ją naprawić. I czy gdzieś tam kręcą się lew, wodnik, syrena, konik morski i jednorożec...

Czy coś jeszcze? No tak, Barbarossa...

Ester a dość długo była przekonana, że jest najcudowniejszym dzieckiem, jakie kiedykolwiek spotkała. Przynajmniej do chwili, gdy przyłapała go, jak chował do kieszeni jej drogocenne kolczyki, a w jego pokoju znalazła kolekcję wartościowych przedmiotów, które w zagadkowy sposób zniknęły z jej domu. Wtedy to wysłała chłopca do najlepszego internatu, gdzie Ernesto bardzo szybko stał się postrachem innych uczniów i wszystkich nauczycieli. Opowiadano o nim okropne rzeczy: że zmuszał inne dzieci, żeby odrabiały za niego lekcje i żeby czyściły mu buty. I że je nawet namawiał do kradzieży. I że nadał sobie imię, którym inni mieli się do niego zwracać.

Ernesto Barbarossa nazwał siebie Królem Złodziei.

